# twórczość

CZERWIEC 1957

U. I. C. C.
NOV 30 1978
LIBRARY

· Międzyrzecki · Kazi-
z Brandys · Stanisław
howiak · Krystyna To-
ówna · Tymoteusz Kar-
cz · Julian Przyboś ·
o Popa · Andrzej Ki-
ki · Jarosław Iwaszkie-
cz · Juliusz Żuławski

# twórczość

CZERWIEC 1957 ROK

6

# twórczość

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

ROK XIII CZERWIEC 1957 NR 6

## SPIS TREŚCI

*Artur Międzyrzecki*

SNY

Str. 5

*Stanisław Piętak*

POLSKA POŁUDNIE

Str. 8

*Kazimierz Brandys*

MATKA KRÓLÓW

Str. 10

*Stanisław Grochowiak*

WIERSZ ANTYASTRONAUTYCZNY DO PANI NASZA WIEDŹMA

Str. 88

*Krystyna Tokarzówna*

BRACIA GŁOWACCY W POWSTANIU STYCZNIOWYM

Str. 91

*Tymoteusz Karpowicz*

BIAŁY NIEDŹWIEDŹ LEKCJA CISZY MIŁOŚĆ DIALOGI GŁAZ LAS

Str. 101

*Maruta Stobiecka*

DZIECKO I KWIAT

Str. 105

*Julian Przyboś*

KU POEZJI POWSZECHNEJ

str. 106

*Vasko Popa*

Z CYKLU „GRY" Z CYKLU „ODDAJ MI MOJE GAŁGANKI"

(przełożyła *Irena Olszewska*)

Str. 114

*Książka miesiąca*

*Andrzej Kijowski*

„TAK TYLKO DOSIĘGA SIĘ DNA..."

Str. 117

*Wśród książek*

POLSKI HEINE — *Stefan Lichański*

Str. 125

Z HISZPAŃSKIEGO — *Zofia Szmydtowa*
Str. 129

TRZEJ POECI — *Stefan Lichański*
Str. 131

„WERTEPY" LEOPOLDA BUCZKOWSKIEGO PO DWUDZIESTU LATACH — *Ludwik B. Grzeniewski*
Str. 139

*Na widnokręgu*

LIST Z HIROSZIMY — *Jarosław Iwaszkiewicz*
Str. 144

SPRAWA DNIA — *Juliusz Żuławski*
Str. 146

PRZEGLĄD PRASY — *Andrzej Kijowski*
Str. 147

NIEZNANY FINAŁ GŁOŚNEGO SPORU — *Roman Karst*
Str. 150

„LUCY CROWN" — POWIEŚĆ OBYCZAJOWA — *Bronisław Wiśniowski*
Str. 152

„PIEKŁO I NIEBO" BIBLIOTEK — *Wojciech Natanson*
Str. 154

RADZIECKI PRZEGLĄD LITERACKI — *Józef Spinc*
Str. 157

*Noty*
Str. 160

*Książki nadesłane*
Str. 171

REDAKTOR NACZELNY:
JAROSŁAW IWASZKIEWICZ
Wydaje Instytut Prasy „Czytelnik"
Adres redakcji: Warszawa, Wiejska 16, tel. 8-95-07, centr. 8-24-11, wewn. 54.
Adres administracji: Warszawa, Wiejska 12, tel. 8-24-11.
Rękopisów nie zamówionych redakcja nie zwraca.
Cena numeru zł 10.—. Prenumerata kwartalna zł 30.—, półroczna zł 60.—
Zamówienia i przedpłaty przyjmują wszystkie Urzędy Pocztowe i listonosze.
Informacji w sprawie prenumeraty opłacanej w kraju za zleceniem wysyłki za granicę udziela oraz zamówienia przyjmuje Oddział Wydawnictw Zagranicznych przy „Ruchu". Sekcja Eksportu — Warszawa, Aleje Jerozolimskie 119, tel. 8-05-05.

Zakłady Graficzne Dom Słowa Polskiego, Warszawa. Zamówienie 2350/c z dnia 10.4.57 r
Nakład 6160 egz. Druk ukończono w maju 1957 r. B-73

*Artur Międzyrzecki*

## SNY

Od kilku lat spisuję sny na karteczkach papieru. Stronice te niszczę co roku w dzień moich imienin. Zachowały się w mojej szufladzie trzy tylko sny nie zniszczone.

### SEN PIERWSZY

Miałem przerażający sen.
Biegłem długimi korytarzami,
Bezludną ciemnością,
Biegłem szybko unosząc budzik i książkę.
Na granicy tchu
Oczekiwał mnie pusty pokój oświetlony jedną żarówką.
Zacząłem rozmowę ze schodzącymi się ludźmi,
A oni dziwili się moim słowom,
Spoglądali na siebie porozumiewawczo,
Aż w jednej strasznej chwili pojąłem:
Jestem obłąkany, straciłem rozsądek.

Poczułem nagle ołowiany ciężar własnej głowy,
Niewidzialny pancerz z metalu uciskał mi czoło,
Z ogromnym wysiłkiem chwyciłem się za skronie,
Zamiast okrzyku, wydałem długi jęk,
A oni po chwili trwogi
Roześmieli się i kpili ze mnie wracając do swych zajęć;

I tylko moja mała córeczka
Siadywała przy mnie, znajdując na moim stole
Wizerunki lalek i słońca.
To jedno umiałem jeszcze robić

I pracowałem pilnie, żeby zainteresować malutką;
Rysowałem i malowałem gwiazdozbiory,
Drzewo, ptaka, zajączka.

Stało mi się później trochę lepiej zapewne,
Gdyż moja piękna i dumna jak zawsze żona,
Której obecność odczuwałem przez cały ten nieszczęsny okres,
Wysyłała do znajomych redakcji niewielkie rękopisy,
Które czytano i zwracano nam.
Teksty te są zbyt suche — mówił pewien człowiek,
Z którym przyjaźniliśmy się,
Zanim mnie to spotkało.

## SEN DRUGI

Śniło mi się, że przyjaciele dali mi granat
I nie umiałem go odnaleźć.
Jakże pilnie go szukałem!
Wyjmowałem wszystkie przedmioty z szuflady,
Szukałem po kieszeniach,
Na próżno.
Miałem go przed oczami,
Widziałem go, połyskiwał pod powieką jak zielona gwiazda.
Był środkiem wszystkiego, niepokoił, odmierzał czas,
A ja szukałem go, szukałem,
Sto razy wydawało mi się, że wyczuwam pod marynarką
Jego upragniony kształt,
Ale wyciągałem z kamizelki inne przedmioty,
Mocno zwinięte kule papieru:
Okazywały się niewypełnionym kwestionariuszem,
Nienapisanym listem, zmiętą gazetą.

Nie umiałem, nie mogłem go odnaleźć,
Nie wiedziałem, czy jest gdzieś blisko i czeka na jedno celne spojrzenie,
Czy może ktoś ukradł mi go, kiedy rozmyślałem?
A tymczasem miasto płonęło,
Biegły ulicą kobiety z tobołami na plecach,
Wiedziały więcej ode mnie,
Milczały.
Nie słyszałem żadnego dźwięku prócz ryku samolotów.
Przeraziła mnie myśl,
Że granaty gubią ludzie małego serca
I, odnajdując je po wszystkim, powiadają:
Niestety, nie było mi dane, przyjaciele moi.

Znowu rzuciłem się więc do szukania,
Do macania po kieszeniach, tysiąca badawczych spojrzeń,
Do tropienia zguby, jakiej nie można odnaleźć.
Aż obudziłem się ze strasznym krzykiem.

## SEN TRZECI

Opowiadają młodzi: kobieta i mężczyzna.
— Leżeliśmy na ulicy,
Objęłam go, był przelękniony jak dziecko.
— To prawda. Ona była bardzo dzielna.

Gdy patrzę na ich nieporuszone twarze, wiem już, co mnie czeka.
Jestem niespokojny, słyszę, jak syczy gaz w kuchni,
W perspektywie ulicznej rozpoczyna się:
Ludzie w hełmach, miotacze ognia, psy, jazgot czołgu.
— Chciałem, żeby to przyszło jak najprędzej.
— Chciałam, żebyśmy się już nie rozstawali.

Odtąd widzę tylko ich i staję się nimi,
Kiedy plutony egzekucyjne prowadzą rozłączonych w zadymione podwórza.
Jestem tą kobietą.
Widzę błysk przed źrenicą i jego oczy gasną.
Jestem mężczyzną w jesionce, stoję przed murem.
Oczy tamtej kobiety spoglądają na mnie zogromniałe,
Kule rozrywają mi pierś,
Ale to nie ból mnie budzi ani strach.
Budzę się w obawie, że jestem sam,
Sam jeden na całym świecie,
Pośród nocy, w której dwukrotnie mnie rozstrzelano
A przedtem zobaczyłem rzeczy tak okropne,
Że nie śmiem o nich mówić.

*Artur Międzyrzecki*

*Stanisław Piętak*

## POLSKA

Od lat, od niepamiętnych lat
idziemy spragnieni, niespokojni.
Czego nam brak?
Zanurzyć znowu stopy i ramiona
w powietrzu zielonych wąwozów i dróg.
Czego nam brak?...
Chcemy wyspy wiślane podkładać pod głowę,
z brzegu na brzeg przebywać wpław;
na polach nocą w lipcu leżeć,
czekając wybuchu słońca,
krzyku zbudzonych ptaków i zwierząt
u wiosennych wód?...

Stoi topola w słońcu,
cień utknął w żółtym błocie, lecz się śmieje.
Maki w pszenicy są po to,
by obłok z szumu ich powstał,
przez kraj popłynął,
żywiąc ciszę i ludzką nadzieję.

Błękitnie jest w Polsce, błękitnie i polnie —
i tylko ludzie jeszcze w niej
nie znają ciągle dnia przyszłego,
majaczy im się we śnie czołg, żołdacki but.
Od lat, od lat idziemy niespokojnie...

## POŁUDNIE

Tylko żar żyje w powietrzu — i tylko cisza.
Obłok utknął nad ogrodem i stopą zwisa
nad dzikim bzem, nad gąszczem jaśminu i róży.
W dole cień ginie, kształty i zapachy burzy.
Ciężko gnieździć się razem nasturcjom i astrom,
od krwi kwiatów, od soku liści duszno, ciasno.
Jakże lżej chwiać się wiotkim grochom i powojom,
przeskoczyły płot, z śliwą i jabłonią stoją.

Chwilo! Pszczoła spada jak blask, kwiatem się syci.
Śmieją się, gonią chłopcy nadzy, mgłą przykryci.
Dostraja się do nich piskiem czarna jaskółka,
mija się z wodą rzeki, kreśląc złote kółka.
A synek mój ściga widziadła, coś w dłoń chwyta.
Westchnie rychło przestrzeń jego krzykiem przeszyta.
Dla niego szum, dla niego nieba wodospady,
ciała kwiatów i drzew i powietrzne Najady,
lecz co dla ciebie, poezjo ma, biedna wdowo,
kryjąca długo myśl za cień zdarzeń, za słowo.

Władcy wieńczyli cię łatwo sznurem korali —
ale po tobie rozstrzelanej czyż płakali?...

*Stanisław Piętak*

*Kazimierz Brandys*

# MATKA KRÓLÓW

1

Jest to historia pewnej kobiety, która nazywała się Łucja Król. Rzecz sięga lat przedwojennych, gdy mąż jej, Stanisław, upił się i wpadł pod tramwaj na ulicy Żelaznej. Koła obcięły mu nogi. Działo się to w Warszawie za rządów starego Marszałka. Oto początek historii: Łucja Król, wdowa, lat trzydzieści. Koledzy męża złożyli się na pogrzeb. Została z trzema synami, czwarty urodził się po pogrzebie. Tragarz Cyga — przyjaciel męża; podobny do wołu z pagórkowatym karkiem, porżniętym śladami powrozu. W niedzielę przyniósł jej złotych czterdzieści pięć. Tyle uzbierali koledzy. Po zapłaceniu reszty za pogrzeb starczy do końca miesiąca.

Stał ze zmoczoną czapką w ręku. Chciał coś powiedzieć, a Łucja chciała, żeby już poszedł.

— Zostawił was nie w porę — rzekł.

— A kiedy zostawia się w porę? — odparła.

Po jego wyjściu siedziała wyprostowana, z rękami skrzyżowanymi na piersiach. Przeliczyła pieniądze. Deszcz ustał, zmierzchało się. Z podwórka dochodziły wojenne okrzyki jej synów. Nazajutrz kupiła drzewo i chleb. Przydźwigała je do domu, chłopcy grali w guziki na podłodze, sprzeczając się szeptem. Zaczął się nowy dzień.

„Ja, Łucja Król, piszę list do Pana Prezydenta, żeby mi dopomógł w ciężkim położeniu. Wdowa z czworgiem dzieci, szukająca pracy, zamieszkuję w suterynie przy ulicy Grzybowskiej, która jest norą wilgotną. Pleśnieje w niej chleb. Do fabryki nie chcą mnie przyjąć, nie ma miejsc. Już trzeci miesiąc, jak urodziłam czwartego syna, chodzę na posługi, sprzątać i prać. Sama czworga dzieci utrzymać nie mogę. Piszę do Pana Prezydenta jak do Ojca Chrzestnego, żeby mi znalazł stałą pracę. Dzieci chcę wychować na uczciwych ludzi dla Polski.

Na adres Zamek w Warszawie — Król Łucja z ulicy Grzybowskiej, nie zatrudniona wdowa."

— Nie wiem, czy przyjdzie odpowiedź — mówił Wiktor Lewen.

Mieszkał na Granicznej, w spisie lokatorów figurował jako doktor praw. Gdy przyszła pierwszy raz po bieliznę, spieszył się do sądu. — Czterech synów? — powtórzył ze zdziwieniem. Spojrzał na nią. Miał brzydką twarz, ale oczy pod szerokim czołem udzielały jej światła. Łucja stała w progu. Czarna chustka zsunęła się jej z ramion. Ile policzyć za sztukę bielizny? Zaraz się o to spyta — myślała. — „Boże, pomóż mi."

Zapytał, czy od dawna mąż pił. Zaczerwieniła się. Od niedawna. Po redukcji w warsztatach kolejowych został pakierem na dniówkę, od tego czasu pił. Przeczuwała, że grozi mu coś złego.

— Nie pił ze szczęścia — powiedział Lewen. Chodził po pokoju, z papierosem zgryzionym w kącie ust, pozostawiając w powietrzu mgliste znaki dymu. „Spóźni się do sądu" — niepokoiła się Łucja. Kto jest sekretarzem Związku? Nie, nie zwróciła się jeszcze o zasiłek. Ludzie radzili jej pójść do posła Buchnera. Ale poseł Buchner nie znał męża.

— Buchner?... — zastanowił się szukając teczki.

— Pan doktor go zna? — szepnęła.

— Nie. Ale może poznam — uśmiechnął się Lewen. — Mamy wspólnych znajomych. Proszę nie tracić nadziei, Łucjo. Będę o tym pamiętał.

— Spakuję bieliznę — powiedziała.

Na schodach zatrzymał ją i spytał, czyby od jutra nie mogła u niego sprzątać. Zgodziła się. W ten sposób rozpoczęła się ich wspólna sprawa. Nie śpieszył się do sądu, lecz na ulicę Żabią. Tytułowano go „panem doktorem", nie był jednak lekarzem; pracował w kancelarii adwokata Steckiego, obrońcy więźniów politycznych. Stecki i jego córka, Marta, to nieco inny adres: ulica Królewska. Natomiast na Żabiej, w długiej i wąskiej cukierni, Wiktor Lewen spotykał się z Grzegorzem: masywna, pochylona głowa i oczy o ciężkim połysku spod nasuniętych powiek; mówi szeptem, patrząc w marmurowy blat stolika. Lewen słucha wiadomości o sytuacji politycznej i bieżących zadaniach. Sądzi, że jego stulecie odda człowiekowi, co ludzkie: ziemię, maszyny i wolność; z zalet najwyżej stawia wierność i odwagę, nie upokarza słabszych. Z polecenia partii wszedł w skład redakcji nielegalnego tygodnika *„Wola Ludu"*. Człowiek siedzący naprzeciw niego przyjechał niedawno z Kraju Rad. Milionowy traktor, zboże socjalistycznej Ukrainy. Wiadomości o towarzyszach niemieckich. Masówka u „Lilpopa", strajk protestacyjny w związku z procesem „szesnastki" z KPZU.

— Myślicie o czym innym? — pyta Grzegorz. Lewen czuje na sobie jego pilny wzrok.

— Słucham was. — Ale nie potrafi odsunąć wspomnienia tej kobiety. Przyrzekł jej pomóc. Jak mu na imię? Jerzy. Jerzy Buchner.

— Znacie może Buchnera ze Związków Zawodowych?

Kelner wydał resztę i odszedł.

— Chodzi wam o kontakt?

— Tak.

Grzegorz spogląda w pęknięty marmur stolika. Lewen odczuwa skrępowanie przedłużającą się ciszą. Ten człowiek zawsze go onieśmiela. Słowa i nazwiska sztywniały w jego obecności, unieruchamiał je swoim milczeniem. Oschły, nieznaczny szept:

— Od dawna szukacie kontaktu z Buchnerem?

— Nie — odparł Lewen. — Sprawa pewnej kobiety. Warto by jej pomóc. Buchner...

Umilkł. Śmieszne, że ciągle wymienia to nazwisko. Buchner. Pamiętał czyjąś przychylną opinię o jego artykule. Rok albo dwa lata temu. Ale teraz — czy wie, o kim mówi?

— Mówiliście o jakiejś kobiecie — odezwał się Grzegorz. — Partyjna?

— To zupełny przypadek — tłumaczy Lewen. — Chodzi o rentę czy zasiłek. Osobista sprawa.

Chciał znowu wspomnieć o Buchnerze, ale przerwał. Wykruszył tytoń ze zgniecionego ogarka. Liczyła na jego pomoc. Stała przed nim, a on wykonał mały gest litości.

— Takich kontaktów nie mogę wam zapewnić — kończy półgłosem Grzegorz. Dokładnie zapiął płaszcz. — Powinniście uważać na stosunki z ludźmi. To wasz partyjny obowiązek.

Wstał. Lewen siedział jeszcze; pożegnał go jak zwykle, swobodnie i dość głośno: — Czołem, majorze. — Nie zdążył już spotkać jego spojrzenia i pomyślał, że zaszła tu jakaś niepotrzebna rzecz. Czuł w ustach gorycz po papierosie. „To absurd — żachnął się w duchu. — Obiecałem jej pomóc. Jego racja w stosunku do mnie nie jest wystarczająca wobec niej. Cóż by jej pozostało? Czekać na odpowiedź z Zamku?"

Pozostał jeszcze tragarz. Tragarza rozgniata jego ciężar: to niski olbrzym wpisany w kulę. Wiosną oświadczył się Łucji. Chłopcy już spali, na podwórzu szczury szeleściły w śmieciach. Cyga patrzył spode łba na jej pełne, białe ramię. Pochylona nad balią, odgarniała z czoła ciemne, skręcone włosy. Kiedy mu odmówiła, nie przestał przychodzić i w sobotę przyniósł Klemensowi różowy cukierek na patyku. — Lizak — powiedział Klemens. Cyga wyjął ćwiartkę. Tego dnia miał przeprowadzkę z Grójeckiej na Mokotów. Łucja słuchała o ciężkich szafach i kredensach, które dźwigał, owiązany grubym konopnym powrozem. Odsłonił rękaw koszuli i pokazał nabrzmiałe góry swoich mięśni. Łucji mąciło się w głowie od wódki. „Nie wyjdę za niego — myślała — będzie pił i robił mi dzieci." Ale pewnego dnia pojechali na majówkę za Piaseczno i tam mu uległa. Kiedy wieczorem wracali kolejką, zdawało jej się, że zza szyby patrzy na nią Wiktor Lewen. „O czym on myśli?" — dziwi się Łucja. Obiecał napisać list do posła Buchnera — sam, nie musiała go prosić. Zabronił jej dziękować. Powiedział: — Nic mnie to nie kosztuje. — Cyga śpi z otwartymi ustami, oparty głową o jej ramię. Przypomniała sobie, że zalega z komornem 27 złotych. Upłynął już rok od czasu, gdy wysłała list do Prezydenta. Administrator ostrzega przed eksmisją.

— Więc co mam robić? — pyta Łucja nie spuszczając z niego brązowoszarych oczu. — Iść z dziećmi na bruk?

— Pani by mogła znacznie lepiej zarabiać — twierdzi administrator. Niech się pani rozejrzy. Na przykład panna Majewska z oficyny. Płaci co miesiąc jak w zegarku.

— Nie — zaśmiała się Łucja — ja nie panna Majewska. Zarabiam rękami, nie czym innym.

— A za to inne lepiej płacą — rzekł administrator, sięgając po melonik.

I dodał, że jeden z jego przyjaciół interesuje się Łucją. Podobno wybiera się z wizytą.

Wybrał się w trzy dni później, ale nie zastał jej w domu. Roman i Zenon mówili, że czekał pół godziny. Podobno z nimi rozmawiał. Co mu powiedzieli? Bliźniacy pokręcili głowami, że nic. Łucja przyjrzała im się bystro: solidni, krótkonodzy, mrukliwi, zawsze jej byli trochę obcy. Czasem ogarniał ją gniew. Nie tak dawno karmiła ich piersią, ludzie mówili o nich: synowie Łucji, a teraz, w zeszłym tygodniu, usłyszała przechodząc podwórzem, jak chłopak z sąsiedniej ulicy powiedział do drugiego: — To matka Królów z suteryny. — Poczuła wtedy zarazem dumę i złość. Dam ja wam matkę Królów — pomyślała z furią. Lecz znajomy administratora nie miał dla nich słów.

— A po co pan tu przyszedł? — mruknęła Łucja.

Zawahał się i odparł, że to trudno wytłumaczyć w dwóch słowach.

— Pani pali? — Nauczyła się palić papierosy, którymi częstował ją Cyga, ale teraz odmówiła.

— Jagosz — rzekł unosząc się z lekka. — Mam syna w tym samym wieku, co pani chłopcy. Przyszedłem porozmawiać.

— Porozmawiać — odparła Łucja — panowie chodzą do oficyny. Na pierwsze piętro.

Wypuszczał dym z miękkiego nosa, znowu namyślając się nad czymś.

— Ja wiem — powiedział — tam mieszka panna Majewska. Ale ja nie w tej sprawie.

— A w jakiej? — spytała zaciekawiona.

Rysował coś paznokciem na krawędzi stołu.

— Pisała pani prośbę do Pana Prezydenta? Jaka przyszła odpowiedź?

— To już tak dawno — westchnęła. — Nie było żadnej odpowiedzi. Pewnie podanie nie doszło.

— Doszło — powiedział Jagosz. — Ja je nawet czytałem.

Łucja patrzy na niego szeroko otwartymi oczami.

— Przypadkiem — skrzywił się z lekka. — Takie prośby kancelaria Prezydenta bardzo rzadko załatwia. Przy okazji chciałem właśnie o tym. Pani jest ciężko. Moglibyśmy pomóc.

— Kto? — zdumiała się Łucja.

Wykonał nieokreślony gest.

— Pan administrator mnie zna. Niektóre instytucje wypłacają zasiłki, pani wie. Przy dobrych chęciach...

Zamyślił się i przesunął dłonią po oczach. Był znowu sympatyczny i Łucji wydało się, że go od dawna zna.

— Pan pracuje... na poczcie? — zapytała. Była pewna, że w urzędzie pocztowym przy okienku z drukami pracuje ktoś podobny.

— Coś w tym rodzaju — wyjaśnił. — Właściwie jestem prawnikiem. Tak jak, przypuśćmy, doktor Lewen. Pani ma u niego zajęcie? To wykształcony człowiek. Słyszałem, że uczy pani synka. Dotychczas nie miałem okazji go poznać. Chwileczkę. Może pani usiądzie?

Po jego wyjściu prędko zebrała myśli. Chłopcy wpadli wołając, że wsiadł na rogu w dorożkę. Zarzuciła chustkę, podniosła ręce do włosów i wybiegła.

Dotychczas nie przychodziła o tej porze, ale dzisiaj przyjdzie. Wiosenny zmierzch napełnił łuną ulicę, dzień się dopalał nad dachami, opowie mu wszystko. Ostrzeże go: to policja, z policją lepiej nie zadzierać. Chcą zrewidować mieszkanie, ona przyrzekła ich wpuścić, ale przedtem trzeba usunąć to, co niepotrzebne.

Powiedziała „niepotrzebne", bojąc się użyć innego określenia, aby nikogo nie obrazić. Tak, pytał, kto tu przychodzi, i za wiadomość obiecał pieniądze. Wysoki, w czarnym palcie, nazywa się Jagosz. Trzeba zaraz wyjechać, zejść z oczu, może zapomną. Mówiła to po cichu, wodząc za nim wzrokiem, gdy chodził od okna do drzwi.

Zatrzymał się za jej plecami. Siedziała na brzegu krzesła, nadsłuchując jego słów.

Powiedział: — O mnie można się nie troszczyć. — Ale niepokoił się o nią, o Łucję. Mogły ją spotkać przykrości. Uśmiechnął się: — Z policją lepiej nie zadzierać, to prawda.

Łucja słuchała bez ruchu. Kiedy przerwał i znów przystanął koło niej, nagle podniosła głowę. Ujrzał jej ciemne brwi blisko swoich ust.

— Jagosz — rzekła zwolna — zatańczy, jak ja zagram. A pana o to głowa nie zaboli.

„Co ona o mnie myśli?" — Zmieszał się, zaskoczony jej słowami. Nigdy dotąd nie słyszał, aby tak mówiła. Nie spytała go nawet, czy napisał list do Buchnera i czy przyszła odpowiedź. Chciał się cofnąć, ale zobaczył jej usta i pochylił się nad nią.

— Czy to coś bardzo złego? — szepnęła przymykając oczy.

„...W tym celu dnia 26 bm. przeprowadzono rozmowę z niejaką Łucją Król, zatrudnioną u podejrzanego. Król zgodziła się ułatwić dokonanie rewizji w mieszkaniu przy ul. Granicznej. Rewizja została dokonana w dniu 28 bm. Książki, jako też papiery i korespondencję dokładnie przejrzano. Znaleziono tom K. Marksa w języku niemieckim. Innych dowodów wywrotowej działalności brak. Wspomniana Król, gdy jej pokazano fotografię „Grzegorza" (Wierchy), stwierdziła, iż nikt taki u podejrzanego nie bywał. Poszukiwania za Wierchą trwają. Cukiernię „Wiedeńską" przy ul. Żabiej wzięto pod obserwację. Pożądana instrukcja co do dalszych kroków. Raport złożył Jagosz Kazimierz, podkomisarz służby śledczej."

Pożądane instrukcje zapewne nadeszły. Wiktor Lewen mógł się o tym przekonać po powrocie z Łucka, z procesu „szesnastu". W Warszawie oczekiwał go znajomy łącznik. Z dworca poszli pieszo na Wolę. Łącznik miał obstrzępione spodnie i milczał przez całą drogę. Skręcili w Chłodną. Wysoki dom, przejście przez dwa podwórza, inny dom, trzecie piętro, drzwi z tabliczką dentysty, wąski, mroczny pokój z jednym oknem.

Pytali go o Buchnera.

Grzegorz informował nas o waszych próbach nawiązania kontaktu z Buchnerem. Narażaliście partię dla własnych interesów. Grzegorza wzięli dziś rano. Znacie cukiernię „Wiedeńską". Aresztowano go przed wejściem do „Wiedeńskiej".

Zza ściany słychać świdrujący warkot i szczęk metalowych narzędzi. Stół z zieloną, pluszową serwetą.

Lewen mówi spokojnie:

— Wiecie, że nie było mnie kilka dni. Zawiadomiłem was, że jestem śledzony. Wracam, wzywacie mnie. I pierwszą sprawą, o której się dowiaduję, jest jakiś Buchner. Nie znam go. Nigdy go nie widziałem. Nie rozumiem, o co właściwie chodzi.

Czuje bladość tego, co powiedział. Drażni go to. Dlaczego tu nie ma Lucjana Gorwicza?

Więc zaprzeczacie słowom Grzegorza. Czy zaprzeczycie także swoim własnym: o taktyce WKP(b) w okresie kolektywizacji? Pamiętacie, że w tej sprawie dzieliła was różnica zdań z towarzyszami na kursie agitatorów.

— Słowa Grzegorza — powtarza Lewen. — Wasze słowa i moje słowa. Nie mamy gotowych wszystkich myśli, szukamy ich za pomocą słów. Docieramy do ludzi za pomocą słów. Kto z nas wypowiedział choć raz w życiu słowa, których nie można by zwrócić przeciw niemu?

Nie spotka teraz niczyjego spojrzenia. Nie ufają mu, nigdy nie są pewni, komu należy ufać.

Stukanie do drzwi. — To nie do nas — powiedział ktoś szeptem.

„Kiedyś zastukają do naszych drzwi — myśli Lewen. — I to nas łączy." Przypomniał mu się spieniony, wartki szmer wody. Obóz akademicki w Skawinie. Głos Gorwicza zagłuszany w ciemności przez szum potoku. Lewen obejmował dłońmi zgorączkowaną głowę. — Gorwicz, dziękuję ci — szeptał — zdaje mi się, że teraz wszystko widzę jasno. — Tej nocy bez gwiazd nauczył się patrzeć. Przymykał oczy i widział: swoje życie, życie swojej matki i wszystko, czego powinien dokonać. Każdy z tych ludzi, nie tylko on, przeżył kiedyś podobną noc. I to ich także łączyło.

Z zebrania wyszedł sam. Postanowił przemyśleć zarzuty. Czy pytając o Buchnera nie szukał kontaktu z wrogiem i czy nie chciał utwierdzić się w swoich wątpliwościach na temat taktyki rewolucji w przełomowym okresie. Jeżeli się mylił, powinien złożyć wyjaśnienie. Ale Buchner? Buchner to czysty absurd, dlaczego wlecze się za nim to nazwisko?

Nieznana dzielnica. Przystanął, ogląda swoje odbicie w witrynie modystki; podwójne lustro — dwie twarze o czarnych, zmęczonych oczach. Pomyślał: „Jednego z nas będą sądzić". Chciał przespać tę noc u siebie.

Kwadrans później chłopcy z podwórka widzieli, jak wchodził do domu. Zanim nadejdzie zmierzch, powiedzą o tym chłopcom z Grzybowskiej.

Wieczorem Roman i Zenon szeptali pod otwartym oknem. Klemens już spał. Łucja zanurzyła pogrzebacz w rozżarzonych węglach, schwyciła zagiętym końcem duszę, sypnęły się iskry. Szybko wsunęła duszę do żelazka i potrząsnęła nim trzykrotnie. Była na wpół rozebrana, różowa od żaru paleniska. Poślinionym palcem dotknęła spodu żelazka, syknęło, nabrała wody do ust. Chłopcy lubili patrzeć, jak prasuje bieliznę. — Mamo... — obudził się Klemens. Kiedy słyszała, że Klemens ją wzywa, zawsze biło jej serce. — Mamo — powiedział jej do ucha — chłopcy z Granicznej mówili, że wrócił doktor Lewen.

Wbiegła po schodach bez tchu. Otworzył dozorca w czapce i cofnął się o krok. — Proszę wejść — rozległ się znajomy głos. Przy biurku nad wy-

jętą szufladą siedział Jagosz. Wkładał jakieś papiery do teczki i na widok Łucji skinął głową. Na środku pokoju stał Wiktor Lewen w płaszczu narzuconym na koszulę. Na podłodze walały się książki. — Dobry wieczór, Łucjo — powitał ją spokojnie.

Kiedy był już ubrany, a Jagosz stał w kapeluszu i z teczką, przez chwilę zrobiło się cicho. Obydwaj patrzyli na nią. Krzyknęła: — Panie doktorze! — Jagosz usunął się bez słowa i czekał przy drzwiach. — To nie ja — szepnęła Łucja składając ręce — to nie ja...

— Proszę nie płakać — powiedział Lewen — aresztowano mnie bezprawnie. Ten pan wbił sobie do głowy, żebym z nim pojechał na Daniłłowiczowską.

— Niestety, proszę państwa — rzekł Jagosz od drzwi — mam nakaz zatrzymania. Nie potrafimy unikać podobnych przykrości.

2

Od dnia, gdy Jagosz z Wiktorem Lewenem odjechali dorożką sprzed domu na Granicznej, straciła pranie w kilku miejscach. Zima w tym roku miała być mroźna, wcześnie zaopatrywano się w węgiel. Cyga przychodził coraz rzadziej. Nie ogolony, ponury, zasypiał przy stole nad opróżnioną ćwiartką.

W Związku, gdy przyszła zapytać o posła Buchnera, urzędniczka spojrzała na nią ze zdziwieniem. — Poseł Buchner już tu nie przychodzi. Proszę pójść do redakcji na Warecką. — Czy nie zostawił odpowiedzi w jej sprawie? Proszę podać nazwisko. Król Łucja? Nie, nie ma takiej sprawy.

— Sprawa się wyjaśni — pocieszał ją Jagosz w pokoju na Daniłłowiczowskiej — śledztwo nie zostało zakończone. — Czekała tydzień, potem przyszła znowu. Ze ściany patrzyli na nią Prezydent i Marszałek. Jagosz przyjął od niej paczkę z bielizną i przyrzekł, że Lewen ją otrzyma. Odpowiedź nie nadeszła, a po kilku tygodniach Łucja musiała oddać dozorcy klucz od mieszkania na Granicznej. Wtedy po raz pierwszy przesiedziała wieczór bezczynnie, zapatrzona w kąt izby.

Tak zastał ją administrator. Nic nie powiedział o komornem. Wspomniał tylko o pannie Majewskiej. Od panny Majewskiej odeszła służąca i administrator namawiał, żeby Łucja skorzystała z okazji. Nazajutrz poszła więc do oficyny na pierwsze piętro i zgodziła się. Miała odtąd zajęcie i nie mogła już opuszczać rąk.

Gdy znowu poszła do Jagosza, przyjął ją w tym samym słonecznym pokoju biurowym. Z wartowni dobiegały rozmowy policjantów. Poczęstował ją papierosem, zapalił i spytał, czy nie czytała w gazetach wyroku. — Siedem lat — powiedział. — Sąd oparł się na dowodach winy.

— Gdzie on teraz jest? — westchnęła Łucja.

— Postaram się dowiedzieć — przyrzekł Jagosz. — Proszę przyjść za tydzień. Ewentualnie z listem.

To prawda — siedem lat. Lewen miał już za sobą gorączkowe dni śledztwa, pochmurny, chłodny dzień procesu i tygodnie przygnębienia: po wyroku, gdy przywieziono go tutaj, przeraził się myśli, że jego sprawa została

zakończona. Nie mógł się z tym pogodzić, że nic nie będą już od niego chcieli, nie musi nocami obmyślać odpowiedzi, jego uparta obrona i błyskawiczna przytomność umysłu zostały spokojnie wchłonięte przez ciszę brunatnych, cesarskich budynków. Ściany były głuche: na wystukiwane hasła żadnej odpowiedzi. Długie trzypiętrowe bloki o małych oknach i ciężkich drzwiach. Stracił nadzieję, żeby nawiązać łączność. Siedzieli we dwóch z młodym ślusarzem, Grajem. Trzy lata za udział w demonstracji bezrobotnych. Nic go nie obchodziło prócz kobiety, zapalającej co wieczór światło w szczytowej ścianie szarej kamienicy, która wystawała nad murem więziennym. Nogami ledwie dotykał stołka, nieruchomiał, zastygał jakby na wieki. Lewen widział ciemny zarys jego głowy. Tłumaczył mu: — Dużo jeszcze spotkasz takich kobiet. — Nie — szeptał Graj. — Gdyby pan ją widział. Już takiej drugiej nie spotkam. — „Każda — myślał Lewen — od której przedzieli cię rozpacz, będzie taką drugą."

Na nowo rozpamiętywał ubiegłe miesiące.

Cywil w binoklach, który prowadził śledztwo, czerwieniał z gniewu po jego odpowiedziach. Lecz zaraz potem uśmiechał się: — Co z pana za człowiek, chciałbym panu pomóc. — Chce mi pan pomóc? — szydził Lewen — nic prostszego: proszę podpisać nakaz zwolnienia, zachowam pana w pamięci.

Wracał do celi z nadzieją, że otrzyma jakiś znak od partii. Przyszła tylko paczka. Bez słowa. Widocznie były trudności. W paczce znalazł własną bieliznę. Zastanawiał się: jak ją zdobyli? Przez adwokata? W czasie widzenia zapytał go o to. — Nie — zdziwił się adwokat — nic o tym nie wiem. — Wreszcie, po wyroku, druga paczka. Tym razem z MOPR-u. Nadeszła w przeddzień wywiezienia. W pociągu strażnik dał mu do przeczytania numer *„Polski Zbrojnej"*. Na pierwszej stronie widniał tłusty nagłówek: „Oczyścić kraj z miazmatów Wschodu! — powiedział poseł Buchner w Sejmie".

Lewen wpatrywał się w czarne litery nazwiska. Ten człowiek ożył, zadziałał. W porę go przed nim ostrzegli. List, który do niego napisał w sprawie Łucji Król, zaczynał się od słów: „Szanowny Towarzyszu Buchner". Konszachty ze zdrajcą. Na szczęście podarł go, nie wysłał. Teraz pomyślał z ulgą: „Nie mogłem inaczej postąpić, partia miała słuszność".

Zmiął gazetę i położył ją obok drzemiącego strażnika. Pociąg wlókł się w ciemności. Lewen przypomniał sobie brązowoszare, poważne oczy Łucji. O nic go nie spytała, do końca. Dlaczego jej nie powiedział, że podarł list do Buchnera? Mógł łatwo to wytłumaczyć, we wszystko by uwierzyła. Nie chciał jej odbierać nadziei, którą sam obudził. Potem zaczął uczyć Klemensa. Klemens patrzył na niego ufnymi oczyma swojej matki. — Ma charakter — twierdził Lewen — w przyszłym roku będzie mógł zdawać do gimnazjum. — Adwokat Stecki był w radzie opiekuńczej, wystarczyłoby jego poparcie, żeby syna Łucji zwolniono z opłat szkolnych. Po aresztowaniu Lewen często wspominał lekcje z Klemensem. Co mały z nich zapamięta? Niepokoił się, że wszedł w cudze życie, poruszył czyjeś nadzieje i zniknął. Kiedy kazano mu wysiąść z pociągu, na małej stacyjce było trochę ludzi. Wskazywali go sobie, jak szedł konwojowany przez strażnika. Czekał na jakieś słowa, spodziewał się życzliwego gestu, pozdrowienia. Usłyszał szepty: — Wywrotowiec... — i spotkał wzrok, jakim chłopi patrzą na Cyganów.

W październiku do celi wprowadzono nowego więźnia. Błysk latarki oświetlił jego twarz i Lewen poznał Grzegorza.

„... Przesyłam ukłony — pisała Łucja — i dziękuję za list. Już trzy lata, jak Pana nie ma. Wczoraj Klemens znowu się pytał, kiedy wróci Pan Doktor Lewen. Życie jest teraz ciężkie. Na wiosnę Roman i Zenon pójdą do ślusarskiego warsztatu. Staś już nie gorączkuje. Cyga, tragarz, od dawna nie przychodzi. Podobno stracił pracę i wstydzi się pokazać..."

Przeciągnęła stalówką po włosach i przygryzając wargę dopisała jeszcze takie słowa:

„Nie wiem, czy się kiedy znowu zobaczymy. Ale ja będę Pana zawsze pamiętać. I nigdy nie uwierzę, żeby Pan zrobił coś złego. Chyba że przez pomyłkę. Łucja Król."

Ten list nie może dotrzeć tam, gdzie Lewen się teraz znajduje: na dno rzeki, prześwietlonej lśniącym, rozgrzanym światłem; można nim oddychać. W tej chwili nad Lewenem przepływa spalony dom ż zerwanymi schodami. Suną brunatne kawały ziemi, przylepione do fundamentów. Jeśli potrącą jego pierś albo głowę, to koniec. Lewen wie o tym i cały, plecami i czaszką, wciska się w dno. Nagle jednak staje się rzecz dziwna, bo dom przepływając zagarnia go ze sobą i łatwo wsysa do środka. Lewen spoczywa teraz na zerwanych schodach i jakiś człowiek, rozcieńczony i niezupełnie widzialny, podchodzi doń ze szpadą w ręku. — Komunista? — słychać grzmiące echo jego głosu. Lewen chce zawołać, kim jest, ale w tej samej chwili czuje bolesne ukłucie i natychmiastową ulgę. Jakiś głos zupełnie blisko odpowiada za niego: — Komunista, nazywa się Lewen. Nie wie jeszcze, że Komintern rozwiązał jego partię. — Buchner! — krzyczy Lewen. Rzeka, dom, zwęglone schody i szpada, wszystko to gdzieś się podziało, widać teraz tylko nachyloną twarz Buchnera o niewyraźnych, zatroskanych oczach: — Obowiązuje cisza. Proszę się uspokoić.

Nie dowiedział się, co to było. Tylko maligna? Po tyfusie wstał wychudły i chodził na chwiejnych nogach. W szpitalu więziennym nie było nikogo ze swoich. Przeglądał ukradkiem stare numery gazet, ale nic w nich nie znalazł. Obok niego leżał Białorus, dezerter. Lewen próbował z nim rozmawiać. Białorus uśmiechał się jak dziecko i na wszystko zgodnie kiwał głową. Lewen milkł i wbijał oczy w sufit: tego pytania nie mógł zadać. Za chwilę wejdzie lekarz z twarzą prowokatora. Czy to on wtedy nachylił się nad nim? Lewen usiłuje odtworzyć sobie wszystko po kolei: ciepły, świetlisty szum rzeki, zdruzgotane schody, kłujący blask ostrza. I krzyk, który wydał, gdy wbito mu te słowa w serce. Nie, to nie mogła być prawda.

Wspominał postępowanie Grzegorza w celi. Nie ma godziny bez określonych zadań. — Rozumujecie jak mieszczański filantrop. Nie zaufaliście partii. Partia narzuca masowy typ walki, a wy chcecie uprawiać sentymentalny indywidualizm. Nie uświadamiacie sobie jasno zadań komunisty. Twierdzicie, że z Buchnerem nic was nie łączyło? W danym praktycznym wypadku. Ale obiektywnie szliście w jego kierunku. Dlatego zawiadomiłem o tym partię. Potrzebna wam była pomoc towarzyszy.

Śniade, zarośnięte piersi Grzegorza w czasie porannej gimnastyki. Należy zachować sprawność mięśni. Narzucić organizmowi własny regulamin — wbrew regule zamknięcia. — Musicie to osiągnąć — twierdził Grzegorz. Ćwiczenia ze stołkiem. Graj patrzył spod ściany. Bał się ciężkich, palących spojrzeń Grzegorza i przestał mówić o kobiecie z okna. Grzegorz ustalał program dnia: wykład z historii ruchu, zagadnienia kolektywizacji, najnowsze odkrycia biologii sowieckiej. Po tygodniu miał już wiadomości o towarzyszach z innych cel. Komuna więzienna przysłała instrukcje. Lewen słucha, zadaje pytania, dyskusja. Potem przerwa: dziesięć minut milczenia. Teraz Wiktor Lewen rozpoczyna swój wykład: rozwój ustawodawstwa w ZSRR. Czuł nieustanną, zawsze obecną wolę Grzegorza. Nawet w ciemności widzi jego twarz, surowo sklepioną, zamkniętą szerokimi brwiami. Sześcienny świat, w którym żyli, został poddany wyznaczonym prawidłom. Świat poza murami nie starał się temu przeszkodzić, nic nie zakłóca ustalonego porządku dnia, zawsze należy ogarniać wielki plan całości. Miliony robotników i chłopów poruszą z posad kulę ziemską, myśl zjednoczy się z materią. Tak powstanie wolność. Należy ją budować od razu, gdziekolwiek jesteś. Tutaj, w celi, stworzyliśmy ją. Nic nie przeszkodzi naszej myśli, której podporządkowaliśmy najtrudniejsze: siebie. Z chwilą gdy to zostało dokonane, reszta polega na metodzie. Nie znamy rozszczepień między metodą i celem. Przychodzimy, by narzucić światu naszą myśl i dokonujemy tego narzucając światu naszą myśl. Metoda jest naszym celem, cel jest naszą metodą. Stosuj ją, gdziekolwiek się znajdziesz.

Dzień powrotu ze szpitala. Nie mógł powstrzymać drżenia kolan, gdy strażnik obracał klucz w zamku. Jak długo się nie widzieli? Strażnik pchnął drzwi ramieniem.

W celi siedział mały, rudy chłopak. Nie było Grzegorza ani Graja. Lewen usłyszał za sobą łoskot zatrzaśniętych drzwi. — Gdzie oni są? — zapytał. — Kto? — mruknął chłopak. Lewen poczuł chłód w skroniach. Rzucił się do drzwi. Usłyszał dalekie, cichnące kroki strażnika. Długo walił pięściami, potem wrócił na siennik. Chłopak przypatrywał mu się wystraszonym wzrokiem.

Do wieczora nie zamienili słowa. Chłopak bał się poruszyć. O zmroku poszedł do kibla.

— Co ci jest? — spytał Lewen. Chłopak wzdychał, skulony na kiblu.

— Nic — szepnął — to kiszki.

— Źle trawisz — powiedział Lewen. — Z każdym tak na początku. Za co cię wzięli?

Kazetemowiec, Saul Piński. W Łodzi podczas strajku tramwajarzy przyłapali go na Chojnach. Ojciec zachorował ze zmartwienia. Nie było pieniędzy na kaucję.

— Nie trzeba o tym myśleć — poradził Lewen. Chłopak poruszył się na kiblu.

Tu można żyć — mówi Lewen. — Dostałeś paczkę z MOPR-u? Widzisz. Towarzysze wiedzą o tobie.

Chłopak nie odpowiedział. Znowu westchnął, jakby oglądał gwiazdy w sierpniową noc.

— Od jutra będziemy pracować — zapowiada Lewen w ciemności. — Trzeba ustalić zadania na najbliższy okres. Gimnastykujesz się? To koniecz-

ne. Od jutra zaczniemy. Czytałeś *Państwo i rewolucję*? Trzeba to znać dokładnie. Musisz stąd wyjść przygotowany, partia na ciebie czeka.

Nagle usłyszał słowa tego chłopca. Mocniej wparł się w ścianę, jak wówczas w dno rzeki, kiedy przepływał nad nim czarny spalony dom.

Po chwili odpowiedział:

— Nie mów głupstw. Partia zawsze istnieje. Taktyka rewolucji wymaga różnych decyzji. Dla ciebie i dla mnie partia nie przestała istnieć. Rozumiesz?

Mówił dalej. Chłopak potakiwał wzdychając. Lewen czuje coraz mocniej potrzebę swoich słów. Padają w ciemności, przeznaczone dla nich obydwóch. I jeszcze dla kogoś lub czegoś, o czym Lewen wie, że jest tu obecne. Znowu przypomina mu się miękki, rozdrgany szmer rzeki, zwęglone schody, na których leżał przebity bólem, że nie zdąży zawołać, kim jest i za co ginie.

Gdy miał już zasnąć, dosłyszał, że chłopak ukradkiem zlazł z siennika. Skrzypnięcie drewnianego stołka, potem ostrożna cisza. Był już wysoko, wspięty na palcach przy oknie, i wciskał w kraty swój chudy, ostrzyżony łebek. W szczytowej ścianie za murem paliło się światło.

— Zejdź — powiedział Lewen. — Nie wolno.

— Dlaczego? — jęknął chłopak. — Nikt nie zobaczy.

— Nie wolno — powtórzył Lewen. — Zejdź.

## 3

Klemens od dwóch lat chodził do szkoły powszechnej na Bagno. Przyjęli go w połowie roku, był ciepły marcowy dzień. Za Klemensem pofrunęło stadko gołębi. Przystanął i obejrzał się. Na ulicę padało słońce. — Do widzenia, mamo — pokiwał jej ręką. Łucja stała w progu bramy. Zaciągała chustkę na piersiach. Gołębie znały Klemensa. Zaledwie uszedł parę kroków, znowu poderwały się z ziemi, łopocąc skrzydłami koło jego głowy. — Wróć już, mamo! — zawołał Klemens. Tłusty, szary gołąb usiadł mu na ramieniu. Łucja przylgnęła do framugi bramy. Miękki, łagodny wiatr odgarniał jej włosy. Teraz Klemens nie mógł już jej widzieć. Szedł dużymi krokami, skarpetka z lewej nogi opadła mu na trzewik. Przed narożnym domem pozdrowi grubą stróżkę, która rozmawia z dorożkarzem. Jeszcze raz przystanął, żeby poprawić skarpetkę. Łucja mocniej przycisnęła się do kamiennej framugi.

Odtąd więcej czasu spędzała sama. Roman i Zenon jedli obiad w warsztacie, wracali wieczorem. Kręcąc się koło kuchni widziała przez okno Stasia, który bawił się z chłopcami na podwórku. Do suteryny wchodziło ciepłe powietrze, pręga słoneczna muskała krawędź stołu.

Co czwartą niedzielę jeździła na Bródno. Klęczała chwilę, szeptała: — Synów twoich wychowuję ci, Staszku, dlaczego umarłeś? Żyjemy w ciężkiej biedzie. — Kolana ją bolały i wspominała jego czarny garnitur, w którym leżał. Był taki dzień zeszłej jesieni, gdy żałowała tego garnituru. Zbiła wtedy Zenona do krwi, bo nie było pieniędzy na chleb. Na cmentarzu pachniało jedliną, stare kobiety dreptały po alejkach, mamrocząc i żując zeschłe skórki, w trawie świeciła rozbita butelka. Podnosiła się z kolan, słońce piekło w plecy, i szła ku bramie cmentarnej. Za bramą szła coraz prędzej i przy-

biegała zgrzana na Grzybowską. Po drodze spotykała wzrok ludzki, dociekliwy i obojętny. Patrzyli na nią myśląc: to matka Królów, co straciła męża pod tramwajem i puszcza się u Majewskiej. Kobiety liczyły jej lata, których nie ujmowała sobie: trzydzieści sześć.

Panna Majewska płaci w poniedziałki, raz więcej, drugi raz mniej. W niedzielę przyjmuje stałych gości, bywa u niej major z Dęblina i pewien naczelnik wydziału, który lubi Łucję. Czasem zostaje parę osób i trwa zabawa do świtu. Nad ranem, już po wszystkim, robi się ciszej i chłodniej. Staś jęczy przez sen. Roman i Zenon zaraz będą wstawać. Wtedy Łucję ogarniał lęk: bała się swego życia, jego ciemnych krawędzi. Za chwilę już dzień. Łucja zrywa się, szuka spódnicy, bosymi nogami przebiega izbę, rozpala ogień na kuchni. Jest śpiąca, przymyka oczy, zaplata warkocz. O świcie nawiedził ją zły, krótki sen, czuje go jeszcze w osłabłych, ciepłych udach. Jest pełna gniewu na swoją nikłą siłę ludzką, zawsze gotową do upadku. Zmarszczyła brwi podobnie jak Klemens. Dłońmi uniesionymi ku zwiniętym włosom wpina w nie czarny grzebień, który dostała od znajomego panny Majewskiej.

Nazajutrz szła do kościoła Wszystkich Świętych pomodlić się przed głównym ołtarzem.

W czerwcu otrzymała list:

„... W związku z jego trudnym położeniem uważam to za swój obowiązek. Zechce Pani łaskawie odwiedzić mnie w niedzielę, ulica Królewska 27a, w godzinach 16—17. Łączę wyrazy szacunku. Stecki, adwokat przysięgły."

Częstował ją herbatą i ciastem, które wniosła na tacy pokojówka, i pokazywał fotografię swojej córki, Marty; ssał fajkę, szeroko przy tym otwierając oczy za szkłami w grubej oprawie.

Zachęcał Łucję, żeby opowiedziała o Klemensie. Był zdania, że sprawę należy odłożyć do przyszłego roku, na razie niech Klemens chodzi do szkoły powszechnej na Bagno. Czy długo pracowała u Wiktora Lewena? Pamiętał jeszcze jego ojca, lekarza, i mówił: — Rodzina fantastów. — Mówił cicho, jakby do trzeciej osoby, która nie była obecna. Chodził po gabinecie i skarżył się, że Lewen odrzucił jego obronę; przyjął obrońcę z urzędu.

Łucja słuchała nieuważnie. Ciasto, nadziewane czymś lepkim i chłodnym, miało waniliowy smak. Ukradkiem oblizała wargi, po cierpkiej, mocnej herbacie zrobiło jej się gorąco, zerknęła na papierosy leżące w srebrnym pudełku. Adwokat nudził ją trochę, a zarazem była ciekawa tego, co mówił o Lewenie.

Tak, pozostały mu trzy lata, ale byłoby dobrze, żeby wyszedł wcześniej; każda prowokacja z zewnątrz mogłaby się odbić na jego losie, jest więźniem politycznym. Wojna może wybuchnąć lada dzień. Oby nie doszło do momentu, gdy pozostają tylko dwa słowa: za późno.

Sprawdzał przez grube szkła wrażenie swoich słów na twarzy Łucji. Wtedy Łucja odwracała wzrok. Nie pisał już dawno, była pewna, że o niej zapomniał. Ona sama myślała o nim coraz rzadziej. Pannę Majewską wzięli do szpitala. Znowu chodziła sprzątać i prać na Twardą, na Sienną, na Pańską. W twarzy jej coś poszczuplało, tak że oczy i usta stały się smutniejsze i większe. Najczęściej teraz myślała o ludziach, od których należały jej się pie-

niądze. Płacili nieregularnie, za dzień 2 albo 3 złote. Nosiła przy sobie czarną, zniszczoną portmonetkę o wytartych okuciach, została jej po mężu. W domu, wieczorem, kiedy chłopcy już spali, wyciągała z szuflady ceratowy kajet i śliniąc koniec ołówka robiła rachunki, zapisując po lewej stronie, co ludzie byli jej winni, po prawej zaś, co od nich dostała. Tego, co ona winna była ludziom, nie zapisywała. O to zawsze się sami upomną. Od czasu do czasu, w niedzielę, jeździła z niemłodym szoferem ciężarówką za miasto. Leżeli w wiklinie nad rzeką albo w dębowym lasku za Jeziorną. Łucja zdejmowała bluzkę. Lubiła ostry zapach jego skóry, pachniał benzyną i kurzem, tak samo jak jego auto. Powiedział jej tydzień temu, że jak wybuchnie wojna, wezmą go razem z maszyną na front. I spytał, czyby za nim płakała.

Wojna? Szybko obliczyła wiek swoich czterech synów. Zapytała szofera, czy podczas wojny żołnierze w mieście także strzelają do ludzi. — Nie — odpowiedział — ale chleb będzie na kartki. — Zdziwiła się. Potem pomyślała, że i tak będzie, co ma być. Jak długo żyła, zawsze ludzie mówili o wojnie. Roman i Zenon na pewno dadzą sobie radę. Nie trzeba o wszystkim myśleć naprzód. Czasem wystarczy leżeć w słońcu obok mężczyzny, nawet jeżeli jest żonaty i ma obrączkę na palcu.

Wkrótce ogłoszono próbny alarm. Wojna nadchodziła w ciemności, czarnym papierem kazano zalepiać okna. Nie kupiła papieru. Zasłaniała okno starą, czarną chustką.

„...Ostatnie zarządzenia w zakresie obrony przeciwlotniczej spowodowały podniecenie wśród więźniów, czego następstwem jest wykryta próba ucieczki. Dzięki ostrzeżeniu, jakie otrzymały władze od lokatorki miejskiej, której okno daje widok na mur więzienny oraz część dziedzińca, przedsięwzięto w porę odpowiednie kroki. Schwytanych więźniów, z przywódcą wywrotowej jaczejki, Lewenem, odsiadującym wyrok 7-letni, doprowadzono do starych pomieszczeń fortecznych, gdzie zastosowano w celach przykładu ostre środki. W odpowiedzi na telefonogram z Dyrekcji Departamentu komunikuje się, że przekazanie wyżej wymienionego do miejsca odosobnienia w Berezie Kartuskiej byłoby utrudnione z uwagi na jego obecny stan. Straży więziennej przydziela się z dniem dzisiejszym amunicję w podwójnej ilości, spacery więźniów zawiesza się aż do odwołania...“

Pod koniec miesiąca zabrakło pieniędzy. Łucja wyciągnęła kajet i zaczęła obliczać, ile dostanie przed pierwszym. W portmonetce miała odłożoną sumę na komorne, brakowało tylko sześć i pół złotego. Zawsze bała się eksmisji; gdyby coś się stało, wojna, choroba czy głód, komorne ma być wpłacone, a kwit leżeć w szufladzie.

Jutro z samego rana polecieć na Śliską, to będzie złotych trzy; od nauczycielki z Żelaznej złotych 2 i pół. Pięć pożyczyła Majewskiej po jej powrocie ze szpitala. Nie odda. Przeliczyła pieniądze, nagryzła sczerniałą złotówkę, już nieraz ją oszukali. Zapięła portmonetkę, dokładnie przyciskając zatrzask. Z podwórza dobiegł krzyk.

— Zgasić! — wołali chłopcy. Wpadł Klemens. — Mamo — powiedział —

ona pali światło. — Ktoś wymyślał biegnąc przez podwórze. W bramie stali jacyś ludzie, o Łucję ktoś się otarł. Poczuła czyjeś ręce i zapach wódki. Wezwano komendanta bloku. — Pewno ma gościa, to kurwa, panie komendancie. — Przy oficynie błysnęła niebieska latarka. Potem wybuchł śmiech, chłopcy gwizdali, jeden z mężczyzn zaklął i powiedział: — Na komisariat. Tam się będzie ciskał! — Łucję znów potrącono, ludzie biegli popatrzeć. — Dwa paski i gwiazdka — mówił Zenon w ciemności — to major. — Na ulicy major się wyrwał i wskoczył do taksówki. Roman przyniósł do domu jego pas.

— Widzi mama? — mruknął czelnie. Wyrwała mu go z rąk, czerwona z gniewu. Roman cofnął się za stół. — Mamo — powiedział Klemens — nie bij. — Rzuciła pas na krzesło. Kazała zgasić światło i rozebrała się po ciemku. Obudził ją strach. Chłopców nie było w izbie, z podwórza dolatywał strwożony gwar. Zaczęła się prędko ubierać. I nagle serce jej ustało. Podniosła ręce do skroni, jęknęła, uklękła przy łóżku. Przerzuciła pościel, zdarła z siebie fartuch. Przypadła do stołu, wyciągnęła szufladę i jęcząc coraz głośniej zasłaniała usta wierzchem dłoni. Co teraz będzie? — Mamo — zawołał Klemens w drzwiach — już wybuchła wojna! — Weszli wszyscy czterej. Patrzyli na nią z niespokojnym, natarczywym triumfem, jak gdyby oczekując od niej czegoś, co należało im się od dawna.

Wtedy zaczęła krzyczeć. Wołała z uniesionymi pięściami, przeklinając świat, który ją ograbił. Ukradli jej portmonetkę! Zabrali jej portmonetkę! Z czego zapłaci komorne?! Szarpała włosy i bluzkę, rzucając groźby przeciwko ludziom, którzy się na nią sprzysięgli, i schwyciła ostry nóż kuchenny, by zabić synów i siebie, nim właściciel wygna ich na bruk.

W ciemności i zamieszaniu ukradli jej portmonetkę, którą miała w kieszeni fartucha, wieczorem, na podwórzu, gdy wołano, żeby zaciemniać okna. W portmonetce były pieniądze na komorne bez sześciu złotych z groszami. Ktoś zyskał w ostatnim dniu. Skradziona suma wejdzie do rozrachunków wojennych. Światu, który odchodzi, Łucja pozostała winna lat trzydzieści siedem i złotych dwadzieścia dwa.

4

W październiku było jeszcze ciepło. Dom na Grzybowskiej miał rozdarty bok. Z tej strony wyciekł z niego brunatnoróżowy gruz. Spod gruzu wywleczono pięć trupów; za wrzesień i październik nikt nie zapłacił komornego. Szofer prowadził nadal ciężarowy wóz i namawiał Łucję na handel. Okazało się, że ma trochę gotówki. Pojechali na wieś pod Grójec. Wrócili ze słoniną, zarobkiem podzielił się z Łucją. W listopadzie kupił jej płaszcz. Był to wojskowy płaszcz, za obszerny; przepasywała się rzemieniem. Potem znowu się zmieniło. Firmę, w której pracował, przejęli Niemcy. Musiał wozić łóżka dla Wehrmachtu i jeździł pod konwojem, póki go nie rozstrzelali za kradzież opon, na samą Wigilię. W tym czasie Łucja handlowała już samodzielnie na szlaku kolejki grójeckiej. Miała stałych dostawców we wsiach Kłopot i Chmielno pod Nowym Miastem oraz zapewnione noclegi.

Po szoferze został jej bury, luźny płaszcz z długimi rękawami. Przydawał się w mrozy, zapinała go pod szyję, na głowę zaciągała czerwoną, ciasno związaną chustkę; nie było widać zgarniętych pod nią włosów. W szybie wagonu oglądała swoje odbicie: twarz o dużych ustach, szeroko osadzone oczy. Patrzyła na siebie twardym, niechętnym wzrokiem. W pociągu nazywali ją „pani żołnierz". Powoli rozjaśniało się, nie było już widać jej twarzy w szybie, tylko ziemię, zmarzłe gałęzie, szare niebo, rozbity czołg.

Towar sprzedawała w Warszawie, od ręki, i na ogół wiodło jej się lepiej niż przed wojną. Ale nie lubiła swojej nowej pracy, zwłaszcza w kolejce gniewał ją zaduch i zgiełk, narzekający ludzie i to, że znajomi dostawcy poili ją wódką, chcąc zawsze tego samego. W Chmielnie podobał jej się pewien wdowiec. Ceniła mężczyzn statecznych, z przeszłością. Ale wyjść za niego nie chciała. Pobił ją z żalu do krwi i wróciła na Grzybowską z podsiniałym okiem. Nie pierwszy raz była stratna z mężczyzną, przestało ją to już dziwić. Miała przekonanie, że od mężczyzn nic nie trzeba chcieć. Powiedziała kiedyś: — Ja ani metryki, ani serca nie biorę. Na to mnie stać. — Cyga słuchał z respektem. Było to w barze „Jeleń". Pojawił się po Nowym Roku w długich butach i w skórzanej kurtce. Nie nosił już mebli — kupował wozy i konie. Na Puławskiej miał stajnię i tam mieszkał. W barze częstował Łucję śliwowicą i pomarańczowym likierem. Siedzieli prawie do godziny policyjnej, wspominając dawne czasy. Potem ją namawiał, żeby pojechać na Puławską do stajni, i tłumaczył, że nie będzie żałować. Zamyśliła się, jakby nie czując jego dłoni, którą przesuwał coraz wyżej. Zdziwił się, gdy poprosiła go o adres. Musiał znaleźć ołówek. Oddarła róg papierowej serwety i zapisała adres, śliniąc koniec ołówka. Kiedy znów chciał pogładzić jej udo, odsunęła mu rękę bez zniecierpliwienia, myśląc chyba o czym innym. Patrzył, jak zapina swój gruby płaszcz, jak ściąga włosy czerwoną chustką i unosi ręce za głowę, by zebrać wymykające się ciemnoszare pasma. I nagle zaczął ją prosić, żeby do niego wróciła. — Jest na to czas — powiedział. Patrzył na nią z wystraszoną miną i trzymał się oburącz krawędzi stolika. — Ach — śmiała się — ty pijaku. — Włożyła mu czapkę na głowę i zaprowadziła do dorożki. Sama miała niedaleko. Bar „Jeleń" był na Żelaznej. Świstek z zapisanym adresem wetknęła sobie za mankiet płaszcza.

Odnalazła go później i wpisała adres do książki z rachunkami. Jej łóżko osłaniał parawan w japoński deseń; przyniosła go żona krawca Różanera (poprzeczna oficyna, parter) wraz z brajtszwancowym futrem. Mówiono, że Niemcy będą wypędzać Żydów z miasta. Łucja wystawiła kwit:

„Ja, Łucja Król, z ulicy Grzybowskiej, biorę na przechowanie parawan i futro od państwa Różaner, które należą do nich, i po wojnie je oddam".

Kwitu krawiec nie przyjął, bo Niemcy mogli go znaleźć, więc i te słowa wpisała do książki dla lepszej pamięci.

W izbie było teraz ciaśniej niż przedtem. Parawan z ptakami oddzielał jej wysoko zasłane łóżko od reszty pomieszczenia. Chłopcy spali po dwóch: Roman z Zenonem i Klemens ze Stasiem. Przybyła orzechowa szafa i obrus pluszowy w szare kwiaty. W szafie wisiały ubrania. Roman i Zenon uszyli sobie garnitury: długie samodziałowe marynarki o solidnie wypchanych ramionach. Spłacali co miesiąc, regularnie. Od zimy mieli pracę w fabryce części budowlanych pod komisarycznym zarządem. Roman był zaręczony

z córką urzędnika, po wojnie chciał założyć warsztat. Czasami zza parawanu Łucja słuchała ich rozmów. Mówili ospale, grubymi głosami. Zenon przynosił gazetki, odczytywał szeptem komunikaty podziemnego dowództwa. Potem milczeli, paląc papierosy, ziewając. Słychać było szelest zeszytów Klemensa. Staś plątał się po izbie, zawsze niespokojny, jakby węsząc. — Kładź się — mówił Zenon. Nie chciał się kłaść, źle sypiał, budził ich w nocy jego krzyk. Kiedyś zerwał się z łóżka bełkocząc jakieś niemieckie słowa, a innym razem zajęczał: — Ojciec... ojciec...

Nie znała żadnego z nich. Co dzień zdumiewał ją ich wygląd. Czerwieniła się na widok ich białych, nagich ciał, kiedy się myli, pochyleni nad miską. Gniewało ją i dziwiło, że nieraz milkną w jej obecności albo że jedzą każdy na swój sposób, nie tak, jak ich uczyła. Śniły jej się ich ręce i karki, i duże, gęsto obrośnięte głowy, i słowa, których używali, i to, że wszystko jest oszustwem, bo Niemcy zamienili jej synów w ową noc na podwórku, kiedy ktoś ukradł jej portmonetkę z pieniędzmi. W tym miejscu się opamiętywała. Za parawanem słychać było chrapanie Romana, jęczący oddech Stasia i równomierny chrobot budzika, który ukradła volksdeutschowi w Grójcu.

Nadsłuchiwała tych głosów, nie będąc pewna, czy wszystko stało się tak, jak powinno było się stać. To ją zawsze dręczyło, że mogła czegoś nie dopatrzeć. Rachunki jej się zgadzały, ale w życiu brakło jej jakichś dni, w których miałaby czas głębiej wszystko rozważyć. Nie zadbała o to i martwiła ją myśl, że nigdy się już nie dowie, co w jej życiu musiało się dokonać, a co stało się tylko wskutek jej słabości lub przez zapomnienie.

Adres Cygi przydał się pewnego dnia. Gdy nakazano zamknięcie getta, Łucja wraz z synami opuściła dom na Grzybowskiej. Nowe mieszkanie przydzielono jej na Solcu, niedaleko mostu: ciemny, wysoki pokój w oficynie, oddzielna kuchnia, parter. Przydział dano z urzędu, miał pieczęć z wroną. Cyga przyjechał platformą na ogumionych kołach. Spasiony koń o krótkiej, tęgiej szyi lekko pociągnął szafę, stół, parawan, trzy łóżka. Łucja siedziała na koźle obok Cygi, z tyłu Klemens i Staś pilnowali, żeby coś nie spadło. Mżył deszcz, bruk był śliski, w bramach stali Żydzi z gwiazdami. Cyga powożąc przemawiał do Łucji. Czy pamiętała, jak przyszedł do niej po pogrzebie męża? Nie chciała wtedy z nim rozmawiać. Dużo już lat upłynęło, dzień był także deszczowy; sobota czy święto? Pewnie nie pamiętała.

Pamiętała, ale i teraz nie chciała z nim rozmawiać. Ukryła ręce w zawiniętych rękawach płaszcza. Zasępiona, z namarszczonymi brwiami, patrzyła przed siebie. Cyga umilkł, bo zbliżali się do wachy. Żandarm w hełmie sprawdził jego *ausweis* a potem przydział z kwaterunku. — Niedziela — rzekła Łucja, gdy znowu ruszyli. — W sobotę był pogrzeb. — Cyga przyjrzał jej się spod oka i nic nie odpowiedział. Poprosiła go o papierosa. Przerzucił lejce do lewej ręki, prawą wygrzebał z kurtki pomiętą paczkę „Junaków". Znowu na nią zerknął i spytał, o czym teraz myśli. Zaciągnęła się i wzruszyła ramionami. Myślała, że jest podobny do swojego konia.

Na Solec zajechali punkt czwarta. Deszcz ustał, nic nie zginęło po drodze. Skręcili z Tamki w lewo, platforma podskoczyła na ciemnych brukowcach, Cyga stanął w koźle. Koń chrapnął, rzucił się grubą szyją naprzód, chłopcy coś wołali. Łucja wyprostowała się i podniosła głowę. Spomiędzy uszu koń-

skich, nagle i z wysoka, ukazała jej się ulica o poczerniałych ścianach, wbiegająca pod łuki wiaduktu.

Nigdy nie potrafiła sobie wytłumaczyć, dlaczego ten widok wydał jej się tak dziwny. — Mamo — powiedział Klemens — już jesteśmy. — Głos Klemensa brzmiał jakby z daleka, zasłoniła oczy. Pomyślała: „Zaraz się dowiem wszystkiego".

— Ja nic nie czułam — mówiła potem lekarzowi — tylko mi się coś przypomniało.

— Przepracowała się pani — twierdził lekarz.

Nie miał racji, ale nie chciało jej się go przekonywać. Leżała za parawanem, wsparta o wykrochmalone poduszki. Przymknęła oczy, a kiedy znów je otworzyła, przy łóżku siedział Klemens. — Co się stało? — mruknęła ze strachem.

Powiedział, żeby leżała spokojnie, lekarz kazał. Patrzył na nią szarymi, surowymi oczami. „Jaki dorosły" — zdziwiła się Łucja. Przyglądała mu się spod rzęs.

— Nie uczysz się? — spytała.

Nachmurzył się i odwrócił głowę. Włosy mu się kręciły nad karkiem. Śniada, wysoka szyja, to po niej. Kołnierzyk wystrzępiony, spostrzegła. Ile wziął doktor? Klemens nie chciał powiedzieć. Wpadła w złość. Nie umieli się targować, na pewno dali za dużo. Potem pytała o dom: kto w nim mieszka i jacy to ludzie, czy dozorca sprzed wojny? Bo jak nowy, to na pewno szpicel. I raptem ogarnął ją niepokój, za co będą żyli. Gdzie książka z rachunkami?! Kazała ją sobie podać, powinna być w torbie, tak, w torbie sznurkowej; nie spuszczała z niej oka podczas przeprowadzki.

— Nic nie zginęło — tłumaczył Klemens — połóż się. Nie wolno ci się gniewać.

Pierwszy raz mówił do niej „ty". Zaczerwieniła się, bo dotychczas zwracali się tak do niej mężczyźni, z którymi sypiała. Klemens uśmiechnął się. Uśmiech zwężał mu czoło i przymrużał oczy. Wyglądało to, jakby odgadywał coś niezbyt ważnego, o czym za chwilę gotów był zapomnieć. Przyszło jej do głowy, że gdyby Cyga umiał się tak uśmiechać, zgodziłaby się na wszystko, czego od niej chciał. I zaraz odpędziła od siebie tę myśl.

W nocy spała lekko i bez snów. Nazajutrz umyła kamienną podłogę w kuchni i wyszorowała okna. Wtedy zobaczyła Klemensa stojącego w bramie z dziewczyną, która wydała jej się znajoma.

Tę dziewczynę Klemens widział dopiero drugi raz. Po tym, co zaszło, nie wiadomo czemu przyszli tutaj, pod jego dom. Była jeszcze blada i wargi jej drżały. Stali u progu bramy, tuż koło podwórza, mówił do niej: — To głupstwo, nie warto się przejmować. — Z bliska wyglądała trochę inaczej niż za pierwszym razem. Wtedy minęli się tylko na schodach. Chodziła na te same komplety, ale chyba od niedawna. — Zapaliłabym — powiedziała grzebiąc w kieszeniach płaszcza. Miała rozpięty płaszcz, nieprzemakalny, pasek plątał się z obu stron. Dlaczego nic nie ma na głowie — myślał Klemens — nawet beretu? Włosy spadały jej na ramiona, nieporządnie, byle jak. Dobrze, że tamten był pijany. Kiedy upadł, nie mógł już ich dogonić. Zna-

lazła zgnieciony ułamek papierosa. Klemens nie miał zapałek. Znowu wyszli przed bramę, przypaliła od listonosza. Spostrzegł jej zabłocone buciki o sznurowadłach z chwastami. Na środkowym palcu nosiła pierścionek: żółty kamień, z białym, wyrzeźbionym profilem kobiety. Klemens stał i nie wiedział, co mówić. Wolał o nic nie pytać, mogłoby ją to urazić. — Głupstwo — powtórzył i uśmiechnął się. Właściwie dopiero wtedy poczuł na sobie jej wzrok. — To pan go przewrócił? — Podstawiłem mu nogę — skinął głową Klemens. — Ciągnął mnie — wytłumaczyła — na komisariat. Chodziło mu o forsę. — Odrzuciła niedopałek na chodnik. — Gdyby się należało, dałabym.

Ukradkiem spojrzał na jej włosy. — Nie — wyjaśniła — nie należało się. — Klemens chciał zaprzeczyć, nie o to mu szło. Z bramy wyszedł listonosz. — Gdzie to będzie? — Oglądał kopertę: — Przeadresowane z Grzybowskiej. Król Łucja, nie ma w spisie. — To do nas — powiedział Klemens. — Zaraz — przysunęła się. Zajrzała mu przez ramię i zaczęła się śmiać. — No nie — kręciła głową — to już chyba przesada. — Klemens nic nie rozumiał. Stał urażony, nie miał pojęcia, co ją tknęło. Kiedy się uspokoiła, schował kopertę do kieszeni kurtki. Przyglądała mu się, nagle zaciekawiona. Włosy z przodu spadły jej na brwi, przygryzła dolną wargę. Teraz dopiero spostrzegł, że oczu nie miała czarnych, tylko piwne i trochę ukośne. — Muszę już iść — powiedział — do widzenia. — I odszedł w stronę podwórza. Zdawało mu się, że wołała coś za nim. W domu oddał list matce.

Była to wiadomość o „Wiktorze L.". Tak nazywał go adwokat Stecki w liście.

„...Żyje — czytała Łucja — przynajmniej żył do niedawna. Ktoś przybyły z ziem wschodnich przywiózł od niego pozdrowienia. Miejsce swego kilkuletniego pobytu opuścił po pierwszym września. Prosi, aby i pani przekazać tych parę słów o sobie. Mieszkam tam, gdzie dawniej. Dzień i godzina obojętne, rzadko wychodzę z domu. Jeśli ten list dotrze do Pani, proszę mnie odwiedzić. Łączę wyrazy szacunku."

Obejrzała kopertę. U góry w lewym rogu wydrukowane nazwisko i adres nadawcy. Zamyśliła się. Pójść? Nie pójść? Próbowała sobie przypomnieć twarz tamtego człowieka. Dziwiło ją, że jeszcze o niej pamiętał. Czy od tego czasu nie miał innych kobiet? Sądziła, że mężczyźni do dawnych spraw wracają tylko wtedy, gdy w nowych im się nie powodzi. Więc może był samotny, albo kogoś stracił. W każdym bądź razie dobrze, że nie umarł. Życzyła mu jak najlepiej. Ale tu wracać nie powinien.

Włożyła list do książki, obiecując sobie, że w wolnej chwili pójdzie na Królewską. W wolnej również chwili miała pojechać na Bródno — ostatnim razem była tam rok temu — oraz na Grzybowską, dowiedzieć się o zdrowie krawca Różanera, i do kościoła na Mokotów, wyspowiadać się u księdza, o którym szły wieści, że święty. Wszystko to i wiele innych spraw podobnych, częściej nawiedzających ją w nocy niż za dnia, odkładała na później, do owej wolnej chwili, w której człowiek wyrówna rachunki z żywymi, zmarłymi i z sobą. Przyjdzie taki dzień, taka godzina.

Pewien rzeźnik, nazywany w dzielnicy Mussolinim, powiedział kiedyś Łucji, że Żydzi doczekali się Mesjasza. Miał jatkę na Dobrej. — Pani żoł-

nierz — mówił — nie bądźcie frajerka. Tam są skarby, nasza krew. — Radził mieć oczy zwrócone za mury, przyjdzie dzień dla Polaków. W jatce bywali policjanci, częstował ich wódką; siedzieli bez czapek, z pistoletami w skórzanych kaburach, zawsze zamyśleni. Łucja przywoziła mu schab, miał do niej słabość. Babska, otyła twarz o tłustych wargach czyniła go podobnym do wodza Italii. Wiedział o tym i krzyżował ramiona na piersi. Zenon i Roman mówili o nim z szacunkiem. W sobotę po pracy wkładali garnitury w jodełkę i szli z wizytą do jatki. Wracali wzdęci, czerwoni, potrącali meble i klęli na Stasia. Klemens podnosił wtedy głowę znad książki i przyglądał się im. Nie lubili jego wzroku. — Czego tak patrzysz? — pytał Zenon. Klemens nie odpowiadał. Zdejmowali marynarki, wieszali je w szafie. W niedzielę spali do południa, budzili się źli. Koło trzeciej znowu wkładali marynarki. Stali przed bramą albo przy kiosku z piwem, patrząc w stronę Tamki. Potem przychodziła narzeczona Romana z koleżanką. Szli gdzieś we czwórkę, dziewczyny miały trwałą ondulację, należało je trzymać za mały palec lewej ręki. Brat koleżanki pracował w jatce Mussoliniego, to on nauczył Zenona ćwiartować końskie mięso. Później Łucja myślała, że nigdy nie wiadomo, co się może w życiu opłacić. Opłacić! W tym wypadku słowo to nie miało ludzkiego brzmienia. Ale co było ludzkie w tych czasach? Koń staje dęba, gdy poczuje wilki, człowiek, kiedy jest głodny, ćwiartuje swego konia. Lecz gdy przychodzi dzień, że bierze topór do ręki, by poćwiartować człowieka, wówczas zostaje mu tylko przekleństwo. Potem przez jakiś czas nie śmiała wejść do kuchni. To Zenon pobiegł po topór.

Wiedziała już, kim jest ta dziewczyna. Nie, nie od Klemensa. Musiał ją widywać od tamtego dnia, gdy zobaczyła ich z okna, ale nie mówił o tym. Wracał późno, z obrzmiałymi wargami, rozgrzany jakby po kąpieli. Raz spostrzegła różowy ślad na jego kołnierzu przy szyi. Bała się tej dziewczyny, nie chciała jej wtedy wpuścić za próg, było już po zmierzchu, gdy przybiegła pytając o Klemensa. Stała, na pół przecięta padającym światłem: — Muszę go zobaczyć. — Klemens usłyszał jej głos, wypadli oboje na schody, o n czekał w sieni. Dlaczego przyprowadziła go do nich? Przez lata całe Łucja zadawała sobie to pytanie. Jedno z owych bezowocnych i daremnych; jak błysk robaka w ciemności, tak i one nie dawały światła.

Byli wtedy w domu — wszyscy czterej. — Gdzie on jest? — szeptał Klemens, gdy pojął, o co chodzi. W sieni nie było nikogo. — Miał tu czekać — mówiła — tu został. — Uciekł? — przyszło mu na myśl. Pociągnęła go w stronę podwórza. Przebiegli bramę, może stał na ulicy, nie, nie ma go. — Nie rozumiem — powiedziała ze strachem. Wrócili na podwórze. Wpadło jej do głowy, że mógł czekać na piętrze, ale Klemens ją zatrzymał. Nagle wydało mu się, że słyszy czyjś głos: pod murem w głębi podwórza. — Poczekaj — przystanął. Szła już w tamtą stronę. Od muru oderwał się cień; drugi, nieruchomy, został. Klemens potknął się o kamień. Jakiś żołnierz pchnął go w pierś, bełkotał po niemiecku. Był pijany, wymachiwał pistoletem; wskazując na człowieka stojącego pod murem, czegoś żądał, czegoś chciał. — Pójdę z nim — usłyszał Klemens głos tamtego — odejdźcie. — Ale Niemiec przyczepił się do Marty, kazał się prowadzić do mieszkania. Wtedy Roman i Zenon wybiegli przed sień. Żołnierz rzucił się ku nim.

Wszyscy raptem potracili głowy. Młody pijany Niemiec z pistoletem w ręku

znalazł się w mieszkaniu. Po chwili Wiktor Lewen, który został w podwórzu, usłyszał dwa strzały.

Niemiec nie celował: raz strzelił na postrach, z pijaństwa, krzycząc coś o Żydach i o bitwie pod Kutnem, gdzie zginął jego brat. Kula przebiła parawan. Potem jakby się wściekł, chciał dalej strzelać. Przybladł, zęby mu błysnęły pod wargą, zwolna uniósł pistolet.

Bliźniaki zwalili się nań z boku, jednocześnie; stuknęło, Niemiec miauknął, potem cisza, klęczeli nad nim zdyszani, coś niby zaszlochało, butami rył posadzkę. Wtedy padł drugi strzał. Gdy Zenon się podniósł, włosy zakrywały mu twarz. Chwiał się. — Ty?... — mruknął do Romana. Roman ostrożnie zdejmował ręce z Niemca. Wstał, poślizgnął się. Szedł do kuchni, w progu przytrzymał się futryny. Niemiec leżał wsparty ręką pod bok, skrzywiony, jakby kpił.

Brat koleżanki nocował w jatce. — Jest świniak do porąbania, okazja — powiedział mu Zenon. Wrócił z toporem już po godzinie policyjnej. Przedtem trzeba było wyprowadzić dziewczynę, płakała, że to przez nią. W chwili gdy Klemens nadbiegł z przystanku, Roman z Zenonem wyciągali balię. Lewen klęczał przy Niemcu. Urodzony w Lubece, Hans König, lat 23. — Spalić? — zapytał Klemens. Lewen potrząsnął głową. Schował dokumenty do kieszeni na piersi i obejrzał ostrze topora. Nie boi się — pomyślał Klemens. Lewen wstał, ujął go za ramię. — Pójdziesz do dozorcy — mówił półgłosem. — Wybadaj, czy nie słyszał. Jeśli tak, powiedz, że ty słyszałeś także. Matka cię przysyła, rozumiesz? — Klemens poszedł. — W kuchni — powiedział Zenon — tam kamienna posadzka. — Przewlekli trupa do zaciemnionej kuchni. Zenon zaczął mu ściągać buty, zeszły lekko. Pod koszulą miał szkaplerz, między żebrami szramę. Śliski, wymykał się z rąk. — Niech pan idzie do matki — syknął Roman. — Żeby nie wchodziła, to potrwa.

Dozorca nic nie słyszał, a nazajutrz ktoś mówił na podwórku, że w sąsiednich ruinach po zmierzchu żandarmi zastrzelili Polaka. Syn dozorcy znalazł jakąś czapkę, widać zabrali ciało. Z samego rana Łucja pojechała na Puławską. Cyga przyjrzał jej się i pokiwał głową. Dobrze, przyjedzie wieczorem. — Kobieto — rzekł — zmarniałaś, handel nie dla ciebie. — Łucja patrzyła na gołębie krążące nad stajnią. — Tuczyłbym cię — mówił Cyga śledząc troskliwie jej wzrok — u mnie nikt nie chudnie. Koń, ptak czy niewiasta, o każdego dbam. — No to o szóstej — powiedziała Łucja. Odprowadził ją do tramwaju, szła ociężale, ciągle o czymś myśląc, czego nie umiał zgadnąć.

O szóstej zajechał na Solec, było już ciemno. Roman i Zenon wtaszczyli na platformę trzy worki i szybko nakryli je płachtą. — Jedź — szepnęła Łucja. Przejechali pod mostem, Cyga wyjął litrówkę. — Jedźże — rzuciła mu do ucha — prędzej! — Wyrwała bat, zaczęła okładać konie, worki na wozie skakały. Cyga zaśmiał się i wybił dłonią korek. Na Czerniaków wjechali pijani. Cyga śpiewał „Heili". Stanęli koło jeziora. Zenon i Roman zeskoczyli po ciemku, z wozu coś spadło.

— Bierz cegły — szeptał Zenon.

Niemiec w trzech workach poszedł na dno, topór znów służył w jatce, podłoga umyta, pistolet zakopany. Ptak na japońskim parawanie miał przeszyte skrzydło. Dało się zacerować czarną jedwabną nicią. Łucja często mu się przyglądała. Miała przekonanie, że wszystko musiało się stać tak, jak się stało, i że w ogóle w życiu inaczej się nie dzieje. Człowiek zabija, bo jego mogą zabić. „Pani żołnierz — powtarzała sobie — nie bądźcie frajerka."

W każdym razie do księdza nie poszła. Ksiądz grzechu nie wymaże, bo to nie było w mocy ludzkiej. Chyba że ona sama zapomni. Kto wie, czy zło nie przestaje być złem, skoro nikt o nim nie wie, nie pamięta. Może zbrodnia i grzech nabierają znaczenia dopiero w cudzych oczach, przed sądem? A w swoim życiu, dla siebie, człowiek jest tylko sobą i robi to, co się nadarza. Broni się, owszem, ale ulega, gdy ma do czynienia z silniejszym. I sam nad sobą musi się ulitować, zapomnieć; bo zawsze ktoś czuwa na świecie, kto — gdyby się o tym dowiedział — nie będzie miał nad nim litości.

Od czasu jak Klemens zaczął jeździć rikszą, mniej zajmowała się szmuglem. Dom wymagał opieki, tylko ktoś mądry mógł — gdy zastukano — otworzyć drzwi. Utyła trochę, stała się powolniejsza i cięższa. W fałdzie między brwiami chowała pilny namysł; często przypływały jej do głowy fale gorącej krwi. wówczas ogarniał ją gniew, nie wiadomo na kogo i za co. Jej życie znów się odmieniło. Ubyli Zenon i Roman. Zenona wzięli na roboty do Rzeszy, napisał list z miasta Ems; Roman się ożenił. Jedno i drugie wprawiało ją w złość. Powiedziała kiedyś: — Nikt tego świata nie zmieni. Zabijać, rodzić, jeść — to prawie wszystko jedno. — Klemens nie lubił, kiedy tak mówiła. Wzruszał ramionami, wychodził do kuchni. W kuchni mieszkał teraz Wiktor Lewen. Szafa, ustawiona w poprzek, odgradzała go od światła. Trzy ślepe ściany, stolik i krzesło. Łóżko polowe, rozkładane na noc. Wieczorem Klemens stukał w szafę. — Wejdź — odpowiadał głos Lewena. Klemens był mu potrzebny.

W dniu, gdy polecono mu opuścić getto, stracił kontakt z partią. Łącznik, przysłany od Grzegorza, wyprowadził go z murów. Na Złotej zostawił go w bramie, sam wszedł do jakiegoś sklepu, po czym nagle wybiegł. Zasłoniło go zielone auto. Gdy ruszyło, chodnik był pusty. Lewen czekał godzinę, półtorej, pociemniało, spadł deszcz. Znał kilka pseudonimów, pamiętał garść nazwisk sprzed wojny. Nie był tu od uwięzienia, osiem lat. Przez ten czas miasto stało się nieznane. Na Królewską dotarł jak w niespokojnym śnie. Te same schody, witraż, wytarta pluszowa poręcz. Lęk w oczach Steckiego. Lewen znał objawy. Rozmawiali jak z dwóch stron przepaści. Przemókł, zależało mu na suchym papierosie. Potem wstał. — Moja żona jest Żydówką — odezwał się Stecki. — Miałem już anonimy. — Natknął się wzrokiem na zarośniętą, sczerniałą twarz Lewena. Uczynił powstrzymujący gest, mówił coś jeszcze. Znowu schody z pluszową poręczą, ktoś zbiegał za nim z góry. Lewen usłyszał swoje imię, jakaś dziewczyna w narzuconym płaszczu, odwrócił się: Marta? — Urosłaś — skinął — nie poznałbym cię. — Nie może pan tak odejść — jęknęła — co za świństwo. — Deszcz już ustał, dorożka miała jeszcze podniesioną budę. — Dokąd mnie wieziesz? — pytał Lewen. Ulica Narbutta. Lewen czekał w dorożce. Nie, tu dziś nie mogli... Litewska: nikt

nie otworzył. Marta zaklęła. — Solec! — usłyszał Lewen. — Pan ich zna — powiedziała chmurnie — tu powinno się udać.

Żołnierz pewnie spostrzegł, jak wysiadali z dorożki. Został po nim pistolet, dokumenty; należało je przekazać partii.

Przekazać partii. Przekazać można przez kogoś, muszą o tobie wiedzieć. Jeżeli nie dasz im znać, nigdy cię nie odnajdą. Są nieobecni — dla ciebie nieobecnego, jesteś nikim — bez kontaktów, bez nazwiska, bez instrukcji — jesteś duchem, który wylądował na zapomnianym miejscu swego życia, o siedem czy dziesięć lat wstecz.

Walcz, działaj. Po to przeszedłeś rzekę Bug w 1941, w tydzień po wkroczeniu Niemców, gdy po raz pierwszy partia zapomiała o tobie i musiałeś nocować w krzakach przy skwerze, nasłuchując salw z wałów fortecznych, gdzie rozstrzeliwano komunistów. Potem redakcja w getcie, siedemnaście numerów *„Barykady"*, propaganda nadziei w piekle, ufne, czarne oczy wychudłych Dawidów z gwiazdami; pierwsza akcja, druga akcja, granaty wyprodukowane w piwnicy na Lesznie.

Wydarto go stamtąd prawie siłą, nie chciał odejść, kochał już ów dzień, godzinę, gdy wszystko stanie w blasku ostatecznego potwierdzenia i on, Wiktor Lewen, przekroczy swój najwyższy próg z krzykiem gniewu na ustach. Czekał na ów krzyk, oszczędzał słów — na tę ostatnią chwilę. I wtedy przypomniano sobie o nim. Dostał wiadomość od Grzegorza. Jest potrzebny, partia organizuje nowe pismo. Dowód zaufania, potrafił to ocenić. Więc sprawę Buchnera zatarto. Gdy w kwietniu 1941 wezwano go do Lwowa, by wysłuchać jego wyjaśnień — nie był zaskoczony. Po oświadczeniu Grzegorza wstał i dokonał publicznego aktu, który uznał za konieczny — nie po to, żeby się ratować, lecz by dać świadectwo nadrzędności historycznego procesu wobec przypadkowej racji indywidualnej: „Dziś rozumiem szkodliwość mojego postępowania, które obiektywnie prowadziło do zatarcia frontu walki klasowej oraz do penetracji agentur w rodzaju Buchnera między szeregi klasy robotniczej." Czuł na sobie ciężkie milczenie obecnych. Kiedy skończył — pytanie Grzegorza dotyczące akcji więziennych, komuny, głodówki. Chciał go ochronić, pozostawiał mu szansę. Nie wspomniał o Gorwiczu. Lewen również nie wspominał o Lucjanie Gorwiczu, o którym — prócz sprzecznych, niejasnych wieści zza kordonu — od roku 1938 przepadł wszelki ślad. Każdy się uczył swoich powinności wobec obiektywnych praw. Ćwiczyć milczenie i doskonalić wolę pojmowania rozwoju, a więc tego, co nieuniknione. Zakaz własnej gry z dobrem i złem: tylko partia jest do niej powołana i daje — każdemu z szeregu — władzę posługiwania się dobrem i złem w sprawie, której część stanowi. I tylko w tej sprawie. Dlatego pierwszą rzeczą jest zrozumieć swoją przynależność, jako wybór losu, jako posłuszeństwo do końca, jako nieodwracalne przeświadczenie — gdyż nikt, kto był w szeregu, nie potrafi już nigdy utrzymać samotnie ciężaru zadań wspólnie dokonanych.

Wszedł do tego domu wprost z ciemności, przeraził ich, wstrząsnął ich życiem. Patrzyli nań ukradkiem, lękając się spotkać jego wzrok; musiał się zmienić od tamtych czasów. On także nie od razu przywykł do myśli, że to jest Łucja Król, ta sama, z którą połączył go kiedyś wiosenny zmierzch, na krótko przed uwięzieniem. Zapewniał ją wówczas, że jej synowie stworzą

lepszy świat, i tłumaczył, dlaczego grozi mu aresztowanie. Potem w więzieniu otrzymał jej list; pamiętał, że wydała mu się nieco zabawna i smutna jej ufność, z jaką donosiła o sobie i swoich synach — jemu, który po więziennym tyfusie w ciągu paru tygodni z trudem odgrzebywał w pamięci twarz swojej matki. Później napisał list do Steckiego z prośbą o opiekę nad Klemensem. Jeszcze później wspomnienie tej kobiety zagubiło się, znikło i tylko raz, pewnej nocy za Bugiem, przyśniła mu się jej twarz o ciemnych, szeroko rozstawionych oczach. Spał wówczas w drukarni i przebudził się z mglistym niepokojem, że został jej coś winien. Miał nazajutrz wysłać listy do Warszawy, ktoś szedł na tamtą stronę; na świstku przeznaczonym dla Steckiego dopisał w ostatniej chwili parę słów o Łucji. I teraz, gdy w kącie za szafą budził się pośród nocy, z wysiłkiem rozdzielał to, co było snem, od tego, co musiał uznać za prawdę. Twarz, słowa, oczy tej kobiety, kiedy mu powiedziała, żeby tu zamieszkał, póki nie znajdzie dla siebie lepszego miejsca gdzie indziej. Siedział pochylony nad starą książką Klemensa, pięć czy sześć dni po swoim tu przybyciu. Podniósł wzrok, by się uśmiechnąć, i znowu uległ wrażeniu, że jest jej winien więcej, niż mógłby dać kiedykolwiek; dalej trwa między nimi pogmatwany sen, w którym ona cierpliwie czeka na jego odpowiedź. — Narażam was — odezwał się po chwili. — Moja obecność grozi śmiercią. — Odpowiedziała, że człowiek nigdy nie wie, co mu naprawdę grozi. Nie zaprzeczył temu i został.

Ale nie mógł pozostać bezczynny. Czuł już w sobie przymus wyprodukowania sąsiedniego ogniwa; musiał je mieć, stworzyć, zahaczyć się o nie, nie potrafiłby istnieć inaczej, jak tylko w kręgu powiązań, w zamkniętym przewodzie. Od razu dostrzegł w oczach Klemensa znajomą iskrę wierności: spokojne, posłuszne oczekiwanie, podobne do cierpliwego połysku w źrenicy konia, który za chwilę ma pociągnąć wóz. Lewen opowiedział mu swoją historię od dnia uwięzienia. Chłopak zaofiarował się przejść przez mur. — Jeżeli jeszcze tam są, niech się dowiedzą o panu. Może dadzą znać komuś po tej stronie. — Jeżeli jeszcze tam są — powtórzył Lewen. Klemens poszedł nazajutrz rano.

Tego dnia Mussolini stał w zakrwawionym fartuchu przed jatką. — Czołem, pani żołnierz! — powitał Łucję, krzyżując ręce na piersiach. — Pogadamy o wiośnie? — Twierdził, że rzeźnik pierwszy czuje wiosnę — po zapachu mięsa; wołowina zalatuje już w marcu, potem dopiero kwiat. Rzeczywiście w jatce śmierdziało. Na stołku przy ladzie siedział mężczyzna w rozpiętej jesionce. Przyjrzał się Łucji z uwagą i odstawił kieliszek. — Przed wojną pierwsza kadrowa, a teraz pierwsza krzyżowa — mówił Mussolini odrzynając ochłapy długim nożem. — Masz pani, daję co najlepsze. — Wrzuciła mięso do torby i myśli w niej ustały. Wiedziała tylko, że lepiej wyjść. — Taka kobieta — zawołał rzeźnik — to nie erzac! — Wiem, wiem — przytaknął tamten, spuściwszy uniżenie miękki nos.

On czy nie on? Nie mogła sobie przypomnieć jego nazwiska, ale pamiętała goły, jasny pokój, w którym ją przyjmował. Rzeźnik poda jej adres, tamten gotów przyjść, usiąść i znów coś wywęszyć. Wracała do domu na ciężkich nogach. Usiadła za parawanem na łóżku, myśląc, co teraz będzie. Nie otwo-

zyć, nie wpuścić? Znajdzie sposób, żeby wejść. Może już coś wiedział. Nie yła pewna, czy Staś się przed kimś nie wygadał. W jatce kupowały mięso obiety z Solca. Miały złe języki i patrzyły na nią ze złością, bo się z nimi ie zadawała. Kogo się poradzić? Czuła już go za drzwiami, mógł zaraz rzyjść. Nie było Romana, Zenona, Klemens z samego rana poleciał do miata. Siedziała wśród groźnych myśli, z których wciąż powracała do niej jedna, parta: otworzyć, wpuścić i zabić. Jest pistolet, wystarczy go odgrzebać, trzy aboje — wystarczą trzy. Gdyby tylko wiedzieć, kiedy przyjdzie.

Ta myśl na przemian napełniała ją strachem i ulgą, nie potrafiła jej dsunąć — otworzyć, wpuścić i zabić, to byłoby najprostsze wyjście, umilkły na zawsze, jak tamten na dnie jeziora. Czy chciała czegoś złego? To d niej zawsze chcieli czegoś złego. Nie mogła przecież powiedzieć komuś, to jej zaufał: nie ma tu dla ciebie miejsca, wyjdź na ulicę, niech cię abiją na ulicy, ja muszę bronić mego domu. Czym by się to różniło od brodni?

Trudno jej było zrozumieć, jak się to dzieje, że życie ją stawia w takich ytuacjach. Ona, prosta kobieta, musi wybierać między dwiema zbrodniami osądzić, która z nich jest lepsza. Czy istnieje lepsza zbrodnia? Czy powinno ak być, że człowiek nie ma innego wyboru, jak tylko z dwóch wybrać ednego na ofiarę? „O, Boże — myślała — gdzie jesteś, czemu się ukrywasz? Twoją jest rzeczą, nie ludzką, zadawać nagłą śmierć temu, kto na nią asłużył."

Wiedziała jednak, że nikt jej nie usłyszy, bo gdyby mógł, to by już wcześniej nie dopuścił do tego, co stało się w kuchni i później nad jeziorem. Postanowiła więc czekać, aż rozlegnie się stukanie do drzwi. Kiedy już ic nie pozostaje prócz złego, zawsze istnieje ostatnia ludzka rzecz: nie robić pierwszego kroku, nie bronić się zawczasu, nie uprzedzać zła. Niech astuka — myślała — niech wejdzie i pierwszy powie swoje słowo. Wtedy rzypomniała sobie jego nazwisko. Był już zmierzch i zastukano do drzwi. Jagosz! — wskoczyło jej nagle do głowy. Zamknęła drzwi od kuchni i zarzuciwszy chustkę na ramiona poszła mu otworzyć.

— Nareszcie — powiedział Klemens. Stał w sieni z kimś nieznajomym.

Przysunął mu krzesło, tamten usiadł, wyciągnął nogę i syknął. Uśmiechnął ię, ale pobladł. — Chyba ścięgno — mówił rozwiązując sznurowadło. Noga puchła. „Trochę za stary — myślał Klemens — żeby skakać z muru." Ocenił go na czterdziestkę, może mniej. Wypukłe, jasne oczy, jakby cokolwiek za jasne; dziurawa, przepocona skarpetka. Skąd on się tam wziął? Przez Sądy. Rano można było przejść przez Sądy, potem nie puszczali. Klemens znalazł się na Lesznie o 9-ej, miał odszukać człowieka, który się nazywał Saul Piński, i wręczyć mu kartkę od Lewena. Saul? — wzruszano ramionami — nie ma go tu, może będzie. Kiedy? Czasem przychodzi w nocy. Pusty, ciemny pokój o zabłoconej posadzce, jacyś ludzie w czapkach i płaszczach. miednica z resztką brudnej wody. Weszła ruda dziewczyna. — Do Saula? Był już jeden do niego. Poszedł na Ogrodową. — Na Ogrodowej także go nie było. „Nigdy go nie znajdę" — myślał Klemens. Miał opaskę z gwiazdą, ale wszędzie go rozpoznawali. Wrócił na Leszno. Nie, nie przyszedł jeszcze. —

Co pan chce? — spytała nagle ruda. — Po co tu chodzicie? Godziny policzone. — Miała złe oczy w przejrzystej twarzy. Podeszła do niego. Chciała coś jeszcze powiedzieć, gdy wszedł jakiś mężczyzna. Mały, z dużą głową, też obrośniętą rudym, krętym puchem. Zaczął myć ręce w szarej wodzie, nie patrząc na Klemensa. — Szuka Saula — odezwała się dziewczyna. — Niech wraca — powiedział mężczyzna — niech wraca z Kogutem. Zamknięte przejście. — Klemens poczuł na sobie duże, zmęczone oczy i nagle szepnął: — Mam wiadomość od Wiktora Lewena. — Mężczyzna wziął zwiniętą kartkę z jego ręki, czytał. Potem powiedział coś szeptem dziewczynie. Skinęła na Klemensa. Poszli przez korytarz: drugi pokój. Przez półotwarte drzwi dostrzegł kilku ludzi pochylonych nad czymś leżącym na stole. Czekał. Ktoś znowu uchylił drzwi i przyglądał mu się przez szparę. Wyszło dwóch mężczyzn, jeden wysoki, niepodobny. — Idziemy — mruknął do Klemensa. Na podwórku było już szaro. Prowadził ich chłopak z szyją okręconą szalikiem. Klemens potykał się, przełazili przez ciasny otwór w płocie, potem jakaś szopa, przyległa do ściany budynku, zejście w dół, piwnice. Długo szli niskim przekopem czy kanałem, który raptem zamienił się w ukośny chodnik z desek; wyleźli na dach kryty papą. — Skakać, Kogut — mruknął przewodnik. Dach przytykał do muru. Klemens spadł na ubitą ziemię, tamten wysoki nie mógł wstać. Znaleźli się na pustym placu między gruzami, niedaleko zgrzytał tramwaj. Kogut stęknął. Spróbował się podnieść, zgubił gdzieś kapelusz. Dowlekli się do przystanku. — Gdzie pan mieszka? — pytał Klemens. Tamten zaśmiał się: — W Zielonce.

Teraz poprosił o papierosa, miał pustą, zgniecioną paczkę.

— Więc kto cię tam przysłał? — rzucił nagle przez zęby, patrząc na swoją puchnącą nogę, opartą o krzesło.

— Miałem interes do Pińskiego, pan wie — odrzekł Klemens.

— Kto to pisał? — spytał tamten i wlepił w Klemensa okrągłe, jasne oczy. Trzymał w ręku pomiętą kartkę; dorzucił: — Mów prawdę. Skąd znasz Lewena? Gdzie on jest?

Przerwał i zadarł nos. Patrzył teraz ponad jego głową, ku drzwiom.

— Zostaw nas samych — usłyszał Klemens.

Lewen zamknął za nim drzwi. — Nie pamiętacie mnie? — rzekł po chwili cicho. — Kurs propagitu. Na Pańskiej. Macie wiadomość od Grzegorza?

Podszedł do siedzącego mężczyzny, który przypatrywał mu się z czymś w rodzaju namysłu.

„Donoszę Ci, Zenon, że w domu wszystko w porządku. Przez zimę Roman wyszykował rikszę dla Klemensa. Klemens cały dzień jeździ po mieście i wraca dopiero na noc. Do świtu siedzi nad książkami. Pusto się stało w moim życiu. Romana na zawsze straciłam. Ty jeden, Zenon, byłeś dobrym synem. Onegdaj śniłeś mi się w nocy, ale nie mogłam do ciebie ust otworzyć. Pamiętaj, że jestem na świecie, zawsze cię kochająca, twoja matka, Łucja."

Rzeczywiście tęskniła za Zenonem. Od pewnego czasu zdawało się jej, że zawsze był dla niej najlepszy i bardziej ją kochał od trzech pozostałych. Przebywał teraz w mieście Ems, które wyobrażała sobie niejasno i trochę tajemniczo. Zenon wypiękniał w jej myślach, głowę miał nieco mniejszą

niż w rzeczywistości i nawet uszy nie tak odstające. Byleby tylko doczekać — myślała — do jego powrotu.

Przed Wielkanocą poszła do fotografa na Tamkę ze zdjęciem Zenona. Fotograf zrobił powiększenie, z którego Zenon spoglądał na nią takim właśnie wzrokiem, jak sobie życzyła, i był zarazem podobny do zmarłego ojca. Powiesiła zdjęcie nad łóżkiem, mając odtąd w pobliżu obydwóch w jednej ramce. Chodziła jeszcze w żołnierskim płaszczu, ale przerobionym u krawca na Topieli i ufarbowanym na czarno. Był teraz krótszy, a ona szersza i krępsza. Chustkę na głowie wiązała inaczej, modą warszawsko-turecką, chowając pod nią włosy nadal nie tknięte siwizną. Sklepikarze z Solca i Dobrej witali ją z szacunkiem: — Uszanowanie, pani Król — miała bowiem pomiędzy brwiami namysł i uwagę, nie skłaniające do żartów. Istotnie, niejedno ją zastanawiało — i to coraz bardziej — w jej zmieniającym się życiu, które toczyło się teraz jakby za jej plecami, kierowane cudzą ręką. Pomału dochodziła do pewności, że człowiek z własnej woli niewiele potrafi dokonać. Czasem myślała nawet, że trudno jest powiedzieć, kiedy ludzie są źli, a kiedy dobrzy. Zło i dobro w niej samej istniało równocześnie, bardzo ze sobą pomieszane, i nigdy nie popełniła złego uczynku w złym celu, lecz zawsze, by się obronić przed gorszym złem. Gdy było trzeba, brała pieniądze od żonatych mężczyzn, oszukiwała na towarze, kłamała w żywe oczy; gdyby było trzeba — mogłaby zabijać. Dotychczas miała szczęście: nie stało się nic, o co ludzie mogliby ją skarżyć. I za to czuła się w obowiązku odwdzięczać; rozumiała bowiem, iż świat sądzi okrutnie i na okrutnej zasadzie, w myśl której człowiek sam winien jest wszystkiemu, co uczynił.

Więc nie ma bezpiecznej chwili, pojmowała to dobrze. I dlatego każde stuknięcie do drzwi wywoływało w niej teraz gniew: po co? po co przychodzą? zepsują jej wszystko, wykręcała się tyle lat! Czym opętali Klemensa? Czego chce ów wysoki z okrągłymi oczami? A tamten, ukryty przed wzrokiem ludzkim? To on odebrał jej Klemensa, z nim Klemens przegadywał noce. Czasem zaglądała do kuchni, żeby posłuchać, jak rozmawiają. Szafa była odsunięta, Klemens siedział na łóżku z głową wspartą o pięść, a on chodził wzdłuż i wszerz, żarliwy, gniewny. Przypatrywała im się z zachwytem i obawą. Ile papierosów wypalili! Wyglądali jak dwa archanioły w dymach diabelskich: młody, pochmurny Klemens z długą, szczupłą szyją, wygiętą nabożnie ku tamtemu, który był nieduży, lecz silny, o szerokim czole pod gęstą czupryną; głosem, spojrzeniem zmuszał do słuchania. Ogarniała ją wtedy pokora i niepewność. Myślała później o jego życiu, w którym było tyle cierpienia za niewiadomą sprawę ludzką. A przecież mógł się ożenić, wyjechać i żyć spokojnie. Wielu tak postąpiło. Czy nie żył tu jak więzień? Miała czasem uczucie, że to, co uczynili z Niemcem, on jeden wziął na siebie. Kiedyś go kochała. Może za to właśnie, że nigdy nie potrafiła odgadnąć jego myśli. Teraz też był daleki, chociaż żył tak blisko, ale kochać go już nie mogła. Raz czuła dumę, że taki człowiek miał u niej schronienie, drugi raz złość i strach. Bo przedtem było zwyczajniej. I chwilami przeklinała tę dziewczynę, która go ściągnęła w jej dom, a potem znikła. Już się nie spotykali, przeczuwała, wiedziała, znalazła w książce Klemensa strzęp podartego listu: „Wszystko zmarnowałaś, to się już nigdy..." Łucja płakała nad tym rozdartym, nie skończonym zdaniem.

Klemens nie wysłał tego listu. Przypomniał sobie słowa Koguta. — Pierwsza rzecz — twierdził Kogut — nie dziwić się. — Był przeciwnikiem zdziwienia. Wszystko jest normalne. Twoja ostatnia sekunda? Bardzo proszę. Zabijasz faceta? Nie dziw się. Ciebie zabijają? Załatwione. Kogut słynął z zimnej krwi; o akcjach, którymi kierował, mówiono szeptem. W chwili składania przysięgi Klemens czuł na sobie jego wypukłe, trochę kpiące oczy. Powtarzał słowo za słowem razem z trzema innymi, serce mu biło jak dzwon, potem ogarnął go spokój; spełnione, opuścił rękę. Tak, sądził, że wytrzyma; byli tacy, co wytrzymywali. Dostał lewe papiery: fałszywe nazwisko, fikcyjny adres; w razie czego nie pozostawiłby śladu. Przewoził ludzi, paczki i broń. W dniu zamachu patrolował poprzeczną ulicę; parę minut po szóstej huk i brzęk rozbitego szkła. Kogut, Kogut w niemieckim mundurze, biegnący wielkimi krokami przez jezdnię do motocykla! Wojskowy motocykl z przyczepką. — Jedź! — warknął jakiś człowiek, który wskoczył do rikszy. — *Wunderschön!* — mówił potem Kogut, unosząc brwi nad zadartym nosem — przydał się mundur twojego Niemca.

Wieczory przegadane z Lewenem, atakujący, nieustępliwy głos; zwarta, spokojna siła rozumowania, wobec której każdy jest niedoskonały. Każdy wzięty z osobna.

Nie wiadomo — sądził Lewen — kim jest każdy z nas z osobna, lecz razem stanowimy diabelską ambicję narzucenia światu naszej myśli. Nie wiem, kim jestem jako „ja", jako „ja sam", „ja naprawdę". Być może, iż człowiek jest dla samego siebie równie niepoznawalny, jak nieskończoność galaktyk. Przestało mnie to obchodzić, jestem obojętny w stosunku do tajemnic. „Ja" oznacza dla mnie mój udział w rewolucji, „ja" to jest moje „tak", moje potwierdzenie, moje podobieństwo — nie chcę się różnić ani wątpić. Jeśli jeszcze istnieję — ja, nie istniejący, niematerialny, cień między szafą a ścianą — to tylko jako cząstka tej bezczelnie natrętnej woli, tej zaciekłej, nachalnej myśli, zmuszającej świat do uznania hipotezy roboczej, nazywanej przez nas dialektyką materialistyczną. Nie jesteśmy buntownikami, wybraliśmy ostatnią drogę wyjścia. Cofać się nie ma dokąd, wszystko jest zawalone, nie nasza wina, że wasz świat stał się rumowiskiem, które trzeba rozsadzać dynamitem. Ale uwaga. Cel, do którego zmierzamy, ma tę szczególną cechę, że określa każdy czyn, tak jak światło określa przedmioty. Zrozumiecie nareszcie, iż moralność nie jest niczym innym, jak tylko właściwą organizacją, prowadzącą do słusznego celu. Cóż wiecie o tym dzisiaj? Zabijacie, kradniecie, popełniacie tysiące grzechów i zbrodni, nie wiedząc, czy będzie to wam darowane, nie znając prawdziwego winowajcy, w wiecznym strachu przed karą. Umieracie, giniecie, potraficie poświęcać swoje życie dla spraw, o których macie niejasne pojęcie, z niewyraźnych pobudek i w nieokreślonej nadziei. Tak rzecz wygląda, gdy człowiek przestaje władać swoim losem, ponieważ nie zna swego celu.

Te myśli dawały mu szerokie prawa. Dzięki nim mógł tu pozostać, nie czuć się intruzem. Gdy partia zaofiarowała mu inny lokal — odmówił. Adres na Solcu był nietknięty; Łucja Król strzegła się oka sąsiadów. Dwa razy w tygodniu otrzymywał materiały z nasłuchu, pisał nocą. Czuł w sobie uporządkowaną siłę nienawiści do wszystkiego, co mogło opóźnić moment rozstrzygnięcia. — Czytaliście? — pytał Klemens. Przyniósł mu zmięty numer

z jego ostanim artykułem. Nie wszystko rozumiał, trzeba mu było tłumaczyć znaczenie zdrady politycznej. Ciężko, opornie przechodził przez najważniejszą granicę: rozcinającą człowieka na dwoje. Tylko to: oswoić go z owym niezupełnie ludzkim zabiegiem wycięcia i odrzucenia tego, co dotychczas uchodziło za człowieczeństwo. Człowieka należy oceniać w stanie oczyszczonym z wnętrzności; jako obiektywną, polityczną funkcję jego czynów. Za tą granicą wszystko staje się nieuchronnie proste: wpadasz we własne ręce, uzyskujesz środki poznania samego siebie, wraz z innymi, którzy również poddani są twojej kompetencji. Jest to jedyny sposób pozbycia się tajemnic. Niepoznawalne mogą być pobudki, ale nie postępki. Tworzyć, umacniać na swój użytek tę wydzieloną strefę człowieczeństwa, w której obowiązuje tożsamość pobudek i celów, jednoznaczność zamysłu ze skutkiem. U szczytu — czyny naszych bohaterów: zgnojonych w kryminałach, z pogruchotanymi kośćmi i wybitymi zębami. Nie wgłębiajmy się w motywy ich postępowania, w tym zakresie niewiele mamy podstaw do pewności. Powinno wystarczyć to, że obiektywnie służyli sprawie usunięcia twoich krzywd, krzywd twojego ojca, twoich braci, twojej matki. Musisz znać swoje krzywdy, musisz się ich uczyć na pamięć: twój ojciec zginął na bruku, twoja matka ledwie potrafi pisać przeżartą, obrzmiałą ręką; ty sam przemykasz się pchając swój wehikuł przez kłębowisko absurdu i grozy, które stworzył twój wróg. Jesteś w walce, poznajesz nowych ludzi, ocierasz się o śmierć. Świadomość twojej krzywdy da ci siłę podtrzymywania innych i łamania siebie, jeśli zajdzie taka potrzeba. Zajdzie taka potrzeba, bo każdy z nas wzięty z osobna — ty, Kogut czy ja — nosi jeszcze w sobie nacieki ciemności, którą wróg usiłuje przesłonić nasze serca. Dlatego każda twoja myśl i każda cudza, inna niż myśli, jakich żąda partia, jest obiektywną przeszkodą dla t w o j e j i n a s z e j sprawy. Jeśli usłyszysz czyjeś „nie" — zastanów się, kto i po co je wymówił. Zawsze jest ktoś, komu twoje zwątpienie okaże się potrzebne.

Chodził między szafą a ścianą, wychudły, nie ostrzyżony, spowity w chmurę dymu, przez którą ledwie dostrzegał oczy Klemensa. Mimo nieustannego napięcia, w jakim żył i pracował, jego dłonie nabrały oszczędnej powolności gestów; przekonywał cichym, twardym głosem, który stopniowo natężał; kończąc myśl śledził ją przez chwilę z uwagą, jakby nasłuchiwał; potem czekał na pytanie, chodził, uśmiechał się, milczał. Czasami sam się temu dziwił, że potrafi znieść gwałtowne, rozsadzające natarcie myśli, jak gdyby spędzonych naraz z całego życia. Był to zorganizowany szturm świadomości, który oblegał go i spalał w nocy i za dnia: widział, widział wszystko w olśniewającej, prawie dotkliwej pełni. Dręczyło go ubóstwo garstki słów, którą produkował co tydzień dla pisma — nic więcej, tylko tyle. Dlatego tak niecierpliwie czekał na zapowiedziany od tygodnia kontakt z Grzegorzem. Mała, mrukliwa łączniczka dotychczas nie umiała podać ścisłego terminu.

Ale pewnego dnia — niedziela rano — nie przyszła sama. Nieznajomy towarzysz o ostrym, ruchliwym spojrzeniu. Mówił szybko, trochę niewyraźnie. Drugi milczał. Chodziło o Klemensa, pytano o jego przeszłość i współpracę z Kogutem.

— Znacie Koguta? Powinien pójść na urlop.

— Płuca? — zapytał Lewen.

Tamten wymienił jakąś datę; powracał do niej dwukrotnie.

— Nie rozróżniam dat — uśmiechnął się Lewen — rozpoznaję tylko pory dnia. — Towarzysz nie odwzajemnił uśmiechu; po chwili rzekł:

— Dziękuję wam, to wszystko.

Wszystko? — zastanawiał się Lewen. Nie szło o niego, lecz o Klemensa. To rozumiał. Poza tym nic. Wspomnieć o tej rozmowie Klemensowi nie miał prawa. Winszował sobie: partia o tobie pamięta. Obudził się w środku nocy; za szafą słychać było równy oddech Klemensa.

W parę dni później Klemens spotkał się z Kogutem.

Siedzieli w małej knajpie na ulicy Topiel. Kwaśne, mdłe powietrze i dziwna rozmowa. Nie wiadomo dlaczego opowiedział Kogutowi o Marcie. Kogut kiwał głową, pili.

— Jeżeli dziewczyna robi ci świństwo — mówił — to jeszcze nienajgorzej. — Wlepiał w Klemensa wypukłe, drwiące oczy i cicho cmokał. Klemens spochmurniał. Chciał zmienić temat. Wspomniał o Lewenie:

— Nie wie, jak wygląda miasto. Przez siedem lat, albo więcej, był kilka godzin po tej stronie.

— Tak — zaśmiał się Kogut. — My, polskije rewolucjonisty.

Za głośno. Co mu się stało? Znowu nalał kieliszek. Mówił o jakichś ludziach z dowództwa. Gorzki, zapiekły akcent w jego głosie:

— Ja się stawiam, rozumiesz? Zapamiętaj, że towarzysz Kogut się stawiał... Nie gap się. Pij.

Podniósł głowę i trafił na baczne, ukośne spojrzenie Klemensa.

— Szczeniaku — mruknął — wiem, o czym teraz myślisz.

Patrzył na niego spokojnie, z łagodną, smutną kpiną. Wyprostował się, odsunął kieliszek. W knajpie było już pusto.

Na ulicy udzielił paru wskazówek co do następnego dnia. Mówił, jak gdyby nic nie zaszło; oznaczył miejsce i czas. Tarczyńska. Paczkę z podpunktu od „Agaty" dostarczyć za kwadrans dziewiąta — on, Kogut, tam będzie — potem czekać przy blokach ZUS od strony Niemcewicza. Około 11-ej wsiądzie starszy towarzysz, który powie: „Na Pragę, przez trzeci most".

Zadarł nos. Ciepło, niebo nabite gwiazdami.

— Do jutra — rzucił odchodząc. — Pogoda jak beton.

Nazajutrz od rana świeciło wiosenne słońce i Łucja pojechała na plac Kercelego. Tego dnia Staś zbudził się smutny, nie chciał wstać. Wzięła jego lewy but na miarę, owinęła w papier, przejrzała się w lusterku. Czterdzieści dwa lata; z czego ujmowała sobie trzy. Włosy dla wygody obcinała krócej. Przed wyjściem pociągnęła wargi starą kredką, otarła z zębów różowy ślad; zęby miała lśniące i mocne. W tramwaju był tłok, potem szła w rejwachu i ciżbie, zatrzymywała się przy straganach z obuwiem, lekki wiatr przesypywał jej włosy, oglądała używane trzewiki, przymierzając do nich wyjęty z papieru but Stasia. Wybrała wreszcie solidną na oko parę o grubych podeszwach, mały sprzedawca uderzył w nie dłonią na płask i zaklął się szeptem, że przetrzymają Hitlera. Skulony, zadreptał jak kura i głębiej wcisnął czapkę. Zobaczyła uciekających ludzi, ktoś ją pchnął, but Stasia

wypadł jej z ręki. Wyrwała go spod czyichś nóg, krzyknęła, straciła oddech. Przyparli ją plecami do desek straganu. Zrobiła się cisza, błysnęły hełmy: żandarmi dzielili tłum na grupy. Łucja ściskała w ręku but. Jej grupę ustawili czwórkami, szła z ludźmi, z dwóch stron było słychać wysokie, ostre głosy Niemców. Wieźli ich pod budą przez miasto. Szeroki plac, ogrodzony drutami; pośrodku stał barak, przed nim stolik, za stolikiem Niemiec. Żandarmi i cywile rękami ugniatali tłum, Łucja przepchnęła się naprzód. — Stać spokojne — mówił dziobaty cywil z pustym rękawem, w czarnych, obcisłych spodniach — przygotować papiery. — Podsunęła mu but pod nos, tłumacząc, że w domu syn czeka. Przyjrzał jej się, po czym zerknął na but. — Niech pan mnie puści — uśmiechała się odsłaniając zęby. Odebrał jej kennkartę i poszedł dalej. Znikł za barakiem, za chwilę znów było widać jego czarną kurtkę połyskującą w słońcu, minęła godzina, dwie. Wylegitymowanych odstawiano na bok, Łucja śledziła wzrokiem dziobatego; przeszedł obok, znowu pokazała mu but. Nawet nie zauważył, traciła już nadzieję. Zaczęła się rozglądać za innym sposobem, kiedy wywołano jej nazwisko. Dziobaty bez ręki skinął na nią, poszła, prowadził ją za barak. Weszli do długiej, niskiej izby. Wskazał jej szczotkę i wiadro. — Brać se do roboty. — Spojrzał na zegarek. Tylko na to czekała. — Dobrze — odrzekła — już może pan na mnie polegać. — Coś mruknął, wziął od niej but Stasia i podrzucił go na dłoni śmiejąc się. Łucja też się śmiała. Pogroził jej palcem i wyszedł. Najpierw zamiotła do czysta, a potem zzuła pantofle, podkasała spódnicę i klęcząc wzięła się do mycia. Wpadła w zapał, chciała dogodzić dziobatemu, żeby był rad. Trzy razy biegła z wiadrem do zlewu, własnej podłogi nigdy tak nie uszorowała. — Może gdzieś skoczę po pastę? — spytała, gdy wrócił po godzinie. Pokręcił głową patrząc na nią ze zdziwieniem. — Pasta potrzebna — tłumaczyła rozgrzana — musi być glanc! — Niepokoiła się, że nie pochwalił. Machnął ręką i oddał jej kennkartę z przyczepionym świstkiem. Za wachą ochłonęła i przejął ją wstyd. Szła półżywa ze złości, wymyślając sobie za tę niemiecką podłogę; gonił ją własny śmiech i pasta, której nie było, szczotka, ścierka i but. Buta zapomniała. Dopiero w tramwaju przyszła jej do głowy pocieszająca myśl: że nikt się o tym nie dowie. Wszystkiego trzeba się uczyć — dochodziła do wniosku — nic człowiek nie wie o tym, co mu się zdarza pierwszy raz. Za drugim razem już by wiedziała, jak postąpić.

Ale na Solec przyszła zgnębiona, rozumiejąc, że popełniła coś złego. Wydało jej się, że Lewen natychmiast to odgadł. — Niech pani odpocznie — mówił cicho. Poczuła jego dłoń na ramieniu. Pod ścianą na skrzyni z węglem przycupnęła blada dziewczyna w okularach. Kto to? — zastanowiła się Łucja. Pojęła wszystko. Usiadła, zasłoniła twarz brudnymi dłońmi. Nigdy już nie zobaczy Klemensa.

Dziewczyna wyszła. Lewen odnalazł Łucję w pokoju, za parawanem, wpatrzoną w japoński deseń. Usiadł koło niej, milczeli. Brakło mu słów, nie umiał pocieszać. Pamiętał dzień, kiedy do niego przyszła w czarnej, wdowiej chustce i powiedziała o śmierci męża. Okazał jej współczucie, mówił o nadziei. Dziś mógłby powtórzyć to samo.

— Gdzie on teraz jest? — zapytała.

Nie było jeszcze dokładnych wiadomości, prawdopodobnie przewieźli go na Szucha. Miał dokumenty na inne nazwisko.

Matka aresztowanego. Matki aresztowanych płakały. Mówiono im wówczas: wzięty z szeregów walczących. Ale ona ma oczy szeroko otwarte, bez łzy. Lewen pomyślał: to jej syn. Siedział pochylony i patrzył na jej ręce. Musiało się tak stać, walka zabiera najlepszych. Przez chwilę poczuł zmęczenie. Serce, jego zahartowane, twarde serce, które nie umiało pocieszać. Z trudem szukał słów, nie przychodziły.

— Zamęczą go — jęknęła.

Chciał zaprzeczyć: nie, będzie żył.

Znów poczuł bolesną suchoć serca, tak jak się czuje w godzinie pragnienia spieczoną suchość warg. Pomyślał o swoim życiu, zbudowanym z kilku utwierdzonych prawd. Na nic więcej nie było w nim miejsca. Dom, w którym wypaliło się wszystko prócz stalowych wiązań, patetyczna konstrukcja o pustych przestrzeniach. „Dlaczego się z nią nie ożeniłem?" — przyszło mu nagle na myśl. Z nią, z Łucją. W więzieniu nieraz tęsknił za jej ciałem. Uległa mu wtedy bez słowa. Jej listy. Nie starał się odgadnąć, dlaczego je pisała.

Poprosiła o papierosa. Zapomniał, że czasem paliła, pamiętał tylko, że Klemens brał od niej papierosy, kiedy ich zabrakło w domu. Teraz zabrakło Klemensa. Wytłumaczyć jej, co to jest partia? Był nam potrzebny dla urzeczywistnienia celu historii. I mnie skazano za to w swoim czasie. Wziąłem, co sam dałem. Nie. Nieprawda. Zawsze bierzemy więcej. Procent naszych doświadczeń, naszej nieujawnionej wiedzy każemy płacić innym. Ja w s w o i m czasie dałem mniej, ponieważ mniej wiedziałem. Dziś wziąłem od niego o tyle więcej, o ile więcej wiem. Dziś — w j e g o czasie.

— Za parę dni — powiedział — dowiemy się bliższych szczegółów. Jeśli przeniosą go na Pawiak, przyśle jakąś wiadomość.

— Niech pan nie odchodzi — szepnęła.

Oparła głowę o jego ramię i zaczęła płakać.

Widział jej twarz — wystarczyło, żeby zamknął oczy. Chciał powiedzieć: mamo, nie płacz — siedział w ciemności, skulony jak pies. Próbował zapomnieć o sobie, odsuwał zgrozę. Skawa Jan, urodzony w 1924, meldowany ostatnio na Okopowej, imię matki Helena, ojca — Roch. Zmarli przed wojną. To wszystko. Poza tym nie być nikim, nie wiedzieć o niczym, nie dziwić się niczemu. Zacisnął ręce na krawędzi ławki wmocowanej w beton. Czy wytrzyma? Nic się o tym nie wie, mówił Kogut, decyduje krwiobieg. To on leżał w klatce schodowej, na półpiętrze, przykryty płaszczem. Nie było już czasu się cofnąć. Niemiec w binoklach kazał policjantowi odchylić płaszcz. Sterczący nos Koguta, trochę krwi, puste, szklane oczy. — Nie znam go. — Dostał w twarz od Niemca w binoklach, małą zwinną dłonią, z obu stron. Matka czasem tak policzkowała Zenona; szybko, bez wielkiej złości. — Nie znam go. — Policjant zakrył Koguta. Blondyn w tyrolskim kapeluszu rozwiązywał paczkę. Ulotki z czarnym nadrukiem: „Ludu pracujący Warszawy!". Drugi raz w twarz. Zatoczył się pod ścianę. Wzięli go pod ręce i ściągnęli na dół, do auta. W bramie została jego riksza. Ruszyli. Oficer siedzący przy szoferze odwrócił się. Binokle błyszczały mu na małym, wgniecionym nosku. — *Schweinerei* — rzekł z wyrzutem — *polnische Schweinerei.* — Cywil

w kapeluszu powiedział po polsku: — Niemcy nie strzelają w plecy. — *Wie heisst du, Mensch?* — Skawa. Jan Skawa, lat 20, obecnie bez adresu. Nocuje w rikszy. „Nie jesteś głupi — mówił mu Kogut — ale twoją prawdziwą siłą jest wierność. Trzymaj się jej. Będziesz bity, ale trzymaj się jej. Każdy powinien się trzymać swojej największej siły, słuchać swojego głosu." To Niemcy zabili Koguta. Słuchał swojego głosu: „Jesteś Skawa, Koguta zabili Niemcy, nie wolno ci o niczym więcej wiedzieć, nie znasz adresów ani nazwisk. Będą pytali o dwie rzeczy: twoje prawdziwe nazwisko i kto ci dał paczkę. Jesteś Skawa, paczkę zostawił jakiś człowiek w rikszy, jechał na Tarczyńską. Co się z nim stało? Wysiadł. Wysiadł — na przykład koło dworca — i poprosił, żebyś odwiózł paczkę. Komu? Panu Kowalskiemu na Tarczyńskiej. Nie: Kowalkowskiemu. Nie podał numeru mieszkania, śpieszył się".

Oparł głowę o ścianę, zamknął oczy i znowu zobaczył twarz matki. „Nie jestem już twoim synem — pomyślał — jestem Skawa." Jeśli go spytają, opowie, że matka była praczką. I sprzątała po domach. Opowie o niej, o jej życiu. Gdzie teraz jest? Zmarła przed wojną, w rok po śmierci swojego męża, Rocha, woźnego w sądzie grodzkim.

Zacisnął szczęki. Nie myśleć, nie wyprzedzać czasu. Teraz jest tak, jak jest: ławka, beton i ciemność. Ciepły szum w skroniach to krwiobieg. Obmacał rękami brzuch i głowę. Bał się swojego bólu, którego pełni jeszcze nie znał. Pomyślał o Marcie. To dobrze, że odeszła wcześniej. Za tydzień — dwa ktoś jej powie: aresztowali Klemensa. Wtedy przypomni sobie jego twarz, zapali papierosa, potem pójdzie z kimś na wódkę, pogubi szpilki z włosów i wróci do domu w zabłoconych pantoflach. To dobrze. Chciało mu się palić. Noc wkrótce się skończy — na szarzejącym betonie potrafił już dojrzeć zarys własnej ręki. Rano przyjdą po ciebie, Skawa. Wtedy dopiero będziesz sam. Nie teraz — wtedy, wśród nich.

I nagle poczuł strach, że nigdy i do nikogo nie dotrze o nim żadna wieść. „Boże — pomyślał — jeżeli wytrzymam, ocal pamięć o mnie."

Łucja modliła się w kościele i przed listami zakładników, oraz na cmentarzu, u grobu swego męża. Modląc się spędzała długie godziny za parawanem, nieruchoma, z rękami zaplecionymi na piersiach. Nie wierzyła, aby jej życie mogło się tak skończyć. Szło przecież ku czemuś. Ku chwili czy godzinie, w której stałoby się wiadome, po co żyła i że jej życie nie było przypadkiem. Jeśli Klemens nie wróci, myślała, to będzie na mnie wyrok.

Czuła jednak, że tak się nie stanie. Cyga miał znajomego volksdeutscha, który pracował na Szucha. Obiecał pójść do niego. Volksdeutsch był tłumaczem, widywał aresztowanych. — Kobieto — mówił Cyga — trzymaj się. — Przy stajni na Puławskiej miał kantor z szyldem: „Biuro Przewozowe." Odprowadził ją do tramwaju, tak jak owego dnia, gdy przyszła prosić, żeby przyjechał wieczorem na Solec. Koło przystanku był skwer, usiedli na ławce.

— Nie powiodło ci się w życiu — rzekł, kręcąc głową. — I kto by to pomyślał.

— Niedużo chciałam — odparła. Cyga zamyślił się:

— Może to dlatego — mruknął.

Nadjechał tramwaj.

— Tylko nie mów nazwiska — przestrzegła.

Cyga się roześmiał: nigdy nie ceniła jego głowy. Zawsze był dla niej Cygą, który dźwigał meble, opasany sznurem. Wsiadła do tramwaju. Dotknął sukiennego daszka. Na małym palcu miał sygnet z czerwonym kamieniem.

Cienki pierścionek z kameą nie był tyle wart. Dziewczyna zdjęła go z palca.

— Błagam, niech pani to weźmie. Przecież za darmo nie zwalniają.

Łucja patrzyła na jej szczupłe, śniade ręce.

— Dziękuję — powiedziała — na razie nie potrzeba. — Jaka drobna, mizerna. W czarnym swetrze, z chmurą czarnych włosów nad czarnymi brwiami. Jeśli będzie trzeba, przyjmie się od niej pierścionek: za kamień nie zapłacą, ale policzą na złom. Na razie nie potrzeba, organizacja dała zapomogę. Nie, nie pisał jeszcze. Ostatni jego list był podarty, z bezsilnym, nie skończonym zdaniem. Cierpiał przez nią, wtedy jednak nie przychodziła. Dopiero dziś przyszła ofiarować swój panieński pierścionek. Ale on się o tym nie dowie, a pierścionek niewiele wart. Więc po co właściwie przyszła? I kto jej powiedział, że wzięli Klemensa?

Wczoraj wieczór dostała kartkę z wiadomością. Przysłał ją Wiktor Lewen, kilka słów. Sądziła, że go tu zastanie.

— Chciał zostać — szepnęła Łucja. — Ale przyjechali po niego z partii. Było polecenie, żeby zmienił adres. I teraz nie wiem, gdzie on jest.

Nie powiedziały sobie więcej. Po trzech dniach znowu przyszła. Piły herbatę z ziół i paliły papierosy, rozmawiając o Klemensie. Przychodziła coraz częściej, prosiła, żeby nazywać ją Martą. Z pokoju wślizgiwał się Staś. Siadał na skrzyni z węglem; słuchał, patrzył. Jego małe oczy potrafiły nagle cofać się w głąb, ku czemuś, co tylko on widział. Tak było w dniu, gdy oddał list Klemensa. Nosił go przy sobie prawie tydzień i nie chciał wytłumaczyć, dlaczego tak postąpił. List przyniósł jakiś kolejarz. Staś patrzył z uwagą na Martę. Obydwie z Łucją stały przy oknie, objęte, pochylone nad kartką Klemensa.

„Żyję — pisał Klemens ołówkiem — nie martwcie się o mnie. Dotychczas nie mogłem przesłać wiadomości. Zaniechajcie starań o zwolnienie. Piszę z transportu i nie wiem, dokąd nas wiozą."

Co mówił kolejarz? Dokąd ich wieźli? — Mówże! — krzyczała Łucja. Staś milczał. Nie odrywał oczu od Marty, siedział z wysuniętym łebkiem, smutny i jakby czegoś ciekaw. Gdy Marta mówiła: — Za parę dni na pewno napisze, gdzie jest i jak... — nagle powiedział: — W Majdanku. — Po wyjściu Marty miał dreszcze i gorączkę.

Drugi list nie nadszedł. Do wybuchu powstania nie dali znaku Klemens ani Zenon; Roman z żoną zostali na Pradze. Gdy w domu na Solcu zapłonęły strychy, trzeba było wyjść z miasta. Z Pruszkowa Łucję wywieźli pod Miechów. Był wrzesień, przyszedł październik, w polu wykopywano kartofle. Sołtys dał Łucji kwaterę: kąt w izbie zamieszkałej przez rodzinę z Warszawy. Staś dostał świerzbu, a potem krost. Budziło go swędzenie, w gwiaździste noce bał się wycia psów; musiała przy nim siedzieć i trzy-

mać go za rękę. — Nie widziałam życia przed sobą — mówiła później do Zenona — i mało z tego czasu pamiętam. — Zenon wrócił pod koniec lutego, zastał już Łucję na Solcu. Dom był od frontu spalony, w oficynie ocalał parter i pierwsze piętro. Klęczała w płaszczu, rozdmuchując ogień na cegłach pośrodku rozbitej kuchni, zasypanej gruzem i szkłem. Wszedł jakiś człowiek w narciarce wciśniętej na oczy i zaczął ściągać ośnieżony plecak, mówiąc: — Niech no mama wstanie.

Krzyknęła: — Klemens!

Ale to był Zenon, zmarznięty i głodny. Z Ems uciekł po bombardowaniu i przewędrował Niemcy aż pod Piłę, gdzie wzięli go do pracy w młynie. Schudł, uszy mu urosły, pytał o Romana. Kiwał głową, gdy mu tłumaczyła, że Roman z żoną wyszli z Pragi na Otwock w pierwszym dniu powstania; dotychczas nie wrócili. — Aha — przytwierdzał Zenon. Jadł łapczywie zupę, mówił: — Poszukam roboty — i potem znowu pytał, co z Romanem. Wreszcie usnął przy piecu kuchennym, z głową zwieszoną na piersi. „Mam już dwóch — myślała Łucja siedząc naprzeciw niego, także senna — jeszcze tylko Klemens i Roman."

Zdrzemnęła się, zbudziła, zaciągnęła chustkę na głowę, wzięła wiadro i torbę. W sąsiednim podwórku była studnia, a na Tamce sprzedawali koks. Wróciła po godzinie dźwigając pełne wiadro; koksu już nie dostała. Miał być nazajutrz w południe. Wszystkiego na raz nie zdążą rozebrać, trzeba tylko stanąć w kolejce od świtu, bo zawsze znajdą się tacy, co wcześniej zajmą miejsce, i inni, co kupią drożej, ale bez czekania.

Zrywała się po ciemku, biegła pustą ulicą wśród przezroczystych, wypalonych ścian, zdobywała węgiel, kartofle i chleb, taszczyła je do domu, łatała okna dyktą, szyła sienniki, kradła deski. Zenon dostał robotę na Pradze, przynosił papierosy, wódkę, z desek zbił łóżka i stół. Wieczorem popijali we dwoje, grzejąc się przy kuchni. Roman już wrócił, ale nie przyszedł do matki. W Warszawie był nowy rząd. Łucja słuchała wiadomości z gazet. Głos Zenona brzmiał nudno, czytał coraz leniwiej. Oczy jej się kleiły, myślała o Klemensie, czy jest jeszcze na świecie; żadnych nie było o nim wieści, pewnie zmarł. Życie zaczynało się jakby od początku, ludzie klecą je z desek i starych, zbielałych cegieł. „Odrąbany łeb faszyzmu" — pisało w artykule. Ale krzywda ludzka jest nie zagojona. Ze ściętą głową swego kata w dłoniach człowiek nie staje się szczęśliwszy.

W drugą niedzielę marca poszła ze Stasiem na Pragę do Romana. Siedziała pół godziny, Roman ziewał i wodził wzrokiem za żoną, Staś patrzył z uwagą na jej brzuch. Wypili po kieliszku wiśniówki, synowa mówiła do Łucji: „proszę pani". Roman pytał o Zenona, czy wstąpił już do partii. — Na co on czeka? — wzruszał ramionami — władza robotnicza mu się kłania. — O nowych kolegach mówił „towarzysze", twarz miał rumianą i gniewną. Łucja słuchała nie przecząc i nie potakując; potem westchnęła, zarzuciła chustkę, wzięła za rękę Stasia. Wracali z ludźmi przez drewniany most; śnieg zaczął padać mokrymi płatami, mostu pilnowali żołnierze w burych płaszczach. Staś szedł o krok przed Łucją, przebierając na ukos nogami, mały, drobny, z głową niespokojnie wysuniętą. Spieszył się, jakby węsząc, nie mogła za nim nadążyć, dopiero w bramie na Solcu przystanął. Zdziwiła się, co on tam raptem zobaczył. Podwórze było puste, białe, ciemny ślad na śniegu pro-

wadził ku oficynie, przed którą odwrócony plecami stał człowiek w futrzanej czapce. Czekał na coś z nogą opartą o kamienny stopień, przez ramię przewieszony miał chlebak.

Jak mało się zmienił. Kiedy zdjął kurtkę i czapkę, okazał się chłopcem w grubym swetrze, o wysokiej szyi i ciemnej, krótko obrośniętej głowie. Łucja gładziła jego rękę; uśmiechał się, szukał zapałek. Uśmiechał się połową ust, z boku brakowało mu zębów. O dawnych sprawach mówił niechętnie. Tak, najpierw był na Szucha, potem na Pawiaku. Stamtąd wywieźli go do Majdanka, gdzie do końca przebywał pod innym nazwiskiem. Milkł, słuchał opowiadań Łucji, pytał, co ludzie mówią o nowym rządzie; zamyślał się, prosty i poważny. Spostrzegła, że słuchając, lekko przekrzywiał głowę; oczy mu wtedy nieruchomiały, jakby od wysiłku czy wspomnienia, przez co robił się trochę podobny do Stasia. Potem pojęła, że źle słyszał. Ale nie śmiała go o to zagadnąć. W ukośnym, nieruchomym przegięciu, w zmartwiałym zapatrzeniu źrenic utrwalił się jego ból z tamtych dni, o których milczał. Wiedziała, że to już nie jest ten sam Klemens, chociaż tak samo wyglądał. Zapytał, czy dostali jego list z transportu; później nie mógł już pisać. Teraz pracuje przy Reformie. Wyjaśnił: — Dzielimy ziemię — i uśmiechnął się kątem ust. Rzadziej wspominał o partii niż Roman, raz tylko, mówiąc o Lewenie, rzekł krótko: — Jest członkiem Komitetu Centralnego PPR.

Przed zmierzchem wstał, poszukał kurtki. Nie, nie może nocować, dziś jeszcze ma być w Łodzi, z Pragi odjeżdża ciężarówka. Żegnał Łucję, jakby już z daleka, spojrzeniem spod futrzanej czapki. Po chwili widziała przez okno, jak wraca po swoich własnych śladach podwórzem ku bramie. Wtedy przyszło jej na myśl, że chociaż żyją wszyscy jej czterej synowie, straciła część każdego z nich; tak jakby zginął na wojnie piąty, nieistniejący.

6

Pierwszego Maja Wiktor Lewen stał na trybunie, w rozpiętym płaszczu, i unosząc nad głową starą, zniszczoną czapkę, pozdrawiał czerwone sztandary. Powietrze ogrzewało jego twarz, ziemistą, nie przywykłą do słońca, wiatr przegarniał krucze włosy. Obok niego mężczyźni w wojskowych mundurach salutowali tłum. Niektórych pamiętał z przedwojennych masówek, kilku — z więziennych spacerów. Wszystko się spełniło: uśmiechnięty człowiek na głównej trybunie jest synem ludu; żołnierze, robotnicy i chłopi idą ulicami miasta, oto brzmi ich stara, nieugięta pieśń.

Powierzono mu naczelną redakcję teoretycznego organu partii: kąt dużej izby na trzecim piętrze odrapanego domu, pod oknem materac, na którym spał. W izbie mieściły się trzy centralne instytucje, na parterze stołówka. Terminy powstania pisma wciąż zmienne, nie ustalone. Mały terenowy wóz ciskał go z powiatu na powiat. Przyjeżdżał nocą, budził rynki zakotwiczone w ciemności, wyrywał ze snu działaczy, stawiał na nogi komitety, zarządy, prezydia. Dzielona ziemia parowała krwią, z lasu szedł mrok, w suchym trzasku gruchotanych kości strach łamał rewolucję. Dwie, trzy doby bez snu, powrót przez puste, szarzejące przedmieścia, Warszawa. Konferencja organizacyjna w sprawie pisma. Przełożyć na inny dzień, nie będzie mogła się odbyć. Telefon od towarzysza Wierchy, dzwonił już wczoraj.

Twarz Grzegorza pochylona nad biurkiem, oczy bez uśmiechu, zbyt głęboko wbite pod brwi. Ten sam zamknięty, szczelny głos: co sądzicie o Z. — czy waszym zdaniem można na niego liczyć; jego przedwojenne kontakty; co mówił? Od czasu do czasu nieznacznie notował, kreślił na luźnym świstku, jakby szkicując czyjś profil. Nie wspominał o więziennych latach; ruchem dłoni wskazywał miejsce: — Usiądźcie. — Z góry wyznaczał skąpy krąg dialogu, w którym nie mieściło się ich dawne „ty". Lewen czuł skupione pogotowie myśli, ważył słowa. Ze ściany, sponad biurka, spoglądał nań człowiek z fajką. Lekko zwężonymi oczami patrzył jakby poprzez Grzegorza, wypełniając chwile milczenia swoim niepochwytnym, ocienionym uśmiechem. Wiedział o nich; byli zawarci w jego doświadczeniu; istnieli, działali na mocy dalekosiężnej władzy tych oczu, przenikających ludzi i czas.

W drugą rocznicę Manifestu partia wysłała go z Grzegorzem do P. Lewen przemawiał w niewielkiej sali. Wśród świateł i purpury stał na mównicy, wsparty o laskę; kość naruszona kulą bojówki, która wtargnęła do lokalu komitetu w Sochaczewie. Bladł w trakcie przemówienia, skończył rozbitym, wyschłym szeptem. Zszedł utykając, otoczyli go ludzie. Ściskano mu ręce, uśmiechał się. Grzegorz stał obok. — Pułkownik Wiercho — przedstawiał go Lewen. W nocy, kiedy szosowe światła wozu wygarniały z ciemności zadarte końskie łby, pomyślał: „Całe życie. Przez całe życie pragnąłem tego dnia". Chciał to powiedzieć głośno. Zwrócił się do Grzegorza, odszukał wzrokiem jego twarz. Nagle odniósł wrażenie, jakby się o coś potknął. Samochód wyskoczył z asfaltu na potłuczony bruk, kierowca zaklął. Szorstki głos Grzegorza: — Zmniejszcie gaz. — Lewen poczuł ból w nodze. Przymknął oczy i rzekł:

— Nie wyszło mi, mówiłem rzeczy niepotrzebne. Jak sądzicie?

Rynek, spalony kościół. Reflektory wymiotły z jezdni zabłąkanego psa. Znowu asfalt.

— Powinniście przygotowywać swoje przemówienia — odparł Grzegorz. Przez resztę drogi milczeli.

W powyborczym artykule nowego pisma Lewen ostrzegał przed tworzeniem sztucznych przegród między członkami partii. Tytuł *Sugestie wroga.* Używając formy „w pewnych kołach się sądzi..." wycinał z siebie ostatnie wahania indywidualisty, przedstawiał w obiektywnym świetle źródła podziałów i zwątpień. Artykuł uznano za programowe uderzenie w podskórną działalność WRN. Telefon z wysokiego szczebla: gratulowano mu pryncypialności.

Trzymał jeszcze dłoń na aparacie. — Przepraszam — wyjaśnił — redakcyjna sprawa. — Spostrzegł nieruchome przechylenie jego głowy. Gabinet pachniał świeżym tynkiem, w luce rusztowania szarzał zmarznięty trawnik. Dwa lata, ostatni raz w 1945. W parę tygodni po wyjściu Niemców odnaleźli się na wojewódzkiej naradzie aktywu Reformy. Wyziębła, źle oświetlona sala, ludzie w kurtkach i płaszczach. W głębi, pod ścianą ktoś się podniósł; szare, trochę nieśmiałe oczy. — Klemens — wzruszył się Lewen. Od razu przeszli na „ty". Zdążyli zamienić kilka słów: matka żyje, nie zginął żaden z braci. Grupy agitacyjne z narady wyruszały w teren. Mieli się odszukać po powrocie. W miesiąc później kartka pozostawiona w redakcji: „Byłem, nie zastałem. Za tydzień dam znać". Potem notatka sekretarki: „Telefonował towarzysz Król". Przyjechał na jeden dzień, musiał wracać do Łodzi.

— Mijaliśmy się — mówi Lewen. Szuka sposobności, żeby wspomnieć o swej wizycie na Solcu. — Chciałem zobaczyć twoją matkę. — Nikt nie otworzył. Czekał, chodził po podwórzu. Nikt nie nadszedł.

Przysuwa mu papierosy. Klemens wyciąga rękę. Ma pilne, uważne ruchy, powolny, niski głos. Skórzana wiatrówka, sweter wywinięty pod szyją. Klemens Król z zadymionej kuchni na Solcu. Przyjechał z Łodzi zdać sprawę z ubiegłych lat. Na Szucha bili go kauczukiem w brzuch. Kłamał albo odmawiał odpowiedzi, upierał się przy nazwisku Skawa. Jan Skawa. Nie chcieli wierzyć. Zemdlał podczas czwartego przesłuchania. I wtedy, w zemdleniu, usłyszał swój głos. Głos krzyczący adres podpunktu „Agaty".

— Słuchajcie — mówi — słuchaj, to nie była prawda, ja milczałem. Mój głos odezwał się tylko we mnie. Ale kiedy mnie stamtąd wynieśli, nie byłem pewny. Musiałem z tym przeżyć trzy dni.

Powtórzył: — Trzy dni — i spojrzał na Lewena jakby nadsłuchując, z głową przechyloną na bok i cofniętą. Dopiero po trzech dniach wzięli go na kolejne przesłuchanie. Pytali o to samo. Zaczęli go tłuc, pytając o to samo! Przyjmował uderzenie po uderzeniu jak niespodziane szczęście, jak wolność. Za każdym ciosem kauczuku coraz lepiej rozumiał, że nie sypnął i że jego głos odezwał się tylko w nim.

— Chciałem to powiedzieć — skończył krótko.

Czekał. Dorzucił, że „Agaty" nie aresztowali, podpunkt był czynny do powstania.

Lewen wie o takich wypadkach. Górny pułap bólu przenika do podświadomości, potem na ogół odporność się zwiększa. Za jego czasów bito również pasami o mosiężnych klamrach, związanymi po trzy. Uśmiechnął się:

— Wiedziałem, że wytrzymasz.

Zmienił temat. Więc szkoła partyjna, znakomicie, nie zaszkodzi trochę teorii. Przeszedł do wspomnień z Solca. Teoria w sinych obłokach machorki, nocne rozmowy, Kogut... Tak, Kogut by się teraz przydał.

Spojrzał na zegarek: jeszcze kwadrans, o dwunastej konferencja w Instytucie. Chętnie przesiedziałby z nim noc, jak wtedy, w bezmiarze wojennego czasu. „Jest nasz — pomyślał — tacy nie odchodzą." Czuł znużenie całej twarzy, brak snu. Pochwycił nowy akcent w jego głosie. O czym mówił? O ludziach, których się odtrąca.

— Są między nimi dawni więźniowie gestapo. Kilku znam z obozu.

Lewen wie i o takich wypadkach. Wstaje, wychodzi zza biurka. Mówi:

— To dobrze, że tu jesteś, że przyszedłeś.

Spotyka jego wzrok, wzrok tych, którzy chcą być przekonani; zna wyczekujące i wierne spojrzenie nadziei, przypomina mu się twarz Łucji, gdy przyszła go ostrzec przed policją. Dziesięć minut. Czuje krótki niepokój i zaczyna mówić. Mówi o zaufaniu do partii. Chodząc po przekątnej gabinetu, wstępuje niby po stopniach na platformę swego artykułu, który ma jeszcze w pamięci. Pięć minut. Telefon sekretarki.

Przytrzymał jego rękę: — Powiedz matce, że w pierwszej wolnej chwili...

Klemens śmiejąc się dotyka kieszeni wiatrówki. Przed samym wyjazdem dostał list. Matka przesyła pozdrowienia.

„...Nic nie wiem, co się z tobą dzieje, tak rzadko przyjeżdżasz. Roman był w zeszłym tygodniu i mówił, że się ożeniłeś. Z początku nie chciałam wierzyć, bo czy to możliwe, żebyś nie zawiadomił? Ale teraz myślę, że pewnie tak jest. W twoim życiu nie ma już miejsca dla mnie, tylko na to, coś wybrał. Matki nie wybierałeś. Ważniejsze, abyś miał dobrą żonę. Powiedz jej, że chętnie widzieć ją będę u siebie, tak samo jak wtedy, gdy przychodziła podczas Twojego uwięzienia. Nocleg się zawsze u nas znajdzie. Dotychczas nikogo nie dokwaterowali, chociaż chcieli. Ale Zenon ma znajomego w kwaterunku, więc przyniósł zaświadczenie, które przybiłam na drzwiach. Romana córeczka skończy niedługo dwa lata. Odpis trzymam w szufladzie, bo z drzwi mogą zerwać. Roman pracuje w Zakładach 22 Lipca, dali mu premię i order. Staś wyrósł, tylko nie wiem, kiedy odrabia lekcje. Ludzie mówią, że ma się teraz zmienić. Byleby gorzej nie było jak dotąd. Myślę z zadowoleniem, że was wychowałam, co było moim obowiązkiem. Może będziecie mieli lepsze życie od waszego ojca. Czytałam w gazecie, że doktor Lewen przemawiał w nowym Sejmie. Może go gdzie zobaczysz. Oddaj pozdrowienia i powiedz, że zawsze o nim pamiętam."

Mieszkała z Zenonem i Stasiem. Zenon źle zarabiał. W niedzielę przychodził Roman. Kłócili się. Wódka łatwo szła im do głowy, czerwienieli, nachyleni ku sobie nad stołem, przekonywali się ciężko i niezdarnie, wytrzeszczając niebieskie oczy i niemal zderzając się czołami. Zenon mówił: — Ja nie chcę cudzego, mam fach. — Cudzego? — szydził Roman. — Co jest cudze? To, co ci zagrabili? — Wymieniał na palcach zdobycze socjalizmu: ziemia i fabryki własnością pracujących, powszechne nauczanie, proletariat rządzi. — Ja nie chcę rządzić — ryczał Zenon — mną niech dobrze rządzą! — Brał Romana za klapę granatowego garnituru w paski i mówił: — Ciebie kupili.

Czasem tak ich zastawał Cyga. Utył, był duży i tłusty. Miał młodą żonę. Rozpinał futrzaną kurtkę. — Zdycham — oznajmiał tocząc wzrokiem — socjalizm ze mną wygrał. — Roman nalewał mu kieliszek — rozpoczynali spór. Łucja słuchała sennie: — Przemysł komu oddany? Robotnikom. Ziemię kto przejął? Chłop. — Cyga bił pięścią w stół. — Za to gadanie dali ci order? — Miał krwawe oczki. Ukradkiem wynosiła wódkę.

Z Klemensem pokłócili się na trzeźwo. Było to w parę tygodni po wyborach. Przyjechał w sobotę, zanocował. W niedzielę po obiedzie Zenon wyszedł do miasta. Z Pragi przyszedł Roman. Łucji wszystko się pomieszało: Roman rozmawiał z Klemensem inaczej niż z Zenonem i Cygą. — Co się właściwie zmieniło? — pytał wybałuszając oczy. Klemens chodził po kuchni. Tłumaczył mu cierpliwie, z namysłem. Roman słuchał, czasem nawet kiwał głową. A później znów się upierał, jakby na przekór sobie: — Raz ci trzymają za mordę, raz tamci. — Milcz — powiedział Klemens. Przystanął, zdawało się, że go uderzy. Potem wyszedł. Roman posmutniał, strzepnął pyłek z granatowego rękawa. — Kupili go — mruknął.

Nie rozumiała, dlaczego tak się kłócą. Czas ich nie jednał. Przez tygodnie, miesiące dręczyli się nawzajem. Było to nowe cierpienie, którego przedtem nie dostrzegła. Tkwiło w nich samych, ale nie chcieli się go wyrzec. Nie potrafiła im pomóc. Sądziła, że o życiu nie można za dużo wiedzieć. Wierzyła w Boga, który rządzi, nie dając pewności. Władza na ziemi czyniła tak samo. Kobiety w sklepach utyskiwały na życie i rząd. Zawsze tak było, odkąd

pamiętała. W piwnicy wśród rupieci znalazł się stary podręcznik historii, z którego kiedyś uczył się Klemens. Łucja przeczytała kilka stron. W zimie, gdy Zenon wcześniej szedł spać, lubiła siedzieć nad książką. Podręcznik opisywał dawne czasy. Imiona wodzów, cesarzy i świętych myliły się jej z miejscami igrzysk i bitew; odgadywała w nich jednak tę samą daremność, co w kłótniach swoich synów. Chętnie by o tym pomówiła z Klemensem, bo Zenon nie chciał jej słuchać. — Najlepiej — powiedziała kiedyś — w ogóle nic nie chcieć. — Mama filozofuje — kręcił głową Zenon. Zdjęła okulary i zamyśliła się. Zenon ziewał. Zawsze wieczorem ziewał. Nie żenił się, pił. Żarło go szczęście Romana. Roman podobno męczył ludzi w fabryce. — Nowe metody pracy — drwił Zenon — rekordzista. — Łucja zastanowiła się nad tym. Tak już widać jest: człowiek może coś zmienić tylko męcząc innych; albo gdy inni zamęczą jego. — Jak Stalin — powiedział nagle Staś, który przysłuchiwał się uważnie — i Pan Jezus. Spojrzała na niego ze strachem. Zenon zaczął się śmiać.

Roman przyszedł pewnego dnia z orderem w klapie marynarki. Miał dziwną minę, nie chciał pić. — Dużo teraz się zmieni — twierdził — partia oczyszcza szeregi. — Było to latem. W grudniu przyjechał Klemens z żoną. Inaczej uczesana; w obcisłym, popielatym kostiumie wyglądała jak chłopiec o długich włosach. Klemens milczał. Po godzinie wstał: — Muszę już iść.

Czekała na niego chodząc dokoła stołu. Zatrzymywała się przy oknie; strząsając popiół na parapet, patrzyła spod wąskich brwi ku bramie. Potem znów zaczynała swój niespokojny spacer, w płytkich, źle oczyszczonych pantoflach, z lewą ręką pod łokciem prawej, z ciągle gasnącym papierosem.

Klemens wrócił o zmierzchu. Zapalił światło, stał w drzwiach. Łucja zostawiła ich samych. Siedząc w kuchni nad podartą koszulą Zenona, myślała: „Nic o nich nie wiem, nie potrzebują mnie. Obcy ludzie powiedzą mi o tym, co ich spotka".

W nocy słyszała, jak Klemens pyta szeptem:

— Nie śpisz? Już późno.

Nocowali we dwoje na jej łóżku, Staś spał z Zenonem w kuchni. Łucja leżała na wznak, z otwartymi oczami, wsłuchana w ciemność. Szelest pościeli i stłumione, ledwie dosłyszalne słowa:

— Dlaczego cię o to pytali?

— Nie wiem.

Czuła gorąco ich ciał, pewnie splecionych ze sobą. Bała się poruszyć na składanym, twardym łóżku Stasia, żeby nie usłyszeli bicia jej serca.

— Postaraj się zasnąć — mówi Klemens. Ucichli. Potem zagrzechotały zapałki. To ona. Znowu paliła. Westchnęła:

— Boję się czegoś. — Jej szept zabrzmiał wyraźniej i bliżej, ale słów nie można rozróżnić.

— Nie — odparł jakby ze zmęczeniem — on już wtedy nie żył.

Łucja przymknęła oczy. Wydało jej się, że wszystko jest ciemnością, w której rozlega się bezsilny głos Klemensa.

Przez chwilę leżeli cicho. Powiedział: — Nie myśl o tym, zaśnij.

— A ty — szepnęła — ty też nie zasypiasz.

Z podwórza doleciał łoskot bramy, którą zatargał wiatr. Na pierwszym piętrze ktoś otworzył radio. Potem znowu cisza.

— Dawniej — odezwała się — myślałam, że cię nie kocham. — Umilkła, słychać jej oddech. — Och tak, Klemens — powiedziała nagle wysokim, niecierpliwym głosem.

Były partyzant Lutyka. Mały, żylasty, jakby złożony z samych nerwów i ścięgien. Delegat KC ma ułatwione zadanie: Lutykę oskarżają najbliżsi przyjaciele. W lipcu 1947 nazwał kolektywizację wsi „utopią importowaną ze Wschodu". Wyrażał nieufność wobec Kraju Rad. — Zdradzał — oświadczył jego wychowanek i podkomendny z czasu partyzantki — ustępliwość wobec wroga. Atakowałem go o to. — Oskarżyciele przemawiają w ciszy, nie patrząc na Lutykę, który siedzi naprzeciw delegata, po drugiej stronie stołu pokrytego szkarłatnym suknem. Uszy mu drgają, słucha sprężony i czujny jak świstak. Kilkokrotnie chciał przerwać, raz krzyknął: — Człowieku, zastanów się! — Potem zabiera głos. Nie chce uznać swych błędów. — Towarzyszu Lewen — zwraca się do delegata — pracuję dla rewolucji od piętnastu lat... — Kręci czarną, przypłaszczoną głową, niby rozglądając się za czymś, i przyciska ręce do piersi. Następna fala zarzutów.

Dopiero w trzecim przemówieniu Lutyka rozbroił się przed partią. Stał pobladły, z boleśnie wygiętymi ustami. Powiedział: — Przemyślę swoje błędy, towarzysze. — Ludzie siedzący wokół stołu mieli szare twarze i ręce o brudnawym odcieniu, jak po nocy spędzonej w malignie.

Nie było niewinnych. Każdy zabierał głos, by zniszczyć w oskarżonym swoje własne myśli. Ludzie, przeciw którym kierowano zarzuty, stanowili eksponaty zbiorowych win. Nie rozumieli tego i bronili się nieumiejętnie. Lewen wstawał, prosił o głos. Gdzieś siedział człowiek, którego w tym dniu sądzono. Lewen znał jego błędy, ponieważ znał siebie. Nie patrząc nań — tak jak w pewnych momentach nie patrzy się w lustro — wytykał mu swoje wahania i słabości, w nim się osądzał. Potem tego człowieka usuwano z partii. Przyjmował wyrok z osłupieniem, zwracał legitymację. Nie o niego szło. Głosując za usunięciem — każdy usuwał z siebie złą część swoich myśli: on, usunięty, był jej nosicielem.

— Macie zmęczoną twarz — mówił Grzegorz — przydałby się urlop.

Spotkali się w bufecie sejmowym podczas przerwy w sesji. Kilka nieprzespanych nocy, tłumaczył Lewen. Poza tym czuł się pod każdym względem dobrze. Grzegorz zapytał:

— Ile potrzebujecie snu?

Lewen uśmiechnął się: potrzebował snu bez snów, czarnego, więziennego snu.

— Moja norma: cztery godziny — rzekł Grzegorz. — Przyzwyczaiłem się do tego w partyzantce.

— Wszystko zależy od przyzwyczajenia — zauważył Lewen. — Czy miewacie sny?

Poczuł na sobie jego zdziwiony wzrok. Nigdy nie widział go śpiącym. W więzieniu, kiedy się budził, Grzegorz już nie spał: w spokoju oczekiwał pośrodku celi nadchodzącego dnia.

Znowu głos Grzegorza.

— Słucham was. — Lewen drgnął na dźwięk nazwiska.

Zna go, oczywiście. Zna go od wielu lat. Najcięższy okres wojny przeżył w mieszkaniu jego matki.

— To nasza świeża krew — mówi z uśmiechem. — Wychowany przez partię. Wiecie, że przeszedł śledztwo na Szucha?

Grzegorz pochylił głowę. — Czołem, pułkowniku — rzuca ktoś przechodząc między stolikami. Ze smakiem wystygłej kawy w ustach Lewen patrzy na serwetę pokrywającą stół.

— To znaczy: zwolniony z gestapo?

— Nie — wyjaśnia Lewen. — Osadzony w obozie. Był więźniem Majdanka.

Czekają, aż odejdzie kelner z rachunkiem. Grzegorz powoli chowa portfel. Mówi półgłosem, bez nacisku:

— Niedawno powoływał się na was w Komisji Kontroli.

To wszystko? — próbuje odgadnąć Lewen. Spokojny, pyta z lekkim wzruszeniem ramion o sprawę, w której się nań powołano.

Po raz drugi znajome nazwisko. Nazwisko czy pseudonim. Krótko mówiąc, Kogut. Okoliczności jego śmierci? Zdaje się, że komuniści w tym czasie nie umierali na skręt kiszek. Podobno zastrzelili go Niemcy. Cóż dalej? Grupa „Zjednoczenie"? Owszem, pamięta: jedna z grup działających podczas okupacji, związana z delegaturą...

— Nie tylko z delegaturą — przerwał Grzegorz. — Są pewne dane, że mieli wtyczki w partii. Słuchajcie, Koguta nie zabili Niemcy.

Przygląda się Lewenowi.

— Prawdopodobnie słyszycie o tym po raz pierwszy.

— Tak — odparł Lewen.

— To zrozumiałe. W waszej ówczesnej sytuacji. — Znowu przymknął oczy jakby usiłując coś sobie przypomnieć. Dorzucił: — Okoliczności jego śmierci nie są jasne.

Milczą. Lewen podniósł głowę. W oczach Grzegorza napotkał wyraz uwagi i — jak mu się przez chwilę zdawało — szczególny, zimny błysk wspomnienia.

## 7

O aresztowaniu Klemensa Łucja dowiedziała się od Romana. Tego dnia poszła do szkoły zapytać o naukę Stasia. Ściskając w rękach torbę słuchała nowin o swym najmłodszym synu. Jest zdolny, w zeszłym roku był jeszcze pierwszym uczniem. Bardzo lubiany przez kolegów. Nauczycieli jednak zawsze niepokoił. Czym? To trudno określić. Czasem siedzi na lekcjach jakby nieprzytomny i uśmiecha się do siebie; zapytany, nie chce odpowiadać. Raz odpowiedział ordynarnie, potem przepraszał i płakał. A w godzinę później mówił kolegom, że jeśli mu się zechce, to napluje w twarz nauczycielowi. Po całej szkole krążą jego wiersze. Chłopcy za nimi przepadają: wszystkie o śmierci albo o miłości. — Pewnie je pani czytała? — Nie — szepnęła Łucja. Nauczycielka była młoda, miała okrągłą, rumianą twarz. W tym roku zaniedbał się w nauce, może przez częste choroby. Teraz znowu opuścił trzy tygodnie. Czy prędko wyzdrowieje? Co powiedział lekarz?

Patrzyła na Łucję zakłopotanym wzrokiem: — Ja wiem, że ojca nie ma. To pani utrzymuje dom?

Łucja przyciska torbę, szybko zbierając myśli.

— Starszy syn — odparła po chwili. — Ale teraz wszystko podrożało. Syn niedużo zarabia.

— Rozumiem — westchnęła nauczycielka — coraz trudniej związać koniec z końcem.

— Tak — zgodziła się Łucja. — Od lata trochę mu pomagam. Biorę bieliznę do prania. Przez to mniej czasu mam dla dziecka.

Wyszła z początkiem pauzy, wśród tupotu i gwaru. W domu umyła twarz, wstawiła wodę i zaczęła obierać kartofle. Skrobiąc je śpiesznie i wprawnie szczerniałym, ułamanym nożem, czuła przypływające do głowy uderzenia krwi. Zasłaniała wówczas oczy wierzchem lewej ręki, nad brwiami i górną wargą osiadał jej drobny, gęsty pot. Jej syn okazał się fałszerzem, czekała teraz na jego powrót. Targana na przemian rozpaczą i pasją, jęczała na myśl o pisemnych zaświadczeniach, które wysyłał do nauczycielki: „Zawiadamiam, że syn mój, Stanisław, z powodu choroby..." Słał je uprzejmie z niewiadomych miejsc. Co dzień wychodził z teczką i ze śniadaniem przygotowanym przez matkę, za co się odwdzięczał umieszczając jej zakręcony podpis: „Z szacunkiem, Łucja Król". Niech tylko wróci, myślała z furią. Skatuje go, wypędzi z niego kłamstwo!

Rozległo się pukanie. Poczerwieniała, otarła ręce o fartuch i poszła otworzyć.

Roman nigdy nie przychodził o tej porze. Usiadł przy stole w kuchni. Pytał o Zenona. Zenon nie wrócił jeszcze z pracy, tylko go patrzeć.

— Stało się co? — spytała odgarniając kosmyk włosów znad ognia. Z kuchni buchał żar, znowu zrobiło jej się duszno. Musiała usiąść i zapleść dłonie na oczach.

— Kiedy?... — mruknęła — kiedy?

— Już parę tygodni — powiedział Roman. — Co mamie?

— Nic. Zaraz przejdzie. — Siedziała z przymkniętymi oczami; pasma włosów przylepiły jej się do czoła.

— Może go zwolnią — zastanowił się — przecież to ich człowiek. — Ocierał chustką obrzmiałą twarz.

Mówił, że teraz już go nie wysuną na przewodniczącego rady zakładowej.

— Będę go miał w ankiecie do usranej śmierci. — Dźwignął się, duży, rozrosły w biodrach, tęższy od Zenona. — Niech no mama nie płacze — prosił gładząc jej ramię — czy ja go nie żałuję? Przecież to Klemens, mój brat. Mnie tylko cholera bierze. Człowiek chce się wybić. Co ja mam w życiu? Pracę i zebrania. Przedtem byłem sobie Romek Król. Gorsi ode mnie poszli w ministry. Ja byłem przez te lata wierny pies dla partii. Mnie już nic nie zabawi. Mama tego nie zrozumie. Ale jak spadnę, to każdy mnie kopnie, wie mama? Tak już jest.

Umilkł i patrzył w drzwi. Potem przyszedł Zenon. Dała im po talerzu krupniku. Zenon dmuchał i syczał:

— Wykończą jedni drugich.

— Za nic to nie wsadzają — twierdził niepewnie Roman — on chyba musiał w coś wleźć.

Zenon odrzucił łyżkę.

— Idź — cedził cicho — donieś na mnie. Na niego też ktoś doniósł.

— Uspokój się, Zenek — mówił Roman. — Co ja jestem, nie człowiek? Bydlę? Nas jedna matka rodziła. Ciebie, Klemensa i mnie.

— Tak — szepnął Zenon, stojąc odwrócony plecami, przy oknie — matka. Spójrz na nią. Zobacz no, jak jej dogodzili.

Jak zawsze w takich chwilach, wpierw poszła do kościoła, a potem zaczęła rozmyślać. Pragnęła coś zrozumieć, szukała jakiejś nadziei. Nie zwracała się do Boga, lecz do praktycznych możliwości. Jak to teraz jest? — myślała — za co skazują i na ile? Wiedziała, że policja nie nazywa się już policją, a ludzi się oskarża o dawniej nie znane zbrodnie. Nic nie mogła wymyślić. Wszystko się zmieniło. Przed wojną było wiadomo, gdzie człowiek ma prosić o łaskę, gdzie żebrać, kogo przekupić. Teraz wszędzie używano nowych słów, stare nazwy zastąpiono innymi, w urzędach siedzieli mężczyźni młodsi od niej. Poruszała się w tym świecie jakby po omacku. Tylko w ogonku po mięso, słuchając rozmów kupujących kobiet, czuła się na swoim miejscu. Od kobiet dowiedziała się, że przesłuchują na Koszykowej, po czym przewożą na Mokotów. Pisać ani zobaczyć nie można. — Jak ukradł albo zabił, to pół biedy — mówiły — najgorzej tym, co należeli gdzie indziej. — Ale Cyga, który przyszedł w parę tygodni później, był innego zdania. — Jak należał gdzie indziej, to z Bogiem sprawa — twierdził. — S w o i m nie przepuszczają. — Tego nie potrafiła zrozumieć. Jak to? — marszczyła brwi — dla swoich jest się najlepszym. Czy nie mówiono „swój do swego"? Klemens z nimi przyjechał z Lublina, razem robili tę Polskę. — Kobieto — sapał Cyga — nie męcz mnie. To nie na nasze głowy. Lepiej było urodzić się koniem. — Zlikwidował firmę i nosił się z zamiarem kupienia taksówki. Jego młoda żona potrzebowała pieniędzy, szukał spokoju u Łucji. Po trzech kieliszkach wytaczał pretensje: odepchnęła go, wzgardziła jego ręką, a teraz byliby szczęśliwsi. W głębi duszy przyznawała mu odrobinę racji, mimo iż do szczęścia i tak by wiele brakowało. — Daj pokój — wzdychała — co tam odgrzewać stare sprawy. — Milkł, nieco urażony, brała od niego „Sporta", a on — jak dawniej — nalewał dwa kieliszki. Lubił patrzyć, jak prostuje plecy nad balią i jak zaciąga się dymem papierosa, którym ją poczęstował; dym mieszał się z mydlaną parą. Ramiona miała jeszcze pełne, o różowych łokciach, i ciało chyba młode. Twarz tylko obciosały lata. Tak, proste bruzdy koło ust i duże, szerokie kości policzków, a zwłaszcza oczy, te same, lecz głębiej uwięzłe w cieniu powiek. Nie liczył jej siwych włosów, bo były prawie niewidoczne w krótkiej, ciemnopopielatej gęstwie opadającej na brwi. Gdy przysiadała na chwilę i unosiła kieliszek pod światło, przyglądając mu się posępnie z przyjacielska, badawczym i trochę drwiącym wzrokiem, Cyga podnosił również swój i przytknąwszy szkło do szkła, mówił z zadowoleniem: — Nasze zdrowie, Łucjo. — Zawsze był ciekaw tej kobiety, a im dalej w lata, tym mniej ją rozumiał. Lub przez nią mniej rozumiał swoje życie. I może to, to ją w jego oczach ozdabiało.

Klemens nic nie napisał. Zenon pojechał w którąś niedzielę do Łodzi. Widział się z jego żoną. Wrócił kwaśny, zziębnięty. Grzejąc się przy kuchni odpowiadał na pytania Łucji. Pokój Klemensów niewiększy był od tego

pieca. Tapczan, krzesło i stół. — Goło i smutno — mówił Zenon. — Żeby jaki obrazek. Tak, wisi jedna fotografia. Wie mama kto? Słoneczko.

Śmiał się do siebie gorzko, kręcąc głową o dużych, odstających uszach. Opowiadał, że Marta z początku nie chciała z nim rozmawiać. Wierzyła w winę Klemensa. Partia nie oskarża bez podstaw; musieli go wplątać podczas konspiracji, sam pewnie o tym nie wiedział. Ale teraz, gdy oczyszcza się ideologię, każdy ponosi odpowiedzialność za to, w czym brał udział lub czemu nie przeszkodził. — To Klemens — mówiła Zenonowi — uczył mnie zaufania do partii. Wy tego nie potraficie zrozumieć.

— Nie, ja tego nie rozumiem — przyznawał ponuro Zenon. — Ludzie, ludzie, co z wami zrobili. Jak świat światem, kiedy aresztowali chłopa, baba wołała: niewinny! A teraz, mamie powiem, im dłużej myślę, coraz mniej pewności. W tym coś może być. Co my wiemy? Zawsze wychodziło inaczej, niż człowiek chciał. Może oni mają swoją rację?

Patrzył na Łucję trochę lękliwie.

— Każdy ma swoją rację — odparła. — Ja nie mam obowiązku wszystkiego rozumieć. To mój syn. O niczym innym nie chcę wiedzieć.

Zenon pochylał głowę. Garbił się i z cichym trzaskiem wyginał złączone palce obu rąk.

— Pewnie tak jest — przytwierdzał. — Mama wie, co mówi.

Nieprawda. Nie wiedziała, czy to, co mówi, jest słuszne. Nie znała praw, nie znała postępków Klemensa, nikt jej nie przedstawił aktu oskarżenia. Zachodziła w głowę, co mógł uczynić złego: zabić? oszukać? ukraść? To niemożliwe — myślała — Klemens by tego nie zrobił. Lecz kiedy indziej zdolna była stwierdzić wobec samej siebie, że uczciwy człowiek może każdą z tych rzeczy popełnić, przychodzą takie dni. Teraz ponadto przybyły nowe winy. Według nowych praw sądzono ludzi za wykroczenia dawniej nie spisywane.

Zmieniło się. Zło było inne niż przedtem. Z rzeczy, których się bała przed wojną, teraz nie groziła jej żadna. Komorne niskie, dach nad głową pewny, ludzi nie wyrzucano na bruk. Zenon mało zarabiał, musiała mu pomagać; na zupę, kartofle, chleb — starczyło. Przyznawała słuszność Romanowi, gdy wyliczając na palcach to, co stało się lepsze, zostawiał sobie na koniec gruby, spłaszczony kciuk: — Moja córka może być lekarzem? A dawniej by mogła? — Dawniej by nie mogła. Zmieniło się. Dawniej dziewczyny szły na służbę, a teraz na uniwersytety. Dawniej było więcej rozpaczy, teraz więcej złości. Romana w fabryce chcieli pobić, bo podwyższył normę. Zenon nie lubił swojej pracy, mimo że mu za nią płacili. Kiedy się upijał, klął, że wszystko jest kłamstwem. Za dużo, żeby zdechnąć — za mało, żeby żyć. Czas wyjął mu z pamięci, co było przedtem złe; gdy pisano o tym w gazetach, wpadał w gniew. — Tego, co było, nie ma — mówił — niech piszą o tym, co jest. — Przeklinał tramwaj i ogonki, kary za spóźnienia, donosy i cudze kariery, i limuzyny urzędników. Nienawidził życia, siebie i Romana, swych oszukanych nadziei i głosu spikera w radioodbiorniku, a wymawiając słowa „lud" czy „wolność", wzgardliwie wykrzywiał usta. Schudł, zszarzał. Nie chciał nikomu wierzyć. Łucja próbowała dodać mu otuchy: — Masz dwa ubrania i całe obuwie, nie nocujesz pod mostem. Czego ci brak? — Wtedy zrywał się z krzykiem. Niech go zostawi

w spokoju. Jeśli ją Roman przekonał, że wszystko jest tak, jak powinno być, jeżeli czuje wdzięczność, że jej syn gnije w więzieniu, proszę, niech napisze do radia list z podziękowaniem, niech wstąpi do partii! Wybiegał, trzaskał drzwiami i wracał milczący. Cierpiała, że mógł ją posądzić o nieczułe serce. Klemens był w każdej jej myśli, przychodził z pierwszą chwilą snu. W Zenonie żal pomieszał się z goryczą. Nie trudno było odgadnąć: czułby się trochę zawiedziony, gdyby jutro zwolnili Klemensa.

Wszystko to zdawało się dziełem diabła. Więc znowu zwracała się do Boga, aby nazajutrz o Nim zapomnieć. I coraz częściej tęskniła za ostatnią chwilą. Wtenczas przypominała sobie wiersz Stasia. Nazywał się *Moja śmierć*. Znalazła go wśród zeszytów i przepisała ołówkiem w książce z rachunkami:

Śmierć
odgina mi głowę,
ale umrzeć
nie mogę.
Zmiłujcie się,
Mamo! Boże!
pierś moją
niech ludzie otworzą.
Niech serce
mi z niej wyjmą,
odpocznę — zmęczone dziecko.
Będzie mi cicho, lekko.
Będzie mi biało, zimno.

Rozumiała znaczenie tych słów; domyśliła się, że mówią o wysiłku i uldze konania. Ogarnął ją wstyd. Co się stało, czemu był nieszczęśliwy? Znów poszła do nauczycielki. Uczył się dobrze, przestał opuszczać lekcje. Należał do ZMP, mimo iż niedawno groziło mu usunięcie. Nauczycielka mówiła półgłosem, spoglądając na zaśmieconą posadzkę korytarza. Tak, w związku z aresztowaniem brata. Koledzy postawili tę sprawę na zarządzie koła. Chcieli, żeby Staś publicznie się wypowiedział jako zetempowiec. — Młodzież jest okrutna — szepnęła. Staś oświadczył, iż przestał uważać Klemensa za swojego brata. Po czym pozostał nadal członkiem szkolnego zarządu.

Gdy wrócił po lekcjach do domu, spytała go, czy to prawda. Przesunął po niej spojrzeniem spod ładnych, cienkich brwi. Czekał zaciekawiony. Dostał w twarz i uśmiechnął się. — No nie — pomacał szczękę — to granda. — Wówczas lewą ręką chwyciła go za włosy, prawą bijąc na odlew, krzycząc, że wyparł się brata, i przeklinając jego podłość, jego fryzurę, jego wiersze. Raptem wyrwał się jej. Zobaczyła przybladłą twarz o złej, skróconej wardze: — Tylko spokojnie — syknął.

Przystanęła, kręciło jej się w głowie. Staś nie spuszczał z niej oczu. Znów był zdziwiony, współczujący.

„Ja, niżej podpisana Łucja Król, zamieszkała przy ulicy Solec w Warszawie, zwracam się z prośbą do Obywatela Prezydenta w sprawie syna mojego, Klemensa, siedzącego w więzieniu. Wina jego jest mi nieznana. W prokura-

turze dali odpowiedź, że śledztwo nie zamknięte. Nie wiem, gdzie on obecnie przebywa. Matki o tym nie zawiadomiono. Podaję do wiadomości Pana Prezydenta, że syn mój należy do partii. Siedział na gestapo i w Majdanku. Po wojnie dzielił na wsi ziemię, potem był w szkole partyjnej w Łodzi. Prócz niego mam trzech. Dwóch starszych pracuje w fabryce. Trzeci, najmłodszy, chodzi do gimnazjum i w przyszłym roku zda maturę. Przeszłam w życiu niejedno, żeby ich wychować, i wiem, co to jest bieda. Podobno prostym ludziom ma się teraz polepszyć. Więc czemu spotkała mnie krzywda? W przekonaniu moim syn mój został oskarżony niewinnie. Nic złego nie mógł uczynić. Zwracam się do Obywatela Prezydenta, by przez pamięć swej matki, pewnie już nie żyjącej, wejrzał w nasze zmartwienie i wyjaśnił tę niesprawiedliwość. Na okoliczność tyczącą się syna mego, Klemensa, dać może świadectwo poseł Wiktor Lewen, także członek partii. Łucja Król."

— Nie — odpowiedział Lewen — nie wniosę do tej sprawy nic nowego. O jego kontaktach nic mi nie wiadomo. Pracował z Kogutem. Chcecie wiedzieć, co myślę? Myślę, czy aresztując go postąpiliście słusznie.

Towarzysz z teczką siedział na krześle przysuniętym do redakcyjnego biurka. Miał jasne brwi. Schludny, młodzieńczy i trochę bezbarwny.

— Pozwólcie zauważyć, że na ogół nie aresztujemy bez podstaw.

— Pozwólcie mnie z kolei zauważyć — odparł Lewen — że podstawy bywają czasem nie wystarczające. Przypadkiem jestem prawnikiem. Wiem, z jakich materiałów korzysta się w śledztwie. Ktoś mógł go wplątać w oskarżenie.

— Tego nie wykluczamy — przerwał cicho jego rozmówca. Zastanowił się, obserwując z namysłem swoje dłonie o chudych palcach, złożone na skórzanej teczce. — Bierzemy pod uwagę wszelkie możliwości. Tego samego oczekujemy od was, towarzyszu Lewen. Twierdzicie, że ktoś go mógł wplątać. Zgoda. To znaczy, że nie wyłączacie dalszych możliwości. Mógł w czasie okupacji utrzymywać kontakty, których znaczenia sobie nie uświadamiał. Przynajmniej w początkowym okresie.

Lewen milczy. Towarzysz z teczką przypatruje mu się. W ciasnym, nieco za ciasnym garniturze wygląda jak skromny wikary.

— Tylko o to nam chodzi — dorzucił.

— O co? — zawołał Lewen. — Wasze podejrzenia mogłyby dotyczyć każdego. Równie dobrze — chciał powiedzieć „równie dobrze jego jak i mnie"; powiedział jednak: — równie dobrze iksa jak i igreka. Stawiacie rzecz na głowie. Nie można ludzi oskarżać o to, co mogłoby się zdarzyć. Obowiązuje odpowiedzialność za czyny.

— Praktyka uczy — odrzekł młody urzędnik — że nie każdemu wszystko mogłoby się zdarzyć. Każdy posiada s w o j e możliwości. I w tym zakresie możliwość na ogół staje się faktem, towarzyszu Lewen. A za fakty obowiązuje odpowiedzialność. Tak uczy praktyka, towarzyszu Lewen.

Lewen uśmiechnął się.

— Zawsze istnieją dwie praktyki — mówi wstając zza biurka. — Jedna, która wynika z doświadczeń, i druga, którą się stwarza.

Wstał. Stoi oparty o biurko. Zdawało mu się, że podkreśla w ten sposób

swoją niezależność i lojalną, niczym nie przymuszoną wolę. Urzędnik przez chwilę obserwuje krępego mężczyznę o ciężkiej, szpakowatej głowie, który szerokim uśmiechem zaprasza go do wyjścia.

— Więc na razie dziękuję, towarzyszu Lewen.

To „na razie" Lewen słyszy już nie pierwszy raz. W Komisji Kontroli postawiono mu szereg pytań, dotyczących politycznego układu sił podczas okupacji. Udzielał wyjaśnień starszej, siwowłosej kobiecie. Obok siedział człowiek w okularach, z ręką zwiniętą przy uchu. Odzywał się rzadko, przez cały czas jednak Lewen oczekiwał, że właśnie on powie mu coś szczególnie doniosłego. Nie nastąpiło to. Śledził notującą rękę towarzyszki. Przypuszczenie co do podwójnych kontaktów utrzymywanych przez Klemensa Króla uznał za pozbawione podstaw. — Czy nie przypominacie sobie ludzi, którzy u niego bywali, albo drobnych okoliczności, które mogłyby się wydawać podejrzane? — Nie, nie przypominał sobie. Głuchawy towarzysz kiwnął głową, ukazując niespodziewanie dużo białych, wystających zębów; sprawiał wrażenie głęboko przekonanego. Przed wyjściem Lewena zapytał: — No a mnie? Co? Mnie też sobie nie przypominacie? — Czekał na odpowiedź z lewą ręką przy uchu, znacząco i wesoło wskazując na siebie palcem prawej. — Lwów, Lwów! Zebranie w *„Sztandarze"*, kwiecień 1941! Przemawialiście wtedy, siedziałem po lewej stronie przy oknie... — Mówił niewprawnie, zacinając się trochę. Lewen zapanował nad drgnieniem oczu. Pamiętał dobrze to zebranie lwowskie, na którym składał samokrytyczną ocenę swojej postawy w sprawie Buchnera.

Nazywał ją „sprawą Buchnera". Uznał — prywatnie i publicznie — istnienie tego człowieka w swoim życiu, mimo iż nigdy go nie spotkał. Aktem swej lwowskiej samokrytyki wystawił na to rewers. Stał się dłużnikiem każdego z obecnych, każdy miał odtąd prawo w stosownym czasie zażądać, aby się powtórnie wyliczył ze „sprawy Buchnera". Nie czuł się winny; ponosił odpowiedzialność. Był to nie wyjaśniony punkt w jego biografii. Rozumiał to dosłownie: widział swoją przeszłość z mętnym, niejasnym faktem, którego sam nie umiałby określić. Określały go okoliczności. Nikt nie jest sam, zawsze są okoliczności, teraźniejszość stanowi system dowodów rzeczowych, z którego nie ma ucieczki. W ówczesnych dniach szczucia i duszenia partii wszelki odruch, każdy gest w stronę przeciwnika tracił cechy przypadku. Podarty, nie wysłany list, spotkanie, do którego nie doszło, rozmowa, która nie nastąpiła — były to fakty. Fakty, które miały swój byt, jak gdyby równoległy do życiorysu Lewena; przecinały się z nim gdzieś w nieskończoności, niewidzialnie, lecz nieuchronnie; daleki wzrok partii sięgał w tę nieskończoność.

Wiadomość o aresztowaniu Klemensa usłyszał w redakcji. Powiedziano mu to półgłosem, bez komentarzy. Lewen po chwili zmienił temat. Do końca rozmowy zachował nieznaczną oschłość, wyłączającą poufny ton. Człowiek siedzący z drugiej strony biurka pożałował swej gadatliwości. Starał się ją naprawić, przytoczył cytat z *Dzieł*. Wyszedł wreszcie. Wówczas Lewen odważył się wspomnieć twarz Klemensa i zobaczył ją dziwnie przechyloną, w niemiłym, bolesnym skrócie. To się musi wyjaśnić — pomyślał. Powinien coś uczynić. Przymknął oczy i ujrzał się w kuchni na Solcu przed zasłuchanym, podpartym na pięści chłopcem. Wykład o walce klas, teoria nadwartości. — Co robić? — zapytał głośno. Czuł podwójną zgrozę. Wszystko, czego uczył

Klemensa, było prawdą. Prawdą, która wtrąciła go do celi. Miał przed sobą telefon, mógł interweniować. Usłyszałby odpowiedź o dyktaturze proletariatu. Odpowiedź, której sam udzielał na interwencje w innych sprawach, swoją własną odpowiedź, odpowiedź Klemensa. Co robić?

Co robić, mając przed oczami tę ciemną, okrągłą głowę, zdumioną twarz tego chłopca? Myśl o jego zdradzie wydawała się nieprawdopodobna. Lewen nie chciał po raz drugi w życiu dokonać w sobie trudnego aktu wiary w nieprawdopodobieństwo. Miał jeszcze w pamięci twarz Lucjana Gorwicza. Bał się pozostać sam, ocalały między nimi dwoma; między swym nauczycielem i uczniem.

Ale Marcie, gdy przyszła do niego, powiedział:

— Nie wolno ci tracić nadziei.

— Ja wszystko rozumiem — mówiła — czasem wydaje mi się, że za wiele rozumiem. Nie, ja się nie załamuję, on mnie tego nauczył. Śmiał się ze mnie i mówił „panna Stecka". Czy myślisz, że słucham ludzi? Był u mnie jego starszy brat. Nie chciałam z nim rozmawiać. Nie mogę o tym rozmawiać w taki sposób, ginę, muszę wtedy krzyczeć, żeby się ratować, żeby jego ratować. Patrz, jak ja wyglądam. Pracuję teraz więcej niż inni, i lepiej, zapewniam cię. W mojej sytuacji muszę być niezastąpiona. Wyrzekłam się dziecka, Wiktor. Było w drodze. I nawet nie proszę cię o pomoc. Kiedy jego brat pytał, czy się do ciebie zwrócić, zakazałam im tego. Wierzę, że wszystko się wyjaśni, przecież nie mogą go skrzywdzić. Ale powiedz: myślisz, że on naprawdę jest winien?

Prosiła go tylko o to, o nic więcej. Jeśli tak, jeśli był winien, będzie miała siły wytrzymać czas do jego powrotu. Żeby tylko wiedzieć, że istnieje coś, o co można by się oprzeć: sens, sprawiedliwość czy konieczność.

Odrzuciła z głowy czarny szal i szepnęła:

— Wiktor, boję się, że tego już nie ma. Że wszystko może się stać. Wariuję od takich myśli.

Tłumaczył, jak jest w istocie. Przedstawił jej szerszą skalę zjawisk, na których tle przyjęcie pewnej linii postępowania stało się konieczne. Wszystkie te sprawy spoczywają w czystych rękach: wymienił nazwiska ludzi z kierownictwa resortu. Ludzi znad Tagu, z Berezy, spod Lenino. O nadużyciu nie może być mowy. — Sądzisz, że zgodziłbym się wtedy siedzieć za tym biurkiem? Szanuję swoją przeszłość, potrafiłbym się o nią upomnieć.

Natomiast zawsze istnieje możliwość omyłki. Partia nie wynalazła dotąd sposobu unikania błędów, składa się tylko z ludzi. Poruszamy się w ciemności, stawiamy po omacku sto fałszywych kroków. Ale sto pierwszy zbliża nas do celu.

Patrzył na nią swoim otwartym spojrzeniem, które zawsze jednało mu ludzi. Nie był zupełnie pewny, czy mówi całą prawdę; mówił słowa, które uznałby za całkowitą prawdę, gdyby partia zwróciła je do niego.

Stała przed nim, owinięta czarnym, gęsto utkanym szalem, spod którego nie widać było włosów. Powtórzył: — Nie wolno ci tracić nadziei — i obiecał uczynić wszystko, co będzie w jego mocy, by przyśpieszono dzień zamknięcia śledztwa.

Od niedawna pełni funkcję kierownika wydziału KC, który, pod skromną nazwą, ma na celu kontrolę ideologiczną prasy i wydawnictw o charakterze naukowym; nowe obowiązki łączy z redagowaniem pisma. Co roku, 1-go Maja,

wita z trybuny uniesioną czapką przeciągający pochód. Szara substancja tłumu płynie w zgiełku orkiestr. Obleczona w ciężkie barwy cegieł, stali i krwi, łopocząc sztandarami, co roku potwierdza ludziom na trybunach ich prawdę. Gołębie ulatują ku niebu. Lewen, przybladły ze wzruszenia, wspomina wówczas swoje więzienne lata. Widzi siebie skopanego w piwnicy fortecznej, skrwawiony łach wśród biegających szczurów. Gdyby mu wtedy ukazano ten pochód! Gdyby mu ktoś nagle odsłonił dzisiejszą mapę polityczną Europy i Azji.

Służbowy samochód, z którego obecnie korzysta, to lśniąca gablota o lustrzanych szybach, nisko zawieszona wśród chromów i niklów. Siedząc obok kierowcy, Lewen co dzień ogląda rozpięty na rusztowaniach obraz budującego się miasta. Oddzielony szkłem, sunie bez wstrząsów wśród swych więziennych myśli i widzeń, przemienionych w rzeczywistość tu, na tym samym miejscu, gdzie niegdyś przemykał się pod okiem szpiclów na kursy propagitu. Lata trzydzieste — dwudzieste lata jego życia.

— Dokąd jechać, towarzyszu? — pyta szofer.

Lewen nie podał adresu. Chce sam przejść tamtędy, zobaczyć z bliska sąsiednie domy i odnaleźć dom, którego szukał. Zatrzymał kierowcę na Tamce: — Możecie wracać. — Wysiadł, zaczął powoli schodzić w dół, w stronę Wybrzeża. Skręcając na Solec, obejrzał się i zobaczył szofera stojącego przy narożnym kiosku z piwem. Nie odjechał jeszcze. Patrzył za nim bokiem, z ukosa, pochylony nad kuflem, który niósł do ust. Lewen odwrócił głowę. Szedł teraz wąską ulicą, której nie znał. Zamurowane okna, szare ślady kul; prawie bezludnie. Na widok znajomej bramy zwolnił kroku.

Ogarnęło go raptem tępe i mdłe uczucie, podobne do fizycznej niechęci. Przystanął, żeby zapalić papierosa; wydało mu się, że ma sobie coś przypomnieć. Jest to wrażenie prawie materialne, kompromitująco dwuznaczne. Stał w obrzydliwym zaskoczeniu, zdemaskowany, a jednocześnie bliski buntowniczej decyzji. Lecz przede wszystkim w mocy jakiejś ciemnej racji, która każe mu ominąć to miejsce i dom, a po chwili ukradkiem przejść na drugą stronę ulicy, skąd dostrzegł wnętrze owej bramy z przechadzającym się w głębi mężczyzną; drugi, zwrócony plecami, zdawał się patrzeć w kierunku podwórza.

I wtedy Lewen przypomniał sobie, właściwie nie tyle przypomniał, ile uświadomił to, o czym wiedział, co było obecne w jego domysłach i przypuszczeniach w związku ze sprawą Klemensa, a czego tak dalece nie chciał pamiętać, że teraz na myśl o tym brak mu tchu: dzień, w którym odwiedzili go na Solcu dwaj ludzie z wewnętrznej informacji, ich niezrozumiałe pytania dotyczące Klemensa, instrukcja nakazująca milczenie.

Poczuł się bez sił, zgubiony wśród obcych ulic, i pożałował, że odprawił szofera.

8

Nie ma odpowiedzi. Nie było odpowiedzi. Towarzysz Wiercho jeszcze nie wrócił. Wrócił, ale jest zajęty. Raczej w przyszłym tygodniu, towarzyszu Lewen. Nie, jutro będzie poza biurem. W tej chwili ma konferencję w kierownictwie. Znowu wyjechał w teren, wraca pojutrze. Nie, jeszcze nie wrócił.

Nie było odpowiedzi. Bądźcie uprzejmi pod koniec tygodnia. Niestety, wcześniej nie, towarzyszu Lewen.

Po trzech tygodniach zobaczył przed sobą Grzegorza. Gdy wreszcie usłyszał szorstkie „słucham was", musiał pohamować wściekłość. Patrzył nań z zaciśniętymi wargami, oczekując, aż podniesie wzrok znad papierów. Po chwili powiedział:

— Domyślacie się, w jakiej sprawie przychodzę?

— Mówcie — odparł Grzegorz — słucham was. Najlepiej bez wstępów. — Dalej przeglądał notatki.

— Człowiek, którego znam od lat — mówi Lewen — za którego uczciwość ręczę. Nie mogę uwierzyć w jego winę. Żądają ode mnie zeznań. Pewne pytania... — Jego głos brzmi sucho, usiłuje panować nad nim. Widzi pochyloną głowę Grzegorza, szerokie brwi zamykające twarz bez spojrzenia. „Porusz się, drgnij — myśli z pasją — odsłoń tę swoją przyłbicę, poczuj ludzki ból!"

— Niektóre pytania — oświadcza — trącą absurdem. Wygląda na to, że w trakcie śledztwa sam się mimo woli obciążył. Czy nie sądzicie, że zachodzi możliwość omyłki?

Grzegorz porządkuje papiery, odkłada je do teczki. Oszczędne, spokojne ruchy rąk. Potem cisza. Wreszcie jego głos, trochę płaski, bezdźwięczny:

— Tak. Wyniki śledztwa są nieprzewidziane. Nieraz zaskakują kierownictwo partii.

Lewen nie oczekiwał tych słów. Mają jak gdyby poufny akcent, jest w nich zawarty nieznaczny ton zrozumienia.

— Słuchajcie — zwraca się do Grzegorza — mam tylko jedną prośbę. Przekażcie kierownictwu moją opinię. To znaczy, że gotów jestem za niego ręczyć. Wiecie, że podczas okupacji mieszkaliśmy pod jednym dachem...

— Wiem — przerywa nagle Grzegorz. — I nigdy nie mieliście żadnych podejrzeń? — Mówi to prawie obojętnie.

Nigdy żadnych podejrzeń — chce zaprzeczyć Lewen. Ale niespodziewanie ogarnia go podobne uczucie, jak wówczas przed bramą na Solcu. Nie może uczynić kroku dalej. Po chwili odzywa się:

— Nigdy. Z jednym wyjątkiem, o którym chyba wiecie. Na krótko przed jego aresztowaniem partia zasięgała u mnie informacji. Pytano, co o nim myślę. O jego stosunek do Koguta. Była też mowa o jakimś adresie czy dacie. Szereg pytań, których już dziś nie pamiętam. Dotyczyły jego postawy politycznej i trybu życia. To wszystko.

Obserwuje rękę Grzegorza rozplątującą sznur aparatu. Słyszy jego słowa, wypowiedziane z cierpką nutą niechęci.

— Dlaczego — powtarza Lewen — dlaczego sądzę, że o tym wiecie? — Uśmiecha się kątem ust: — Darujcie. W czasie konspiracji interesowaliście się moim losem. Czułem waszą obecność. Pamiętacie łącznika, którego przysłaliście do mnie za mury? Tak, przepadł. Jeżeli partia wiedziała o moim istnieniu, to przede wszystkim dzięki wam. Domyślałem się, że ci dwaj ludzie przyszli od was. Po prostu.

— Mylicie się — uciął Grzegorz — pierwszy raz o tym słyszę. — Wysunął głowę ku Lewenowi. Powoli odważa zdania: — Nic o tym nie wiem. Nie mam z tą sprawą nic wspólnego. Z Królem, jak wiecie, nigdy się nie zetknąłem,

a jego nazwisko usłyszałem dopiero od was, po Wyzwoleniu. O śmierci Koguta dowiedziałem się już w partyzantce. Stare dzieje.

Czeka, aż Lewen zrozumie, że temat został wyczerpany. Przy pożegnaniu waha się przez moment i rzuca parę słów o trudnych dniach, jakie obecnie przeżywa partia. Mówi to inaczej, zmęczonym, niespokojnym szeptem:

— Jad głęboko przeniknął, wszyscy jesteśmy trochę zatruci. Przeciw wam także wysuwa się zarzuty. Wasze przedwojenne kontakty... Tak, z Buchnerem. W czasie okupacji kierował „Zjednoczeniem". Nie mogę wam pomóc. Ale ufajcie kierownictwu. Mało wiedzieliśmy wtedy o ludziach. I przez to do dziś grzęźniemy w bagnie. Trzeba teraz mocno ufać partii, Lewen.

W półtora miesiąca później tym samym znużonym szeptem przemówił na Plenum. Nie potrafił odeprzeć zarzutów. Obarczono go odpowiedzialnością za śmierć towarzyszy, wydanych w ręce gestapo przez agenturę ukrytą w partii. Oskarżali go ludzie z dawnych więzień, organizatorzy brygad międzynarodowych i strajków. Lewen rozpoznawał ich twarze. W drugim dniu obrad udzielono głosu Grzegorzowi. Przemawiał krótko, uznał słuszność zarzutów. Przed zejściem z mównicy powiedział: — Za mało ufałem partii.

„Przesyłamy Wam żądany wyciąg z zeznań przesłuchiwanego Klemensa Króla łącznie z ogólną charakterystyką wstępnego okresu śledztwa. Należy go określić jako zadowalający. Przesłuchiwany, który z początku protestował przeciw nakazowi izolacji, obecnie zachowuje się spokojnie i udziela wyjaśnień. Stopień rozeznania w układzie politycznym okupacyjnego podziemia — niski. Niektóre fakty, ujawnione mu w ciągu śledztwa, wywarły na nim głębokie wrażenie. Przyznaje, iż w tym okresie brak mu było politycznego doświadczenia. Swoją ówczesną świadomość ideologiczną uważa za niedojrzałą. Pytanie: czy zdawał sobie sprawę z niejasnych okoliczności, w jakich nastąpiła śmierć tow. Koguta? Odpowiedź negatywna. Pokazano mu zaznania Marty Steckiej-Król, złożone 4 bm. Z zeznań tych wynika, że przesłuchiwany na krótko przed aresztowaniem zwierzył się żonie, jakoby istniała możliwość, że tow. Koguta nie zabili Niemcy. Następnie — zgodnie ze słowami świadka — prosił ją, aby nikomu o tym nie mówiła. Po zapoznaniu się z treścią wymienionych zeznań przesłuchiwany zdradza przygnębienie i odmawia wyjaśnień. Dopiero po dłuższej dyskusji potwierdził ich prawdziwość. Pytanie: dlaczego po Wyzwoleniu zataił przed władzą ludową i kierownictwem partii swoje przypuszczenia? Oraz: dlaczego nie podzielił się nimi w rozmowie z przedstawicielami Centralnej Komisji Kontroli? Przesłuchiwany Król odpowiada: »Nie wiem«. Wykazano mu sprzeczność takiej postawy z obowiązkami członka partii i świadomego uczestnika budowy socjalizmu. Gdy prowadzący śledztwo określił jego postępowanie jako dwulicowe i antypartyjne, przesłuchiwany zareagował wzburzeniem i użył ostrych słów. Przedstawiono mu wówczas pisemne opinie kilku towarzyszy, którzy zetknęli się z nim w latach konspiracji w ZWM. Z opinii powyższych wynika, że już w tym okresie Król nie cieszył się pełnym zaufaniem partii. Uważano go za »jednostkę przypadkiem wtrąconą do ruchu« i pozostającą pod wpły-

wami drobnomieszczańskiego środowiska. Podkreśla się następujące fakty: matka przesłuchiwanego, Łucja Król, w czasie okupacji zajmowała się szmuglem, utrzymując kontakty z volksdeutschami i granatową policją oraz niejakim Cygą, właścicielem prywatnej firmy przewozowej. Żona przesłuchiwanego (nazwisko panieńskie: Stecka) pochodzi z rodziny burżuazyjnej, związanej z WRN; jego starszy brat, Zenon Król, pracownik Warszawskich Zakładów Instalacyjnych, źle notowany politycznie w aktach personalnych. Wobec przedstawionych opinii i zarzutów, a zwłaszcza po odczytaniu świadectw towarzyszy organizacyjnych, przesłuchiwany zmienił taktykę. Po długotrwałym namyśle uznał swoje postępowanie w związku ze śmiercią towarzysza Koguta za poważny błąd. Powiedział: »Było to niezgodne z linią komunisty«. Zwrócił się o pozwolenie wysłania do władz partyjnych listu z samokrytyczną oceną. Z uwagi na to, iż zaufanie do partii, jakie Król okazuje lub stara się okazywać, może ułatwić dalszy przebieg śledztwa — zezwolenia udzielono. Cechy charakterystyczne przesłuchiwanego: 1) uparte trzymanie się jednej linii obrony — »wszystko, co robiłem, robiłem z polecenia partii«, 2) bezwzględna wiara w autorytet instancji partyjnych i łączący się z tym brak politycznej orientacji w antyludowych tendencjach prawicowego odchylenia, 3) powolność rozumowania oraz przywiązanie do pewnego typu zasad moralnych, co może opóźnić tempo zeznań. Z powyższych względów odłożono wysunięcie głównego zarzutu do czasu konfrontacji z pozostałymi oskarżonymi w sprawie zamordowania towarzysza Koguta, a zwłaszcza z oskarżonym Wierchą („Grzegorzem"), b. członkiem Komitetu Centralnego PZPR."

W parę miesięcy po złożeniu prośby do Prezydenta Łucja otrzymała wezwanie z prokuratury. Zawiadomiono ją, że przeciw jej synowi nadal toczy się śledztwo, i zezwolono napisać list.

— Gdzie mam zaadresować? — spytała.

— Więzienie Centralne jest na Rakowieckiej — wyjaśniła urzędniczka. W jej chłodno błękitnych oczach nie było uśmiechu ani zniecierpliwienia. Ale Łucja uśmiechnęła się do niej.

— To pani jest prokuratorem? Taka młoda i ładna.

— Nie — zaprzeczyła urzędniczka. — Prokurator dzisiaj nie przyjmuje. — Nieznacznie przesunęła wzrokiem po twarzy Łucji. — Syn jest zdrów, na pewno odpisze na list.

— On jest niewinny — powiedziała Łucja. Westchnęła i dodała: — Podczas wojny trzymali go w gestapo, a później w Majdanku.

Urzędniczka spuściła oczy.

— Proszę napisać krótko — rzekła ciszej — inaczej list może nie dojść. — Poprawiła uczesanie długą, zgrabną ręką. — Więcej informacji nie mogą udzielić. — I jednak uśmiechnęła się.

Łucja poczuła dla niej wdzięczność. Wracając porównywała ją z Martą, która przed Nowym Rokiem spędziła na Solcu trzy dni. Na szczęście nie było Zenona. Musiałby wybuchnąć słysząc, co mówiła po powrocie z zeznań.

— Co mówiłam? Wszystko. O nim, o jego wspomnieniach, o tym, jaki był. Przed kim miałabym kłamać? Przed n i m i? On wobec partii niczego nie ukrywał. Moją rodzinę zabiło gestapo. Ojciec musiał kłamać, bo ukrywał

moją matkę. To o n i mnie uratowali. Partii nie obchodziło, jakie mam włosy, rude czy czarne. A innych obchodziło. Wiecie, jak poznałam Klemensa: jakieś pijane zwierzę ciągnęło mnie na komisariat. Och, tego się nie zapomina. I później chce się komuś ufać, wierzyć, mówić prawdę. Mnie księża nie pomogli. Przez te sześć lat żyłam jak człowiek, bo o n i trzymali rękę na takich, jak tamten. Klemens często mi to powtarzał. Więc czego wy ode mnie chcecie? O czym i komu miałam kłamać?

Nikt od niej nic nie chciał, w domu była tylko Łucja i Staś. To ją gnębił niepokój. Łucja patrzyła na nią milcząc

— Mamo — powiedział później Staś — wie mama, co ja myślę? — Wskazał oczyma drzwi. — On już z nią nie zostanie, jak wróci. Ona kogoś ma.

Łucja nie chciała wierzyć, mimo iż się zaklął. Dwa razy widział, jak Martę odprowadził pod dom ten sam młody mężczyzna.

— Mama się dziwi? — uśmiechał się Staś. — Ja nie. Tyle czasu?

Wracała z prokuratury w wiosenne przedpołudnie. Czuła na twarzy blade, chłodne słońce i ciągle przypominał jej się uśmiech ładnej urzędniczki. Może tam nie jest mu źle — myślała przypatrując się przechodniom w rozpiętych płaszczach. Szła trochę ociężale, jej duża, czarna torba zahaczała o cudze łokcie i teczki. Na Tamce, w sklepiku z papierem, kupiła arkusz w linię i kopertę. W domu odpoczęła chwilę, potem zasiadła do pisania.

„Najukochańszy Synu!"

Dalej zabrakło jej słów. Listy pisała z wielkim trudem. W kuchni było ciepło, na podłodze snuły się ukośne słoneczne pasma. Przypomniała sobie listy pisane niegdyś do Wiktora Lewena. Była ciekawa, jak Lewen teraz wygląda. Czasami czuła żal, że ani razu nie zaszedł dowiedzieć się, porozmawiać. Widocznie miał za wiele pracy. Kiedyś Roman i Staś widzieli go na Solcu. Stali w bramie czekając na Łucję. Roman przyniósł bilety do kina, gdzie pokazywano w kronice, jak minister dekoruje przodowników. I wtedy zobaczyli z bramy Wiktora Lewena przechodzącego ulicą. Nie poznał ich, przeszedł. W drodze do kina przez cały czas o tym rozmawiali. Podobno bardzo się zmienił. W kinie Łucja nie mogła zebrać myśli. Patrzyła w ekran wyobrażając sobie, jak Wiktor Lewen mija jej dom na Solcu. Dlaczego nie wszedł? Powinien przecież wstąpić choćby na chwilę. Wiedział o aresztowaniu Klemensa. Odgadywała, że jego obecne życie dzieliło go od nich. I ona po wojnie ani razu nie poszła na Grzybowską, mimo iż ocalał jej stary dom. Teraz siedzi po ciemku między Romanem i Stasiem, patrząc spod ściągniętych brwi, trochę nieufnie, na odwróconego plecami mężczyznę, który przypina odznakę występującym z szeregu przodownikom. Jeden z nich zerknął na nią z ekranu. — Mamo — szepnął Roman — to ja. — Przelękła się trochę. Staś milcząc wziął ją pod rękę. Coś jej się pomieszało; jakiś męski głos obwieścił na całą salę: — A oto Roman Król! — Zanim zdążyła się spostrzec, z twarzy Romana wyskoczył samolot lecący nisko nad ziemią i ten sam głos oznajmił, że lotnicy radzieccy sieją lasy.

Zenon był wtedy na wczasach. Wrócił opalony i weselszy, przebąkiwał o jakiejś dziewczynie. Pewnego wieczoru rzekł Łucji: — Może się ożenię. — Wypili w kuchni po szklaneczce, potem nie mogła zasnąć, przemeblowując w myśli pokój dla synowej. I na tym się skończyło. Wracał coraz kwaśniejszy, nie chciał już mówić o ślubie. Niedziele spędzał leżąc na łóżku w kuchni

z rękami pod głową. — Pokłóciliście się? — pytała Łucja. Pokłócili się. Zerwali po miesiącu z powodów politycznych. Dziewczyna była partyjna — wydział kadr. Dała mu rok czasu na zmianę poglądów. — Za wroga — mówił Zenon — nie wyjdzie. — I poruszając odstającymi uszami, szyderczo kręcił głową, nie bez zadowolenia, że świat tak spodlał. Łucja co wieczór wypijała z nim ćwiartkę. — Kochasz ją — tłumaczyła — to ustąp. Ona też ustąpi. — Odgadła, że trafiło mu to do przekonania. Ale potem zachorował na żółtaczkę. Gdy go zwolnili ze szpitala, dziewczyny już nie spotkał. W Olsztynie dostała nową pracę.

Wszystko to było nie do opisania w liście, list miał się składać z kilku zdań. Pisząc do więźnia, po miesiącach czy latach, należy mu donieść o tym, czego pamięć zachował z dni wolności. Nie trzeba pisać, co się zdarzyło, lecz o tym, co jest w dalszym ciągu, co nie przestało trwać. Nie powinien zaznać niespokojnego głodu na wieść, że tyle się dzieje podczas jego zamknięcia. Trzeba go karmić ostrożnie. Niewiele się zmieniło od czasu, jak cię zabrali, jesteśmy zdrowi i pamiętamy o tobie, miesiące prędko płyną. Są to najlepsze wiadomości dla więźnia.

Pisała najpierw ołówkiem w książce do rachunków, a później atramentem na czystym papierze listowym. Po zdaniu: „Zenon pracuje tam, gdzie dawniej, Roman i Staś też Cię pozdrawiają" — ktoś zadzwonił do drzwi. W tej samej chwili wrzątek zakipiał na kuchni. Odstawiła garnek, wziąwszy go za ucho przez fartuch, potem pobiegła zapytać kto. Usłyszała swoje nazwisko. Poczta! — strzeliło jej w myśli. Szeroko otworzyła drzwi.

— Pani ma syna? — rzucił od progu milicjant. — My w jego sprawie. — Drugi wszedł i zajrzał do pokoju.

— Co się stało? — szepnęła Łucja.

Milicjant odsunął ją ręką. — Tak pani go wykarmiła? — powiedział ze złością. — No, to teraz kto inny go nakarmi. Proszę wskazać jego rzeczy, gdzie spał? — Wszedł do pokoju. Drugi, młodszy, grzebał w jej pościeli i ukląkł zaglądając pod łóżko.

— Czego pan chce? — krzyknęła Łucja. — Syn tutaj nie sypiał! Zawołam sąsiadów!

Milicjanci zaczęli się śmiać. Poczuła, jak krew odpływa jej od serca z chłodnym, powolnym szumem. Ogarnęła ją wściekłość: czego tu chcą? więc jeszcze im mało?! nie dość go namęczyli?!

— Idźcie stąd! — krzyczała wskazując drzwi — precz!

Przyskoczyła do sierżanta i wyrwała mu z rąk książkę z rachunkami. Szamotała się z nim, klnąc. Jęcząc tłumaczyła, że syn tu nie mieszkał, niech sprawdzą, mieszkał w Łodzi, niech łapy trzymają przy sobie, to jej mieszkanie, jej pokój!

— Sam mówił, że tu mieszkał! — zawołał drugi milicjant. Obaj schwycili ją za ręce.

— Ale kiedy? kiedy?! — zachłysnęła się Łucja. — Ile to już lat?

Usiadła na krześle, wszyscy troje byli zadyszani.

— Niech się obywatelka uspokoi — powiedział starszy schrypniętym głosem. Otarł szyję chusteczką i wyjaśnił, że mają nakaz, więc krzyk nie pomoże, syn siedzi w komisariacie na Bednarskiej.

Łucja zmarszczyła brwi.

— Na Bednarskiej? — szepnęła ze zdumieniem — to nie na Rakowieckiej?

Milicjanci spojrzeli po sobie.

— Pani by zaraz chciała na Rakowiecką? — kpił młodszy otrzepując spodnie. — On poczeka, ma czas. Spieszyło mu się rabować, to teraz będzie miał czas.

Sierżant, położywszy przed sobą zgniecioną legitymację, przepisywał z niej do notesu: — Król Stanisław, lat 19, zamieszkały w Warszawie...

Przerwał raptem:

— Pani, pani! Co pani jest?

Sprawę studenta Renarda Lewen nazywał „początkiem swojego dna". Nie od razu, lecz na pewno dzięki niej, zaczął sobie uświadamiać, że lata jego wolności minęły. Od czasu aresztowania Klemensa i po uwięzieniu Grzegorza czuł coraz wyraźniej, jak z dwóch stron wyrastają mu ściany, między którymi musi się poruszać. Szedł w wyznaczonym kierunku. Grzegorz i Klemens stworzyli podwójną granicę jego życia; ona narzucała mu decyzje, dyktowała słowa, które wypowiadał, i myśli, których nie ujawniał. Próbował się bronić. Wyniki były mierne. Zrozumiał, że aby osiągnąć wolność, musiałby zniszczyć siebie. Osiągnął tylko jedno: remis świadomości, w którym godził niejasne przekonanie o winie ich obydwóch (partia miała rację) z niejasnym przekonaniem o ich krzywdzie (partia ją naprawi). Wszystko razem odsuwał na czas nie oznaczony. Wybuchły nowe ogniska wojny. W takich okresach sądzi się doraźnie. Na miejsce człowieka stawia się wówczas szkielet powstały ze skutków jego czynów. On — prawdziwy — powinien rozpoznać w nim siebie. Przyjdzie dzień rozważenia zamysłów i intencji. Ale jeszcze nie teraz. Po zwycięstwie.

Jak dotąd, nic od niego nie żądano. Nie musiał nic uczynić w związku z żadną z tych spraw. Pozostawało tylko ułożyć, pomieścić je w sobie. W praktyce dokonał tego. Ale wkrótce nastąpiła „trzecia sprawa": student Renard. Poczuł wtedy niskie sklepienie nad głową. Szedł już pochylony, ugięty. Zstępował coraz głębiej. Wolność? Śniła mu się po nocach. Dni, które spędził w karcerze fortecznym przed wrześniem 39. Był wtedy wolny — wybierał. Jego myśli — zamiast strzec się nawzajem — od nowa tworzyły świat. Wolność — dochodził teraz do wniosku — to taki stopień niewoli, gdy myśl człowieka nie może się zwrócić przeciw niemu, ponieważ nikt o niej nie wie. Tęsknił za czterema ścianami celi.

W redakcji i w Wydziale przyłapywał się na oschłości wobec personelu. Ograniczał rozmowy z ludźmi. Nie podnosząc głosu żądał przestrzegania dyscypliny. Wiedział, że wzbudza lęk. W dniu, gdy otrzymał wezwanie (tym razem nie zgłoszono się do niego, lecz przysłano wezwanie, podając numer pokoju i godzinę), przygotowywał notatki do odczytu, jaki miał wygłosić w Instytucie Naukowym im. K. Marksa. Temat: obecny stan badań marksistowskich, osiągnięcia i perspektywy rozwoju. Data — identyczna z dniem podanym w wezwaniu; kilka godzin różnicy.

Przyjął go ten sam funkcjonariusz, który swego czasu złożył mu wizytę w redakcji. W mundurze wyglądał jeszcze młodziej; gdyby nie dwa paski majora, można było go wziąć za podoficera milicji. Przywitał Lewena, ni-

czym nie zdradzając zawartej poprzednio znajomości. Obok niego przy biurku — mężczyzna w granatowej koszulce. Szeroki, smagły, o sfalowanych srebrnych włosach. To on zagaił rozmowę. Szukając z uśmiechem odpowiednich słów, podkreślił partyjny charakter spotkania. Lewen, również z uśmiechem, zauważył, iż w innym charakterze prawdopodobnie zostałby tu zaproszony w nieco inny sposób. Tamten roześmiał się:

— Co do tego, wiecie, nie ma reguł.

Po co ta konferansjerka? — myślał Lewen. Spostrzegł niebieską teczkę. Major otworzył ją sprawnym, krótkim ruchem.

— Tu jest jego zeznanie, towarzyszu Lewen.

Chcieli, żeby się z nim zapoznał. Niezbyt obszerny materiał, wynik jednego z ostatnich przesłuchań. Nic więcej, tylko aby je przeczytał (zajmie to najwyżej parę minut) i po przeczytaniu udzielił kilku informacji. Czy dysponuje potrzebną ilością czasu? A zatem — proszę. Towarzysz pułkownik opuści ich na chwilę — krótka sprawa służbowa — wróci za kwadrans.

Wrócił punktualnie i zastał Lewena pochylonego nad maszynopisem. Usiadł za biurkiem, w pokoju trwało milczenie. Major obracał w palcach żółty, nowy ołówek. Lewen podniósł wzrok; natrafił na jego oczy, uważne, ale pozbawione barwy i wyrazu. Uporządkował kartki, wstał, przeszedł przez pokój, znowu usiadł. Wziął ofiarowanego papierosa i kilka razy się zaciągnął. Major spojrzał na zegarek. Odpiął go, położył przed sobą na biurku.

— Jesteście zaskoczeni? — spytał starszy oficer. — My także. Moment kapitulacji jest ciężki. Do końca nie mamy pewności. Taki akt — wskazał teczkę — chwila jego podpisania, to — szukał słów — i dla nas pewnego rodzaju wstrząs.

Rozejrzał się za majorem, który zniknął za biało polakierowaną przegrodą z kwadratowym okienkiem, oddzielającą część pokoju. Po chwili wrócił na swoje miejsce. Teraz obydwaj patrzą na Lewena wyczekującym, zaostrzonym od napięcia wzrokiem. W oczach ich jest niepokój głodu i niebezpieczeństwa.

Podczas wygłaszania odczytu czuł jeszcze na sobie ów wzrok. Mówił z trudem, ciężko wyrywanymi zdaniami. Skończył wcześniej niż zamierzał. Zszedł z wyschniętym gardłem, nie patrząc na salę. Z pierwszych wystąpień w dyskusji zapamiętał tylko jednostajny dźwięk, roznoszony przez głośniki. Nie mógł skupić uwagi. Widział niewprawny, uczniowski podpis Klemensa pod zeznaniem stwierdzającym, że wziął udział w zabójstwie Koguta. Klemens Król, syn Łucji, zdrajca, uczeń Wiktora Lewena, oszukiwał partię.

Pytanie: W tych latach bliskoście z nim żyli, towarzyszu Lewen. Nic nie budziło waszych podejrzeń?

— Nie.

Zastanówcie się. Może jednak?

— Nie.

Drugie pytanie: Dlaczego nam nie ufacie? Jesteśmy organem władzy ludowej, przed którą nie powinniście mieć tajemnic. To chyba jasne?

— Jasne. O czym mówicie?

Posiadamy pewne informacje. Na krótko przed śmiercią Koguta, wiosną 1944, partia zasięgała u was poufnej opinii. Czy nic wam to nie dało do myślenia?

Po tym pytaniu długo milczał. Nie, nie zaskoczyło go. Rozumiał, że

Grzegorz musiał się bronić. Grzegorz, który nigdy nie zetknął się z Klemensem; jeśli pytano go o niego, musiał wskazać Lewena, przytoczyć jego słowa, mówić prawdę. To proste. Czuł chłodny ucisk tej prostoty, tej prawdy.

— Robiłem tylko to, czego żądała ode mnie partia. Partia zwróciła się do mnie — udzieliłem potrzebnych wyjaśnień. Nie powracano później do tej sprawy. Zapomiałem o niej. To wszystko.

Był wam jednak bliskim człowiekiem, łączyła was z nim przyjaźń. Czy od tego dnia wasz stosunek do niego pozostał niezmieniony? Bądźcie uprzejmi na to odpowiedzieć.

Próbował. Mówił dość długo. Twierdził, że gdyby wówczas wiedział to, co wie obecnie, sam by ostrzegł Koguta. Był jednak izolowany, odcięty. Starał się tłumić w sobie podejrzliwość w stosunku do człowieka, któremu ufał. Z którym go tyle wiązało. Sądził, że partia jest na fałszywym tropie. Dlaczego dopuszczono do zamachu? Jak to było możliwe? Skoro przeczuwano niebezpieczeństwo?

Przerwał, czekając na odpowiedź. Nie otrzymał jej. Postawiono mu parę szybkich pytań: grupa „Zjednoczenie", Buchner, Stecki?... Tak, Feliks Stecki, adwokat. Jak doszło do małżeństwa jego córki? Ile lat u niego pracował? Czy nie wiedział o tym, że Stecki był związany z prawicą PPS? On, członek partii? Kiedy po raz pierwszy zetknął się z Buchnerem?

Był już zmęczony. Prosili, by mówił wyraźniej. — Nie śpieszcie się — powiedział jeden z nich. Drugi znowu zniknął za białą ścianką.

Gdy student Renard wszedł na trybunę, by zabrać głos w dyskusji, Lewen spostrzegł, że na kartce pod nazwiskiem Klemensa narysował profil podobny do twarzy Grzegorza. W sali dało się wyczuć napięcie. Zamazał rysunek i nazwisko. Na mównicy stał ciemny, krępy chłopiec o wysokiej czuprynie. Lewen wzruszył się: trzydzieści lat temu on wyglądał mniej więcej tak samo.

„...W dalszym przebiegu śledztwa przesłuchiwany Król przyznał się do udziału w zbrodniczym zamachu na tow. Koguta. Oświadczył, iż żałuje tego: »Byłem bezwolnym narzędziem w ręku agentury i przyczyniłem się do śmierci towarzysza«."

Protokół przytacza szczegółowe zeznania Klemensa Króla:

W dniu zamachu o g. 8 rano zgłosił się na podpunkt do „Agaty", gdzie zastał dwóch ludzi, którzy zapytali go o miejsce i dokładną godzinę umówionego spotkania z Kogutem. Udzielił żądanych informacji na polecenie obecnej przy tym „Agaty", która go zapewniła, że towarzysze ci są przedstawicielami instancji partyjnej. Obydwaj — po krótkiej rozmowie z przesłuchiwanym Królem — opuścili lokal podpunktu o 8.15. W pół godziny po ich wyjściu przesłuchiwany udał się rikszą na Tarczyńską. Wedle jego własnych słów: „Gdyby nie to, że „Agata" długo szykowała paczkę, przyjechałbym tam wcześniej". Utrzymuje, że nie wiedział o antypartyjnej działalności „Agaty".

„Gdy pokazano mu jej zeznania — stwierdza protokół — z których wynika, że wykonywała zbrodnicze instrukcje Grzegorza Wierchy — przesłuchiwany Król załamał się. Odwieziono go do celi. Podczas kolejnego przesłuchania zdradzał oznaki głębokiej depresji. Prosił o wyjaśnienia. Wyraził się, że trudno mu uwierzyć, by ludzie typu Wierchy mogli szkodzić partii.

Zapewniono go, że władze bezpieczeństwa posiadają dowody jego (Wierchy) współpracy z gestapo. Na przesłuchiwanym wywarło to wrażenie użyteczne dla dalszego śledztwa. Obecnie zdradza na przemian nerwowe podniecenie i ubytek sił. Zwrócił się z prośbą o możność napisania listów do matki i żony. Nie udzielono zezwolenia."

Z protokołu wynika, iż dalsze decyzje i konfrontacje w sprawie osk. Króla, jak również możliwość zmiany metod śledztwa, uzależnia się od rezultatu przesłuchań Wierchy i innych aresztowanych.

„Już obecnie można jednak ustalić niewątpliwy związek łączący działalność tej grupy z wrogimi knowaniami „Zjednoczenia" — reakcyjnej agentury »rządu londyńskiego«, którą kierował podczas okupacji b. poseł Jerzy Buchner, znany z akcji rozłamowych przed wojną, przebywający ostatnio w USA. Należy liczyć się z tym, iż w przygotowywanym procesie „Zjednoczenia" ujawnione zostaną fakty staczania się niektórych członków partii na pozycje wroga klasowego. Ministerstwo Bezpieczeństwa oraz Centralna Komisja Kontroli przesłuchały w związku z tym szereg towarzyszy, obciążonych poważnymi zarzutami."

W załączeniu wzmianka, że osk. Króla postanowiono przenieść do podwójnej celi i umieścić wraz z Joachimem Hegemannem, przestępcą wojennym, wydanym Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej w drodze ekstradycji przez rząd NRD.

Student Renard mówi o „szkodliwych zawężeniach myśli marksistowskiej". Poddaje drwiącej krytyce przejawy ortodoksji i wulgaryzacji, żąda „prawa do błędu" i swobody dyskusji. Mówi szybko, w nieustającym natarciu; zwraca się na przemian do sali i Lewena. Lewen śledzi spod powiek ruchliwy, gestykulujący cień na mównicy. W słowach Renarda rozpoznaje jakby znajomy ton; niejasny, bliski zarys czegoś, co powinno pozostać stłumione, odsunięte na później. Renard właśnie to obnaża, obdziera, wyłuskuje swym ostrym, młodzieńczym głosem. Lewen parokrotnie pochwycił jego wzrok. Pochyla się nad notatkami. Widzi przed sobą twarze pierwszego rzędu. Nieruchome, niby pozbawione rysów. Czuje, że za chwilę będzie musiał wybrać między tym, co mówi Renard, a tymi z pierwszego rzędu, którzy czekają milcząc. Renard powołał się na ostatnie zdobycze nauki w krajach Zachodu. Przytoczył kilka nazw o obcym brzmieniu. Zapytał: — Więc gdzie jest postęp? — Stał jeszcze przez chwilę na trybunie. Prawdopodobnie dopiero teraz zrozumiał. Nie było oklasków. Spod zrośniętych brwi patrzy z resztką szyderstwa na pierwszy rząd. Przybladł i niepewnie zwraca się w stronę Lewena, który siedzi ze spojrzeniem utkwionym w notatkach. Renard uśmiechnął się. Przegarnął palcami wzburzoną czuprynę i zszedł powoli z mównicy. Ukrył się w dalekich rzędach. Gdy piętnowano jego wystąpienie, był niewidzialny. Ale nie chodzi już o niego. Następni mówcy adresują zarzuty do „takich, jak Renard" lub „towarzyszy w rodzaju Renarda". Jego obecność nie jest tu konieczna i kiedy Lewen pod koniec zabrał głos, by podsumować dyskusję, stwierdził z pewną ulgą, że w wielkiej, amfiteatralnej sali nie potrafiłby odnaleźć jego twarzy.

W ciągu następnych dni zatarła mu się w pamięci. Później, wspominając

sprawę Renarda, miał przed oczyma swoją własną twarz z fotografii wykonanej przed 30 laty, w okresie kursów propagitu. Ten sam zbyt śmiały, wyzywający wzrok pod szerokimi brwiami i czarna, jakby zjeżona gniewem mierzwa nad niskim czołem. Głośnik wyrzuca z grzmiącym echem słowa, którymi Lewen osądza przemówienie towarzysza Renarda jako antypartyjne i wrogie. Słyszy swoje zdania, swój obcy, daleki głos, padający z czterech tarcz umieszczonych w czterech rogach sali. Obwieszczają prawdę, jego prawdę, pierwszy rząd jego myśli, czuwający nad mętnym niepokojem przeczuć i zwątpień, które przed chwilą poważono się wywieść z ukrycia. Przemawia w zupełnej ciszy, nie zaglądając do notatek (prócz zamazanej twarzy Grzegorza i przekreślonego nazwiska Klemensa, zapisał w nich tylko kolejność porządku obrad).

Wygłosił jedno ze swych najlepszych przemówień; nazajutrz zbierał odgłosy w postaci wysokich słów uznania. Również nazajutrz dowiedział się o usunięciu studenta Renarda z Instytutu. Wiadomość o tym przekazano mu przez „rządówkę" do Wydziału. Odkładając słuchawkę, przyłapał się na bezwiednym odruchu: nakręcić numer Grzegorza. — Broniłem partii — szepnął. Potem dodał w myśli: „Broniłem sensu mojego życia". Wstał, przeszedł się po gabinecie, znowu usiadł. Przypomniał mu się uważny, pilny wzrok majora.

9

Adwokat, który prowadził sprawę, był to młody jeszcze człowiek. „Czy ja się starzeję — myślała Łucja — czy tylko coraz więcej młodych mężczyzn?" Mówiła: — Panie mecenasie, to dobre dziecko. — Adwokat się śmiał: — Dobre dziecko wzięło udział w napadzie rabunkowym. — Gdy zapewniała, że Staś o niczym nie wiedział, krzywił się i wydymał wargi. Krzyknęła wówczas: — Czego pan chce?! Obrabowali, bo wiedzą, że się rabuje! Kto im pokazał lepszą drogę? — Pani Król — rzekł adwokat — pani przemawia jak sam herszt tej bandy. Oni się właśnie tak tłumaczą.

Wyciągał ciężkie pieniądze. Skąd je brać? Roman trochę pożyczył, ale nie na długo starczyło. Sprzedała zimowy płaszcz. Potem maszynę do szycia. Ludzie z Solca dawali jej bieliznę do prania. Wszystko mało. Jęczała i klęła, stojąc nocami przy balii na opuchłych nogach. Nie mogła już nocą pracować bez wódki. Nad ranem waliła się na łóżko. Cyga puszczał teraz wozaków przy budowie osiedla Praga III. Przyrzekł wystarać się Łucji o pracę windziarki. — Tam jest jeden dyrektor — mówił — trochę fijoł. Robotnicy się śmieją: socjalistyczne pałace chce stawiać. To on cię weźmie. — Łucja wzruszała ramionami: — Kobyły do auta nie zaprzęgniesz. Mam już pięćdziesiąt lat. Dwadzieścia pięć lat piorę. Mnie technika nie zmieni. — Ludzie się uczą — mówił Cyga. — Stare baby chodzą na czytanie. Sam się niedawno nauczyłem szoferki. — Ale samochód ci zabrali — szydziła Łucja — masz swoją technikę! — Cyga kiwał głową: — To tak dzisiaj jest. Jedną ręką uczą, drugą zabierają. Z twoimi dwoma tak samo zrobili.

Patrzyła nań z ukosa, myśląc, że raz nareszcie powiedział coś mądrego. Pożyczył jej trzysta złotych. — Nie wiem kiedy spłacę — ostrzegła. — Kobieto — mruknął Cyga — wtedy po pogrzebie, czterdzieści pięć złotych,

pamiętasz? To nie koledzy uzbierali. Przyniosłem ci je w zębach i nie prosiłem o zwrot.

— Głupi — szepnęła Łucja. — Zawsze byłeś głupi. — I pochyliła się nad balią.

— Okazało się — mówił adwokat — że dobre dziecko jest bezinteresowne. Słyszało, że koledzy gdzieś się wybierają, i poszło z nimi z czystej ciekawości. Na szczęście stało tylko przed sklepem w charakterze czujki. Liczę na dwa lata, pani Król. Może z zawieszeniem.

Stasia zobaczyła po sześciu tygodniach. Kiedy wprowadzono go do izby widzeń, uśmiechnął się na widok Łucji. — Mamo — powiedział — źle wyglądasz. — Słuchał z roztargnieniem jej pytań, kiwał głową i milczał. Miała wrażenie, że wypatruje czegoś poza jej plecami; z ciekawością obrzucał wzrokiem innych odwiedzających i uśmiechał się do strażników. — Stasiu — spytała — co ci jest? — Zrobił błazeńską minę, pokorną i drwiącą. Potem mrugnął do milicjanta, który przysłuchiwał się rozmowie, i powiedział: — Grunt się nie przejmować. — Dlaczego z nimi poszedłeś? — pytała Łucja. Opowiedziała mu, co mówią w szkole. W tym roku nie będzie mógł zdawać matury, ale na jesieni przyjmą go z powrotem. Wszyscy go żałują, niech tylko przyrzeknie, że już takie głupstwo nie strzeli mu do głowy. — Nawet Zenon ci darował — mówiła — chociaż z początku odgrażał się na ciebie. — Staś słuchał z wielką uwagą i oczy cofnęły mu się w głąb, zmalałe z namysłu. — Ile dostanę? — szepnął. Gdy powtórzyła słowa adwokata, że wyjdzie pewnie po sprawie, Staś zastanowił się i posmutniał. — Wie mama — powiedział po chwili — ja już nie pójdę do szkoły. — Przeraziła się. Zaczęła go prosić, tłumaczyć, żeby był rozsądny, niech dla niej ma trochę litości, niech jej nie zabija. Przysłuchiwał się pilnie, nawet potakując, i w pewnej chwili spostrzegła, że pochylił głowę i przymknął oczy, jakby chcąc ukryć łzy. — Stasiu... — weschnęła. — Ja mamie powiem — odezwał się nagle — ja się nad wszystkim namyśliłem. Niech mama słucha. Ja już wiem, ja...

— Skończona rozmowa — powiedział strażnik. — Obywatelko, proszę przerwać.

Łucji biło serce. Zaczęła prosić, żeby pozwolił jej zostać jeszcze chwilę, syn ma ważną sprawę, nie zdążyli się porozumieć. — Skończone — powtórzył strażnik — niech się obywatelka zwróci o drugie widzenie. Minął przepisany czas.

Dał znak Stasiowi, który patrzył z przestrachem na Łucję. Chciał jej coś powiedzieć, rozumiała, że była to najważniejsza rzecz i że już nigdy jej się od niego nie dowie. Stał przez chwilę, zaciekawiony i niepewny, zerkając to na nią, to na strażnika. A potem zrobił swoją śmieszną i płaczliwą minę. Odgadła, że uciekła mu już myśl i nie miał teraz nic do powiedzenia.

W drodze do domu widziała jego przestraszone oczy. Musiało go coś dręczyć. Co? co? — zachodziła w głowę. — Dlaczego tak na nią patrzył? Nie mogła zapomnieć jego wzroku. Stał się nagle sobą, prawdziwym. W tym jednym momencie na pewno nie udawał. Wiedziała, że się czegoś strasznie

bał. To była jej wina, nigdy nie potrafiła go zrozumieć. I może dlatego teraz najbardziej go kochała. Od dnia, gdy aresztowali Stasia, mniej się martwiła o Klemensa. Chwilami czuła wstyd, ale tak było. Klemensa wzięli już dawno, czas płynął, przyzwyczaiła się do tej myśli. Adwokat powiedział, że jego sprawa wymaga cierpliwości. Nic nie da się załatwić. Trzeba czekać. Czekała. I z czasem do tego przywykła. Raz tylko w nocy zbudziła się ze zgrozą: dwóch synów! dwóch synów w więzieniu! Nazajutrz pobiegła na Widok do adwokata. — Niech pani nie histeryzuje — denerwował się — w dzisiejszych czasach to normalne. — Wracała spokojniejsza.

Zenon był zdania, że Klemensa prędko nie wypuszczą. — Niech mama czyta gazety — mówił. — Znów się coś szykuje. — W gazetach pisali o wojnie. Łucja odkładała okulary. Wojna? Kombinowała szybko: zahandlować jeszcze potrafi, piwnica jest solidna, a w razie czego na wieś; liczyła na swoich dawnych klientów. Znowu się wszystko zmieni i trzeba będzie zaczynać od początku.

Kiedyś usłyszała, jak Roman rozmawia z Zenonem o wojnie. Kłócili się o bombę atomową. — To będzie tak jak z gazami — twierdził Roman — skończy się na strachu. Zawsze decyduje piechota. — Zenon kładł ręce na stole i przybliżał twarz do jego twarzy. — Człowieku — szeptał — z twojej piechoty zostanie mokra plama. — Wymienił jakieś miasto japońskie, na które zrzucono bombę atomową. — Wiesz, co się wtedy dzieje? — Chuchał mu w nos. — Ciało się ulatnia! Nie ma cię, jest tylko twój cień.

— Bujda — mruczał Roman. Zderzali się czołami, walili pięściami w stół, języki plątały im się z gniewu. — Taka bomba — bełkotał Zenon — to prawie jak Pan Bóg. Błyśnie, nawet huku nie usłyszysz. Zostaje popiół i wiatr.

— A co potem? — kpił Roman. — Koniec?

— Koniec — zapewniał Zenon. — Tylko popiół i wiatr.

W gazetach ukazała się fotografia Hegemanna. „Joachim Hegemann — brzmiał podpis — kat Polaków." Przywieziono go z pewnego miasta w Niemczech do Polski, gdzie miał być sądzony, ponieważ tu popełniał swoje zbrodnie. Zenon przyniósł *„Życie Warszawy"*. Hegemann w czarnym trykocie czy swetrze wyglądał jak gimnastyk. Przylegająca do kości blada skóra nadawała jego twarzy rysy klowna, oczy miał podczerniałe i wysadzone na wierzch. Zenon odczytał notatkę pod zdjęciem. Sto tysięcy Polaków i Żydów. W Treblince i później na Szucha.

Znów spojrzał na fotografię. Ziewnął, a potem się zamyślił. — Takie zwierzę — powiedział. — A wygląda jak człowiek. Nie miał litości. Opowiadał mi jeden z Oświęcimia, że był tam taki esman. Jak się pokazał na placu zbiórek, to ptaki przestawały śpiewać. Człowiek?

W spojrzeniu Hegemanna nie gaśnie nadzieja. Który to już raz próbuje nawiązać rozmowę z Polakiem? I zawsze na próżno. W ciągu dwóch tygodni nie usłyszał jego głosu. Ten chłopak o twardo sklepionej czaszce, osadzonej na wysokiej szyi, ma w wyrazie oczu chmurną niemiecką stanowczość. Kiedy

opiera głowę o ścianę, w wycięciu koszuli widać sprężystą grdykę, obciągniętą, jak owoc, śniadą skórą. Hegemann przełyka wówczas ślinę. — *Mensch* — mówi — ostatnie trzy lata siedziałem sam. W więzieniu Polak i Niemiec to jedno. Odezwij się.

Jest mniej wychudły niż na zdjęciu, ma na sobie ten sam czarny trykot pod szarozieloną kurtką bez odznak. Kiedy gimnastykuje się, zrzuca kurtkę. W szybkich, zwinnych przysiadach, w wiatrakowatych wyrzutach ramion staje się podobny do cyrkowca. — Powinieneś robić to samo — przekonuje milczącego Polaka — wszystko zależy od krążenia krwi. — W trzecim dniu spostrzegł numer obozowy ponad przegubem jego ręki. Odtąd nie traci nadziei, że tamten się odezwie. Niemcy cenią męskie koleżeństwo. Hegemann wie, jak silnie łączą dwóch mężczyzn wspomnienia podobnie przeżytego czasu, mimo dzielącej ich w tym czasie nienawiści. — Auschwitz? — pyta wskazując na fioletowoniebieskie cyferki. — Oranienburg?... Majdanek?... Buchenwald?... — Pomija Treblinkę, w której znakowano inaczej, wymienia nazwiska komendantów i rapportführerów. Śledzi źrenice Polaka, wypatruje w nich bezwiednego błysku pamięci. Wie, kim jest ten chłopak, powiedziano mu o tym, zapewne nie przypadkiem. Hegemann również przesłuchiwał komunistów. Zna ich wytrzymałość. — Zdaje mi się — mówi — że gdzieś musiałem cię spotkać. Powiedz no. Może byłeś badany w Warszawie? Odezwij się! — krzyczy, unosząc ręce gniewnym, uroczystym gestem kaznodziei.

Często powtarzał, że nie powinien być sądzony w Polsce. Spełniał polecenia niemieckiej władzy i tylko Niemcy mają prawo go sądzić. Kiedyś w nocy przemówił nagle po ciemku:

— Czy człowiek może wystąpić przeciw swemu życiu? Powiedz no. Mógłbyś spostrzec chwilę, w której trzeba przekląć wszystko, co uważałeś w sobie za najlepsze? Od dziecka uczono mnie szanować władzę. Nie tylko mnie: moich rodziców, dziadków i pradziadków. Nikt mi nie powiedział, w którym momencie trzeba przestać. Mogą mnie powiesić. Zginę jak uczciwy Niemiec. Nigdy nie uderzyłem człowieka z osobistych powodów. Wykonywałem tylko zarządzenia władz.

Czeka na odpowiedź. Ale tamten milczy. Nie słychać nawet szelestu siennika. — *Dummheit* — szepcze Hegemann i zaciąga szorstki koc pod brodę.

Ale po dwóch dniach znowu przemówił. I znowu po ciemku. — Hallo — powiedział — tu Hegemann. — Wydawało się, że leży na wznak, z rękami skrzyżowanymi pod głową.

— Ktoś musi usłyszeć głos odchodzącego Niemca — zwraca się ku ciemności wyraźnym, donośnym szeptem. — Tu Hegemann. Wierzę w Boga Wszechmogącego, który nie zechciał mnie ostrzec. Jestem uczciwym człowiekiem i nie zabiłem Polaka ani Żyda dla własnej korzyści. Ty mnie uważasz za wściekłego psa. Człowieku. Przeczytaj zeznania mojej żony, Erny Hegemann. Kto lepiej zna mężczyznę niż jego kobieta? Niż jego zwierzchnicy, podwładni i koledzy? Od pięciu lat sądzą mnie obcokrajowcy, którzy nie rozumieją Niemców. Zarzucają mi, że wykonywałem prawa. Powiedz no. Czy można sądzić człowieka za to, że nie łamał praw? Skąd wziąć rozum i siłę, aby wystąpić przeciw uchwalonym prawom? Mówią mi teraz: sto tysięcy Polaków i Żydów. *Dummheit*. Robiłem to, co mi kazała partia.

Umilkł nagle. Po raz pierwszy usłyszał głos tego Polaka. W ciemności po-

czuł na gardle jego palce. Hegemann krzyknął. Rozległ się szurgot butów strażnika. W sąsiednich celach zaczęto walić w drzwi. Niemiec klęczał, dysząc i ocierając krew z ust.

„W związku z toczącym się śledztwem w sprawie Grzegorza Wierchy i osób z nim związanych.

W odpowiedzi na Wasze zarzuty dotyczące powolnego tempa śledztwa komunikujemy:

W dniu 16 bm. przesłuchiwany Klemens Król, główny świadek obciążający, doprowadzony na jedno z kolejnych przesłuchań, odwołał wszystkie dotychczasowe zeznania. Stwierdził, że podpisał je w stanie niepoczytalności. Odmówił dalszych wyjaśnień."

Z załączonego protokołu wynikają następujące fakty:

Przesłuchanie trwało 11 godzin. Reakcja: zacięty upór, wytrzymałość, przy tym oznaki zamroczenia psychicznego. M.in. zarzucił śledczym, iż są agentami Hitlera. Po przerwie przesłuchanie wznowiono. W dalszym ciągu odmawiał zeznań. Twierdził, że materiały, przedstawione mu w przebiegu śledztwa, zostały sfałszowane. Odwieziony do celi w stanie wyczerpania. Nazajutrz, 17 bm., przesłuchiwano od g. 8 do 21. Konfrontacja z „Agatą" — bez przewidywanych wyników. Miał się do niej odezwać tylko jeden raz: „Oszukali cię". Również bez wyników przegranie taśmy magnetofonowej z oświadczeniem tow. Lewena (na temat podejrzeń, jakie miała partia w stosunku do Klemensa Króla bezpośrednio przed zamachem na Tarczyńskiej). Reakcja (wg stenogramu) następująca: „Gdyby przyszła tu moja matka i powiedziała mi, że jestem zdrajcą — nawet wtedy nie złamiecie mnie". Protokół podkreśla, iż mimo zastosowania zmienionych metod dotychczas nie udało się skłonić przesłuchiwanego do potwierdzenia poprzednich zeznań.

„W zw. z tym należy się liczyć z koniecznością przesunięcia procesu Wierchy i współoskarżonych na termin późniejszy. W zw. z wysuniętym przez Wierchę żądaniem ustalenia nazwisk towarzyszy z okresu okupacji, którym tow. Kogut zarzucał chęć podporządkowania partii kierownictwu wywiadu »wojskówki«: zgodnie z instrukcją postanowiono element ten wyłączyć ze śledztwa."

Załączono również materiały tyczące Wiktora Lewena: 1) opinie towarzyszy z lat 1930—40, 2) odpis protokołu Centralnej Komisji Kontroli, 3) informacje o stosunkach z Wierchą — Królem — Buchnerem. Podpisy.

Proces odbył się w lipcowy upał. W niewielkiej sali sądowej zebrała się garstka ludzi. Łucja usiadła z boku, w trzecim rzędzie. Koło niej drzemał gruby mężczyzna, rozsiewając zapach wódki. Budził się co parę minut i pytał, która godzina. Przed 10-tą wprowadzono oskarżonych. Staś uśmiechał się, ciekawie zerkając po sali. Kiwnął głową Łucji i szepnął coś do jednego z chłopców. Było ich czterech, w środku między nimi siedziała drobna, blada dziewczyna o prostych włosach do ramion. Sąsiad Łucji wstał i pogroził pięścią blondynkowi po prawej ręce Stasia. Zasapał się, a po chwili spytał: — Pani jest matką? — Tak — odparła Łucja. — Który to? — Udała, że nie słyszy.

Sprzedawczyni zeznawała tak cicho, że parę osób przesiadło się do bliższych rzędów. Staś nagle poweselał. Zaczął się wiercić i dawać znaki publiczności. Milicjant zwrócił mu uwagę, Łucja zaczerwieniła się z irytacji. Odgrywał swoją nową rolę, zadowolony, że wszyscy na niego patrzą. Sprzedawczyni opowiadała, że pierwsza weszła do sklepu dziewczyna. Prosiła o parę nylonowych pończoch. Sprzedawczyni sięgnęła pod ladę i w tym samym momencie ktoś wszedł. Uderzono ją czymś ciężkim w głowę, straciła przytomność. Mężczyzna siedzący obok Łucji znowu się zerwał i pogroził pięścią swojemu synowi. W sali było cicho, woźny uchylił okno, bo koło południa upał się powiększył. — Ja nic nie wiem — twierdziła dziewczyna. — Weszłam, żeby kupić nylony. Jak rąbnęli tę panią, chciałam uciec, ale drzwi już były zamknięte. — Miała mizerną, trójkątną twarz o szeroko wyciętych oczach; mówiła czysto i wyraźnie. — Idzie na zapartego — odezwał się czyjś głos za Łucją. Łucji podobało się, że dziewczyna nie traci głowy. Gdy prokurator zapytał, skąd miała pieniądze na nylony, potrząsnęła włosami: — Pan nie zna życia? Z nierządu. — W sali rozległ się szmer, adwokat oświadczył, że pończochy nie są przedmiotem zbytku i 17-letnia dziewczyna ma prawo je nabyć bez obowiązku złożenia wyjaśnień. Staś gwałtownie przytaknął i zrobił ruch, jakby chciał zaklaskać. Gdy usiadła na swoim miejscu, pogratulował jej splecionymi dłońmi. Dwóch chłopców od razu się przyznało: żałują i proszą, by wziąć pod uwagę ich młody wiek. Trzeci, blondynek, trajkotał trzy po trzy o swoim złamanym życiu i ciężkich warunkach domowych, na co sąsiad Łucji mruknął ze zdziwieniem: — Jak Boga kocham, łże.

Potem zeznawał Staś. Mówił głośno, ładnie dobierając słów i ukłonił się sędziemu. Łucja czuła dumę z zaciekawionych spojrzeń publiczności. Zeznania Stasia wywołały poruszenie. Na pytanie, czy przyznaje się do winy, odparł uroczyście: — Stuprocentowo tak. — Powiedział, że czuje się moralnie odpowiedzialny za to, co się stało; koledzy działali pod jego wpływem, nie ma nic na swoje usprawiedliwienie i prosi o surową karę. Po tych słowach znowu się ukłonił. On udaje! — chciała krzyknąć Łucja. — Wymyślił to sobie! Spojrzała w rozpaczą na adwokata, który podniósł się, żeby coś powiedzieć. Ale sam sędzia był zdziwiony. Przyglądał się Stasiowi i pytał, co ma o tym wszystkim sądzić: koledzy twierdzą, że przyłączył się do nich w ostatniej chwili, po drodze ze szkoły; podobno starał się ich odwieść od powziętego zamiaru; później nie wiadomo dlaczego stał przed sklepem, a teraz w dodatku bierze winę na siebie. Sędzia mówił to nieco ironicznie, błyskając grubymi szkłami. Czekał na odpowiedź.

— Nie mogłem ich opuścić — rzekł Staś.

Spoważniał nagle i zwolna obrócił głowę w stronę Łucji. Znów zobaczyła jego oczy, dziwnie znieruchomiałe, niby zapatrzone w jakąś myśl. Był teraz podobny do Klemensa. Łucji ścisnęło się serce. Nigdy nie przeniknie ciemności, która otaczała jednego i kryła się w drugim. I nigdy nie potrafi ich przed nią uchronić. — Dochowała się pani — współczuł sąsiad. — To Hitler.

Sędzia kręcił głową. — Jak mogę wam wierzyć? — powiedział. — Brniecie w gąszczu kłamstw. — Spodobało mu się widać to wyrażenie, bo je powtórzył dwukrotnie. I dodał, że państwo łoży na ich wychowanie; pięknie się odwdzięczają. Po tych jego słowach zapadła cisza, a Staś przestąpił z nogi na nogę, wykonując równocześnie zmartwiony gest, przyznający sędziemu nie-

wątpliwą i należną rację. W tej chwili adwokat, który przez cały czas chciał coś powiedzieć, dorwał się wreszcie do głosu. — Wysoki Sądzie — oznajmił pełen rozbawionego stroskania — o ile pamiętam, powyższą okoliczność wyjaśnił sierżant milicji, który... — Zanim skończył, sędzia zarządził powtórne przesłuchanie świadka. Pojawił się sierżant, z ciemnym kosmykiem przylepionym do czoła i czapką w ręku. Przechodził wówczas po drugiej stronie ulicy i spostrzegł, że uczeń stojący przed sklepem daje mu znaki na migi. Gdy zbliżył się i spytał: „czego obywatel życzy?" — uczeń odparł: „niczego". — No to zwróciłem mu uwagę na niewłaściwe zachowanie — opowiadał sierżant — i mam już odejść. Ale widzę, że się śmieje. „Czego się obywatel wygłupia?" — tak zapytałem. Wtedy oskarżony wskazał palcem za siebie i powiedział: „Bo tam rabują sklep".

W sali robiło się coraz duszniej, Łucji spływały po plecach sznureczki potu. Kilka osób zapewne odgadło, że jest matką Stasia: czuła na sobie ich wzrok. Ściskając torbę wilgotnymi rękami, patrzyła na sędziego, na adwokata, na Stasia; słyszała każde słowo, ale coraz trudniej było jej zrozumieć, czy sprawa bierze dobry obrót.

— Dlaczego oskarżony tak postąpił? — pyta sędzia.

— Wysoki Sądzie — powiedział Staś — spełniłem swój obowiązek.

Sędzia pokiwał głową: — A gdyby milicjant nie przechodził ulicą? — Staś milczał. Przez uchylone okno dobiegł ryk syren fabrycznych sygnalizujących południe.

— Jaką drogę oskarżony wybierze po ukończeniu liceum?

— Obywatela Polski Ludowej — odparł poważnie Staś.

— Ale czym oskarżony chce zostać? — wypytywał sędzia wśród stłumionej wesołości obecnych. — Lekarzem? Inżynierem?

— Poetą — oświadczył Staś.

Dziewczyna siedząca na ławie oskarżonych odchyliła w tył jasną, długowłosą głowę. Zaczęła się śmiać głośno, po dziecinnemu, mrużąc oczy.

— Cwaniara — powiedział Staś, kiedy wyszli z sądu. — Tak się urządziła, że niczego jej nie mogli dowieść.

Oboje dostali po roku z zawieszeniem. Na ulicy był upał i kurz. Wziął Łucję pod rękę. — Niech się mama nie boi — mówił — zaraz złapiemy taksówkę. — Pokazał jej trzy stuzłotowe banknoty: kryminalni płacili mu za wiersze. Zatrzymał taksówkę, wsiedli, od razu zaczął dowcipkować z kierowcą. Łucja siedziała sztywno, z zaciśniętymi ustami. Tramwaje, domy i ludzie, rozpalone, ostre powietrze, twarz sędziego i śmiech dziewczyny, wszystko to tłukło się i migotało w ciężkim połysku słońca. Pierwszy raz w życiu jechała taksówką. Kiedy skręcili w Solec, przez chwilę — na widok znajomej ulicy wbiegającej pod filary mostu — przejęło ją zdumienie. Wspomniała przeprowadzkę sprzed dziesięciu lat, Cygę i jego konia, siebie w żołnierskim płaszczu i jeszcze coś, czego nie można było nazwać, co trwało jednak. — Mamo — zawołał Staś — już jesteśmy. — Przyglądał jej się trochę podejrzliwie. Usiadła w kuchni chcąc zebrać myśli. Przymknęła oczy, żeby przychwycić tę dziwną, ważną rzecz. Słyszała głos Stasia, który opowiadał, jak kieszonkowcy okradają pasażerów na dworcu. „Jak teraz nie wstanę — uprzytomniła sobie — to się położę na dobre." Wstała, podeszła do zlewu, zwilżyła rozgrzaną twarz. Nagle poczuła głód, wzięła nóż i chleb. Chleb był świeży, nóż wszedł weń

miękko. — Póki jestem sam, to wszystko w porządku — zwierzał się Staś. — Ale jak są ludzie, zaraz chciałbym być inny. — Łucję ogarnął gniew na te słowa. Poczerwieniała i zacięła się w palec. Nie można było zatamować krwi. Ból przyniósł jej ulgę, lecz palec pozostał skurczony i zgięty. W ambulatorium powiedzieli, że można zoperować. Przez jakiś czas odkładała to na później, a potem się przyzwyczaiła. Jej ręce i tak były zniszczone. Wspomnienie gniewu, bólu i tryskającej krwi towarzyszyło jej odtąd, gdy krajała chleb. Ale i do tego przywykła.

Dalej chodziła do adwokata. Twierdził, że sprawa Klemensa jest bardzo niebezpieczna i na razie nie można mu pomóc. Ba, gdyby ograbił sklep albo zdefraudował pieniądze! Adwokat wzdychał unosząc oczy w górę, jakby do rajskich możliwości. — Trzeba się modlić — radził — jestem za modlitwą. — Po czym dodawał, że nie jest człowiekiem wierzącym. — Córko — mówił ksiądz w konfesjonale — wiara pozwoli ci przetrwać rządy Antychrysta. — Zataiła, że Roman, jej syn, był po stronie tych rządów i miał kandydować na posła. Odeszła nie pokrzepiona. — Z Klemensem jest źle — przyznawał Roman. Mówił jednak, że w więzieniu mają zagraniczne lekarstwa i plombują zęby lepiej niż ZUS. — Odsiedzi swoje i wyjdzie. — Poszła więc do prokuratury, przyjęła ją ta sama przystojna urzędniczka. — Nie — tłumaczyła chłodno i uprzejmie — widzeń na razie nie ma. Sprawa jest nadal w toku. — Znowu poprawiła uczesanie i Łucja spostrzegła na jej palcu obrączkę, której przedtem nie było. Próbowała, jak wtedy, powiedzieć jej coś miłego, ale tym razem urzędniczka się nie uśmiechnęła. — Więc co mam robić? — zapytała Łucja. — Może obywatelka napisać powtórnie podanie.

Przestała już wierzyć w podania i modlitwy. Jedne i drugie, sądziła, trafiają nie tam, gdzie trzeba. Jesień minęła w siekących deszczach, wykańczano nowe dzielnice, masło podrożało, Romanowi urodził się syn, ochrzcił go podwójnym imieniem: Józef Belesław. Staś poszedł do wojska. Na dworcu żegnali go koledzy w kanciastych cyklistówkach. Krzyczeli: — Niech żyje Król! — Łucji spływały po twarzy krople deszczu. Zanim pociąg ruszył, Staś wychylił się do niej z okna. Znów zobaczyła błysk strachu w jego oczach, ale powiedział spokojnie: — Mamo. Ja wrócę. O mnie niech się mama nie martwi. Niech mama myśli tylko o Klemensie. — Stasiu! Stasiu! — wołała biegnąc za pociągiem. Pierwszy raz od niej odjeżdżał. — Sto lat! Sto lat! Niech żyje Król! — śpiewali koledzy. W domu do północy piła wódkę z Zenonem i Cygą. Nie mogła znieść myśli, że Staś tłucze się teraz w zatłoczonym przedziale z głową opartą o drewnianą ławkę. Przypomniała sobie jego słowa o Klemensie. — Józef i Bolesław — drwił Zenon — tylko Król nie na czasie. — Gdy poszła spać, kręciło jej się w głowie. Zaczęła sobie przypominać różne imiona i liczyć je na palcach. Józef, Bolesław, Roman, Stanisław, Klemens. Nie pamiętała imienia Cygi. Mój Boże, jakże mu na imię? „Niech mama myśli tylko o Klemensie" — powiedział Staś. — Klemens — powtórzyła szeptem — i Wiktor. — Do rana siedziała w pościeli z otwartymi oczami i mokrym ręcznikiem na sercu. Nazajutrz wstała wcześniej. Wpierw poszła do kościoła, a potem do gmachu na róg Alei i Nowego Światu. W okienku z przepustkami mówili do niej: towarzyszko. Nie, bez przepustki nie mogą jej wpuścić, trzeba zadzwonić z kabiny do sekretarki; przyjdzie zlecenie, to wpuszczą. Kręciła tarczą, odezwał się kobiecy głos: nazwisko, w jakiej sprawie? — Podała tylko

nazwisko. — Towarzysz Lewen nie będzie mógł was przyjąć. — Poczekam — tłumaczyła Łucja. Odłożono słuchawkę. — Tu ludzi z ulicy nie wpuszczają — wyjaśniał ktoś Łucji — to nie kościół, na wszystko trzeba mieć papier. — Znów weszła do kabiny: — Towarzyszko! — wołała — ja tylko do towarzyszki! Na chwilę! W ważnej sprawie! — Wpadło jej do głowy, żeby powiedzieć o Romanie. Jest matką Romana Króla, przodownika pracy, i prosi o przepustkę. Ale i to nie pomogło. Usiadła na krześle, obok, na innych krzesłach także siedzieli ludzie. — Bez przepustki nie wpuszczą — odezwano się do niej. — Jeżeli na górze o człowieku nie wiedzą, to nie ma na co czekać.

— Mam czas — mruknęła Łucja — przecież w końcu zejdą.

— Zejdą — odpowiedział ktoś z siedzących — ale innymi schodami.

Uparła się jednak i czekała. Nic innego nie mogła uczynić dla Klemensa. Patrzyła na wchodzących i wychodzących ludzi. Pewien mężczyzna z teczką wydał jej się podobny do Wiktora Lewena. Chciała do niego podejść, ale rozumiała, że to nie może być on: wyglądał za młodo, był podobny do Lewena z jej wspomnień. Od tego czasu minęło prawie dwadzieścia lat. Wyjęła lusterko z torby i przyjrzała się sobie. Ciekawe, czyby ją poznał. Czekała jeszcze kwadrans i poszła. Przed gmachem stał rząd aut.

Wieczorem aut było trochę mniej. Około ósmej kierowca Lewena nacisnął starter. W zielonawym świetle zegarów cicho szemrały wycieraczki. — Dokąd jechać? — zapytał kierowca. Ulice były puste, milicjanci w ceratowych pelerynach czuwali przy skrzyżowaniu. Lewen opuścił boczną szybę. — Nie śpieszcie się — powiedział. Kazał mu jechać w stronę Wilanowa. Szofer włączył radio. Minęli plac wśród smętnej pieśni o tajdze, przecinanej sykiem mokrego asfaltu. Dwanaście godzin pracy. Po dwunastu godzinach pracy krótkie zetknięcie z powietrzem przez opuszczoną szybę. W domu dalsze pięć godzin za biurkiem, potem pięć godzin snu. Dom był strzeżony: w szklanej klatce przy wejściu siedział młody człowiek. Drugi młody człowiek legitymował w przedsionku koło windy. Dwadzieścia mieszkań zajętych przez dwudziestu funkcjonariuszy wysokiego szczebla. Ściany i mury solidne, na schodach cisza. Wewnętrzne podwórze z zieleńcem, dwie ławki, na jednej z nich młody człowiek. Garaże. Prowadziło stąd kilka tras do kilku budynków w śródmieściu oraz do kilku will poza miastem. Milczący, doświadczeni szoferzy, przywykli do długich postojów, szerokie, ciężkie wozy o białoszarych oponach, seledynowy blask zegarów, stepowa pieśń. Część miasta całkowicie odbudowana. Niedawno rusztowania nadawały jej dramatyczną wielkość, teraz walka została skończona: dom obok domu jak świeżo odsłonięte pomniki na pobojowisku. Jeden z zarzutów Renarda: „Naszą architekturę wymyślił urzędnik bankowy, który zobaczył fotografię piramid". — Nie śpieszcie się — powtórzył Lewen. Pod drzewami, co dwieście kroków, poruszał się cień w pelerynie, trasa była strzeżona. Renard po usunięciu z Instytutu prosił o rozmowę. Przyszedł do redakcji, mówił: — Chcą mnie wyrzucić z partii. — Uśmiechał się szyderczo, ale w oczach miał zmęczony połysk, jak ludzie oczekujący nocą pociągu na dworcu. — Czy każdego, który raz powie „nie", należy zniszczyć? Sądziłem, że wy mnie zrozumiecie. Nie chcę szkodzić

partii, poza partią nie będę mógł żyć. Tymczasem wy... Wasze przemówienie zwróciło przeciw mnie wszystkich. Nawet tych, co gotowi byli przyznać mi rację. Jestem zupełnie sam, towarzyszu Lewen. Co mam z sobą robić?

Zadał to pytanie. Siedział zgarbiony i pytał, co ma z sobą robić — jego, Lewena.

— Wilanów, towarzyszu — powiedział szofer. Jechali dalej. Samochód niósł przed sobą łuk szarego światła prześlizgujący się pod konarami drzew. Ty także boisz się zostać sam. Nic nie jest równie straszne, jak lęk przed wyłączeniem z rewolucji. Twoja przeszłość przestanie wtedy istnieć. Można czcić przeszłość emerytowanych generałów. Tobie powiedzą tylko: oszukiwałeś nas od początku. Nie będę miał sił zaprzeczyć. Jeżeli to się stanie, to znaczy, że oszukiwałem od początku. Ich, siebie, wszystkich. Policjanta, który kuł mnie w zęby. Nie masz wyboru. Scedowałeś wszystkie swoje prawa. Jesteś cząstką woli i funkcją rozumowania, jesteś cegłą w budowie, która tłumaczy twoje istnienie. Możesz sądzić tylko poprzez całość i będziesz osądzony tylko z punktu widzenia całości. Trzeba dźwigać ten gmach, u którego podstaw leży kamień węgielny rozwoju.

Wiedział, że nikt poza nimi tego nie zrozumie. Dwadzieścia lat temu wystukiwali w ściany celi: „Klasa robotnicza jest z nami". Po dwudziestu latach nie zapomnieli tych słów. Powtarzali je z tym samym uporem, z tą samą pewnością. Setki tysięcy ludzi wykonywały plan. Klasa robotnicza jest z nimi, tak chce historia. Budują świat podobieństw, mniej barwny i trudniejszy niż mieszczański świat różnic. Podporządkowali mu siebie, jest to pierwszy wypadek w dziejach, gdy człowiek tworzy rzeczywistość z własnej myśli. — Wasze „nie" — powiedział Renardowi — może się okazać ośliim wierzgnięciem na wspak historii. Tego się boicie. Nikt z nas nie bałby się zostać sam po stronie prawdy. Ale wy nie macie pewności, gdzie jest prawda. Dlatego trudno wam pomóc. — Jeziorna — odezwał się szofer — jechać dalej? — Zwolnił. Auto za nimi zwolniło także. W smudze światła ukazał się samotny, oślepiony rowerzysta. Wszystko zależy od jednej decyzji: przepisać swoją wolność *in blanco* na rzecz nie potwierdzonej racji i niewiadomego zwycięstwa. Bez zabezpieczeń, bez gwarancji, bez Boga, z zawrotnym ryzykiem utraty w s z y s t k i e g o. Jest to świadomy akt: zrzec się swojej wolności za cenę swojego udziału w wolności. Należy to uczynić w pełni zrozumienia wszelkich konsekwencji. Przygotować się do ostatniej. Oto ona: stać się dowodem niebezpieczeństwa grożącego partii, spełnić to, potwierdzić. Oddać wszystko.— Nie ufacie partii, towarzyszu Renard? Jesteście młodzi. Powinniście uznać swój błąd. Starzy, doświadczeni działacze potrafili rozbroić się przed partią. Przewalczcie osobiste ambicje. Pomyślcie: może nie miałem racji? — Omijał jego wzrok, mówił trochę tępo, bez uśmiechu: — Ludzie łamią się ze sobą. Walka ze starym nie jest lekka. — Potem powiedział: — Potrzebna jest nam krytyka, ale krytyka twórcza. Wasze wystąpienie... — Użył słów, których potem żałował: — ...było częściowo słuszne. Niewłaściwie rozmieściliście akcenty. — Akcenty? — szepnął Renard. Przez chwilę patrzyli na siebie. „Więc do tego doszedłeś?" — mówił drwiący, udręczony wzrok. „Nie rozumiesz, że chcę ci pomóc?" — odpowiadał wzrok Lewena. Piaseczno, rynek. Reflektory zatoczyły krąg, jakiś człowiek zatrzepotał rękami jak topielec. Wracali. Auto trzymające się o sto metrów w tyle wracało także. Lewen widział ciemny profil kierowcy, głos spikera oznajmił czas. W lu-

sterku nad przednią szybą jarzyły się światła drugiego wozu. Chciał mu pomóc, sądził, że nie należy go usuwać z partii. Interweniował na jego rzecz w egzekutywie POP, rozmawiał w jego sprawie z odpowiednią instancją KW. Słyszał w odpowiedzi: „Potrzebna jest twórcza krytyka. Powinien rozbroić się przed partią. Walka ze starym nie znosi kompromisu". I wreszcie: „To brudna sprawa, towarzyszu Lewen. Po co jej dotykacie?". Z trzecich i czwartych ust powróciły do niego słowa, które wypowiedział w rozmowie z Renardem: „Wasze wystąpienie było częściowo słuszne". Renard bronił się nimi przed usunięciem z partii. Głupiec. Twierdził, że walczy o prawdę. Wynik głosowania był jednomyślny. Zwrócił legitymację na ręce sekretarza. Nazajutrz znów przyszedł do redakcji. Na co liczył? Tym razem Lewen już nie mógł go przyjąć.

Październik, listopad? Chyba październik. Długi deszczowy cykl dni i tygodni, zamknięty rocznicą Rewolucji. Nowa twarz w prezydium na miejscu Grzegorza. W referacie fragment o rozgromionym odchyleniu i jego nosicielach. Jeszcze bez nazwisk. Lewen liczył rzędy. Siedział w jedenastym. W zeszłym roku był w szóstym. Tempo: pięć rzędów rocznie, nie biorąc pod uwagę przyśpieszenia, z jakim spada ciało. Za rok na jego miejscu usiądzie kto inny, podczas gdy on — ukryty w zdaniach referatu — będzie już tylko cieniem zdrady, przestrogą rzuconą z najwyższych ust. „Zdrajca — pomyśli wówczas jego szofer, gdy usłyszy dźwiękowe sprawozdanie — woziłem zdrajcę. Jeszcze rok temu siedział tu koło mnie. Nisko spadł." Auto jadące za nimi mrugnęło światłem, do kabiny wlał się ostry blask. Znów rowerzysta na mokrym asfalcie, podobny do nieruchomej ważki nad powierzchnią stawu. Szofer zaklął. Wieczór po akademii. Hiszpan. Jedno z nieprzewidzianych spotkań, rozmowa z kimś, kto „nie szedł w górę". Twarz znajoma z więzienia, ale potem uczestnik obrony Madrytu; ranny i przerzucony na Wschód, wchłonięty przez rok 38, w 43 odgrzebany w Azji, znowu ranny w 44. Obecnie Wydział Historii Partii, zaszczytne archiwum ruchu. Wlókł Lewena przez ciemne ulice i wołał półgłosem o hańbie. — Idea! Gdzie jest idea? Lewen, widzę mrok! Pamiętaj, że widziałem mrok! — Krzyczał cicho, opasując go ramieniem. Przystawał, kurczył ramiona, wyliczał na palcach nazwiska, które znikły. — Gorwicz! Przecież znałeś Gorwicza. Przejrzyste serce partii. — Powtarzał: „przejrzyste serce partii", ciągnął Lewena ku ławce na skwerze, pokazywał mu jakąś bladą gwiazdę i mówił, że tam, gdzie był w latach czterdziestych, nigdy jej nie mógł odnaleźć. — Inne niebo — tłumaczył — niż w Radomiu. Zupełnie inne niebo, Wiktor. — Co robić? — pytał Lewen. Kierowca wzmocnił odbiór. Z zielonawego połysku niklów wypłynął poprzez szum motoru ukryty głos: — Kto wam wydawał instrukcje? — Buchner. — Za czyim pośrednictwem? — Wóz jadący z tyłu wysłał długi, rozlewny akord klaksonu. — Proces „Zjednoczenia" — mruknął szofer. Wilanów. Te same drzewa, te same światła, ta sama ciemność. „Pamiętaj, że widziałem mrok." Za czyim pośrednictwem? — Nie pamiętam nazwisk, Wysoki Sądzie. — Wtedy na ławce powiedział Hiszpanowi: — Wezmę to na siebie, do końca. Tę hańbę. I ty, i ty także. — I ja także? — wściekał się tamten. — Marzycielu, oszalałeś! — Milczeli patrząc w gwiazdę. — Kiedy jej nie ma — mówił — kiedy przesłaniają ją chmury, zaczyna mnie boleć blizna. Stary postrzał. — Czy jest inne wyjście? — pyta Lewen. — Idea. Czy znajdziesz ją gdzie indziej?

— Marzycielu — powtórzył tamten.

Byli już w mieście, głos miał komentator. Przemawiał jakby z wnętrza silnika. Niewidzialny, wzgardliwy, tłumaczył zasięg i cel spisku przeciw rewolucji, którego korzenie sięgały lat wojny. Lewen słuchał znajomych zdań. brzmiały w nich słowa używane w walce. Klasa odchodząca nie odchodzi bez walki, mówi komentator. Sekunda przerwy, chrobot, inny głos: — Kiedy oskarżony z polecenia Buchnera po raz pierwszy uzyskał kontakt z Wierchą?... I z kim prócz Wierchy?

Kierowca zwrócił twarz ku Lewenowi. Uśmiecha się, stoją przed domem: — Jutro o której, towarzyszu? — Jutro? — powtarza Lewen. Mija ich auto z przygaszonymi światłami, zatrzymuje się w odległości stu metrów, nikt z niego nie wysiada. — Przyjedźcie jak zwykle.

W mieszkaniu szybko włączył radio. Stał w czapce i w płaszczu, pochylony nad małą skrzynką z ebonitu. Usłyszał głos komentatora, opisujący wzburzenie publiczności; po kilku sekundach — zapowiedź następnej audycji. Spojrzał na zegarek: od chwili gdy wysiadł z auta minęły cztery minuty. Cztery minuty zeznań, które nazajutrz ukażą się w prasie. Czyje nazwiska padły w ciągu tych czterech minut? Nazajutrz ukażą się w prasie. Podszedł do okna, ulica była pusta. Zapalił lampę na biurku. Pióro, papierosy, papier w zimnym kręgu światła. Ostatnie zdanie rozpoczętego artykułu, notatki, kilka cytatów z 12-go tomu *Dzieł*. To wszystko. Godzina spędzona w aucie przywracała normalną jasność myśli. Zawsze pozostaje świadomość rzeczy dokonanej, blada i nikła gwiazda, którą nosi się w sobie.

Odsunął notatki, wziął czysty arkusz i pochylił się nad nim. Przez chwilę szukał słów. Jak zacząć?

„Wobec wysuwanych w stosunku do mnie zarzutów czuję się w obowiązku, jako członek partii, zdać sprawę kierownictwu z przyczyn i okoliczności, które popchnęły mnie na fałszywą i błędną drogę prowadzącą w kierunku zaciętych wrogów klasy robotniczej. Mam na myśli próbę nawiązania kontaktów z b. posłem prawicy pepesowskiej, późniejszym przywódcą grupy „Zjednoczenie" — Jerzym Buchnerem."

Z protokołów przekazanych Dyrekcji Departamentu MBP. Sprawozdanie podpisane nazwiskiem oficera śledczego w stopniu majora. Stwierdza się w nim co następuje:

Śledztwo przebiegało zgodnie z instrukcjami, w myśl zaleconych metod; mimo to nie przyniosło pożądanych wyników. W protokole podkreśla się, że nie jest to skutek błędów ani zaniedbań: „Wypadek ten należy uznać za objaw wyjątkowej odporności, nie spotykany w praktyce". Zapewnia się, że prowadzący śledztwo spełniali swe obowiązki. Nie są odpowiedzialni za to, co się stało.

Fakty:

Ostatnie przesłuchanie trwało całą noc. Nazajutrz odbyto z przesłuchiwanym godzinną rozmowę w celi. Zachowywał się spokojnie. Protokolant przytacza jego słowa: „Dopiero tutaj zrozumiałem sens mojego życia. Chcę wytrzymać wszystko. Niech moja krew wsiąknie w nasz sztandar. Nie wolno mi

się załamać, byłaby to zdrada partii". Cytuje się te słowa, jako „charakterystyczne dla powyższego typu reakcji". Przesłuchiwany miał je powtórzyć parokrotnie. Prosił, aby pożegnać od niego matkę, żonę i braci. Oficer śledczy, który z nim rozmawiał, przyrzekł mu widzenie z rodziną niezwłocznie po podpisaniu zeznań. Przesłuchiwany odmówił twierdząc, że wówczas nie miałby prawa nikogo już widzieć. Prosił, żeby oszczędzić innych oskarżonych. W protokole podkreślono zielonym ołówkiem jego opinię o Wiktorze Lewenie: „Nie zmusicie mnie, żebym go oczernił. Zawdzięczam mu to, kim jestem. Gdyby nie Lewen, nie wiedziałbym, czego się dzisiaj trzymać".

Zmarł po tygodniowym pobycie w karcerze. Śmierć ta — jak donosi protokół — wywarła szczególne wrażenie na personelu lekarskim. Sekcja stwierdziła wewnętrzny wylew krwi. Przyczyna: odnowienie się dawnych kontuzji, doznanych 8—10 lat temu (zapewne podczas przesłuchań w gestapo), oraz wyczerpanie długotrwałą głodówką. Prośba o instrukcje, czy zawiadomić rodzinę.

Do protokołu dołączono nazwiska lekarzy i pielęgniarek, których „emocjonalno-subiektywny stosunek do zmarłego zwrócił uwagę władz więziennych". Dołączono również następującą wiadomość: „Gestapowiec Joachim Hegemann, który miał złożyć zeznania dotyczące kontaktów zmarłego z okupantem, został przeniesiony do wspólnej celi z Wierchą."

Podpis oficera śledczego.

10

Łucja przeżegnała się. Tramwaj nie ruszył z przystanku, mężczyźni zdjęli czapki. Przez szybę wagonu widać twarz zmarłego: ogromną, półuśmiechniętą, o zwężonych oczach patrzących w daleki punkt przestrzeni. W tym dniu spoglądał ze wszystkich gmachów śródmieścia, gazety ukazały się w czarnych obwódkach. Zenon z samego rana przyniósł *„Życie Warszawy"*. W milczeniu patrzył na żałobne zdjęcie. Łucja czuła zgrozę i strach. Nie ma go już. I nie będzie. Huk dział niósł się nad miastem w wilgotnym marcowym powietrzu. Ludzie w tramwaju mieli tępy, zamyślony wzrok. Szoferzy wysiedli z samochodów, rowerzyści znieruchomieli z dłońmi na kierownicach. Ustał wszelki ruch. Wyprężeni milicjanci z palcami przy daszkach, woźnica na platformie, z batem w jednej ręce, a z czapką w drugiej, konie zdarte wędzidłem, o spienionych pyskach. Wszystko zamarło, skamieniało, jakby na chwilę przed Sądem. Zaczęła odmawiać *Ojcze nasz*. Gdy tramwaj ruszył i mężczyźni nakryli głowy, nie przerwała modlitwy. Czy znajdzie tę dziewczynę? Powtarzała jej nazwisko, adres szkoły krawieckiej i słowa z listu Stasia. W którym miesiącu? Jeżeli w drugim lub w trzecim, to jeszcze pół nieszczęścia. O, Boże, Boże! „Święć się imię Twoje." Na imię jej Lilka. Co sprzedać i od kogo pożyczyć? Znajomy lekarz z Zajęczej nie był od tych spraw, a inny mniej nie weźmie. Dwa tysiące. „Bądź wola Twoja." Ale trzeba coś zrobić! Zdać się na wolę Bożą? Ładnie by na tym wyszła! Kiedy przyjechał na urlop? Prawda, w samą Wigilię. Więc chyba trzeci miesiąc. „I odpuść nam nasze winy." Lilka. Pewnie się puszcza z każdym, tak jak to dzisiaj w zwyczaju. „Jako i my odpuszczamy naszym winowajcom. Amen."

Przystanek. Znowu twarz zmarłego. W żołnierskiej kurtce, z fajką pod ciemnym wąsem. „Amen. Amen." Długo umierał, wylew krwi. Czy widział w ostatnim momencie całe swoje życie? Tak to podobno jest. Każdy w chwili śmierci ogląda siebie, jakim był. Nie chciała go sądzić, nie potrafiłaby. Odchodził w grzmieniu powietrza i w ciszy ludzkiej. Rządził milionami, na każdym życiu wycisnął swój ślad. Jedni go błogosławili, drudzy przeklinali. Rozdzielał najbliższych. Nad łóżkiem Klemensa wisiał jego portret, a Zenon mówił: — Póki on żyje, nic się na lepsze nie zmieni. — Powtórzyła: „Chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj". I przyszło jej na myśl, że nigdy niczego innego nie chciała. Chyba tylko w snach. Dla niej stworzona, jej modlitwa; słowa o chlebie i o pokuszeniu, któremu nie zawsze potrafiła się oprzeć. Chleb jest, jest i nóż. Nie pragnęła go użyć w innym celu, jak tylko by dzielić chleb. Albo rozszczepić drzazgę. Lecz zawsze musiała się miotać między ludźmi, którzy chcieli więcej. Nóż w ich rękach zamieniał się w topór, topór w karabin, karabin w bombę. Dlaczego niosąc swoje dobro, stawali się źli? i mówiąc o szczęściu napełniali strachem?

Wiedziała, że musi się trzymać swego życia. Nie będzie już inne. Dokonała wyboru, którego już nic nie odmieni. Stała się podobna do swojego losu. „Amen". Jest tak, a nie inaczej. Lepiej nie zastanawiać się nad tym. Czasem przychodziło jej na myśl, że wszystko zależy od tego, by umieć pozostać do końca takim, jakim się jest. O Boże, chroń nas przed złem!

Liceum krawieckie znajduje się na zacisznej ulicy wysadzanej drzewami. Woźna przyrzekła zawiadomić Lilkę. Ale trzeba zaczekać na przerwę. Po kwadransie zjawia się szczupła, mizerna dziewczynka w filcowych pantoflach, o krótko obciętych włosach. — Pani do mnie? Słucham. — Łucji o mało torba nie wypadła z rąk. Poznała ją. To dziewczyna z procesu. Ta sama, która weszła do sklepu po parę nylonów. W nowym uczesaniu wygląda jak chłopiec i patrzy na Łucję niewinnie uśmiechniętym wzrokiem:

— Pani jest jego matką?

A więc jeszcze i ona. Nowa istota w życiu Łucji. Trzeba ją będzie przygarnąć, wziąć na Solec, ponieważ chce zostać matką i urodzić syna. Tak rzekła z anielską, cichą stanowczością, od której zapewne nie ma odwołania. Teraz mieszka razem z koleżanką na Muranowie przy robotniczej rodzinie; w dwóch izbach sześć czy siedem osób, za miesiąc przyjeżdża siostra koleżanki. Za sześć czy siedem miesięcy przyjdzie zatem na świat ktoś zupełnie nieznany. Rozpocznie się coś, o czym nikt nic jeszcze nie wie prócz tego, że jeśli to będzie syn, otrzyma dwa imiona: Klemens Wiktor. Klemens, gdy wyjdzie na wolność, dowie się, że o nim pamiętano. Przy drugim imieniu obstawała matka: jej starszy brat, Wiktor, zginął podczas wojny.

Z mieszkania na Solcu wkrótce wyprowadzi się Zenon. Wyjedzie do Olsztyna, skąd od pewnego czasu otrzymuje listy. W Olsztynie ma dostać lepszą pracę, jeździł tam już dwukrotnie. Miasto bardzo mu się podobało. Kiedy Staś wróci z wojska, trzeba się będzie inaczej rozmieścić: oni z małym Klemensem zamieszkają w pokoju, a Łucja przeniesie się do kuchni. Możliwe również, że przy tej okazji odświeży się mieszkanie. Wszystko to nie jest proste. Wymaga decyzji, rozwagi i śmiałych postanowień. Nie przydadzą się żadne

doświadczenia. Życie odsłania swoje prawdy tylko wstecz, nigdy naprzód, o tym należy pamiętać.

Mając lat przeszło pięćdziesiąt — po długich targach z życiem nie można powiedzieć o nim nic pewnego prócz rzeczy wielokrotnie ogłaszanych. Mogła raz jeszcze powtórzyć: „nie zabijaj". Ale co będzie jutro? Jeśli wieczorem są pieniądze, rano zapewne będzie za co zjeść. Nie wiadomo jednak, czy właśnie tego rana nie trzeba będzie zabić — gdy zajdą szczególne okoliczności. O niczym się nie wie — miała tę jedną pewność — najwyżej można to i owo czuć, czegoś chcieć i czegoś po omacku się trzymać. Niewiele, by uczyć innych.

Ta dziewczyna obejmie nowe rządy w domu. W pokoju przestawi meble tak jak zechce, mały Klemens od niej się dowie pierwszych słów. Ona rozwiesi firanki, rozstrzygnie o porach posiłków, napełni dni swoim cichym głosem. Podejrzanie cichym, skoro wziąć pod uwagę pewne fakty z przeszłości. Ale są to tylko fakty z przeszłości. Łucja umiała się pocieszać i była sprawiedliwa. Wieczór nad jeziorem, gdy topili Niemca, również należał do faktów z przeszłości. „Nie sądź, by nie być sądzonym" uważała za lepsze niż „sądzić, zanim osądzą ciebie".

Roman, który przyszedł pewnego wieczoru, mówił, że reakcja znów podnosi głowę. Ludzie w fabryce chcieli go oskarżać. Za co? Za to, co m u s i a ł robić. Szybko ich uciszono. — Męczyłem się — opowiadał posępnie. — A teraz mówią, że męczyłem innych. Czekają. Czekają na moje miejsce. — Zazwyczaj dobroduszny i trochę ociężały, dziś żąda wyroków i kar, przemawia ostrym, mściwym szeptem. — Mama wie? Chciałem być lepszy, i żeby inni byli lepsi. Chciałem, żeby się naród pobudował i żeby robotnik rządził. Dlatego musiałem kłaść ciężką rękę. I za to mnie teraz nienawidzą. Mówili mi: ciśnij, wyciśniesz dobro z człowieka. Słuchałem się. A inni mnie słuchali. I teraz Zenon, mój brat, pierwszy by szedł robić ze mną porządek. Mama wie. Ale nadejdzie jego kolej, to i on będzie cisnął. Zanim się spostrzeże. Ja to już znam. I przyjdzie jego dzień, kiedy usłyszy, że on, Zenon Król, musi zdać rachunek z ludzkich krzywd. Ja to już znam, mama wie.

Słuchała go uważnie, myśląc, że bardzo się zmienił i że może istotnie nadchodzi dla niego zły czas, by w zamian okazać się lepszym dla Zenona, któremu dotąd źle się wiodło. Jeśli miało tak być (sądziła, że jest to naturalne), Roman będzie częściej przychodził na Solec, a Zenon rzadziej przyjeżdżał. Targ w targ. Tych dwóch przynajmniej z grubsza znała.

Trzeba jeszcze doczekać powrotu dwóch młodszych. Jeden donosi w listach, że pisze piosenki dla wojska. Piosenki — mówiono — to pewny zarobek, wojsko śpiewa, syn wybrał dobry fach. Wysłuchiwała tego bez ufności. Żyć z piosenek syna zdawało jej się nieco dziwne: kto wie, czy znowu nie skończy się na praniu.

Który to raz ogarnia ją niepokój, że wszystko jest pozorem? Piosenki Stasia, jego uparta, zuchwała dziewczyna i dziecko mające przyjść na świat. Remont mieszkania i projekty Zenona, niepostrzeżenie zmieniające się życie. Czy nie kryje się za tym rzecz znacznie ważniejsza? Nigdy nie potrafiła jej określić. Dzień, w którym miałaby czas zebrać myśli i wszystko dokładniej rozpatrzyć, nie nadchodził i być może nieprędko nadejdzie. Więc nie ma odpoczynku? Nowe twarze przesłaniają dawniejsze, nieruchomieją strzępy wspom-

nień. Oto administrator w czarnym meloniku, a obok zamyślony uśmiech Wiktora Lewena. I znowu szofer z brunatną, nagą piersią, znów ciało Niemca rozciągnięte na gołej posadzce. Niewiele więcej. I zawsze obecna twarz, która przychodzi w snach. Przeważnie w snach. Twarz Klemensa.

W prokuraturze odmawiano wyjaśnień, lecz nie ma także wiadomości o skazującym wyroku. Żadnej wieści — dobrej ani złej; nie odzywał się, milczał przez miesiące i lata. Była jednak pewna, że wróci. Powoli stawał się jej modlitwą i nadzieją, klękała przed jego bólem. W swoim milczeniu wyrósł ponad wszystkich, a ból, który zniósł, musiał być tak wielki, że również inni na jego widok umilkli. Z pewnością był najlepszym z jej synów, ale jego miarą nie wolno sądzić pozostałych. Gdy wyjdzie, będzie nadal milczał. Nikt się nie dowie o tym, co naprawdę przeżył, i zapewne tak powinno być. Tak być powinno, że za krzywdy potępia się krzywdzicieli, ale skrzywdzonych lepiej zostawić w spokoju: nie porównywać ich bólu, nie mierzyć ich sił. Siła i słabość są przeznaczone ludziom po to, by mogli żyć. Być może istnieją triumfy i klęski, którymi nie wolno oceniać człowieka, tylko człowieczeństwo.

Jest jeszcze tragarz Cyga. Wprawdzie dawno przestał być tragarzem, ale niewiele się zmienił od tamtych lat. Odkąd rzuciła go żona, zaczął się bać samotności i co wieczór przychodził na Solec. Litr z czerwoną kartką, krajana kiełbasa lub kiszka oraz paczka papierosów „Sport" — nic innego nie umiał wymyślić. I szczerze się dziwił, że można myśleć o czym innym. W jego twardej, krótko ostrzyżonej głowie nie chciało się pomieścić głębsze zastanowienie. Nic nie rozumiał z życia. Ryczał, kiedy go przycisnęło, wzdychał, gdy go zawiodło; po litrze, syty i senny, walił się z nóg. Taki był, taki będzie, można się i do tego przyzwyczaić. Ileż to już lat mija od dnia, gdy po raz pierwszy wzniósł kieliszek, by mruknąć: — Nasze zdrowie, Łucjo? — W ten sposób wiernie, uparcie i trochę bezmyślnie pieczętował swój udział w jej życiu, nieefektowny, lecz trwały, a latem dokonał tego, iż przewrócił się nań wóz z cegłami i zmiażdżył mu stopę. Pobiegła wtedy do szpitala. Przychodziła dwa razy w tygodniu i po operacji siedziała przy nim, gdy nieprzytomny rzucał się na łóżku krzycząc: — Łucjo! Łucjo! — Przyszło jej wówczas na myśl, że człowiek nigdy nie zdoła przewidzieć, kto będzie wzywał jego imię. Może właśnie ten, komu najmniej się ofiarowało.

Ale w czyim ręku jest miara? Ludzka miara zasług i ofiar, słuszności i błędu? Są to sprawy nie uporządkowane, wątpliwe, mijające się o tej samej porze na tej samej ulicy, a nieraz złączone ze sobą jak koło i oś. Wystarczy pójść do szpitala, gdzie jęczy z bólu jeden człowiek, by drugi człowiek ze swoim bólem zapukał do drzwi mieszkania.

Otworzyła mu jakaś dziewczyna, której nie znał. Powiedziała, że matki nie ma, wróci późno: ze szpitala pojedzie jeszcze na Pragę do synostwa. Zapytał o jej synów i dowiedział się, że jest ich czterech. Dziewczyna przyglądała mu się spokojnymi oczami, lekko przyciśnięta ramieniem do framugi drzwi. — Czterech — powtórzył. Spostrzegł jej ciężki, pełny brzuch. Czy ma coś powiedzieć matce? — Nie — odparł. Chciał tylko spytać, czy była wiadomość

o Klemensie. Nie, nie było dotąd żadnej, ale podobno Klemens ma wrócić na jesieni. Wtedy, stojąc w zapadającym zmierzchu, pochylił nieco głowę, jak gdyby mierząc w myśli czas pozostały do jesiennych dni. Podziękował jej i odszedł. Patrzyła za nim przez okno kuchenne, ciekawa, zaniepokojona i trochę na siebie zła. Czy powinna była o tym mówić? Przystanął w bramie i spojrzał w stronę okna. Ukryła się za firanką.

Poprzedniego dnia wysłuchał ostatniej wieści o Klemensie. Dlatego tu przyszedł. Przyszedł pieszo (jego służbowym wozem jeździ już kto inny) i wybrał porę zmierzchu, gdy twarze przechodniów stają się mniej wyraźne. Mimo iż od roku był usunięty w cień, liczył się z tym, że może go ktoś rozpoznać. Od pewnego czasu z niemałym trudem znosi ludzki wzrok. Uraz konspiratora? Prawdopodobnie. Poza tym jednak w każdym spojrzeniu kryje się osąd, którego on nie potrafi przyjąć ani odepchnąć, ponieważ w obecnym czasie swego życia on sam nie jest się w stanie osądzić.

Przez ostatnie miesiące czuł się bezpieczniej. Dni, kiedy zasypiał w fotelu całkowicie ubrany, minęły. Nie wzywano go od dawna. Wielki zgon a w ślad za nim posępna rewelacja dwóch komunikatów i tu wstrzymały tok niektórych spraw. Ponadto uzyskał poufne informacje. Dano mu do zrozumienia, że sprawa, w którą był włączony — żmudne dzieło miesięcy, a może i lat — zawiodła. Proces Grzegorza dotychczas się nie odbył. Przyczyny mogły być różne. Podobno (zapewne między innymi) czyjś nieprzewidziany opór rozbił konstrukcję oskarżenia.

Opór? To znaczy — opór w kierownictwie?

Ledwie uchwytnym ruchem powiek zasygnalizowano mu dyskrecję. Być może zbiegło się to z innymi okolicznościami.

A więc był wolny. Parę tygodni temu zaproponowano mu powrót do funkcji kierownika wydziału, nadchodzący Zjazd wysunie jego kandydaturę do centralnych władz partii, w pismach ukaże się jego zdjęcie: twarz trochę obrzękła, o nieco bardziej zapadniętych oczach, ale czoło tak samo szerokie, czoło marzyciela.

Tę odmianę powitał spokojnie, jako sprostowanie omyłki, z godnością niedoszłej ofiary i poczuciem potwierdzonej racji. Nie zamierzał targować się o swoje krzywdy — teraz, gdy otwierał się przed nim czas podsumowania, najbardziej świadome lata ostatecznych wniosków. Komunikat o zbrodni wstrząsnął nim i odsłonił przepaść: był dość blisko jej brzegu. Jak wielu innych, tę noc spędził bezsennie. Ale w następnych dniach był już — jak wielu innych — zdolny do obiektywnych ocen. Prawdę zawartą w tych kilkunastu zdaniach uznał za dowód siły: oto idea, która odradza się sama.

Student Renard przeciął mu drogę pewnego letniego dnia w Alejach. Stało się to na promienistym skrzyżowaniu ulic, nazwanym Rozdrożem. Krępy chłopak w rozpiętej marynarce mijał samotnie płaszczyznę asfaltu, idąc w kierunku ogrodów. Zetknęli się niespodziewanie i Renard odwrócił głowę. Przez chwilę jednak Lewen poczuł na sobie wzgardliwy, ciemny wzrok.

Nie od razu zrozumiał. Stał w zdumieniu, trochę dotknięty, próbował wzruszyć ramionami. I nieoczekiwanie przypomniał sobie list leżący od paru dni na jego biurku, podpisany nazwiskiem Lutyka. Jakaś kobieta oskarżała go, że przyczynił się do uwięzienia jej męża.

W domu raz jeszcze przeczytał ten list. Twarzy Lutyki nie pamiętał, tylko

niejasno mógł sobie odtworzyć zebranie sprzed kilku lat, zamazane w szarym dymie, przez który przedzierał się głos tamtego człowieka, podobny do krzyku trwogi. Po pięciu latach odezwał się powtórnie, wołając o zadośćuczynienie. Po pięciu latach jego rozpacz stała się już nienawiścią poszukującą winowajcy, a miał to szczęście, że winowajcę mógł wskazać.

Lewen raz po razie czytał i odkładał list i raz po razie przymykał oczy pod szyderczym spojrzeniem przechodnia z Rozdroża. Czuł lęk na myśl, że krzywdy, jakich doznał, zawsze pozostaną zrośnięte z krzywdami, które wyrządził. Był to pierwszy, krótki błysk obawy: twoja słuszność potwierdza się wraz z twoją winą; nóż, który jedną od drugiej odetnie, jest już gotowy w ludzkich rękach; będą sprzedawać twoją winę, znajdą się nabywcy na ten krwawy ochłap.

Nie bał się odpowiedzialności, chciał tylko zachować prawo do sądu nad sobą samym. I wiedział, że utracił to prawo. Czy nie scedował go na rzecz swej obiektywnej racji, sądzącej ludzi w stanie oczyszczonym z wnętrzności, ślepej na intencje i wpatrzonej w skutki, dokonującej się w czasie? Było to prawie niepojęte. Ale tak było. Trzeba uznać własną bezsilność w obliczu własnych pojęć. Nie można żądać pomocy od pojęć, których się wyrzekło. Jeśli twoja najwyższa instancja świadomości i losu, jeśli twój szczyt, w którym widziałeś cel działania i myśli, ukaże ci nagle twoje dno — nie broń s i e b i e. Poddaj się temu i pnij się od początku. Jest to przecież twój cel i twój początek, przynajmniej bądź konsekwentny.

Miał pewność, że wkrótce upomną się o jego winy wobec Lutyki i Renarda, a może również wobec innych, o których nawet nie wiedział, i że będzie musiał je uznać. Przewidywał, że i tym razem przyjdzie mu oddać wszystko, stać się nikim i nie ocalić nawet przeszłości. Ale trzeba to uczynić, jeśli już raz było się gotowym to uczynić. I milczeć, jeśli już raz wypadło milczeć.

Taka decyzja nie przychodzi bez bólu i buntu. Cierpiał, że nie stał się jednym z nich, Gorwiczem albo Klemensem, jednym z nich, którzy mieli prawo do milczenia. Buntował się przywołując swoją zasługę, swój udział w niezatartych śladach wyciśniętych przez pochód, w którym i on szedł. Ale rozumiał, że nikt mu tej zasługi nie przyzna, bo miara, jaką można ją zmierzyć, nie leży w ludzkich rękach i dopiero nadchodzący czas odsłoni wstecz swoje prawdy. Szamotał się, uwikłany między swoją winą i racją, jak potępieniec między niebem a ziemią. Reszty dokonał Hiszpan.

Hiszpan, który wtargnął nocą do jego mieszkania i usiadł w płaszczu na łóżku, mówiąc, że został oszukany. Mówił z wściekłością: oni. — Gdzie oni wtenczas byli? — Oni? — pytał Lewen. — Przez trzydzieści lat — krzyczał tamten — mówiłem m y. Ale okazało się, że w każdym z nas był o n, więc teraz mówię o n i. To znaczy my! Czy myślisz, że o ciebie nie chodzi? Gdzie byłeś? Dlaczego nie widzieliśmy rzeczy, o których na każdym rogu szeptał każdy prócz nas?

Zaczął mu opowiadać, przeklinając godzinę, gdy musiał wysłuchać tych opowieści z ust pewnego lekarza, który pracował w więzieniu.

— Przez wieki — wróżył — będą ścigać nasze imię. Hańba spadnie na nas. Nie wiedziałem, bo nie chciałem wiedzieć. Idea! Sprawiedliwość! Zagrzebaliśmy je w piasku cmentarzy.

— Nie wolno ci tak mówić — przeczył Lewen. — Nie masz prawa. Nie wszystko skończone.

Ale tamten nie dawał mu wytchnąć. — Czego bronisz? — wołał z gniewem — co ci zostało? Wspomnienia? Mieszkanie i biurko? Telefon? Ile miałeś telefonów na biurku? Boisz się hańby. A ona już się dokonała. Prosty człowiek nami gardzi. Wszystko, wszystko skończone.

Przyskoczył ku niemu. Zbliżywszy twarz, szukając jego spojrzenia, opowiedział mu jeszcze jedną historię, którą usłyszał od lekarza. Zamęczony w karcerze, wplątany w oskarżenie przeciw Grzegorzowi, młody, dwudziestokilkuletni komunista. Odmówił zeznań.

— Krew z naszej krwi, nadzieja partii. Konał na jego rękach i milczał. Pielęgniarka płacząc dała mu ostatni zastrzyk. Słuchaj, Wiktor: usunęli ją za to. Subiektywny stosunek do więźniów. Czy masz jeszcze chęć mnie agitować?

Syczał, bolała go blizna. Obiecał dowiedzieć się nazwiska tego chłopca. Po trzech dniach zatelefonował.

Pozostało raz jeszcze udać się w stronę opuszczonego miejsca swego życia, raz jeszcze tam się pojawić. Nieznajoma dziewczyna patrzyła ze strachem ukrytym pod krawędzią powiek i nawet nie przyszło jej na myśl zapytać, kim on jest. Powiedziała jednak, że żyją czterej synowie, czwarty ma wrócić na jesieni. Zbliżał się letni wieczór, zapowiadający, zwłaszcza w dzielnicach nadrzecznych, ciepłą ciszę i ciemność. Szmer płynącej wody przesuwa się u stóp spalonych domów, przetrwałych tu jeszcze od września. Nie wszystko jest skończone. Pomyślał to wbrew swoim prawom, na przekór swojej rozpaczy. W ogromnej chmurze klęski świeci jeszcze gwiazda. Niewysoki, trochę otyły człowiek, stojący w cieniu zdruzgotanego domu, przed którym bieleją stare cegły i kości, nie ma nic na swoją obronę, na swoje usprawiedliwienie, prócz jednej rzeczy, będącej obroną i usprawiedliwieniem: chce zacząć od początku. Nierozumna, szaleńcza, prawdziwie ludzka rzecz. Szumi mu w skroniach, musuje w nim ów wołacz ryzyka i niebezpieczeństwa, przez niektórych nazywany walką. Jeśli kiedyś świat znów się upomni o jego marzenia, można już dzisiaj mieć pewność, że znowu się nie obejdzie bez wstrząsów i błyskawic, wśród których sławna bryła pozwala się ruszyć z posad.

Na razie jednak ten człowiek stoi w ciemności i trudno go rozpoznać. Dziewczyna z mieszkania na Solcu nie potrafiła nawet opisać, jak wyglądał. — Siwy i tęgi — próbowała sobie przypomnieć — o czarnych, smutnych oczach.

„Siwy i tęgi — powtarza Łucja zasypiając — o smutnych, czarnych oczach? Nie wiem, kto to był." Doprawdy, nigdy nie znała takiego człowieka, i w dwa dni później w szpitalu spytała Cygę, jak myśli, kto to mógł być? Ale on także nie wiedział. W ogóle niechętnie myślał, a cóż dopiero ze zmiażdżoną nogą, wysuniętą w bieli na publiczny widok, jak zacna nieboszczka. Dręczyło go pewne pragnienie, którego nie śmiał wyjawić w obawie, że zbytni pośpiech mógłby zniszczyć cel. Zawsze był raczej praktykiem niż abstrakcjonistą. Wpatruje się więc w Łucję, jednocześnie unikając jej spojrzeń. Rozmowa toczy się o niedalekiej przyszłości. Noga Cygi odegra

w niej kłopotliwą rolę, to jasne. Wypadnie zaopiekować się tym ciężkim ciałem o nie zanadto rozwiniętej głowie. Jeden wpada pod tramwaj, na drugiego przewraca się wóz z cegłami, a to, co pośrodku, to jest życie.

Powiedziała o tym na głos, ze złością. I spostrzegła się, że nie potrafi obliczyć, ile już lat upłynęło od wypadku z jej mężem. Dwadzieścia czy dwadzieścia jeden? W każdym razie zbyt dużo, by teraz się dziwić, że właściwie wszystko trzeba zaczynać od początku.

Wzięła „Sporta" od Cygi i zaciągając się mówiła mu o tym, jak głupi jest człowiek. Słuchał ciekawie i z zadowoleniem, a później powiedział:

— Ciężkie miałaś życie.

Zastanowiła się i po chwili odparła:

— Nie narzekam. Innym było ciężej.

*Warszawa, marzec 1956 — marzec 1957*

*Kazimierz Brandys*

*Stanisław Grochowiak*

## WIERSZ ANTYASTRONAUTYCZNY

Co tu zostanie Co tu zostanie
Co tu zostanie po tej ostatniej
Odfruwającej możliwie najdalej
Skąd nawet szczątek żałosny nie spadnie

Co tutaj będzie obok kaktusa
Na który lodem napełznie liszaj
Obok drapaczy stygnących w rysach
Przez piętra wieje z u p e ł n a cisza

On tu zostanie On jeden Biały
Najczulszy malarz ścian Hiroszimy
Miłośnik globu żołnierz wytrwały
W gęstym obszarze bezludnej zimy

On będzie tutaj wśród skorup żywy
Nie piszczel Ani nie czaszka Strażnik
Syropu ziemi morza i gliny
Zmarłych miłości i wyobraźni

Co tu zostanie Co tu zostanie
Co tu zostanie to nas gnębiło
Ani nie rozpacz ani nie miłość
WIECZNY na ścianie

## DO PANI

Lubię z blachy twego kubka
Pić herbatę gorzką, pani —
Lubię głaskać twego szczura,
Gdy się do mych nóg przyczołga —

Albo gadam z pogrzebaczem,
Albo łajam karbidówkę:
Ordynarna to jest dama,
Nie zdobiąca twego dworu.

A wszak piękne masz niechlujstwo
Z astronomią złych pająków,
Z ciemną kaźnią twej piwnicy,
Kędy boczki mrą na hakach.

O feudalna moja pani,
Chwalę sobie twe domostwo
Wieczny lennik na twych włosach,
Trwały wasal twego żebra...

## NASZA WIEDŹMA

Nasza wiedźma tańczy bibob
A paznokci ma kilometr
Gwiazdy strząsa końską grzywą
Stopy zaś ma stupudowe
Nasza wiedźma

Nasza wiedźma nie ma duszy
Mówi tylko przedmiotami
Mięso wącha zamiast róży
Woli rzepę od konwalii
Nasza wiedźma

Wybujała w czasach głodu
Odniemiała w erze haseł
Kochająca w świecie zbrodni
Lubi wszystko co jest jasne
Nasza wiedźma

Ale spójrzcie czy uboga
Gdy nad dzieckiem się pochyla
Wznosi ryjek jak fonograf
I wypuszcza zeń motyle
Nasza wiedźma?

*Stanisław Grochowiak*

*Krystyna Tokarzówna*

# BRACIA GŁOWACCY W POWSTANIU STYCZNIOWYM

Okres powstania styczniowego stanowi do tej pory białą plamę w biografii Prusa. Dochowane ślady korespondencji pełne są niedomówień, zebrane różnymi drogami wiadomości, fragmentaryczne i często niezgodne z prawdą, z trudem pozwalają na skomentowanie aluzji.[1] Sam Prus wspominał o powstaniu niechętnie i nawet w jego twórczości zachowały się tylko nieliczne ślady tego tematu. W 1902 roku, kiedy Walery Przyborowski uzupełniał swoje materiały do 4 i 5 tomu *Dziejów roku 1863*, pisał do niego Prus: „W każdym razie mego nazwiska, proszę Cię, absolutnie nie wspominaj. Proszę Cię o to nie z jakiejś obawy, gdyż obawiać się nie mam czego, ale ze wstrętu do roli »świadka wielkich wydarzeń«. Są ludzie, których cała zasługa polega tylko na tym, że »coś« wiedzieli albo nie widząc — zełgali. No, ale ja w tym szeregu stawać nie chcę" (Warszawa, 22.III.1902).

Rodzina Głowackich opłaciła tragedię powstańczego zrywu obłąkaniem Leona i głębokim urazem psychicznym Aleksandra.

Okres poprzedzający bezpośrednio powstanie spędzali bracia razem. Do roku 1861 uczęszczał Aleksander do Powiatowej Szkoły Realnej przy Gimnazjum Gubernialnym w Lublinie, chowając się pod opieką ciotki Domiceli z Trembińskich Olszewskiej. W roku 1860 starszy o 12 lat Leon ukończył na Uniwersytecie Kijowskim wydział filologiczny i w r. 1861 objął stanowisko nadetatowego nauczyciela historii i geografii w pięcioklasowej Szkole Powiatowej w Siedlcach, zabierając ze sobą Aleksandra. W Siedlcach został Aleksander zapisany w roku szkolnym 1861/62 do klasy V-tej tej samej szkoły, gdzie uczył brat, i ukończył ją z nagrodą.

Rok 1861 w Polsce — po okresowym odprężeniu, jakie nastąpiło w kierunku liberalniejszej polityki wewnętrznej po śmierci cara Mikołaja I w 1855 roku na terenie całego imperium rosyjskiego — przyniósł z jednej strony nawrót represji zaborcy, z drugiej pęd społeczeństwa polskiego do organizowania się oraz do głośnych, antyrządowo-wyzwoleńczych manifestacji. Leon Głowacki, wychowanek Uniwersytetu Kijowskiego, przywiózł do kraju program działalności politycznej, z którym zżył się na swej uczelni. W Kijowie, zwłaszcza po roku 1857, gdy uczyło się tam około 800 Polaków na ogólną liczbę 1000 studiujących, utworzyło się silne środowisko rewolucyjne o tendencjach czerwonych, będące pod wpływem Mierosławskiego.

Rozpocząwszy pracę nauczycielską Leon nie zrezygnował z działalności politycznej, ale utrzymywał nadal organizacyjny kontakt z kijowskimi towarzyszami, już na terenie Warszawy. W październiku 1861 r. wraz z Ignacym Chmieleńskim i Julianem Wereszczyńskim zawiązał „Miejski Komitet" Czerwonych. W związku z tym wydarzeniem, omawiając środowisko Czerwonych współpracujące z Chmieleńskim i Dennelem, charakteryzuje Leona Przyborowski: „Znalazł się jeszcze inny człowiek to samo mówiący, niejaki Głowacki (Anastazy?) [W. P. nie znał wówczas imienia, prawdopodobnie wypaczył drugie imię Leona — Albert]. Wychowaniec Uniwersytetu Kijowskiego, przesiąknięty na wskroś rewolucyjną atmosferą tej szkoły, która wydała najczerwieńszych, najskrajniejszych agitatorów tej doby, chłopoman, radykał z przekonania, ale cichy, małomówny, skromny, gotowy do wszelkich poświęceń, zdecydowany na wszystko. Kulawy, szczupły, jakby chorowity, miał jednak wiele odwagi gardzącej wszelkimi niebezpieczeństwami; niezdolny do inicjatywy, ale bezwzględny wykonawca czyjegoś rozkazu, jeżeli ten rozkaz uznał za dobry i pożyteczny". Charakterystyki tej nie można uważać za w pełni wiarygodną, gdyż Przyborowski, ilekroć pisze o Czerwonych, daje się ponosić stronniczym antagonizmom. Tym niemniej szkic ten ukazuje postać Leona w podobnym oświetleniu, w jakim on później przez całe życie pozostał w pamięci młodszego brata. W liście do Przyborowskiego (Warszawa, 16.III.1902) Prus pisze: „Brat mój, Leon Albert, istotnie należał do najwyższej organizacji od roku 1860-go lub 61-go, a reprezentował w niej kierunek sceptyczny i łagodzący. Wiem to nie od Niego, lecz od innych. Był to człowiek uczciwy, uczuciowy, zdolny i bardzo kochany przez kolegów".

Po zawiązaniu „Miejskiego Komitetu" zebrała się u Wereszczyńskiego grupa osób[2], które aprobowały istnienie Komitetu jako władzy centralnej, domagając się jednak utworzenia nad nim organu kontrolnego, pochodzącego z wyboru. W wyniku debat ukonstytuowało się tzw. „Koło", do którego kompetencji należało zmienianie i mianowanie w razie potrzeby nowych członków Komitetu.

Podobnie jak Głowacki i Wereszczyński, z Kijowskiego Uniwersytetu rekrutowała się młodzież, która w roku 1862 utworzyła w Warszawie rewolucyjny „Komitet Akademicki" Czerwonych, będący poważną konkurencją dla „Komitetu Miejskiego".

Wg relacji Przyborowskiego „Komitet Miejski" w owym czasie nie przedstawiał poważniejszej siły organizacyjnej z powodu anarchii, jaką wprowadzało w jego wewnętrzną organizację „Koło". Sytuacja jego zmieniła się zasadniczo z chwilą przybycia do Warszawy i przejęcia władzy przez Jarosława Dąbrowskiego.

25-letni wówczas Jarosław Dąbrowski, wychowanek najpierw Korpusu Kadetów w Brześciu, a następnie Szkoły Artyleryjskiej i Akademii Sztabu Generalnego w Petersburgu, orientował się w realnych możliwościach polskiej rewolucji. Znając siły moskiewskie uważał, że polskie powstanie narodowe może mieć widoki powodzenia tylko w warunkach wojny powszechnej. Toteż gdy polskie środowisko petersburskie delegowało go w grudniu 1861 roku do Warszawy dla zbadania sytuacji, kontaktując się z Czerwonymi Komitetami tłumaczył im, że cała akcja wolnościowa nie ma szans powodzenia, „wskutek czego nie zrobił wrażenia na różnych zapaleńcach

w guście Chmieleńskiego, Wereszczyńskiego i Frankowskich, wzajem wynosząc o nich jak najgorszą opinię i nazywając ich bez ogródki szalonymi pałkami". Gwałtowny zwrot w rewolucyjnych poglądach Dąbrowskiego przypisuje Przyborowski pannie Pelagii Zgliczyńskiej, czerwonej patriotce, pod wpływem której stracił sąd o sytuacji i stał się od razu „najgorętszym, najczerwieńszym, najskrajniejszym patriotą, widzącym jedyny ratunek ojczyzny w natychmiastowym powstaniu zbrojnym". Czy taka była istotnie przyczyna, nie wiadomo dokładnie, w każdym razie nie ulega wątpliwości, że Dąbrowski zasadniczo zmienił swój stosunek do powstania. Po powrocie do Petersburga postarał się o odkomenderowanie do Warszawy w charakterze adiutanta sztabu generalnego VI dywizji piechoty. Przybywszy na stałe do Warszawy 6.II.1862 rozpoczął działalność w „Komitecie Miejskim". W kwietniu doprowadził do rozwiązania utrudniającego pracę „Koła" oraz spowodował zmianę składu osobowego Komitetu. Wówczas to ustąpili z Komitetu J. Wereszczyński i L. Głowacki, a nowy Komitet ukonstytuował się w składzie: Jarosław Dąbrowski, Ignacy Chmieleński i Stanisław Matuszewicz (również wychowanek Uniwersytetu Kijowskiego).

Co było powodem usunięcia Głowackiego z władz komitetowych, nie wiadomo. Można jednak przypuszczać (sądząc z relacji Prusa o jego sceptycznych zapatrywaniach na celowość powstania), że spowodowały to niezgodności w poglądach na rewolucyjną taktykę.

Jaką rolę polityczną spełniał Leon Głowacki w okresie między kwietniem 1862 a lipcem 1863 r. — trudno stwierdzić. Według relacji Oktawii Głowackiej został później wciągnięty przez Romana Żulińskiego do współpracy w Rządzie Narodowym. Potwierdzenia tej współpracy można się dopatrzeć w wyżej wymienionym liście Prusa, gdzie jest mowa o tym, że w pierwszym okresie choroby Leona najbardziej opiekował się nim Roman Żuliński.

Do wakacji 1862 r. przebywał Leon wraz z Aleksandrem w Siedlcach. Od nowego roku szkolnego rozpoczął pracę w Gimnazjum Męskim Klasycznym w Kielcach jako drugi filolog. W roku szkolnym 1862/63 uczył tam języka łacińskiego, polskiego i historii Polski. Aleksander uczęszczał do tej samej szkoły do klasy VI-tej. Echa tego okresu wracają niejednokrotnie w listach pisanych w następnych latach do kolegi kieleckiego, Mścisława Godlewskiego. „Pamiętasz Kielce, pamiętasz nasz spacer po drodze do Karczówki, pamiętasz: Dobr. Wyszk. Troczew. i siebie, kiedym Was okłamywał"... (Lublin, 31.X.1865).

O roli konspiracyjnej Aleksandra, jego współpracy z bratem oraz wpływie ideologicznym, jaki Leon na niego wywierał, nie dochowały się żadne wyraźniejsze informacje. Posługiwać się tu można jedynie uzyskanymi z listów wieloznacznymi sugestiami. W r. 1865 Aleksander oburza się, że jakiś antagonista nazwał go „dzieckiem rynsztoka i rewolucji (!), biorąc ją w znaczeniu palonych butów i powstania z 62 [!] roku..." (Lublin, 30.XI.1865). Być może, była to aluzja do solidaryzowania się Aleksandra z programem stronnictwa Czerwonych. Jakie były losy Aleksandra od chwili wybuchu powstania, kiedy i w jakich warunkach opuścił gimnazjum i udał się do partyzantów — nie wiadomo. Kolega Aleksandra z Siedlec, Tymoteusz Łuniewski, wspomina w swym pamiętniku następujący epizod: „19 kwietnia 1863 r. opuściłem Siedlce [...] udałem się piechotą przez Łosice, Chotycze do Mostowa [k. Białej

Rządu Narodowego. Na Litwie w maju rozpoczął się terror Murawiewa. Wydział litewski Rządu Narodowego na skutek aresztowań został niemal całkowicie rozbity, a władzę objęła grupa Czerwonych z Konstantym Kalinowskim na czele. Do Warszawy dochodziły wiadomości, jakoby Kalinowski uprawiał politykę separatystyczną i zamierzał wyłamać się spod władzy Rządu Narodowego. Dla zbadania sprawy na miejscu Rząd delegował do Wilna Oskara Aweydego w charakterze komisarza pełnomocnego. Kiedy Aweyde po bezowocnych pertraktacjach z Kalinowskim chciał się dostać z powrotem do Warszawy, został aresztowany na dworcu wileńskim.

Wtedy Rząd Narodowy wydelegował powtórnie w tej samej sprawie do Wilna Leona Głowackiego.

Podróż koleją żelazną na Litwę była w owym czasie połączona ze szczególnymi trudnościami. Rząd „Czerwcowy" w dn. 21 i 22.VI.1863 wydał dekret zakazujący ruchu kolejowego na trasie kolei petersburskiej i landwarowskiej w granicach Królestwa Polskiego, chodziło bowiem o utrudnienie komunikacji między Petersburgiem a Rządem Królestwa. Dekret nakazał pracownikom kolejowym opuszczenie pracy, a Żandarmerii Narodowej dopilnowanie wykonania rozkazu. Utrudnienie to okazało się w skutkach przeszkodą obustronną, gdyż w równym, a może w większym stopniu skomplikowało porozumiewanie się Rządu Narodowego z Wilnem. Kolej i tak kursowała, a władze rosyjskie obsadziły stacje policją, żandarmerią i wojskiem, przeprowadzając szczegółową kontrolę podróżnych. „Całą drogę żelazną warszawsko-petersburską w obrębie wielkorządztwa Murawiewowskiego oddano pod zarząd jenerała Szuwałowa, który wszystkie stacje obsadził wojskiem w ogólnej liczbie 22 rot, a w lecie zwiększono tę liczbę do 35 rot piechoty. Na wszystkich stacjach znajdował się osobny naczelnik wojskowy, mający pod sobą kilku urzędników policyjnych lub żandarmów, których obowiązkiem było baczyć, by każdy podróżny puszczający się w drogę miał paszport, na którym kładziono odpowiednią pieczęć, bez tego bowiem kasjerowi kolejowemu nie wolno było sprzedać biletu. Takich, którzy nie mieli paszportu albo czymkolwiek wzbudzali podejrzenie, natychmiast aresztowano [...]. Jak dalece przykrym to było dla podróżnych, mówić nie potrzebujemy. Wielu wolało nakładać drogi, puszczać się z Petersburga morzem, niż przejeżdżać przez wielkorządztwo Murawiewa i na tysiące narażać się przykrości. Wszystkie stacje ufortyfikowano przy pomocy blokhauzów, a kozackie patrole nieustannie wzdłuż toru kolejowego przebiegały od jednej do drugiej stacji. Zabroniono tłumnego gromadzenia się na peronach, w bufetach dozwolono przebywać tylko przejeżdżającym. Urzędników kolejowych oddano pod nadzór żandarmerii i najmniejsze niedopełnienie przepisów surowo było karane. Wobec tego podróż koleją na przestrzeni podległej zarządowi Murawiewa była istną męką i nie można się dziwić, że byli tacy, którzy przebywszy tę kalwaryjską, rzec można, drogę, dostawali obłędu, jak np. Głowacki, wysłany do Wilna po aresztowaniu Aweydego [...]" — charakteryzuje sytuację Przyborowski.

Wrażliwy i nerwowo wyczerpany przez uprzednie wypadki oraz zapewne przez świadomość tragizmu sytuacji powstania, gdyż — wg relacji brata — od początku nie wierzył w skuteczność akcji zbrojnej i tylko przez solidarność nie zaniechał współpracy, Leon Głowacki po powrocie z Wilna już nie

był w stanie zdać sprawy ze swego poselstwa. Stopniowo zaczął popadać w obłęd, z którego nie wyleczono go do śmierci.

O spotkaniu z bratem krótko po jego powrocie z Wilna pisze Prus do Przyborowskiego (Warszawa, 16.III.1902):

„Będąc w Warszawie w początkach sierpnia 1863-go roku, dowiedziałem się, że Brat mój mieszka w Hotelu Saskim (II piętro, okno od Koziej). Poszedłem tam i zastałem Leona okropnie rozdrażnionego: nie chciał wychodzić z numeru i dawał mi do zrozumienia, że jest ścigany. Raz w mojej obecności modlił się i płakał.

Wspominał też, że wraca z Wilna, dokąd jeździł odwiedzić jakoby naszego stryja (nigdy o nim nie słyszałem), ex-nauczyciela, emeryta, i nawet trzymał jego fotografię z podpisem na stoliku [...].

Przesiadywałem u niego w hotelu po parę godzin przez kilka dni i ciągle widywałem gości. Byli to członkowie organizacji, z których najczęściej odwiedzał Go Roman Żuliński, najdłużej przesiadywał i najgoręcej usiłował uspokoić Jego rozdrażnienie.

Po kilku dniach musiałem wracać do oddziału [...]".

Kariera powstańcza młodego Aleksandra dobiega końca. Po wyjeździe z Warszawy być może bierze jeszcze udział wraz z oddziałem Krysińskiego w bitwie pod Żyżynem (8.VIII.63), do Fajsławic jednak, wbrew „ustnej tradycji" zanotowanej przez Włodka, już nie dociera (bitwa pod Fajsławicami rozegrała się 24.VIII.1863), gdyż w dniu 15 sierpnia zostaje ranny i wzięty do niewoli w jakiejś potyczce w okolicy Łukowa, o której w dwa lata później wspomina w korespondencji do M. Godlewskiego (Lublin, 11.XI.1865): „J a, dawny j a pochowany jestem razem z nadziejami moimi pod Białką, skąd drugi j a wyniósł: dwumiesięczne szaleństwo, zwątpienie w tego rodzaju zabawy i kalectwo [...]". O jaką to Białkę chodzi, trudno ustalić, gdyż w okolicy Łukowa jest kilka wsi o tej nazwie i jedna rzeczka. J. Frankowski w *Dziejach gimnazjum siedleckiego* podaje, że A. Głowacki schwytany został przez Maniukina w lasach pod Krzywdą koło Łukowa.

O swoich dalszych losach pisze Prus: „Dnia 15 sierpnia wzięto mnie do niewoli, skąd jako ciężko chory, a nade wszystko dzięki protekcji poczciwej rodziny sędziego Dryla (no i dzięki 16-tu latom[4]) zostałem uwolniony bodajże w Dzień Zaduszny. W połowie listopada przyjechała moja ciotka, Olszewska, z Warszawy, skąd przywiozła chorego Brata, Leona, a następnie obu nas zabrała do swego domu w Lubartowie. Tam mieszkałem z Bratem przeszło miesiąc [...]".

16 grudnia jest Aleksander znowu w Siedlcach, skąd pisze list do kogoś w Warszawie. Dopytuje się o kilku kolegów, m. in. szuka M. Godlewskiego. „Po przejściu arcy-rozmaitych, a nie zawsze przyjemnych przygód — literackich, przyjściu do zupełnego zdrowia, pierwszą moją myślą jest podnieść głos mój ku znajomym i przyjaciołom w Warszawie [...]. Onego czasu, gdy pewne, dość rumiane, rzeczy wylazły mi bokiem, a ja obok tego, bez mowy i rozumu, dostałem się do szpitala, onego to czasu zacząłem się mocno zastanawiać nad tym, co mi się przytrafiło i co mogło się przytrafić, a rezultatem tych medytacji było to przekonanie, że tylko mam już przed sobą naukę i że do niej trzeba się silnie zaczepić — co też zrobiłem[...]".

Planowanej nauki, niestety, nie zdążył rozpocząć, gdyż tego samego miesią-

ca został ponownie aresztowany i osadzony w Lublinie na Zamku, z którego uwolniono go dopiero 7 maja za poręczeniem ciotki D. Olszewskiej.

W tym czasie Leon wg relacji Włodka przez jakiś czas leczył się w lubelskim szpitalu pod opieką kolegi swego, dr. Janiszewskiego, a później, gdy był spokojniejszy, zabrał go do siebie wuj, ks. Seweryn Trembiński, prałat kapituły zamoyskiej, proboszcz najpierw w Józefowie Ordynackim, później w Piotrawinie nad Wisłą.

Powstanie dogorywało.

*Krystyna Tokarzówna*

## PRZYPISY

[1] Np. L. Włodek (*Bolesław Prus*. Warszawa 1918, s. 15) podaje: „O udziale Aleksandra w powstaniu nic pewnego nie wiadomo. W tradycji ustnej dochowała się relacja, że walczył pod Fajsławicami i że był w partiach Czachowskiego i Krysińskiego. Z innych źródeł dowiadujemy się, że jakiś Głowacki został awansowany na podporucznika pod Sobolewem, ale imienia nie znajdujemy: trudno też przypuścić, żeby ten awans dotyczył młodziutkiego Aleksandra".

Bitwa pod Fajsławicami odbyła się 24.VIII.1863, podczas gdy Aleksander ranny został 15.VIII.1863, więc brać udziału w niej nie mógł. Udział w partii Krysińskiego potwierdza się; o Czachowskim brak wiadomości. W bitwie pod Sobolewem (lasy lubartowskie) 24.V.1863 odznaczył się jakiś Głowacki, nie mógł to być jednak Aleksander, gdyż w liście z 31.V.1863, pisanym z Kielc, znajduje się wzmianka o „wiadomościach z okolic Lubartowa", które go przygnębiły. O bitwie tej więc wiedział tylko z relacji.

W *Księdze Pamiątkowej Siedlczan* w art. Aleksandra Olędzkiego pt. *W szkołach siedleckich w okresie powstaniowego fermentu* znajduje się wiadomość: „Wyszedł [do powstania] Aleksander Głowacki, późniejszy Bolesław Prus, chluba naszego narodu. Wielu w pierwszej bitwie pod Staninem Łukowskim zginęło. Głowacki był tak skłuty pikami kozackimi, że całe ciało jego to była jedna rana. Przywieziony do szpitala łukowskiego pod wezwaniem św. Tadeusza, pielęgnowany przez miejscowe siostry zakonne, wyszedł cało. Głowacki-Prus nigdy o tym epizodzie swego życia nikomu nie wspominał ani razu, nawet najbliższym sobie, prawdopodobnie i swojej własnej żonie. Dlaczego robił z tego tajemnicę, jest to zagadka. Wiem to od swojej matki, która dojeżdżała ze swego majątku Szaniaw do szpitala łukowskiego i nieraz sama opatrywała rany Prusa. Brat jego, o wiele starszy, nauczyciel szkół siedleckich, na wiadomość o losie ukochanego Olesia dostał pomieszania zmysłów; ulokowany przez młodszego brata pod Nałęczowem w ziemiańskim domu, tam życia dokonał. Prus, Głowacki, zwykle wakacje spędzał w Nałęczowie i brata odwiedzał." — Bitwa pod Staninem odbyła się 14.III.1863 i brał w niej udział oddział pułkownika W. Lewandowskiego, do którego wg wszelkiego prawdopodobieństwa Aleksander należał. Jednakże w tej bitwie z całą pewnością nie został ranny, nie leczył się też w szpitalu łukowskim. Nieprawdziwe są wszystkie wiadomości dotyczące Leona Głowackiego. Cała więc opowieść polega na nieporozumieniu albo fantazji. Podał ją już w wątpliwość Zygmunt Wasilewski („*Kurier Poznański*" 1931, nr 490, s. 11).

Równie nieprawdopodobnie wygląda relacja podana przez Adama Kowalskiego (w tejże *Księdze Pamiątkowej Siedlczan*) w art. *Nielegalne kółka samokształcenia w gimnazjum siedleckim:* „Chciałbym i z dawniejszych czasów przekazać opowiadania śp. Wincentego Hojera, rówieśnika Bolesława Prusa — Głowackiego, który mówił mi, że Prus przyszedł do czwartej klasy i gwałtownie namawiał do udziału w powstaniu. Po przemowie Prusa na katedrze zabrał głos 4-klasista Weiss i na zimno krytykował gorące wywody Prusa. Głowacki, nie mogąc znieść argumentacji Weissa, wyjął scyzoryk i chciał nim przebić przeciwnika. Wkrótce potem Hojer spotkał na końcu ul. Floriańskiej karetkę, dla szykany eskortowaną przez samego Maniukina (dowódcę rosyjskiego); przez okno karety widać było

młodziutką główkę Prusa, a na niej czapkę z orzełkiem. Z karety usłyszał Hojer dziecięce, koleżeńskie wołanie: «Wicek» [...]". „Przyjście do czwartej klasy" można tu różnie rozumieć. Jeżeli rozumieć to jako: przybył jako nowy i uczęszczał do klasy czwartej (a nie: przyszedł do klasy czwartej z innej klasy, żeby ich namawiać), to wiadomość jest niezgodna z prawdą, gdyż Aleksander w Siedlcach uczęszczał do klasy piątej. Poza tym uczył się tam w roku 1861/62, więc jeszcze namawiać do powstania nie mógł. Obie wiadomości pochodzą z drugiej ręki, więc łatwo mogły ulec wypaczeniu. Za to bardzo prawdopodobna jest wiadomość zawarta we wspomnieniach osobistych T. Łuniewskiego o spotkaniu z Aleksandrem w oddziale Bończy.

[2] Franciszek Godlewski, Apollo Korzeniowski, ks. Mikoszewski, Tomasz Winnicki, Antoni Jeziorański, Witold Marczewski, Ksawery Norwid (brat Cypriana) i Karol Majewski.

[3] Nie mylić z Konradem Tomaszewskim, pseud. B. Bończa.

[4] Co do roku urodzenia Prusa istniały rozbieżne poglądy, wynikłe z dwu różnych dokumentów: metryki, świadczącej o urodzeniu w Hrubieszowie w 1847 r., oraz protokołu rady familijnej z 15/27.XI.1856 r., gdzie jest o nim mowa jako o „jedenastoletnim". W związku z tym ustalił się pogląd, że metryka Aleksandra została sfałszowana podczas powstania, kiedy chodziło o wydobycie go z więzienia. Tymczasem Jan Doliński w art. *Czasy szkolne Bolesława Prusa w świetle źródeł archiwalnych (Sprawozdania... KUL* nr 2: 1947/48, s. 45) stwierdza, że w aktach archiwalnych Powiatowej Szkoły Realnej w Lublinie r. 1859/60 w spisie uczniów z kl. III znajduje się notatka: „Aleksander Głowacki lat 12, stan rodziców miejski, miejsce urodzenia: Hrubieszów, miejsce zamieszkania opiekunów: Puławy". Z porównania wieku uczniów w klasie wynika, że należał do najmłodszych. Tak więc hipoteza o zmianie metryki podczas powstania upada, a mało prawdopodobne wydaje się, aby taka zmiana była potrzebna w młodszych latach. Sam Prus zawsze, gdy w listach mówi o swoich latach, oblicza je od 1847 r. O prawdziwości metryki świadczy również naoczne stwierdzenie A. Szczerbowskiego *(Miejsce urodzenia i metryka B. Prusa. „Ruch Lit."* 1926, nr 2, s. 61), że metryka znajduje się w księgach parafialnych w ściśle chronologicznym porządku.

## BIBLIOGRAFIA


Araszkiewicz Feliks: *Z lat szkolnych Prusa. „Ruch Literacki"* 1928, s. 294—297.

Dobrzański Jan: *Czasy szkolne Bolesława Prusa w świetle źródeł archiwalnych. Sprawozdanie z czynności wydawniczej i posiedzeń naukowych KUL,* nr 2:1947/48. Lublin 1949, s. 48.

Dubiecki Marian: *Młodzież polska w Uniwersytecie Kijowskim przed rokiem 1863.* Kijów 1909.

Dubiecki Marian: *Romuald Traugutt i jego dyktatura podczas powstania styczniowego 1863—1864.* Poznań 1921.

*Księga Pamiątkowa Kielczan* (1856—1904). Warszawa 1925.

*Księga Pamiątkowa Siedlczan* (1844—1905). Warszawa 1927.

Przyborowski Walery: *Dzieje 1863 roku.* T. 1, 3—5. Kraków 1897, 1902, 1905, 1919.

Przyborowski Walery: *Historia dwu lat 1861—1862.* T. 1—5. Kraków 1892, 1893, 1894, 1895, 1896.

Sawicki Jan Stella, pseud. Pułkownik Struś: *Ludzie i wypadki z 1861—1865 r.,* Lwów 1894.

Szweykowski Zygmunt: *Twórczość Bolesława Prusa.* T. 1. Poznań 1947.

Szweykowski Zygmunt: *Udział Prusa w powstaniu styczniowym. „Zdrój"*, 1945, nr 7.

Wasilewski Zygmunt: *Bolesław Prus w powstaniu styczniowym. „Kurier Poznański"*, 1931, nr 490; *„Gazeta Warszawska"* 1935, nr 32.

Włodek Ludwik: *Bolesław Prus.* Warszawa... 1918.

Wydawnictwo *Materiałów do historii powstania 1863—1864.* T. 1—5. Lwów 1888, 1890, 1890, 1894, 1894.

Zespół Archiwalny Kieleckiego Gimnazjum Męskiego 1854—1905, sg. III/1, poszyt 1 (Akta Szkoły Wyższej Realnej w Kielcach 1862—1882). Wojewódzkie Archiwum Państwowe w Kielcach.

Zieliński Stanisław: *Bitwy i potyczki 1863—1894.* Rapperswil 1913.

Listy:

Do Mścisława Godlewskiego z lat 1863—1868. Oryginały spłonęły w powstaniu warszawskim. Obszerne fragmenty zachowały się w odpisie prof. dr. Zygmunta Szweykowskiego; częściowo drukowane w monografii — Z. Szweykowski: *Bolesław Prus.*

Do Walerego Przyborowskiego z 1902 r. Autografy w Bibliotece Jagiellońskiej (Dział rękopisów, korespondencja W. Przyborowskiego).

*Tymoteusz Karpowicz*

## BIAŁY NIEDŹWIEDŹ

Gdzie dźwięk spotyka się z dźwiękiem, blask z cieniem, materia z materią —
Wszędzie tropimy zawzięcie dwie białe gwiazdy jej nóg.

*

Kim jest ta istota, że ciągle zdyszani zmieniamy spocone tęczówki,
By ujrzeć ją jeszcze jaśniejszą i trwalszą?
Dla kogo niesie swą skórkę delikatniejszą od włosków na uchu myszki
Wsłuchanej w piosenkę trzmiela?

Kim jest ta dziewczyna, pytamy przysłonięci światłem jej ciała niby
pachnącym obłokiem.
Kim jest, kim będzie — szepczemy, wołamy, śnimy,
Pochyleni nad białą przepaścią obcej urody,
Gotowi rzucić się na dół w śmiertelne koło zachwytu
Za samo prawo pytania i obłęd męskiego pragnienia.

A kiedy jej blask już złowimy i przełamiemy go na pół —
Dwie gwiazdy z niej uczynimy, dwie chmury, dwa białe źródła smutne.
A kiedy już nie ma tajemnic, objawia się w zwykłym szlafroku,
Poprawia nam sny pod głowami, zamyka książki otwarte —
Patrzymy na nią jak na białego niedźwiedzia, co chce spać w naszych źrenicach
Jak w bryłkach lodów polarnych, które pocięte mieczami
Zórz magnetycznych spływają wzdłuż naszych planów ucieczki —
Patrzymy na nią, patrzymy i wściekli za jej potęgę
Cofamy, cofamy źrenice, aby nie miała gdzie mieszkać.

## LEKCJA CISZY

Gdy motyl
Zbyt gwałtownie
Czasem złożył skrzydła —
Wołano: proszę o spokój!

Zaledwie piórko
Spłoszonego ptaka
Trąciło o promień —
Wołano: proszę o ciszę!

Tak nauczono
Bezszelestnie chodzić
Słonia po bębnie,
Człowieka po ziemi.

Wstawały drzewa
Bez szumu nad polem
Tak, jak powstają
Włosy z przerażenia.

## MIŁOŚĆ

Wierzyłem:
Całowane drzewo
Nie utraci liści —
Spadają liście
Z całowanych
Drzew.

Ręką zakochaną
Przygarnięta rzeka
Nie odpłynie —
A odpływa
W mgle.

Jest w moim krajobrazie
Błąd barw i zapachu,
Lecz ciągle,
Ciągle kocham
To, co wciąż się
Zmienia.

Jak złota piłka
Biegnie wciąż przede mną
Zatrzymywana,
Ukochana
Ziemia.

## DIALOGI

Dialog żieleni —
Liść o liść bijący.
Prasłowo źródła —
Spotkanie wodoru i tlenu.
Z kim się zderzyłeś,
Że tak ciężko milczysz,
A tak lekko,
Tak beztrosko
Krzyczysz?

## GŁAZ

Niemy i mały
Leży w potoku
Spłaszczony głaz

Pod rwącą falą
Zimny od lęku
Trzyma się dna

Lecz kiedy wody wyschną w upałach
Zlizany kamień
Wypręża grzbiet

Kamienną dłonią
Ostatnim kroplom
Zadaje śmierć.

*Wrocław, 1956*

## LAS

Połóż się na poszyciu
Niby kropla olbrzymia.
Niech przechodzi przez ciebie:

Dąb twardym krokiem,
Kalina smutnym,
Leszczyna trwożnym,
Świerk suchym
I buk stąpnięciem
Nie do nazwania.

Leż cicho.
Leż niby liść tego lasu,
Niby nasienie wszystkich drzew.

*Tymoteusz Karpowicz*

*Maruta Stobiecka*

## DZIECKO I KWIAT

Nie mówcie nigdy dziecku o przemijaniu świata
(dziecko ostrożnie niesie kwiat)
nie mówcie nigdy dziecku że śmierć śpi w kwiatach.

Dziecko ostrożnie niesie kwiat
jakby miał w niebo wzlecieć
promieniem złotym.

Tak zmieszały się dzieci z kwiatami
jak kwiaty z motylami...

Dziecko ostrożnie niesie kwiat
uśmiech tęsknoty
bo przecież motyl
na tej łące
to tylko kwiat co poczuł skrzydła.

Dzieci śmiejące się dzieci
biegają po łące zielonej.

*Maruta Stobiecka*

*Julian Przyboś*

# KU POEZJI POWSZECHNEJ

(ODPOWIEDŹ NA ANKIETĘ „COURRIER DU CENTRE INTERNATIONAL D'ETUDES POETIQUES" W BRUKSELI)

I

Poecie trudniej pisać o poezji, niż pisać poezje. Trud poezjowania nagradzany bywa przez to, co naiwni nazywają radością twórczą, a co w istocie jest tylko chwilową przerwą w niekończącym się ciągu niezadowolenia z osiągniętego wyrazu. Bo po cóż by jeszcze poeta pisał dalszy swój wiersz, gdyby uznał, że zawarł w nim poezję w sposób doskonały? Po tej złudnej chwili satysfakcji nienasycenie twórcze odczuwa się jeszcze dotkliwiej, ale bez tej pauzy w ustawicznym niepokoju — i ów niepokój nie wiódłby do dalszego wysiłku ku pełniejszemu wyrazowi (jak się to mówi) „siebie samego", lecz do zniechęcenia i zaniechania poezji. A do pisania o poezji cóż może skłaniać poetę i jakąż satysfakcję obiecuje poecie takie pisanie? Żaden mus tej natury, który nie opuszcza spod swojego nacisku poety, iż nie może on zaprzestać tworzyć, bo przestałby żyć w zgodzie z własną istotą — żaden taki mus nie skłania poety, by o poezji teoryzował. Ani też ani trocha tej chwilowej i złudnej satysfakcji, że skończywszy poemat wypowiedziało się „siebie". Już w samej istocie poezji — tak jak ją pojmują poeci — zdaje się tkwić wraz z pewnością, iż jest pełnią — niemożność osiągnięcia tej pełni; każdy poemat jest tylko zatrzymaniem się w połowie drogi do niej. Poezja jest kwitnieniem, rozchylaniem coraz wewnętrzniejszych płatków, a nie owocowaniem. Tak jak życie na ziemi jest ustawicznym rozwojem, ciągiem ewolucji — i esencja duchowa tego życia, język, i esencja tej esencji: poezja, jest ustawicznym ruchem ku — czemu? Ku ostatecznemu samookreśleniu, gdy jednak ostateczności tego ruchu nawet przypuścić nie można.

Jakżeż więc ma pisać o poezji poeta, który jeszcze samej poezji nie przestał tworzyć? Jak wyciągać wnioski z przesłanek, gdy przesłanki ustawicznie się zmieniają? Jak uogólniać doświadczenie nie doprowadzone do końca? Chyba dopiero wtedy, gdy nas opuści ten nie kończący się „jaskółczy niepokój", możemy oddać się spokojnym refleksjom na temat tego, czego się dokonało i czego się nie osiągnęło pisząc wiersze. Skoro jednak poezja jest ustawicznym odrzucaniem tego, co się w poprzednim wierszu czy wierszach osiągnęło — pisanie o poezji przez nie zastygłego poetę może być tylko pisa-

niem przeciw ostatniemu wierszowi. Poeta tworzący może pisać, pisząc o poezji, tylko przeciw sobie. Tak więc nie uogólnianiem poetyckich doświadczeń, ale wyrazem niezadowolenia z rezultatów tych doświadczeń — bywa teoryzowanie poetów.

Pisząc o poezji, nie mówią oni o przygodzie poetyckiej już przeżytej i wyczerpanej przez napisane wiersze, ale o jakiejś, jakiej jeszcze nie doznali. Teoryzowanie staje się rzutem nie spełnionego marzenia w przyszłość; pisząc o poezji odrzuca się tę znaną już poezję; przeciwstawia się temu, co najbardziej w nas samych utrwalone, a więc temu, co zapowiada groźbę zatrzymania się i zakrzepnięcia w osiągniętym już spełnieniu siebie. Poezja bowiem — oglądana ze stanowiska jej bezstronnego historyka — jest permanentną rewolucją wyobraźni, odczuwania i wartościowania moralnego. Idealnym poetą byłby poeta, którego każdy następny wiersz byłby nową poezją. Niestety, prawie wszyscy piszą, nie kończąc, wiersz jeden i ten sam, rozwijając tylko w szczegółach jedną zasadniczą wizję. Idealnym poetą byłby autor poematu, od którego wziąłby początek nowy kierunek, poeta-prawodawca. Prawodawca, tak względem siebie samego surowy, że zarazem buntowniczy, tak, by następny jego utwór obalał prawa określające stworzony kierunek i zakreślał nowe, zwiastujące styl nowy. Na takiego poetę składa się wielu piszących własne wiersze, poeta-prawodawca nowego stylu rzadko bywa jednostkowy, geniusz poetycki jest kolektywny.

## II

Czyta się często, nie tylko u nas, o kryzysie malarstwa. Ankieta *„Preuves"* na temat młodego malarstwa we Francji uwidoczniła jaskrawo brak jasnej myśli, chaos i błazenadę taszystów. Nie ma potrzeby takiej ankiety wśród młodych poetów, bo nikt ich nie czyta, nie budzą więc zainteresowania nawet dziennikarzy. A oni, ci młodzi, rzucają się z coraz to nowym uporem, żeby powtórzyć przygodę Rimbauda. Rozpętać zmysły, wyzwolić cudowność tkwiącą w spowszedniałych rzeczach, ochrzcić świat na nowo i zmierzyć go słowami o przemienionych przez zmysły wymiarach. Zdumiewający jest ten od przeszło pół wieku trwający kult poety, który właśnie zlekceważył to, co przez następców zostało wyniesione na szczyty uwielbienia i co fascynuje któreś z kolei pokolenie. Sądzę, że prawdziwym znamieniem wielkości Rimbauda jest nie jego fascynująca dziecinada poetycka, lecz fakt, że uznał ją właśnie za dziecinadę i porzucił. Miarkując z ilości publikacji jemu poświęconych wnosić można, że autor *Sezonu w piekle* wciąż jeszcze budzi zainteresowanie poetów, wciąż jeszcze nie został tak przezwyciężony w świadomości, żeby uznano jego awanturę — tak jak on to uczynił — za pomyłkę i młodzieńczą egzaltację. Za manifestację chłopięcej buntowniczości, której brakło prawdziwej siły uczucia i konstruktywnej, dojrzałej wyobraźni. Bunt jako przygoda duchowa, bunt dla buntu, a nie dla osiągnięcia określonej wolności — w praktyce niewiele się różni od konformizmu, bowiem po to, żeby się buntować n i e o k r e ś l e n i e, trzeba uznać po cichu ustalone zasady za niewzruszalne. Iluż to — zwiedzionych przykładem Rimbauda — nie

podnosiło buntu dla krzyku i dziwaczenia! Dadaizm i surrealizm doczekały się ostatecznego ogona swego absurdalnego buntu w lettryzmie — i chyba wyczerpano już ostatecznie możliwość rimbaudowskiej dziecinnej egzaltacji.

Sądzę, że poeta, który przekroczył wiek poetyzującego Rimbauda, poeta po dwudziestce ulegający rimbaudyzmowi — nie może się ustrzec odrobiny śmieszności. Wyrasta się z tego, jak się wyrasta z krótkich spodenek. Czytając niektóre rozprawy francuskie o poezji, nie mogłem się jednak oprzeć wrażeniu, że myśl poetycka kręci się w błędnym kole spraw podniesionych przez wizjonera z Charleville. Zwłaszcza roztrząsania na temat słowa poetyckiego, a więc sprawy zasadniczej w poezji, nie wyszły poza rimbaudowski stosunek do słowa. Gdy czytam, że w poezji słowo przestaje być środkiem, a staje się celem, słyszę w tym w równym stopniu echo sonetu o samogłoskach, co wpływ mallarmeńskiego wykwintnisiostwa. Stąd, z tych źródeł płynie pozór rewolucji poetyckich dokonywanych co pokolenie we Francji, polegający na burzeniu coraz gruntowniejszym powszechnego, społecznie użytecznego rozumienia słowa. Są to pozory rewolucji poetyckich, a nie rewolucja. Ta rewolucja permanentna, o którą w poezji chodzi, nie zaczyna się od wsłuchiwania się w symboliczne znaczenie sylab ani od gramatycznych burzycielstw, ani od „świętego chaosu". Tylko ściśle książkowy, najbardziej literacki z poetów mógł twierdzić, że poezję robi się ze słów. Ze słów robi się, owszem, wiersze, literaturę, deklamację, ale nie poezję. Poezja powstaje z tego, co jest m i ę d z y i w ś r ó d słów, poezja: więźba i zarazem niesłyszalne skrzydła słów.

Ze znanej od czasu Horacego zasady, że słowa tak należy dobierać w poezji, żeby się sobie przy spotkaniu dziwiły, zrobiono w niezliczonych roztrząsaniach o specyficzności języka poezji niemal mistykę, fałszywy klucz do metafizyki Sądzę, że zwłaszcza na poezji francuskiej to ciężkie dziedzictwo symbolistycznego stosunku do słowa ciąży do dziś dnia. Rimbaud, Mallarmé i Valéry patronują niezliczonym destruktorom i rekonstruktorom słowa. St. J. Perse, René Char — z tej tradycji się wywodzą, a najlepszy być może z żyjących poetów francuskich, Supervielle — to przecież jakże staroświecki symbolista. Ale odwieczne w prawdziwej poezji „dziwienie się słów przy spotkaniu" nie sprawia tego, iżby słowa ulegały przeistoczeniu tak zupełnemu, że zatraca się w nich bliźniacze braterstwo ze słowem słownikowym. Pod rygorami niezrozumienia, a więc społecznej nieużyteczności — słowo poetyckie nie może się różnić jakościowo od tegoż słowa użytego potocznie. Nie o przeistoczenie słów chodzi, a więc nie o ich nagły skok w inną jakość, ale o ich tak wydatne uwyraźnienie, żeby między nimi istniała stała sfera wysokiego napięcia. Aby iskra poetycka strzelała z jednego słowa do drugiego i, wybaczcie przesadę, ale mówię o prawdziwej poezji, a więc o dziedzinie, gdzie najfantastyczniejsza metafora sprawdzić się musi w doświadczeniu wyobraźni — aby między zdaniami ustawicznie krążyły niebijące pioruny.

Od czasu rimbaudowskiej rewelacji słowa nie ustająca egzaltacja już nie słowotwórcza, lecz słowo-przetwórcza i idolatria wiodąca do Słowa pisanego przez duże S — zaprowadziła poetów w ślepy zaułek, z którego nie ma wyjścia na rynek, gdzie gromadzi się lud. Jakże często na III Biennale poetyckiej w Knokke słyszałem z ust piszących wiersze romantyczny frazes o „samotności" poety. Ach, to nie twórcza samotność, która jest krokiem wstępnym ku czytelnikowi, ale nieruchome samoodosobnienie w jednost-

kowym obozie za kolczastymi drutami owego najeżonego tajemnicami Słowa.

Poezja anglosaska uległa w mniejszym stopniu tym postsymbolistycznym odkształceniom pospolitego znaczenia słów niż francuska, ale „imagizm" zawiódł ją między strzyżone, sztywne szpalery „poezji uczonej" — też dla prostego człowieka mało dostępne.

III

Mówi się, że poeta pisze po to, żeby wyrazić siebie — a jeśli wyrazi siebie, to tym samym wyrazi innych, bo, jak wiadomo, nie ma w świecie rzeczy niepodobnych i nie jest możliwe, żeby na głos nawet bardzo ekscentrycznego poety nie odpowiedziała zrozumieniem jakaś grupa ludzi. Ale my, poeci, wiemy, że to dopiero rozwijające się nasze dzieło określa naszą osobowość i że między tym, co zostało wyrażone, a tym, co chcemy wyrazić, istnieje dialektyczna relacja: każdy następny istotny wiersz zaprzecza poprzedniemu. Cóż więc to znaczy wyrazić „siebie"? Gdzie jest owo ja poetyckie, ustawicznie zmienne i o tyle tylko istniejące, o ile rozwijając aż do zaprzeczenia te skłonności psychiczne i postawę moralną, które wyraziły się w jednym poemacie, zmierza do drugiego poematu? Lecz gdzież jest źródło owych przemian? Samo dzieło, mimo iż w trakcie powstawania (w trakcie pracy nad nim poety, a więc i pracy poety nad sobą) uświadamiało i tym samym kształtowało psychikę autora, nie może pobudzić do dialektycznego swego zaprzeczenia: do dalszej twórczości poety. Do przemienienia wewnętrznego, warunkującego poezjowanie, nieodzowny jest wpływ świata zewnętrznego, czyli to, co się nazywa ogólnikowo życiem społecznym. Pragnę tu jednak podkreślić, że wpływ na przemienienie wewnętrzne poety, na osiągnięcie nowej jakości poetyckiej (dawniej się mówiło: nowego „dreszczu") ma nie tyle taki lub inny kształt i przemijająca treść społecznych zjawisk, lecz ich istota, sens tego, co stanowi o zmieniającej się więzi społecznej. Poezja bowiem, jakkolwiekby była okolicznościowa, drąży w głębokim swoim nurcie podstawy losu człowieczego, stara się poruszyć i odrzucić syzyfowy kamień raz na zawsze na szczyt; pęto zmienić na skrzydło. Dola człowiecza jest dolą istoty społecznej, związanej więc niezliczonymi więzami z innymi ludźmi. (Metafizyczne pojmowanie losu człowieka jako jedynego „zwierzęcia, które wie, że umrze", jako też ujmowanie tego losu w kategoriach abstrakcyjnego humanizmu jest zazwyczaj maską zakrywającą ostrość widzenia konfliktów społecznych.) Jakiekolwiek istniałoby społeczeństwo — dopóki wolność, cel postępu, nie zostanie osiągnięta w takim stopniu, iż nikt nie będzie odczuwał ograniczenia własnych możliwości przez sam fakt istnienia więzi z innymi, lecz każdy znajdować będzie poszerzenie własnych możliwości w każdym innym człowieku — dopóty istnieć będzie poezja.

W szczęśliwym ustroju społecznym zamilknie więc poezja? Może będziemy tworzyć piękno bezpośrednio (to jest nie przez słowo i farbę, nie przez poezję i malarstwo), będziemy je r o b i ć, może piękno będziemy urzeczywistniać przez rzecz i jej barwę? Może śpiewać będziemy nie śpiew, lecz jak śpiew radośnie i łatwo komponować świat?

Lecz nim się to stanie lub nie stanie, źródłem ustawicznego niepokoju twórczego, z którego rodzą się prawdziwe wiersze, jest zawsze poryw — z istoty swej rewolucyjny — ku nigdy nieosiągalnej pełni — swojej i bliźnich — wolności. Wiersze pisze się z nadmiaru pragnienia i niedomiaru nasycenia. Skrępowania i ograniczenia, jakie narzuca niedoskonałe społeczeństwo, są owymi baśniowymi łańcuchami, jakie targa poeta przykuty do skały konieczności utrwalonych przez ład społeczny. I nieraz nie w krzyku sztandarowych poetów rewolucjonistów, oddających swój głos w służbę partii opozycyjnych, ale w wyznaniach cichych poetów intymistów i „eskapistów" usłyszeć można ów poryw ku wolności, wyrażony najintensywniej. To zrozumiałe. Liryzm jest objawem tłumionej w życiu namiętności. Poeta — świadomy rewolucjonista — krzyczy swoją namiętną wolę wolności ustawicznie i natychmiast wypowiada wszystkie jej ograniczenia; bunt liryka „nieupolitycznionego" tai się dłużej i zapada w głębsze warstwy psychiki. Toteż wydobycie jego tajonego głosu wymaga dłuższego i większego skupienia, a co za tym idzie, wiedzie ku intensywniejszemu, „wewnętrzniejszemu", a nie ostentacyjnemu pięknu ekspresji.

Wykrzyknikowość i bombastyka Majakowskiego może tu być przykładem pierwszego typu tego rodzaju poezji, poezji „upolitycznionej", liryka Alberti'ego przykładem typu drugiego. Majakowskiego trudno czytać w każdej chwili i usposobieniu, męczy bowiem i drażni ostentacyjna estradowość, krzykliwość i deklamacyjność jego wierszy. Nie poeci-krzykacze, ale cisi lirycy głębiej drążą duszę ludzką i oni to skuteczniej niż poetyccy agitatorzy przygotowują zmiany także w układzie stosunków społecznych. W takim oczywiście zakresie, w jakim to jest możliwe dla poezji, która przecież nie jest rewolucyjnością bezpośrednią.

Nie umiemy już od czasu romantyków ujrzeć ducha poezji inaczej. Poeci dworscy i bezwzględni apologeci piękna natury wydają się nam fałszerzami poezji: jeśli w ich pochwale istnienia nie odczuwamy utajonej tęsknoty za harmonią, której brak w życiu społecznym — a więc krytyki istniejącego ładu — nie nakłonimy ku nim ucha.

## IV

Poecie po tej stronie bariery oddzielającej świat, w którym przeprowadzono rewolucję socjalistyczną, od świata kapitalistycznego, niesposób jest uciec w sferę czystego marzenia, to jest marzenia nie związanego z nadzieją rychłej czy późniejszej realizacji. Świadomość, że bunt może być skuteczny, że wiedzie nie tylko do pięknego i wzruszającego wiersza, ale i do praktycznego działania przekształcającego życie, jest tak powszechna, iż nawet w lirykę miłosną wciska się podświadomie myśl o powszechności. Poeci niegdysiejsi łudzili się, że aby stać się powszechnymi, ogólnoludzkimi, należy poruszać tematy odwieczne, ogólne, takie, jak miłość i śmierć, pisać *sub specie aeternitatis*, unikając zbyt szczególnych sytuacji psychicznych. Mylili się, nie osiągali „wiecznotrwałości", i jeśli coś teraz znaczą, to nie przez wiecznie ważny temat ich wierszy, lecz właśnie wyjątkową szczególność ujęcia, przez język i styl. Po parnasistach zapanował więc kult skrajnego indywidualizmu, poszukiwanie osobliwości psychicznych w liryce. Wiersz stał się prywatną

awanturą duchową i ta postawa trwa dotychczas na Zachodzie, wydając nieraz karykaturalne kierunki i szkoły (dadaizm, surrealizm, lettryzm). Stąd pochodzi jeszcze romantyczny kult owej „*solitude*", odmienianej we wszystkich przypadkach na kongresach poetów. A oto zarysowała się — nie dzięki spekulacjom teoretycznym i jednostkowym manifestom — ale siłą powszechnego faktu społecznego, nowa droga poezji.

Jeśli prawdą jest, że poezja nowoczesna to nieustające rewolucjonizowanie wyobraźni, odczuwania i wartościowania moralnego, to poezja w krajach socjalistycznych winna stanowić drożdże ustawicznych przemian. Stało się inaczej: zakrzepła rewolucja zamroziła poezję, wyznaczając jej starą, antyrewolucyjną funkcję opiewania i panegiryzmu, obracając poetów w dworaków. Lecz w Jugosławii a zwłaszcza w Polsce przywrócono artystom swobodę twórczą. W Polsce — zdaje się — dokonuje się synteza poezji pojmowanej jako skrajny, najswobodniejszy wyraz osobowości, wyraz więc wolności rozpętującej się z konieczności ograniczeń społecznych — z poezją powszechną, poruszającą serca nie tylko wyjątkowych jednostek, ale i ludu.

Twierdzi się, że znamieniem wielkiej poezji jest to, iż staje się powszechna, ludowa. Lecz tajemnicy tej powszechności nie stara się wyjaśnić, jak gdyby określenie „wielki poeta" znaczyło coś więcej, niż tę właśnie zdolność trafiania do wszystkich. Wielkość artysty mierzy się przecież ilością czytelników, tylko oczywiście nie jednej generacji czytelników. Nie ma innego kryterium historycznie sprawdzalnego. Jakże się to dzieje, że wielki poeta, a więc jednostka o czulszej niż ogół wrażliwości, osobowość niepodobna do przeciętnego czytelnika — trafia do tego powszechnego czytelnika, nie stając się wulgarnym? Jak się to dzieje, że się nie zniża do poziomu masy, ale podnosi i porywa ogół do wysokości własnego umysłu i serca?

## V

Poeta rodzi się z niedosytu słownego, rodzi się z tą chwilą, gdy stwierdzi niemożność wyrażenia przez dobór słów (tak jak to robi prozaik) tego, co ma być poematem. Poeta nie dobiera słów do treści wiersza, który ma stworzyć, to wiersz dobiera sobie konieczne słowa, krystalizuje według jednorazowych, a nieubłaganych praw, jak owa gałązka rzucona w salinę, o której mówi Stendhal. Wiersz — to znaczy tak zwane „doznanie poetyckie", czyli bardzo wiele faktów, rzeczy, spraw, wrażeń, emocji itd. itd. aż po całość przeżytego życia pomnożonego przez podnietę bezpośrednio wywołującą mowę rytmiczną. Prawdziwy poeta nie dobiera, lecz sięga do źródła słów — i dlatego to „słowa przy spotkaniu dziwią się sobie", dlatego ścierają ze świata kurz i ukazują rzeczy w nowym blasku; dlatego to zdaje się, że „podają świat w wątpliwość" czy „stwarzają świat nowy".

Poeta wielki rodzi się z tą chwilą, kiedy owego niedosytu słownego nie koi nawet najgłębsze źródło słów, z którego wytryskują słowa dziwiące się sobie („podające świat w wątpliwość", „stwarzające świat nowy" — jak o tym piszą z przesadą apologeci poezji solipsystycznej). Poeta wielki odczuwa więc niedosyt słowny w spotęgowanym stopniu: zaspokoić go może dopiero

taki poemat, w którym owo dziwienie się słów jest też jakby podniesione do wyższej potęgi dzięki temu, że słowa te i zdania nie tylko objawiają rzeczy i sprawy w uderzającej ich świeżości, nie tylko dlatego, że odsłaniają w nich blask prawdy nieoczekiwany a zdumiewająco oczywisty, ale także dlatego, że słowa te i zdania stają się formułami nowych doznań powszechnych, dotychczas nie znanych. Jakżeż radosne zdumienie, bliskie uczuciu wyzwolenia i rewelacji, ogarnia poetę i jego słuchaczy, jeśli ujmie w dziwiących się sobie słowach to, „co się komu w duszy gra". Uczucie dziwu ogarnia wtedy nie tylko poetę i grono jego przyjaciół sztuki poetyckiej, lecz cały naród.

To jest przecież najwyższy tryumf poety: przejść w usta ludu jak bezimienne przysłowie, stać się z czasem mową powszechnie przyjętych formuł uczuć i pragnień. A droga do tego najwyższego powołania poety nie wiedzie przez opiewanie tematów „wiecznościowych", lecz przez zjednoczenie najintymniejszych doznań osobistych z przeżyciami ogółu, i to nie nieokreślonego w czasie i przestrzeni jakiegoś „ogółu", ale społeczności najbliższej, ale chwili historycznej konkretnej, drgającej od nieostygłych namiętności. Rzecz tylko w tym, żeby poeta odkrył w tej chwili historycznej jej głębszy sens, wiążący ją nie z przemijającym wydarzeniem, lecz z losem człowieczym, z przyszłością rodzaju ludzkiego, której perspektywa też przecież ulega zmianie.

## VI

Jest to największa satysfakcja, jaką osiągnąć może poeta: czuć, że każdy jego akt twórczy staje się natychmiast własnością fantazji wszystkich. Że się jest zarazem władcą i sługą serc wszystkich, że znika owo odwieczne, fatalne rozdarcie na twórcę samotnika i na słuchacza głuchego na nowe słowo poety. Samotność poety zostaje zniesiona, zamiast niej panuje radość wzajemnego porozumienia. Czuję, że zbliża się ten okres, o którym marzyli skrajni samotnicy, skazani na niezrozumienie za życia, czas, kiedy będzie można „zanucić pieśń szczęśliwą", taką, która „składa ludzi jak zgłoski", która natychmiast się spełnia jako działanie społeczne ludzi. Zbliża się czas, „kiedy poezja będzie robiona przez wszystkich".

Najwyższe marzenie poetów wszystkich czasów: żeby słowo stało się ciałem — osiągnięte być może tylko w społeczeństwie znoszącym rozdział między człowiekiem a człowiekiem, usuwającym wszelką nierówność; w społeczeństwie, w którym niemożliwy byłby dramat samotności ani tak dojmujący, lecz nietragiczny, jaki przedstawił T. Mann w *Toniu Krögerze*, ani tak bolesny, jak los wielu poetów rosyjskich, którzy umierali młodo śmiercią tragiczną — od Puszkina do Majakowskiego. Jedynie w takim społeczeństwie poeta: permanentny organizator i reorganizator wyobraźni, liczyć może nie tylko na zrozumienie, ale i na zagnieżdżenie się marzeń własnych w marzeniach wspólnych, powszechnych, a więc i o wcieleniu ich w rzeczy i stosunki międzyludzkie. Nasze ja jest tym potężniejsze, im więcej wchłonie cudzych, nie wyrażonych natchnień i jeśli je, wyrażone, uczyni tak własnymi, iż lud przyjmie je jak nieoczekiwany, choć wymarzony dar. Poeci bywali przecież jako poeci tylko o tyle, o ile przemienili się w mowę ludu, w jakieś zdanie, co krążyło bezimiennie, w pieśń, o autorze której nie trzeba pamiętać, bo jest

powszechnie znana; o ile do tęczy wyobraźni powszechnej dorzucili choć jeden trwały odcień koloru. A oto zbliża się czas poezji uniwersalnej, takiej, która nie ułamkiem swojej treści wnika w świadomość powszechną, ale takiej, której każde odkrycie na mapie wyobraźni będzie dostępne natychmiast wszystkim, albowiem wspólną będzie radość wyobraźni i radość urzeczywistniania tworów wyobraźni.

*Julian Przyboś*

*Vasko Popa*

## Z CYKLU „GRY"

### I. PRZED ZABAWĄ

Przymyka się jedno oko
Zagląda się w siebie w każdy zakamarek
Czy nie ma gwoździ czy nie ma złodziei
Czy nie ma kukułczych jaj

Potem przymyka się drugie oko
Robi się przysiad i skacze się w górę
Skacze wysoko wysoko wysoko
Aż na szczyt siebie samego

Stamtąd się spada całym ciężarem
Dniami się spada głęboko głęboko
Na dno swojej własnej przepaści

Kto się nie rozbije na drobne kawałki
Kto zostanie cały i cały powstanie
Ten może bawić się w gry

### II. PO ZABAWIE

Nareszcie ręce za brzuch się złapią
Żeby nie trzasnął ze śmiechu
A tutaj nie ma brzucha

Jedna się ręka z trudem podniesie
By zimny pot z czoła obetrzeć
I czoła nie ma

Druga się ręka za serce chwyci
Żeby z piersi nie wyskoczyło
Nie ma ni serca

Wtedy ręce obie opadną
Bezczynne opadną na kolana
I kolan nie ma

Na jedną dłoń deszcz teraz pada
Z drugiej dłoni trawa rośnie
Ech szkoda gadać

## Z CYKLU „ODDAJ MI MOJE GAŁGANKI"

I

**Oddaj mi moje gałganki**

Moje gałganki z czystego snu
Z jedwabnego uśmiechu i z nadziei w paski
Z mej koronkowej tkaniny

Moje gałganki z nadziei w kropki
Z wypalonej żądzy z kolorowych spojrzeń
Ze skóry na mojej twarzy
**Oddaj mi moje gałganki**
Oddaj mówię pókim dobry

II

Co z moimi gałgankami
Nie chcesz mi ich zwrócić nie chcesz

Czekaj spalę ci ja brwi
Nie będziesz zawsze niewidzialna

I pomieszam noc i dzień w twej głowie
Tak że będziesz czołem walić o me drzwi

Utnę ci te rozśpiewane paznokcie
Żebyś mi nie rysowała zygzaków po mózgu

Napędzę nigły z twoich kości
Żeby ci wyssały cykutę z języka

I zobaczysz co ci jeszcze zrobię

III

I ty chcesz żebyśmy się kochali

Możesz mnie budować z mojego popiołu
Z resztek mojej nudy
I z opoki śmiechu

Możesz pięknotko

Możesz mnie uchwycić za kosmyk zapomnienia
Możesz pieścić noc w mojej pustej koszuli
I moje echo całować

Cóż kiedy ty nie umiesz się kochać

Przełożyła
*Irena Olszewska*

*Andrzej Kijowski*

# „TAK TYLKO DOSIĘGA SIĘ DNA..."

*Dżuma* Alberta Camusa nie jest nowością literacką. Powieść ta ukazała się we Francji w roku 1947, a więc równe dziesięć lat temu. Dopiero teraz jednakże została udostępniona w przekładzie czytelnikom polskim. Od dziś więc trzeba liczyć jej oddziaływanie na gust czytelników i świadomość artystyczną pisarzy. Dziś dopiero także można o niej u nas otwarcie mówić, bez asekuracyjnych zabiegów, albowiem przez lata ubiegłe była na liście utworów objętych ideologiczną klątwą. Z tych dwóch powodów zatem *Dżumę* można i trzeba traktować jako nowość na naszym terenie. Nie musi to oznaczać, że wszystko, co dziś powiemy o tej powieści i o innych, które niebawem ukażą się z takim samym czy większym nawet opóźnieniem, będzie opóźnione o te dziesięć czy ile tam lat. Milczenie, zastój i ignorancja także liczą się w rachunku doświadczeń kulturalnych. Wygłodniały wzrok, jakim obejmujemy książki docierające dziś do nas, widzi w nich więcej i zarazem ocenia je ostrzej. Zachodnią literaturę ostatnich lat dziesięciu czeka teraz ciekawy egzamin po tej stronie żelaznej kurtyny.

Oczywiście dla nas to także jest egzamin. „Naciera już wielka armia Sartre'ów, Steinbecków, Greenów..." — pisał niedawno jeden z krytyków. — „Drżyjcie, pisarze, samiście się wydali na łup konkurencji, której nie łatwo sprostać."

*

*Dżuma* jest powieścią o sytuacji ludzkiej. Słowo „sytuacja" należy tu rozumieć w sensie najszerszym, tym, który w języku francuskim ma odpowiednik w słowie *„la condition"*, co się wykłada broń Boże nie „dola" ani „los", ale stan, położenie. Owa cierpiętnicza młodopolska „dola", przy której pomocy przedwojenny tłumacz przełożył tytuł powieści Malraux *La condition humaine*, a także „los" mówią o sytuacji człowieka w rozwoju, o ciągu wydarzeń, które człowiekowi przypadają w udziale, o koniecznościach, którym przychodzi ulec, i powinnościach, które trzeba spełnić.

Zaraza dżumy, która nawiedziła miasto algerskie Oran i której przebieg jest przedmiotem relacji doktora Rieux, nie jest ani osobliwą przygodą, ani

losem, ani dolą, ani koniecznością, której trzeba ulec, ani powinnością, której spełnienie lub niespełnienie podlega takiej czy innej kwalifikacji moralnej. Dżuma nie zaczęła się wraz z inwazją szczurów ani nie zakończyła się wraz z ogłoszeniem właściwego komunikatu Prefektury. Dżuma trwa wiecznie:

Słuchając okrzyków radości dochodzących z miasta, Rieux pamiętał, że ta radość jest zawsze nagrodzona. Wiedział bowiem to, czego nie wiedział ten radosny tłum i co można przeczytać w książkach, że bakcyl dżumy nigdy nie umiera i nie znika, że może przez dziesiątki lat pozostać uśpiony w meblach, bieliźnie, że czeka cierpliwie w pokojach, w piwnicach, w kufrach, w chustkach i w papierach i że nadejdzie być może dzień, kiedy na nieszczęście ludzi i dla ich nauki dżuma obudzi swe szczury i pośle je, by umierały w szczęśliwym mieście. (str. 303.)

To zastrzeżenie, którym kończy się powieść Camusa, ma charakter przede wszystkim bakteriologiczny. Bakcyl dżumy rzeczywiście nie umiera, więc doktor Rieux, który w dniach zarazy dobrze zapoznał się z właściwościami tego „przysadkowatego" osobnika, ma powody do trwogi i smutku. Wie więcej od tłumu — jest lekarzem. Ale to zastrzeżenie mówi jeszcze więcej: „nadejdzie... dzień, kiedy n a n i e s z c z ę ś c i e l u d z i i d l a i c h n a u k i dżuma obudzi swe szczury i pośle je, aby umierały w szczęśliwym mieście".

Obraz szczęśliwego miasta, zagrożonego plagą, która lada dzień spadnie nań dla nauki, oto już inny język, już nie doktora Rieux, chłodnego, obiektywnego kronikarza zarazy, z którą walczył nie szczędząc sił, wiedzy i osobistych ofiar. To język moralistów i ich ulubiony, odwieczny chwyt:

O Babilonie, miasto wielkie i potężne, jakże to w jedną godzinę przyszedł sąd twój. A kupcy ziemscy płakać i narzekać nad nią będą, bo nikt już więcej nie kupi od nich towaru... O miasto wielkie, które się przyoblekało w bisior, w purpurę i w karmazyn, a przyozdobione było w złoto, w drogie kamienie i perły, że też jednej godziny w niwecz obróciły się tak wielkie bogactwa. A sternik każdy i przewoźnik, żeglarze i ci, co na morzu się trudzą, stanęli z daleka i zawołali, widząc miejsce jej pożaru i mówiąc: Któreż podobne miastu temu wielkiemu?... Rozraduj się nad nim niebo i święci Apostołowie i Prorocy, bo osądził Bóg sprawę przeciwko niemu. I podniósł jeden Anioł mocny jakby wielki kamień młyński, i wrzucił w morze, mówiąc: Takim pędem wrzuconą będzie Babilonia, miasto ono wielkie, i więcej się już nie znajdzie. I nie rozlegnie się w tobie więcej ton cytrzystów i muzyków, grających na flecie i na trąbie. Nie znajdzie się w tobie więcej żaden mistrz rzemiosła; nie usłyszą w tobie więcej głosu młyńskiego kamienia; nie zajaśnieje w tobie więcej światło lampy i nie da się słyszeć w tobie głos oblubieńca i oblubienicy. Bo kupcy twoi byli książętami ziemi, a przez czary twoje zbłądziły wszystkie narody. W nim (tj. w mieście) znaleziono krew proroków i świętych, i wszystkich, co byli zabici na ziemi. (Apokalipsa.)

Apokaliptyczna poetyka moralistów ma swoje stałe prawa. Najpierw jest obraz miasta szczęśliwego i grzesznego. Na czym polega szczęście i grzech Oranu? Szczęście tego miasta polega na tym, że jego mieszkańcy żyją swoimi sprawami, dla siebie, w sposób zwyczajny i uporządkowany. A grzech? Grzech jest w tym szczęściu właśnie — w tej umiejętności dobrego układa-

nia sobie życia, w umiejętności nabywania przyzwyczajeń, które eliminują z życia wszelką problematykę. „Najdogodniej można poznać miasto, jak kocha i jak umiera. W naszym mieście, może za przyczyną klimatu, wszystko to robi się razem, z miną jednakowo szaleńczą i nieobecną" (str. 7). A więc współczesny Babilon nie szaleje w rozpuście, nie oddaje się hazardowi, nie zabija swych królów i proroków, nie uciska niewolników, nie uprawia zbrodniczych kultów, nie prowadzi zaborczych wojen. Nie jest też bynajmniej miastem bogactwa i rozkoszy. Oran jest szary, skromny, zwyczajny, ma życie dobrze zorganizowane, jego instytucje działają bez zarzutu. I to właśnie — należy powtórzyć — jest jego szczęściem, a to szczęście jest jego grzechem. Za ten grzech właśnie spada na miasto siedem plag „dla nauki".

Apokaliptyczna poetyka spełnia się co do joty: bramy miasta zostają zamknięte i są rozdzieleni mężowie od żon, synowie od matek, oblubienice od oblubieńców. (Tu zwrócę uwagę na owe bramy — wątpić należy, aby miasto Oran było rzeczywiście otoczone murami i aby wyjście poza jego obręb prowadziło przez bramy, jednakże Camus wciąż mówi o tych bramach i murach strzeżonych przez „straże" — czyżby dlatego tylko, aby „wypełniło się pismo"? Dla zachowania apokaliptycznej poetyki?) A więc przy owych „bramach" rozlegają się wystrzały: to „straże" toczą walki z nieszczęśliwcami, którzy usiłują wydostać się z zarażonego miasta. Port zamarł, latarnia morska wysyła dookoła ostrzegawcze sygnały, aby „żeglarze i ci, co na morzu się trudzą, stanęli z daleka..." Opustoszałymi ulicami przemykają ambulanse, dzwoniąc głośno... Stromą drogą podmiejską wspinają się tramwaje pełne trupów, odwożąc je na cmentarz, gdzie zrzucone będą do dołów dymiących wapnem. Z tych i owych okien słychać jęki dotkniętych chorobą. Spieszą tam lekarze w otoczeniu żołnierzy, którzy będą wydzierać owrzodzone ciała z rąk matek i żon błagających o litość, tak jakby prosić o nią należało władze miejskie. W pełnym kościele przemawia miejscowy kaznodzieja i wzywa do przebłagania Boga za straszliwe grzechy, których miara przebrała się widać, skoro „krwawa maczuga" wzniosła się nad nieszczęśliwym miastem.

Ale w ramach apokaliptycznej poetyki dzieje się rzecz osobliwa: miasto umiera, tak jak żyło, tzn. Apokalipsa spełnia się w sposób zrównoważony, staje się po jakimś czasie przyzwyczajeniem, administracja i obyczaj ją wchłaniają. Ludzie zapełniają kawiarnie, piją dużo alkoholu, ponieważ — jak głosi reklama — „wino wysokiej proby dobre na mikroby", teatr, opera, kino działają i daje się odczuć tylko jednostajność repertuaru. Gdy popularny tenor pada na scenie rażony gorączką, publiczność w idealnym porządku dyskretnie opuszcza salę, starając się niejako nie widzieć drażliwego wydarzenia... Zaczyna wychodzić specjalny dziennik poświęcony sprawom epidemii, agencja informacyjno-dokumentacyjna pracuje wzorowo, dostarczając punktualnie rzetelnych wiadomości o rozwoju zarazy.

Miasto więc umiera w swoim grzechu, w grzechu obojętności, w grzechu porządku, w grzechu szczęścia. Instynkt szczęścia przejawia się właśnie w zdolności przystosowywania się, przemieniania klęski w porządek, wchłaniania śmierci przez życie.

Życie zresztą zwycięża. Zaraza ustępuje tak nagle, jak przyszła. I nie spełnia się do końca Apokalipsa: słychać tu znów „ton cytrzystów i muzyków", tzn. nadchodzą nowe filmy do kin, nowy zapas kawy i alkoholu do kawiarni,

nowi aktorzy w teatrze zajmują etaty opuszczone przez zmarłych na dżumę; nie jest prawdą, że „nie zajaśnieje w nim (w Babilonie) światło lampy", ponieważ Prefektura znosi *„black-out"* trwający na czas zarazy (po co? czyżby tylko dla wypełnienia poetyki?), słychać znów „głosy oblubieńca i oblubienicy", ponieważ przybywają już pociągi i perony rozbrzmiewają radosnym gwarem witających się po długiej rozłące. Masowe groby za miastem zarosną trawą, Prefektura postanowiła tam wznieść pomnik zmarłych na epidemię. Tramwaje, starannie wydezynfekowane, znów będą wozić w niedzielę młodzież spragnioną kąpieli morskich.

Cóż robić? Doktor Rieux wie z doświadczenia bakteriologicznego i moralnego, że bakcyl dżumy nie umiera, ale — doprawdy — co należy robić? Czy zejść pomiędzy weselących się ludzi i ostrzegać, grozić, przepowiadać nowe żniwo „krwawej maczugi"? W takim razie nie należało czynić tego, co czynił podczas zarazy doktor Rieux — ratować każdego ludzkiego istnienia, utrzymywać porządku do ostatniej chwili, za każdą cenę. Należało, jak ojciec Paneloux, przyjmować zarazę, obchodzić ją jako pewnego rodzaju festyn śmierci, świętować ją, wyzyskać jako temat wielkich rekolekcji. A teraz należy, jak Cottard, pruć z pistoletu do szczęśliwego, bezpiecznego tłumu.

Co robić? Jak przyjąć życie, skoro istnieje śmierć? Oto centralne pytanie powieści.

*

Na powieści Camusa ciąży niewątpliwie doświadczenie okupacji hitlerowskiej. Obraz miasta zamkniętego, miasta zagrożonego i bezczynnego jednocześnie, nasuwa skojarzenie z położeniem Francuzów między kapitulacją a inwazją w Normandii. I to życie w fikcyjnym porządku, który ma właśnie ułatwić znoszenie niebezpieczeństwa, to nieustanne balansowanie na granicy życia i śmierci, to zacieranie się granicy między oporem a kolaboracją, jakże jest charakterystyczne dla tego okresu w historii Francji, któremu na imię Vichy. Ale, oczywiście, *Dżuma* nie jest tylko polityczną alegorią. Nie byłoby potrzeby ukrywania okupacji pod kluczem dżumy, gdyby tylko o polityczny sens okupacji chodziło. Ten pseudonim podnosi historyczne doświadczenie Francuza do racji doświadczenia moralnego: nagłe wtargnięcie śmierci do szczęśliwego Babilonu dokonuje się po to, aby wypróbować reguły życia, stwierdzić, czy są one przydatne w tej grze, która polega na oszukiwaniu śmierci.

Konflikt w powieści zarysowany jest z precyzją. W *Dżumie* mamy właściwie do czynienia z traktatem moralnym, który konwencję powieściową traktuje swobodnie, choć bardzo skrupulatnie przestrzega jej prawideł. A więc strony lewa i prawa, śmierci i życia, widoczne są jasno: na skrajnej prawicy jest administracja ze swoim bezmyślnym optymizmem, który ani na moment nie zatrzymuje jej w działaniu. Do nich należy doktor Richard, rutyniarz, który do końca nie wierzy w dżumę, lecz nie ustąpi — będzie z nią walczył. Jaka jest granica między nim a doktorem Castelem? Doktor Castel wie pierwszy o dżumie, pierwszy ma odwagę powiedzieć to słowo: „dżuma". I także walczy do końca. Jaka więc jest granica? Jest to granica świadomości, lecz granicy moralnej właściwie nie ma: obraz Castela z książką w ręku

pośród umierających, obserwującego chłodno skutki swojej szczepionki na chorym dziecku — kojarzy się nieomal z tymi urzędnikami z „Infdoku", pracowicie zbierającymi dane dla statystyk. A jaka jest granica między Castelem a Grandem, owym spokojnym urzędnikiem, który nienaganne wykonywanie swych funkcji biurowych kojarzy z pracą w ekipach sanitarnych, a to wszystko ze swą pracą wieczorną, z nieskończonym cyzelowaniem pierwszego zdania swej powieści, która ma zadziwić świat? Na nim, na Józefie Grand, zaraza zatrzymuje się, i to jedyne bodaj cudowne ozdrowienie urzędnika jest znamienne: jest rzeczą jasną, że uratowało go od śmierci owo zdanie o amazonce jadącej na wspaniałym koniu kwitnącymi alejami Lasku Bulońskiego. Ratując od śmierci Józefa Grand autor nie pozostawia żadnych wątpliwości co do tego, że z dżumą należy postępować właśnie tak: nie przerywając pracy nad zdaniem o amazonce, nie przerywając doświadczeń nad szczepionką, która nikomu nie pomaga, zbierając dane dla statystyk, śpiewając arie w teatrach pełnych zarazka, ogłaszając optymistyczne komunikaty, usprawniając, regulując, kłamiąc.

Camus dociera tu do tej samej granicy myśli, którą osiągnął Pascal w tych przerażających słowach: „Kiedy się nie zna prawdy w jakiejś rzeczy, dobrze jest, aby istniał wspólny błąd, który by dawał ludziom jakąś pewność..." *(Myśli)*. Tym „wspólnym błędem" jest ignorowanie śmierci, trwanie w owym grzechu szczęścia, gdyż tylko taka ślepota pozwala przetrwać.

Wszyscy administratorzy ocaleją. Ocaleje autor zdania o pięknej amazonce. Ocaleje także Rambert — dziennikarz, który pragnie przez cały czas tylko połączyć się ze swoją żoną. Jesteśmy w świecie poetyki moralistycznej, więc każde ocalenie jest tu znaczące. Ocalenie Ramberta jest szczególnie znaczące: oto Rambert zasłużył na ocalenie podwójnie — i przez wierność swemu instynktowi szczęścia, i przez swój niewątpliwy heroizm, z jakim czasowo wyrzekł się szczęścia na rzecz owej ciemnej abstrakcji, w jaką został wciągnięty. Rambert uległ „wspólnemu błędowi" w sposób najdoskonalszy — albowiem tym „wspólnym błędem, jest zarówno bezsensowna obrona przed dżumą, jak i pragnienie ucieczki.

Zajmijmy się teraz tymi, którzy zginęli: ojciec Paneloux i Tarrou. Utrafimy chyba w intencję powieści, jeśli powiemy, że dwaj ci ludzie są głównymi antagonistami — dwoma głosami — głosem z prawa i głosem z lewa, które w tym traktacie moralnym prowadzą główny dialog. Łączy ich wspólna wiedza: obydwaj wiedzą o tym, że dżuma to coś więcej, że to nie przelotna przygoda miasta Oran, ale stała cecha egzystencji ludzkiej. Paneloux buduje system moralny oparty na afirmowaniu „dżumy", czyli trwogi. Jego działanie jest odwrotnością tego, co czyni Prefektura. Ta ostatnia wchłania dżumę w przepisy swojej administracji. Paneloux narzuca dżumę życiu — uzasadniając ją logicznie i moralnie jako karę za winy, a nawet starając się ją przedstawić jako pewne wyróżnienie Oranu, jako pewne posłannictwo odnoszące się specjalnie do jego mieszkańców, Paneloux buduje nowe życie, nowy porządek, nowe przyzwyczajenia, nowy instynkt szczęścia na tym, co wydaje się być zakłóceniem tego wszystkiego.

Tarrou jest tym, który rzucił myśl zorganizowania ekip sanitarnych, chociaż o dżumie wie to właśnie, co powinno go powstrzymać od wszelkiej działalności: że nie kończy się ona i nie zaczyna, że nie ma żadnego sensu moral-

nego i że właściwie należy przyjąć dżumę tak, jak Cottard, jedyny człowiek w mieście, który jest szczęśliwy z powodu dżumy. Cottard jest szczęśliwy, ponieważ uważa, że stan dżumy jest stanem prawdziwym — on, którego na dzień przed wybuchem zarazy uratowano od samobójczej śmierci, zaznał już bliskości tego, co teraz szaleje na ulicach zakłamanego miasta. Tarrou jednakże wszystkie wysiłki poświęca walce z dżumą — i w jednej ekipie, nad łóżeczkiem umierającego dziecka, spotyka się z ojcem Paneloux.

Obydwóch dosięgnie potem dżuma: ulegają jej ci, którzy wiedzą o niej najwięcej, zostają zabici jak niewygodni świadkowie tajemnicy. Ginie także Cottard, kiedy usiłuje po wygaśnięciu zarazy wyręczyć ją zabijając przechodniów strzałami z pistoletu. Tych trzech ludzi łączy świadomość, że dżuma, czyli trwoga, czyli śmierć, jest prawdziwym porządkiem świata. Dzieli ich postawa praktyczna: Paneloux sądzi, że ze świadomości tej należy uczynić filozofię moralną, Tarrou uważa, że prawda ta jest po to, aby jej przeczyć, i że na tym polega sens i bezsens istnienia, Cottard — ten wyciąga z tego przeświadczenia wnioski najprostsze: trzeba umierać i zabijać. Kto ma słuszność? Słuszność mają ci, którzy pozostają przy życiu.

Doktor Rieux, patrzący na roześmiane, uwolnione od grozy miasto, jest bezradny. Nie pójdzie na ulice miasta, nie będzie ostrzegał przed powrotem dżumy. Wie, że życie, „konkret", szczęście Ramberta, długie zdanie Granda, pomnik, nowe zarządzenia Prefektury, wszystko to jest silniejsze od „abstrakcji", od dżumy, chociaż ona jest prawdą. Paneloux twierdził w swoim wielkim kazaniu, że przychodzą chwile, kiedy czyściec się nie liczy, kiedy jest tylko Niebo i Piekło. Wszystko i Nic. Paneloux i Tarrou zabrali do grobu swoją heroiczną wiedzę, złożywszy ją przedtem w ofierze ślepym ludziom. Rieux, który przeżył, wie więcej: że istnieje tylko czyściec, forma pośrednia, kompromis, porządek, konkret, szczęście Ramberta, zdanie Granda.

*

Powieść Camusa wstawia porządek moralno-społeczny w miejsce opustoszałe przez filozofię. W możliwość i celowość filozofii nie wierzy: paraliżuje ją strach, jedyną obroną przed strachem są konwencje moralno-obyczajowo-administracyjne.

Ta postawa jest bardzo charakterystyczna dla intelektualistów po wielkiej klęsce wojny i okupacji. Charakterystyczna szczególnie dla Francji, gdzie upadła wielka, wolna Francja i cała jej ideologia, ale pozostała mała Francja — Francja merów i prefektur, i przetrwała — trochę oszukując „dżumę", trochę z nią paktując.

Inaczej to wyglądało u nas. Runęło wszystko — okupacja hitlerowska w Polsce nie miała nic z tego owadziego porządeczku Vichy — była absurdem monstrualnym. Toteż intelektualiści głoszący u nas śmierć filozofii odwoływali się już tylko do wytrwałości biologicznej, gatunkowej. Różewicz dosłuchujący się stukotu serca w okaleczonych kadłubach ludzkich, poszukujący potem wielkości w wysiłku i marzeniu małych, ubogich ludzi; Miłosz, który pisał:

I zwyciężyła ludzkość zacięta i płodna,
Która nie pragnąc tajemnicy mnoży się i trwa.
Ja wbrew jej woli chciałem sięgnąć do dna,
Chociaż ona ma słuszność, bo tak tylko dosięga się dna!

*(St. I. Witkiewicz* z tomu *Ocalenie)*

Tadeusz Borowski, który tak widział świat „zadżumionych":

Ktoś nazwał nasz obóz: *Betrugslager*, obóz oszustw. Skąpy żywopłot przy białym domku (przy krematorium — przyp. mój, *A. K.*), podwórko podobne do wiejskiego, tablice z napisami „kąpiel" — wystarczą, aby otumanić miliony, oszukać aż do śmierci. Jakiś tam boks, jakieś trawniczki przy blokach, dwie marki na miesiąc dla najpilniejszych więźniów, musztarda w kantynie, cotygodniowa kontrola wszy i uwertura do *Tancreda* wystarczą, aby oszukać świat — i nas. Ci tam z zewnątrz myślą, że to jest potworne, ale przecież nie jest tak źle, skoro i orkiestra, i boks, i trawniczki, i koce na łóżkach... *(My z Auschwitzu)*.

Przerażenie trwałością życia pomimo wszystko towarzyszyło przerażeniu śmierci. Pisał Adolf Rudnicki o tym niekończącym się łańcuchu szans i schronień, który ratował ludzi w getcie przed ostatecznym strachem. Jest przejmujące opowiadanie Jarosława Iwaszkiewicza *Ikar* o nie zauważonej śmierci, o śmierci w samym środku życia. Nałkowska w *Medalionach* pokazała twarze ludzi obytych ze śmiercią, wdrożonych w nią tak, jak się można wdrożyć w swoją ulubioną pracę.

Powieść Camusa jest bardzo bliska naszej literaturze i zarazem bardzo daleka. Bardzo bliska w samym doświadczeniu „dżumy". „Nie mógł uwierzyć (Rieux), żeby dżuma mogła naprawdę ostać się w mieście, gdzie trafiają się skromni urzędnicy uprawiający czcigodne manie." To zdanie Camusa rozumiemy najlepiej: zdziwienie, że śmierć jest tak blisko i że jest tak bardzo możliwa, stworzyło i u nas wielką literaturę. Daleka jest *Dżuma* od naszych doświadczeń w pochwale porządku. U nas dżuma była silniejsza, i porządek słabszy. U nas powstanie pomnika nie dokonałoby się tak łatwo, a festyny w wyzwolonych miastach nie doszłyby do skutku z powodu trudności organizacyjnych. Polski pisarz tak widział swój świat po dżumie:

...porastające trawą ruiny, baby wiejskie, ich zaprawione mąką, śmietaną zacuchłe kiecki, szyny tramwajowe, szmacianka i goniące za nią dzieci, położone przy torfowisku sztangi i młoty żelazne oraz muskularne ręce, zmęczone oczy i ciała robotników, ulica i placyk za nią, pełen drewnianych straganów, przedziwna mieszanina, gigantyczna zupa ugotowana z tłumu, płynie wzdłuż ulicy nad rynsztokiem... (Borowski: *Kamienny świat*).

Jakże to odmienny świat od gwarnego, radosnego Oranu! Ale różnica, jaka dzieli te dwa obrazy, nie polega na różnicy, jaka dzieli te dwie rzeczywistości — jeden i drugi obraz jest mitem, jeden i drugi jest nieprawdziwy. Jest to różnica dwóch postaw: polski pisarz w imię doświadczeń, które przyniosła „dżuma", brzydzi się istnieniem. Nie znaczy to wcale, że jest od

francuskiego egzystencjalisty jeszcze bardziej pesymistyczny. Na dnie tego obrazu leży naiwna wiara w potencjalne piękno życia — musi bardzo w nie wierzyć, skoro tak widzi jego biologiczną brzydotę i okropność. To jest owo ostatnie piętro myślenia, do jakiego doszedł Borowski. Jest to zaułek, i do tego zaułka doszedł zarówno autor *Kamiennego świata*, jak i cała jego generacja pisarska. Z tego naiwnego potępienia życia można przejść do jego naiwnej afirmacji: obraz „gigantycznej zupy z tłumu" nie jest żadnym ogniwem myślenia. „Gigantyczna zupa" niepostrzeżenie przemienia się w radosny pochód z wysoko podniesionymi transparentami.

Powieść Camusa przerasta powojenną, „zadżumioną" generację pisarzy polskich, ponieważ formułuje postawę intelektulisty, postawę heroiczną, wyrażającą się w afirmowaniu pewnego porządku moralnego na przekór sobie, na przekór swej wiedzy, która okazuje się nieprzydatna. Obraz szczęśliwego Oranu jest przyznaniem się do klęski i nic tu nie zmienia fakt, że doktor Rieux **wie**, co się stanie dalej.

Lektura Camusa jest szkołą heroicznego myślenia — myślenia do samego końca, rzeczywiście do samego końca, chociażby nawet koniec ten oznaczał rezygnację z praktycznych rezultatów myślowego procesu. A to ostatnie jest może największym heroizmem, na jaki może zdobyć się intelektualista. Może tak właśnie „dosięga się dna".

*Andrzej Kijowski*

# POLSKI HEINE

H e n r y k H e i n e: *Dzieła wybrane.* 2 tomy. PIW. Warszawa 1956. Wstęp Romana Karsta. Tom I: Utwory poetyckie. Wybór, redakcja i przypisy Adolfa Sowińskiego; str. 660. Tom II: Utwory prozą. Wybór Romana Karsta i Wacława Zawadzkiego; str. 726, 2 nlb.

Chyba żadna z wielkich literatur europejskich nie jest u nas znana tak niedokładnie i powierzchownie, jak literatura niemiecka. Nie mówię już o piśmiennictwie współczesnym, od którego na kilka lat odgrodziły nas przeszkody natury pozaliterackiej i pozakulturalnej. Nawet jednak nasza wiedza o literaturze niemieckiej sprzed pierwszej wojny światowej, a więc o literaturze, z którą polski inteligent niby to zapoznawał się, choćby „po łebkach", w szkole średniej, pozostaje jak najbardziej fragmentaryczna i niewystarczająca. Cóż, mimo (a może właśnie wskutek?) bliskiego sąsiedztwa zainteresowanie twórczością pisarzy niemieckich nie było u nas nigdy zbyt wielkie i nigdy nie panowała w naszym kraju atmosfera sprzyjająca narodzinom translatorskiego talentu jakiegoś Boya od niemczyzny.

Każdy jednak jako tako rozgarnięty Polak, kiedy go zagadnąć o literaturę niemiecką, wyrecytuje na pewno nazwiska Goethego, Schillera, Heinego i Tomasza Manna. Nazwisko Heinego jest u nas bardzo popularne. Przeważnie jednak tylko nazwisko. Kto nie zna niemieckiego, napotykał dotychczas bardzo poważne trudności, starając się zapoznać bliżej z twórczością autora *Księgi pieśni.* Trudności te usuwa w znacznej mierze wybór PIW-owski, gromadzący w dwu dużych tomach wszystko z przekładów poetyckich Heinego, co wydawcy uznali za godne druku, oraz obszerną ilościowo i wszechstronnie reprezentującą tę dziedzinę twórczości poety antologię jego prozy.

Bardzo dobrze, że taki wybór się ukazał. Mamy wreszcie „polskiego" Heinego. Nawet ci, którzy nie znają niemieckiego, mogą zapoznać się jako tako z dorobkiem pisarskim tego autora i wyrobić sobie o nim jakieś zdanie.

O, przepraszam! Zdaje się, że się trochę zapędziłem. „Wyrobić sobie o nim jakieś zdanie"... No tak, można wyrobić sobie o nim j a k i e ś zdanie, ale w jakim stosunku będzie pozostawało to zdanie do obiektywnej wymowy dzieł Heinego? Otóż to, wyobraźmy sobie, że omawiany wybór trafia do rąk człowieka, który oryginału nie zna, o literaturze niemieckiej ma dość zielone pojęcie, a jedynie słyszał coś tam, że ten Heine to wielki poeta i że warto zapoznać się z jego utworami. Skoro tego pokroju czytelnik przekartkuje choćby *Dzieła wybrane,* dojdzie do wniosku, że nabito go w butelkę, bo Heine to interesujący prozaik, ale bardzo wątpliwej rangi poeta. I gotów pomyśleć sobie (o ile w ogóle można przypuścić, iż normalny człowiek wdaje się w tego rodzaju rozważania), że historycy literatury są osobnikami odznaczającymi się bardzo osobliwym smakiem estetycznym.

Mniejsza jednak o historyków literatury. Ważniejsza jest w tym wypadku krzywda Heinego. Jeżeli bowiem całkiem znośnie wypadają przekłady je-

go utworów satyrycznych dzięki takim tłumaczom, jak Stanisław Jerzy Lec czy Artur Marya Swinarski, to bardzo blado (w najlepszym razie) przedstawia się *Księga pieśni*, najwyższe osiągnięcie poety, najważniejsza pozycja jego dorobku pisarskiego.

Nonsensem byłoby zarzucenie wszystkim tłumaczom tego zbioru liryków Heinego nieudolności czy niestaranności. Na pewno robili co mogli i wychodzili ze skóry, aby dać przekłady jak najlepsze, jak najbardziej zbliżone do oryginału. Trzeba jednak uprzytomnić sobie ten prosty fakt, że w naszej poezji nie ma tradycji, do której można by się odwołać, szukając odpowiednika tego stylu poetyckiego, jaki był odkryciem i najbardziej osobistą własnością autora *Cierpień młodzieńczych*. W stylu Heinego znajdujemy elementy pozornie nie dające się ze sobą pogodzić: poetyczny konwencjonalizm rokokowej sielanki, zwięzłość i intelektualną precyzję tak wspaniałe tradycje posiadającej w Niemczech poezji epigramatycznej oraz typowy dla pieśni ludowej realizm języka i obrazu. Jest to aliaż jedyny w swoim rodzaju i niepowtarzalny. Dlatego Heine miał całe legiony naśladowców i epigonów, ale nie miał i nie mógł mieć kontynuatorów. Pozostał w poezji niemieckiej, a nawet światowej, zjawiskiem jedynym, absolutną antytezą twórczości spod znaku wszelkich szkół i grup literackich. Za tę jednak dumną samotność jedyności musiał Heine zapłacić nieprzetłumaczalnością swojej liryki.

Styl jego, ten styl, który odbił w sobie bogactwo, ale i zagmatwaną niejednolitość osobowości pisarskiej poety, okazał się dla naszych tłumaczy orzechem nie do zgryzienia. Konwencjonalna sielankowość — o tak! Tej nigdy u nas nie brakowało! „Sławianie, my lubim sielanki" — pokpiwał sobie z tej sielankomanii Mickiewicz, ale i sam przecież ulegał jej pokusom — nawet w *Panu Tadeuszu*. I dlatego u polskich tłumaczy na plan pierwszy wybija się właśnie to, co u Heinego jest najmniej ważne, a najbardziej wątpliwe: konwencjonalność tematyki i wszelkie sentymentalności poetyckiego wyrazu. Zanika natomiast epigramatyczna zwięzłość, znamionująca intelektualną precyzję artystycznej roboty, oraz ów czerpiący z doświadczeń i dorobku poezji ludowej realizm języka i obrazu. Cóż, zawsze się przeciwstawiało u nas „gorące serce", „natchnienie", poryw uczucia, żywiołową erupcję talentu rachubom „chłodnego" intelektu, wszelkiej „pojęciowej dłubaninie". Marzeniem polskiego Pegaza było zawsze upodobnić się jak najbardziej do ogiera, na którego grzbiecie Kozietulski zdobywał Samosierrę. Co zaś do „pieśni gminnej, tej arki przymierza" itd., to zawsze szanowano ją u nas ogromnie, i dlatego też poprzestano na jej stylizatorskim naśladownictwie, na poetyckiej kalkomanii, na powielaniu ludowych wzorków.

Tłumaczenie lirycznych miniatur Heinego stało się dla naszych poetów próbą jakości i rozległości ich kultury literackiej. Próba ta nie wypadła najlepiej. „Polski" Heine, taki, jakim pokazują go przekłady jego drobnych liryków zamieszczone w pierwszym tomie *Dzieł wybranych*, mało ma wspólnego z Heinem prekursorem i tragicznym samotnikiem. Jeżeli można go uważać za prekursora, to chyba tylko za prekursora stylu biedermeier w poezji. Heine i biedermeier — czy można wyobrazić sobie zestawienie bardziej groteskowe?

A jednak jest ono najzupełniej uzasadnione. Pod piórem bowiem naszych wierszopisów utwory Heinego sentymentalnieją, stają się ckliwe oraz tracą charakterystyczną dla oryginału zwięzłość i prostotę. Oto np. strofa, która po niemiecku brzmi:

Es stehen unbeweglich
Die Sterne in der Höh'
Viel tausend Jahr, und schauen
Sich an mit Liebesweh,

w przekładzie polskim (Adam Mieleszko-Maliszkiewicz) wypada następująco:

Nieruchome drżą od wieków
Każdej nocy gwiazdki w niebie —
Zakochane, tęskne, rzewne —
Zapatrzone z dala w siebie.

Gwiazdy, które po prostu patrzą na siebie z miłosną tęsknotą (czy miłosnym bólem), przeobraziły się w „gwiazdki" i to w gwiazdki „zakochane, tęskne, rzewne", które — co gorsza — „nieruchomo drżą" i drżą tak,

biedactwa, już „od wieków". Obraz sugestywny zwarty, wyrzeźbiony słowem relief poetycki, rozlewa się w bezkształtną strużkę landrynkowego syropu. Miejsce poezji zajmuje mdła, konwencjonalna poetyczność.

Co z Heinego pozostaje w tych czasem bardzo swobodnych parafrazach tłumaczy? Porównajmy te oto dwa teksty:

Była piękna jak blask fali
Wydobytej z wód głębiny
Ale inny dziś całuje
Białą szyjkę mej dziewczyny.

Serce! które umiesz cierpieć,
Strasznej zemsty rzuć miecz krwawy!
Przebacz wszystko zalotnicy,
Przebacz wszystkie złe jej sprawy.
(przełożył Adam Mieleszko-Maliszkiewicz)

Wie die Wellenschaumgeborene
Strahlt mein Lieb in Schönheitsglanz;
Denn sie ist das auserkorene
Bräutchen eines fremden Manns.

Herz, mein Herz, du vielgeduldiges,
Grolle nicht ob dem Verrat;
Trag es, trag es, und entschuldig es,
Was die holde Törin tat.

Zestawienie to wykazuje dowodnie, że tłumacz robi co tylko może, żeby do szczętu zbanalizować utwór niemieckiego poety. Zamiast Afrodyty oryginału wprowadza „blask fali wydobytej z wód głębiny" i przypina Heinemu do boku „strasznej zemsty miecz krwawy", chociaż w tekście niemieckim nie znajdziemy żadnej na ten temat wzmianki, żadnej choćby najbardziej mglistej aluzji do zemsty, miecza, przelewania krwi.

O tym to Adamie Mieleszko-Maliszkiewiczu mówi Adolf Sowiński w przypisach do pierwszego tomu *Dzieł wybranych*: „Z dawnych tłumaczy skromny Mieleszko-Maliszkiewicz chyba najcelniej trafił w ton autora *Lorelei*, najlepiej oddał jego ludowość, jego język i sposób obrazowania, osiągając jednocześnie potoczystą frazę rytmiczną wiersza polskiego". Aczkolwiek zdanie to nie zostało sformułowane w sposób nazbyt jasny i precyzyjny, to przecież, przeczytawszy je parokrotnie, można się mimo wszystko domyślić, że jest ono wyrazem uznania Sowińskiego dla translatorskich zasług „skromnego" Mieleszko-Maliszkiewicza. Przerażająca wręcz grafomania przekładowa otrzymuje aprobatę poety, znawcy, miłośnika i tłumacza literatury niemieckiej! Nieszczęsny Mieleszko-Maliszkiewicz, który dzięki swym przekładom zasłużył na miano polskiego anty-Heinego, zostaje kreowany na jego ambasadora w Polsce, na specjalistę od utrafiania w ton jego liryki.

Sięgnąwszy jednak do przekładów innych autorów przekonujemy się, że i oni, choć chyba żaden z nich nie grafomani tak beznadziejnie, jak ów Maliszkiewicz, zarzynają poezję Heinego nie mniej starannie i dokładnie. Oto np. jedno z tłumaczeń Aleksandra Kraushara:

Wiatr nałożył szarawary
Białe, wodą przesycone!
Bije w fale z całej siły,
One wyją jak szalone.

Z chmur czeluści deszcze leją,
Ciemność mknie przez fal przestworze,
Zda się, jakby noc prastara
Chciała zdławić stare morze.

Ponad masztem krąży mewa
Krzykliwymi jęcząc głosy.
Zda się, statkom chce wywróżyć
Ich nieszczęsne, przyszłe losy.

Porównajmy ten przekład z niemieckim oryginałem:

Der Wind zieht seine Hosen an,
Die weissen Wasserhosen!
Er peitscht die Wellen, so stark er kann,
Die heulen und brausen und tosen.

Aus dunkler Höh', mit wilder Macht
Die Regengüsse träufen;
Es ist, als wollt' die alte Nacht
Das alte Meer ersäufen.

An den Mastbaum klammert die Möwe sich
Mit heiseren Schrillen und Schreien;
Sie flattert und will gar ängstiglich
Ein Unglück prophezeien.

Kraushar nie wyprawia z tłumaczonym tekstem takich cudów, jak Mieleszko-Maliszkiewicz. Jego przekład jest na ogół dość wierny, ale za to oczyszczony chemicznie, idealnie wprost wyjałowiony z poezji. Nie ma tu nawet konwencjonalnych poetycz-

ności, którymi szpikował swoje tłumaczenia Maliszkiewicz. Jest to po prostu najczystsza, najautentyczniejsza rymowana proza.

Lektura pierwszego tomu *Dzieł wybranych* wzbudza nieodparte przeświadczenie, że Heine-liryk pozostaje w Polsce nadal dla tych, którzy nie znają niemieckiego i nie mogą czytywać *Księgi pieśni* w oryginale, poetą nieznanym. A to właśnie jest strata największa. Wbrew bowiem twierdzeniu Sowińskiego, że „wszystko w twórczości poetyckiej Heinego jest po dziś dzień żywe", żywe są przede wszystkim liryki z *Buch der Lieder*. Sporo natomiast ballad i satyr to już tylko cenne pamiątki, których bez komentarza historycznego i historyczno-literackiego w ogóle nie można zrozumieć.

Zabytkiem też jest w znacznym stopniu również jego proza. Odżywa ona do pewnego stopnia dzięki wstępowi Romana Karsta, rozwijającemu bardzo precyzyjnie i konsekwentnie biografię pisarską Heinego na tle dziejów życia człowieka. Dzięki temu wstępowi nawet te prace autora *Salonu*, które mogłyby wydać się współczesnemu czytelnikowi mniej interesujące, stają się ważne jako dokumenty intelektualnego i artystycznego rozwoju poety. Antologia prozy Heinego jest tak ułożona, że przybliża czytelnikowi historię życia i twórczości pisarza, staje się jakby zbiorem materiałów źródłowych, uzupełniających monograficzny szkic Karsta.

Nie znaczy to jednak, abym antologię uważał za sporządzoną bez zarzutu. Wydaje mi się, że powinny w niej znaleźć się choćby ze dwie, trzy sylwetki z cyklu *Shakespeare's Mädchen und Frauen*, podobnie jak i *Die Götter in Exil*. Warto było również choćby parę stronic poświęcić na wybór aforyzmów Heinego *(Gedanken und Einfälle)*. Ostatecznie jednak przyznać trzeba, że nie było jeszcze antologii, która nie wzbudzałaby żadnych zastrzeżeń i wszystkim by się podobała. Ten fakt warto mieć na uwadze oceniając *Dzieła wybrane*.

Pozycją szczególnie cenną jest zamykający drugi tom *Dzieł wybranych* szkic Romana Karsta: *Heine, Polska i Polacy*. W szkicu tym autor postarał się dać możliwie pełną i wyczerpującą charakterystykę stosunku Heinego do zagadnień polskich. Charakterystyka ta oparta jest nie na dedukcyjnym teoretyzowaniu ani też na psychologistycznym fantazjotwórstwie, lecz na dokumentach i faktach o sprawdzonej, bezdyskusyjnej autentyczności. Z iście benedyktyńską troskliwością zgromadził Karst wszystkie dostępne mu materiały, dotyczące stosunku Heinego do spraw polskich. Dzięki temu to niewielkich rozmiarów studium staje się nader ważnym uzupełnieniem dotychczasowego zasobu wiedzy o życiu i twórczości niemieckiego poety oraz jednym z cenniejszych źródeł do poznania rodzaju i charakteru powiązań kultury polskiej okresu porozbiorowego z kulturą europejską.

Trudno byłoby twierdzić, że podjęta przez PIW próba sprokurowania „polskiego" Heinego zakończyła się pełnym sukcesem. Zarówno dobór, jak i poziom tłumaczeń (zwłaszcza gdy chodzi o tłumaczenia utworów z *Buch der Lieder*) wzbudza bardzo różnorodne zastrzeżenia i wątpliwości. Bądź co bądź otrzymaliśmy jednak najobszerniejszy ze wszystkich wydanych dotychczas w Polsce wyborów Heinego, a także najlepiej opracowany pod względem edytorskim. Starannie sporządzone objaśnienia i komentarze ułatwiają lekturę tekstu, a dwa monograficzne studia Karsta stanowią dobre wprowadzenie w świat twórczości autora *Nocy florenckich*. Następne wydania *Dzieł wybranych* nie powinny być jednak tylko powtórzeniem wydania pierwszego; winna je poprzedzić bardzo staranna i sumienna rewizja merytoryczna tekstu, który obecnie dostaliśmy do rąk. Zanim to jednak nastąpi, powiedzmy sobie, że lepszy i taki Heine niż żaden. Czyli, jak mawiał w podobnych wypadkach stary Kniaźnin:

Nim krowa nasze powiększy wesele,
Tymczasem dobre i cielę.

*Stefan Lichański*

# Z HISZPAŃSKIEGO

Janusz Strasburger: *Z hiszpańskiego.* Przekłady poezji Drzeworyty Marii Hiszpańskiej-Neumann. Warszawa, 1956, „Czytelnik"; str. 210.

Poezja hiszpańska nie zadomowiła się w Polsce w żadnym stuleciu, nie ma za sobą tradycji, ogółowi czytelników polskich jest mało znana. Wzmogło się wprawdzie w ostatnich latach zainteresowanie dla poetów współczesnej Hiszpanii, jak Neruda czy Lorca, spolszczono niektóre nowsze liryki, ale większość dawnych i nowych utworów to dziedzina dostępna tym tylko, którzy mogą je czytać w oryginale czy w przekładzie na jakiś język obcy. Odrobienie tak wielkich zaległości w naszej kulturze literackiej to zadanie na długie lata.

Utwory fabularne opierają się na samym przebiegu zdarzeń, choć wobec odmienności składni hiszpańskiej, a zwłaszcza wobec kunsztownych form wersyfikacyjnych hiszpańskiego dramatu, tłumacz musi i w tym wypadku przezwyciężać wielkie trudności. Dramat jednak w przeniesieniu na tworzywo innego języka może niejako zostać sobą, mimo zmian i uproszczeń w strukturze stylistycznej czy wersyfikacyjnej. Inaczej jest z liryką, zwłaszcza tą, która odznacza się prostotą środków słownych i oszczędnością przedstawień obrazowych, przekazując nastrój oddany w dyskretnym falowaniu rytmu, w eufonii. A takie właśnie utwory liryczne zdecydowanie przeważają w zbiorze Strasburgera. Wybrał je tłumacz zgodnie z własnym upodobaniem, podkreślając swą niechęć do hiszpańskiej poezji barokowej oraz do późniejszych szkół literackich, operujących przepychem obrazów czy wymyślnym kunsztem słownym. Stwierdziwszy, że pociągają go utwory oparte na tradycji ludowej albo związane z przyrodą kraju, z jego losami, nie zaś uderzające podobieństwem do dzieł z innych literatur, zapragnął przez to wydzielić jakby czystą hiszpańskość. W istocie zaś uwydatnił jedną jej stronę, gdyż kunsztowność jest dla poezji hiszpańskiej bardzo charakterystyczna, o czym tłumacz oczywiście wie doskonale. Znalazł się wprawdzie w zbiorze, może głównie dla zwrócenia uwagi na autorkę, barokowy sonet Juany Inés de Asbaje, znalazła się utrzymana w typie liryki europejskiego modernizmu *Sonatina*. W tym wypadku pociągnął tłumacza rytm wiersza i układ stroficzny. W spolszczeniu mimo pewnych zmian w realiach czy w obrazowaniu odtworzony został w sposób popisowy zarówno nastrój tej cieplarnianej fantazji baśniowej, jak jej rytm i melodyka. Poeta Rubén Darío z łatwością rozpoznałby rysunek swojej *Sonatiny*, gdyby mu ktoś odczytał jej przekład polski, i odwrotnie, Polak stosując odpowiednik, elizji, synalefę, czyli odczytując wiersz jako czternastozgłoskowy, bez znajomości języka hiszpańskiego, uchwyci łatwo tożsamość struktury wiersza i strofy w obu wersjach.

Oto dla porównania początek *Sonatiny* w pierwowzorze:

La princesa está triste... Qué tendrá
la princesa?
Los suspiros se escapan de su boca
de fresa,
que ha perdido la risa, que ha perdido
el color.
La princesa está pálida en su silla de oro,
está mudo el teclado de su clave sonoro,
y en un vaso olvidada se desmaya una flor.

A w przekładzie:

Jakże smutna księżniczka... Cóż księżniczkę
tak boli?
Wstrzymywane westchnienia płyną z ust
mimo woli,
Co straciły swą barwę, których uśmiech
już zbladł.
Siedzi smutna księżniczka na swym krześle
złoconym,
W oniemiałych klawiszach pochowały się
tony,
Zapomniany w wazonie rozsypuje się kwiat.
(str. 105)

Troska o oddanie nastroju i brzmieniowej strony oryginału charakteryzuje całość zbioru, który obejmuje liryki wybrane z sześciu wieków poezji hiszpańskiej i hispano-amerykańskiej. Z wieku XV otrzymaliśmy m. in. serranillę („góraleczkę") Santillany, z jej tokiem frazowania, płynącym przez

krótkie wiersze 6-cio i 5-ciosylabowe, ujęte w siedmiowierszowe zwrotki. Tłumacz uwydatnił i zmienność spadków rytmicznych, i asonanse, a co ważniejsze, nie mając tu, jak i w innych wypadkach, oparcia w wersyfikacji polskiej, zdołał przekazać czytelnikowi wdzięk, lekkość i naturalność oryginału. Równie szczęśliwe osiągnięcie należy podnieść, gdy chodzi o poetę naszego stulecia. Constantino Suasnavar pojawia się w zbiorze jako autor Pieśni wędrowca, która w spolszczeniu zachowuje dziarskość, energię i beztroskę pierwowzoru a także jego budowę metryczną. Tłumacz pozwolił sobie jedynie na nieznaczne, stosowne zresztą, dopełnienie obrazu, uwydatniając jego koloryt, gdy księżycowy płaszcz określił bliżej jako „rudy".

Oto obie wersje piosenki:

He perdido los zapatos
en el gran Valle de Sula

Pasando sobre los ríos
per los puentes adormidos
bajo el mantón de la luna.

Al son de los bananales
y los rugidos del puma,
caramba! ya voy llegando.

Llegando yo, sin zapatos,
llegando a San Pedro Sula.

Zapodziałem swoje buty
w tej wielkiej dolinie Sula

Gdym przechodził nad rzekami
poprzez mosty, które spały
z księżycowym płaszczem rudym.

Wśród melodii bananowców
i porykiwania pumy,
caramba! oto nadciągam.

Boso nadciągam, bez butów,
boso do San Pedro Sula (str. 133)

Imiesłów *„llegando"* zastąpił tłumacz przez *verbum agens* „nadciągam" i uzyskał ten sam efekt, co poeta hiszpański, mimo że zastosował powtórzenie nie do owego imiesłowu *(llegando)*, ale do przysłówka (boso).

Podobnie w zamknięciu sonetu Antonia Machado zamiast:

No me llameis, porque tornar no puedo.
(Nie wołajcie mnie, ponieważ wrócić nie mogę.)

dał pomysłowy odpowiednik i równie mocne zaostrzenie wypowiedzi:

—Nie oczekujcie mnie: wrócić nie mogę.
(str. 42)

W innym wypadku rozwinął nieco pod względem składniowym utwór tegoż autora. W oryginale lakonizm wyraża się w elipsach:

La nieve menuda
y el viento de cara.
(Śnieg drobny i wiatr w oczy /w twarz/.)

Przekład przynosi dwa zdania pełne, wyprowadzone legalnie z wersji hiszpańskiej, zwłaszcza drugie:

Sypie drobny śnieżek,
wiatrem w oczy dmucha. (str. 36)

W spolszczeniu erotyku Nerudy *Deszcz* widać, że tłumacz starał się oddać charakter frazy, zachować przerzutnie, powtórzenia, znaleźć wyrazy i zwroty równoważne.

Oto czterowiersz z utworu w obu wersjach:

Amame dormida y desnuda que en
la orilla
eres como la isla: tu amor confuso, tu
amor
asombrado escondido en la cavidad de
los sueños,
es como el movimiento del mar que nos
rodea.

Kochaj mnie, uśpiona i naga, która na
brzegu
jesteś jak wyspa: twoja miłość zamglona,
twoja miłość
przestraszona, w wydrążeniu snów ukryta,
jest jak ruch morza, które nas otacza.
(str. 62)

Gdy spotykamy w zbiorze utwory bardzo drobne, odczuwamy pewien niedosyt wobec nikłości materii poetyckiej, zwłaszcza jeśli pochodzą one od wielkiego poety. Tak np. Lope de Vega występuje jako autor *Seguidillas* o *Guadalquivirze*, utworu, który nie uwydatnia ani wielkości, ani odrębności talentu twórcy. Nie uwydatnia jej tym bardziej króciutka *Letra:*

O poranki kwieciste
miesiąca maja,
obudźcie moje dziewczę —
dosyć już spało. (str. 94)

W pewnych wypadkach spolszczenie ma słabszą ekspresję niż pierwowzór, jakby tłumacz poprzez tekst hiszpański odczuwał swój przekład i w pełni go nie wyemancypował. Najlepsze tłumaczenia trzymają się przecież o własnych siłach, zachowując jednocześnie wierność wobec pierwowzoru. Czytając np. *Wytchnienie podczas podróży* (Enrique de Mesa) można sądzić, że to utwór oryginalny. Cytuję dwie pierwsze zwrotki:

Wytchnienie podczas podróży.
Zajazd samotny i biedny.
Nucące wino po dzbanach,
niezgrabnie człapiące dziewki.

A krzak, co pośród ogniska
pachnie i trzeszczy w płomieniach,
na murach bielonych kreśli
hulanki radosnych cieni... (str. 112)

Osiągnięcie to, jak i poprzednio już wymienione, jak jeszcze kilka innych, świadczy dowodnie, że Strasburger to filolog i poeta zarazem. Dobór wszakże utworów zdaje się wskazywać raczej na potrzebę wyrażania własnych upodobań i tendencji artystycznych za pośrednictwem przekładu, niż na dążność do rozwinięcia działalności przekładowej na szeroką skalę. Jest to oczywiście tylko wrażenie, nie prowadzące bynajmniej do obniżenia wartości zbioru, z którego przyszła antologia poezji hiszpańskiej przejmie z pewnością niejeden utwór.

Piękne drzeworyty Marii Hiszpańskiej-Neumann, pełne ekspresji, o rozległej skali tematycznej i kompozycyjnej, zasługują na osobne rozpatrzenie przez specjalistę plastyka.

*Zofia Szmydtowa*

## TRZEJ POECI

S t a n i s ł a w G r o c h o w i a k: *Ballada rycerska*. Warszawa 1956, „Pax"; str. 80. A n d r z e j P i o t r o w s k i: *Oczy na śniegu*. Warszawa 1956, „Pax" ; str. 83. J ó z e f S z c z a w i ń s k i: *Pogoda*. Warszawa 1956, „Pax" str. 60.

I

Szczawiński to kontynuator Staffa, Skamandrytów, Lieberta. Nawet kiedy próbuje być bardziej nowoczesny i zrywa z regularnością stroficzną oraz metryczną, nawiązuje do starych, dobrze znanych wzorów. W *Jedenastu wrażeniach z występu Koreańczyków* usiłuje naśladować klasyczne miniatury poezji Wschodu, w *Szaleńcu* zaś czy *Trzech teatrach* wraca do poetyki dawnego symbolizmu.

Niemniej tomik Szczawińskiego ważny jest przede wszystkim jako eksperyment. Jest to próba stworzenia katolickiego odpowiednika liryki socrealistycznej. Poeta nie obiera sobie w tym wypadku drogi najłatwiejszej: nie chce poprzestać na kropieniu święconą wodą c u d z y c h idei i haseł. Nie jest jego ambicją zająć stanowisko socjalizującego katolika czy też katolicyzującego socjalisty. Nie o jakiś kompromis, nie o mniej więcej znośny *modus vivendi* chodzi Szczawińskiemu. Pisarstwem jego kieruje przekonanie, że gdzieś — w idealnym przedłużeniu — linie rozwojowe myśli socjalistycznej i myśli chrześcijańskiej muszą się połączyć. Jedna prawda — jego zdaniem — obiektywna nie może pozostawać w sprzeczności z drugą prawdą obiektywną. Rozbieżności między nimi wydają się jemu w gruncie rzeczy złudzeniem, stwarzanym przez fragmentaryczność naszej wiedzy o świecie.

Szczawiński uważa się za socjalistę nie tylko wtedy, kiedy pisze o odbudowie Starego Miasta czy o konferencji genewskiej, ale również wtedy, kiedy wkracza na ziemie własnej teologii i mistyki (cykl *Wierzę w świętych obcowanie):*

Wiem, przez błędy, przestrzeń i zgony
na prawdy przedrę się stronę,

jeśli wasza pamięć mnie zbliży
do spraw Bożych, które są w bliźnich.
*(Najbliższym zmarłym)*

Łatwo tu wysunąć zarzut, że tego rodzaju ogólnikowy humanitaryzm o podkładzie religijnym trudno uważać za mający coś wspólnego z socjalizmem. Gdyby chodziło tylko o tę jedną wypowiedź poety, zarzut byłby niewątpliwie słuszny. Kiedy jednak utwór, z którego wyjęto zacytowaną wyżej strofę, rozpatrujemy łącznie z takimi wierszami, jak *Wrześnie, Szaleniec, Egotyści, Z listów świętego Jakuba, Sztafeta, Katedra w odbudowie* („Stuk młotków miły jest Bogu skrytemu wśród rusztowań"), widzimy, że stanowi on poszczególną manifestację jednej z centralnych idei całego zbioru: idei jak najbardziej aktywnego współdziałania z nurtem przeobrażeń dziejowych zainicjowanych przez socjalizm.

Oczywiście, mówić tu można co najwyżej o pewnym socjalizmie intencjonalnym, ograniczającym się do sfery poglądów moralnych i społecznych. W pierwszej chwili może nasunąć się tu wrażenie jakiejś połowiczności, poprzestawania na całkowicie platonicznych sympatiach, ale po namyśle przychodzimy do wniosku, że właśnie ta wstrzemięźliwość i ostrożność Szczawińskiego świadczą o nim jak najlepiej, że są argumentem na korzyść szczerości jego stanowiska. Cóż bowiem łatwiejszego niż gołosłowne deklaracje, które ze względów taktycznych mogłyby zostać pokwitowane zdawkowym, uprzejmościowym aplauzem?

*Pogoda* jest symptomem dokonywania się określonych przeobrażeń ideowych w umysłowości inteligencji katolickiej. Czy jest jednak także książką, która mogłaby proces owych przeobrażeń przyśpieszyć? O tym decyduje oczywiście artystyczna sugestywność zawartych w niej utworów. Znajdujemy zaś w zbiorku sporo rzeczy ładnych i świadczących o dużej kulturze poetyckiej autora, jak np. tytułowy wiersz cyklu *Wierzę w świętych obcowanie*, brzmieniem frazy poetyckiej żywo przypominający Lieberta:

Wierzę w świętych obcowanie,
w ścieżkę trudną nad wiecznością,
wierzę w poza czas i pamięć
sięgający wspólny Kościół,

jak *Sosny, Sztafeta, Różaniec, Człowiek, Poezja jest rzeczą codzienną* czy *Tunel*, zamykający się takim oto sugestywnym, jakby przez Rilkego natchnionym fragmentem:

Gdy wejdę w spokój, który mam
schowany w piersi
jak pieśni i cierń.
Gdy wejdę w kamień u krzyku skał,
wodorost kwitnący morzem.
Drzemiąca we mnie
zbudzi się śmierć,
bym ożył.

Często jednak Szczawiński poetyczność bierze za poezję, a deklamacyjny patos za siłę wyrazu. Często też uważa za stosowne pointę wiersza wybijać tak mocno, że aż przemienia się ona w transparentowy slogan:

Zrozumiemy wtedy, że nie wolno
przy szumiących sztandarach pokoleń
samotnie iść.
*(Egotyści)*

Nie dotarł jeszcze poeta do własnej, oryginalnej koncepcji wyrazu artystycznego. Stara się oderwać od tradycjonalizmu, ale nie zawsze z najlepszym wynikiem: kiedy np. w wierszu *Wrześnie* od przedstawiających urodę przeżywanego w spokoju września klasycystycznych i opisowych dystychów przechodzi do partii malującej grozę września wojennego, a pisanej rozbitą graficznie na wiersze poetycką prozą rocznicowego artykułu wstępnego z gazety („Stańcie przeciw wrześniom oderwanym od bogactw jesieni, krwawym, dzikim i wzburzonym rozpaczą"), osiąga tylko efekt artystycznej jaskrawizny i nieporadności. Treść, a ściślej mówiąc: pomysł — nie zawsze może znaleźć dla siebie kształt poetycki prawdziwie adekwatny. Wiersz pozostaje wtedy tylko pretekstem, propozycją. I dlatego Szczawiński — jak dotychczas — interesuje nas jako wyraziciel myśli i nastrojów już istniejących, a nie jako prekursor, inspirator.

Jest to jednak poeta pracowity i ambitny, a prócz tego poeta o wyraźnie zarysowanej postawie ideowej. To pozwala żywić nadzieję, że *Pogoda* będzie stanowić w jego dorobku jedynie zamknięcie okresu prób i poszukiwań, pierwszy etap drogi jego artystycznego rozwoju.

II

*Oczy śniegu* są książką dla krytyka bardzo kłopotliwą. Przemieszały się w niej bowiem utwory z dwu okresów pisarskiej biografii autora. Piotrowski zaczynał od estetyzującego stylizatorstwa, od wdzięcznych i zgrabnych miniatur poetyckich, których natchnieniem były chyba *Oktostychy* Iwaszkiewicza, kreślone niby to od niechcenia, z wyrafinowanie ostentacyjnym podkreśleniem, że to tylko ot „takie sobie", *pour passer le temps* rzucane na papier drobiażdżki, a przecież — przy całej swej barokowej dekoracyjności — tak precyzyjnie, z tak niezawodnym poczuciem estetycznego taktu i smaku wykonane stylowe cacka. Ta maestria rzemiosła pisarskiego stała się wzorem dla młodego poety, ideałem, do którego osiągnięcia dążył — i to nie bez powodzenia. Z tych rozrzuconych po czasopismach etiud poetyckich kilka zaledwie znalazło się w tomiku. Niemniej na większości utworów z cyklu *Mała ballada* i *Spotkanie* znać sugestie owej stylizatorskiej poetyki. Zawarty w nich obraz świata ulega idealizującej deformacji, której celem jest bajkowa ładność, dla osiągnięcia jej zaś posługuje się poeta irracjonalizującą i odrealniającą magią lirycznej nastrojowości:

Na brzuchatej basetli nieba
złotą struną dźwięczy nów rogaty,
kot wspina się po cieniu drzewa
oparty o ogona patyk
i w korony kołyszący koszyk,
nim wśliźnie się i zwinie w kłębek,
zawiadomi bure kotki o tym
łapką tłukąc w powietrza bęben.

*(Dobranoc)*

Osiągnął poeta już w tym okresie wyniki wcale niezłe, kojarząc zręcznie baśniowość przedstawienia z nie doprowadzonym do stanu rzewności sentymentem i dyskretnie ujmującym ów sentyment w cudzysłów poetyckim humorem *(Mała ballada o różowym delfinie, Baśń zimowa, O pocałunku, Listopad I, Dobry anioł niepotrzebnie usnął...)*. Produkuje wtedy Piotrowski zgrabne wiersze-zabawki, jak *Miś*, ale próbuje już także podejmować tematy o wyższym ciężarze gatunkowym *(Hiroszima)*, tworzyć nie pozbawione elementu filozoficznej refleksji wiersze-parabole *(Talent, Stałość, Piosenka o początku nadziei, Kabała)*.

To pogłębienie tonu burzy jednak właściwą poetyckiej miniaturze Piotrowskiego harmonię wyrazu artystycznego. Zjawiają się wiersze pozorujące makabryczno-symboliczną dekoratywnością rzekomą głębię znaczenia *(Pajacyk)*, łzawo-sentymentalne noweletki poetyckie *(Mała ballada o płonącej dziewczynie)*, próby włączenia się w chór piewców oficjalnego optymizmu *(Opowieść Chiricao)*. Trafiają się też utwory będące pogłosem cudzych strof, jak *Warszawa* (Gałczyński), *Piosenka do ziemi* (Iwaszkiewicz z okresu *Księgi dnia i księgi nocy*), *Jerycho* (Czechowicz).

Trudno uważać tego rodzaju wiersze za sukces poety. Znamionują one jednak zmianę postawy pisarskiej, rozszerzenie kręgu zainteresowań. Piewca zielonych misiów i różowych delfinów staje wobec problematyki realnego życia i próbuje uporać się z nią, znaleźć swoje własne „miejsce na ziemi".

Nie przychodzi mu to łatwo. Tytułowy cykl *Oczy śniegu* przesycony jest obsesją śmierci. Raz po raz wracają w nim motywy trumny, cmentarza, trupich kości, inwokacje do umarłych, wizje Sądu Ostatecznego. Czyżby więc miejsce estetyzującego radowania się kolorowością i wielokształtnością objawów życia zajęło teraz zwątpienie w jego wartość i sens, poczucie klęski i beznadziejności? Taki sąd byłby sądem opartym na obserwacji wyłącznie zewnętrznych przejawów zachodzących w liryce Piotrowskiego przeobrażeń.

Zwróćmy uwagę na fakt, że funebralne *Oczy śniegu* poprzedzają zawarte w dwu innych cyklach książki utwory takie, jak: *Hiroszima, Nieznani sprawcy, Jerycho, Wchodząc schylamy oczy..., Mała ballada o płonącej dziewczynie, Świątynia, Koniec świata, Samotni*. Wiersze te to jakby bilans rozrachunków poety ze współczesnością. Bilans ten wypada zdecydowanie ujemnie. W *Świątyni*, która dla tej grupy utworów Piotrowskiego jest najbardziej reprezentatywna i znamienna, przy użyciu może aż nazbyt jaskrawych kontrastów stara się poeta ukazać przepaść dzielącą rzeczywistość od patronującego jej oficjalnie ideału. Religijna symbolika te-

go wiersza nie świadczy bynajmniej, aby autorowi chodziło jedynie o sprawę stosunku wiernych do nauki Chrystusa. Ta świątynia, którą „szkarłatny anioł w lewej dłoni unosi", jest obrazem całego współczesnego świata w ujęciu poety.

Nad wierszami Piotrowskiego unosi się cień śmierci, groźba zagłady:

Wzywa piach skupiony
gruda jałowa

*(Kiedy odchodzą...)*

To posępne wizjonerstwo inny ma jednak sens u niego niż u przedwojennych katastrofistów. Obsesja śmierci jest w jego poezji zjawiskiem pochodnym: rodzi ją obsesja sądu, obsesja odpowiedzialności:

— ciała bolesny okruch
będzie sądził
na prawicy
Ojca —

*(Nie!)*

Śmierć ważna jest nie dla niej samej. Piotrowskiemu obca jest właściwa np. Bieszczadowskiemu koncepcja śmierci, pojmowanej jako jakaś czarna, przerażająca granica istnienia. Piotrowski patrzy na śmierć z innego stanowiska: jest ona u niego nieuniknionym terminem rozrachunku. I to jest chyba najważniejsze w jego filozofii śmierci. Czy istotnie z trumny będzie się „patrzyć Bogu do okien", czy umrzeć to rzeczywiście odejść „na niedługi tylko spacer niebem" — w to można wierzyć lub nie wierzyć. Pewne jest jednak, że śmierć zamyka ostatecznie sumę naszych dokonań i niedokonań, zasług i win. Tak pojmowana śmierć wchodzi w ogólny rachunek życia, staje się jednym z elementów korygujących i regulujących jego proces. Pozorny pesymizm Piotrowskiego to po prostu brak zgody na życie byle jakie, pogodzone z własną małością i nijakością.

Miara naszych nadziei,
miara naszego bólu,
miara naszej miłości

— to właśnie nasza śmierć. I dlatego — w najgłębszym interesie życia — trzeba życie konfrontować ze śmiercią.

Taki jest zarys myśli poety. Zarys — w jakim stopniu zrealizowany? Znów muszę potwórzyć to, co powiedziałem o Szczawińskim :jako projekt, jako propozycja. Najambitniejsze, najważniejsze zagadnieniowo wiersze Piotrowskiego rzadko osiągają fazę pełnej krystalizacji kształtu. Są przeważnie tylko szkicami, zarysami tematu i problematu — nieraz zgoła brulionowymi. W zestawieniu z poetyckimi miniaturami tego autora wydają się jego artystycznymi porażkami. Ich wolny wiersz nie zawsze jest dobrym wolnym wierszem, jest nieraz po prostu ruiną strofy i ruiną regularnego metrum. Bywa ciężki, czasem — wskutek braku interpunkcji i powikłania składni — trudny do prawidłowego odczytania i zrozumienia. Metaforyka tych utworów staje się w wyniku ciągłego powracania tych samych elementów obrazowych monotonna, a ich patos nużący, bo wygrany na jednej tylko, bliskiej pęknięcia strunie.

Nie jest to jednak klęska nieudolności, ale klęska ambicji, która podjęła zadania ponad miarę swoich realnych możliwości. Piotrowski mógł na modłę swoich miniaturek o zielonych misiach i różowych delfinach napisać jeszcze ze trzydzieści wierszy o pomarańczonych myszach i błękitnych krokodylach. Byłyby to może nawet utwory kulturalne, eleganckie, „dobrze ułożone" (pod gust cmokających nad warsztatowymi figlasami perfekcjonistów), ale psu na budę niepotrzebne. Parę takich lirycznych etiud najzupełniej wystarczy. Zapełniona nimi książka byłaby niestrawna. Autor pokusił się też o laury bardziej zaszczytne niż laury dobrego producenta poetyckich cacek. Powiadacie, że poniósł klęskę? Możliwe. Mnie jednak taka klęska wydaje się bez porównania cenniejsza i lepsze nadzieje rokująca na przyszłość niż byle jakie i zbyt łatwe zwycięstwo.

III

*Ballada rycerska* powitana została bardzo życzliwie i zaliczona do najwybitniejszych książek poetyckich 1956 roku. Ten sukces debiutanckiego tomiku (mówię o debiucie poetyckim, jako prozaik debiutował Grochowiak *Plebanią z magnoliami*) jest jednak w pełni uzasadniony. Uzasadniony przede wszystkim aktualnym stanem rzeczy w dziedzinie bieżącej produkcji poetyckiej. Wielbiciele talentu Tuwima

i Gałczyńskiego z utęsknieniem czekali na poetę, którego twórczość pozwalałaby rokować nadzieje, że zdoła on wskrzesić i twórczo kontynuować reprezentowany przez tamtych pisarzy typ wypowiedzi lirycznej, splatającej drwinę z rzewnością, sentyment dla drobiazgu i powszedności z patosem zbiorowych entuzjazmów, rasowo realistyczną bystrość obserwacji z fantastyką, wyrafinowanie kunsztu wierszopisarskiego z efekciarskim kawalarstwem, powagę z humorem. Te oczekiwania stworzyły bardzo korzystną atmosferę dla książki Grochowiaka jako realizującej owo „zamówienie społeczne", przynoszącej obietnicę, że narodził się poeta, który może okazać się w przyszłości godnym spadkobiercą swoich mistrzów.

Obawiam się jednak, że tak oceniając *Balladę rycerską*, do pewnego stopnia ją przeceniono, ale zarazem i niedoceniono, gdyż wskutek skoncentrowania uwagi na tym, co w owym zbiorku jest kontynuowaniem i rozwijaniem wątków już w poezji naszej istniejących, przeoczono to, co jest w nim najistotniej nowe i własne. Przykładem takiego spojrzenia na książkę Grochowiaka jest dla mnie szkic Ryszarda Matuszewskiego *Marchołt w komeżce* („Nowa Kultura", nr 4 z 27.I. b. r.), może aż nazbyt entuzjastyczny, a przecież oświetlający ją dość jednostronnie. Krytyk podkreśla w wierszach młodego poety ich groteskowy irrealizm, skłonność do irracjonalizowania obrazu świata, upodobanie do mistyfikacji. Mam jednak wrażenie, że Matuszewski sam dał się cokolwiek zmistyfikować Grochowiakowi: nie dostrzegł poza warstwą groteskowej konwencji przedstawieniowej Grochowiakowego „serio".

W wierszach autora *Ballady rycerskiej* jest niewątpliwie dużo irrealizmu i irracjonalizmu. Poeta jednak nie lezie w irrealizm i irracjonalizm jak pijany w bagno, ale gospodaruje nimi bardzo trzeźwo i rozsądnie. On im nie służy, on się nimi posługuje. Posługuje się dla osiągnięcia określonych celów artystycznych: dla podkreślenia pośredniości wyrazu i metaforycznego charakteru znaczeń bezpośrednio przedstawionych w utworze.

Wdowiec z wiersza noszącego ten właśnie tytuł wydaje się śmieszny, jego objawy żalu po zmarłej żonie robią wrażenie histerii i komedii. Kiedy jednak po groteskowym obrazie pożerania mydła, którym zmarła się myła, padają słowa:

Na jutro mi już nie starczy,
Mój Boże, i zacznie się głód —

sytuacja się odwraca. Ten głód nie jest już śmieszny ani groteskowy. To jest głód, na jaki zapada cierpienie, które c h c e m y odczuwać, co do którego jesteśmy przekonani, że p o w i n n i ś m y w nim trwać, a które zamiera w miarę upływu czasu, w miarę blaknięcia wspomnień stanowiących jego pokarm. Ten stan świadomości, który Leśmian w wierszu *Do siostry* wyraził wprost:

I myśl wątła do mojej wsnuła się żałoby
Niby pajęcza nić,
Myśl, że nie ma na świecie tak drogiej
osoby,
Bez której nie można żyć! —

u Grochowiaka zostaje przetłumaczony na obraz, ukonkretniony i zdramatyzowany sposobem przedstawienia, pokazany w dialektyce żywego działania się. Groteskowy, histeryczny, irracjonalny z pozoru monolog tak ś m i e s z n i e nieszczęśliwego wdowca podkreśla dramatyczność zjawiska, na które patrzymy, a także uświadamia nam, jak powierzchowna, jak niepełna i błędna zarazem bywa nasza wiedza o drugim człowieku, oparta tylko na obserwacji jego zachowań, na behawiorystycznej koncepcji osobowości ludzkiej. Ten wiersz *par excellence* filozoficzny, skondensowany w kilku sugestywnych obrazach esej poetycki, został potraktowany przez Matuszewskiego jako dobry żart w stylu *Zielonej gęsi*.

Nie mam bynajmniej zamiaru pomawiać Matuszewskiego o złą wolę. Mam natomiast wrażenie, że ulega on panującej obecnie modzie na ucieczkę od meritum, od problematów, od „pryncypialności" i dlatego tak bardzo się cieszy znalazłszy coś, co wygląda jakby było napisane tylko dla żartu, co wydaje się irracjonalne, groteskowe, niepodobne do niczego na świecie. Grochowiak jednak zbliża się do tego polskiego „neosurrealizmu" czy „neofuturyzmu" o tyle, że chętnie operuje karykaturalną deformacją, ostrym kontrastem, hiperbolą, obrazowym

skrótem „zgęszczającym" znaczenia, depoetyzującą metaforą (na takich metaforach zbudowany jest wiersz *Płacz Żyda*, w którym czytamy np. „W papier córki zawiniemy Geszeft z ziemią uczynimy"). Te chwyty nie stanowią przecież dla poety istoty rzeczy. Są technicznymi środkami organizowania wyrazu, a nie celem samym dla siebie.

Po co mu jednak potrzebny t a k i środek techniczny? Ponieważ zasadą konstytutywną tej poezji jest paradoks, nie nonsens, nawet nie ten integralnie poetycki nonsens, „beztroska igraszka bogów", ale właśnie paradoks. Przypominam to, co wyżej mówiłem o *Wdowcu* i o zastosowanej w nim metodzie ośmieszania, które okazuje się maską głębokiego współczucia i głębokiego wniknięcia w zawikłania ludzkiego losu i dramaty ludzkiego serca. Poeta rysuje karykaturę cierpiącego w śmieszny, nieznośny sposób wdowca, ażeby przy pomocy tej karykatury osiągnąć taki efekt, jaki dawniej spodziewano się osiągać wyłącznie przez pisanie tragedii. (Wynika więc z tego, że mamy tu faktycznie — jak stwierdza Matuszewski — zacieranie granic między rodzajami literackimi, ale wynikające nie z przekory ani też z chęci zabawy, lecz podyktowane względami merytorycznymi: koniecznością znalezienia form wyrazu najściślej wypowiadających własny pogląd poety na zjawisko cierpienia.) Paradoksem jest kształt artystyczny tego wiersza, przeciwstawny jego zawartości znaczeniowej; paradoksalne — choć całkowicie realistyczne — jest ujęcie problematyki cierpienia.

Kiedy poeta chce przeciwstawić się kwietystycznemu pojmowaniu wiary religijnej, również posługuje się orężem paradoksu: ukazuje sytuację psychiczną, którą teologowie nazywają „znajdowaniem się w stanie Łaski", jako sytuację ludzkiej aktywności:

Napływa Łaska. Noc. I blask.
Stoisz z toporem przed tą łuną.
Suchym płomieniem fruwa las,
Ledwo że wody nie wyfruną.

I biegnie w trwodze czarny ryś,
Wilki uchodzą płaskim sznurem.
Teraz ci trzeba w ogień iść,
Gdzie Feniks błyska chłodnym piórem.

*(Łaska)*

(Paradoks pokrewny temu, jaki znajdujemy w *Pogrzebie don Żuana* Leśmiana:

Czekał, aż uśnie w Bogu, lecz stwierdził naocznie,
Że Bóg nie jest — noclegiem — i że już nie spocznie.)

Kiedy chce jak najdobitniej zadokumentować swoją chrześcijańskość, uderza w ton gwałtownej inwektywy, atakującej z heretycką wręcz zapamiętałością ideał świętości zagapionej w niebo i bezgrzesznie oczekującej na swoje osobiste, prywatne zbawienie:

Powołał go Pan
Na słup.
Na słupie miał dom
I grób.

A ludzie chłopaka na szafot przywiedli,
Unieśli mu głowę w muskularnej pętli.
Powołał go Pan na stryk.

Powołał go Pan,
By trwał.
By śpiewał mu pieśń
I piał
(. . . . . .)
A ludzie mych wierszy słuchając powstają
I wilki wychodzą żerującą zgrają...
Powołał mnie Pan
Na bunt.

*(Święty Szymon Słupnik)*

Wiersz o świętym Szymonie Słupniku „koresponduje" ideowo z tytułową *Balladą rycerską*, w której ofiarami rozgniewanego szyderstwa poety padają ci, którzy

Z mozołem, z mozołem, z mozołem
Wykluli, wykluli, wykluli:
Że są,
Chwalą.
Akceptują.
Rzucają kwiaty na tor.

*(Ballada rycerska)*

Ten atak na wystraszonych cokolwiek i niezbyt pewnych co robić „sprzymierzeńców" rewolucji określa zarazem stanowisko Grochowiaka wobec socjalizmu. Poeta wypowiada się przeciw deklaratywistycznym rymowankom, przeciw liryce hasełka i sloganu, przeciw „określaniu stanowiska", bo skoro

ktoś czuje się w obowiązku określać stanowisko, „akceptować", „rzucać kwiaty na tor", to znaczy, że jest na zewnątrz ruchu zwanego socjalizmem, że się do niego z boku przyłącza, z jakichś tam względów — może całkiem ubocznych — t o w a r z y s z y mu, ale nie jest z n i m i w n i m. Dla Grochowiaka socjalizm to najczystsza, najpełniejsza forma humanizmu naszej epoki *(Humanizm)*. Budownictwo socjalistyczne to ma być przede wszystkim budowanie ludzkiego szczęścia, tworzenie warunków sprzyjających radosnemu rozwojowi człowieka *(Budowa)*. Kultura socjalistyczna to kultura sumująca w sobie wszystkie obiektywnie ważne wartości dotychczasowego dorobku dziejowego i wszczepiająca je w życie duchowe współczesnych *(Kino wiejskie)*.

Nie, Grochowiak nie bawi się tematyką społeczną, jak to przypuszcza Matuszewski. On traktuje ją jak najbardziej serio (przypomnijmy sobie takie wiersze, jak *Robotnice, Pokolenie, Lepiej* — te surowe, pozbawione zupełnie tonów żartobliwych próby poetyckiego określenia rzeczywistej sytuacji naszego pokolenia). Jeżeli utwory o tematyce społecznej istotnie najmniej z zamieszczonych w zbiorku przekonują, jeżeli słyszymy w nich wyraźnie echa cudzej lutni, to dlatego, że w ich wyrazie artystycznym odbija się niedomyślenie do końca centralnych dla społecznej liryki Grochowiaka zagadnień, odbija się zejście na pozycje estetyzującego utopizmu społecznego. Grochowiak usiłuje wyminąć socjalizm rozumiany jako konkretna doktryna polityczno-społeczna, i dlatego pomimo swych antyinteligenckich gestów i grymasów sam zaplątuje się w inteligenckie mitotwórstwo, w utopistyczne fantazjowanie, i dlatego zawodzi go w tym wypadku inwencja: dziury w myśleniu łata poetyckimi stereotypami.

„Katolicki socjalizm" Grochowiaka prowadzi nas znowu do zagadnienia roli paradoksu w twórczości tego poety. Paradoks umożliwił mu dokonanie myślowego salto mortale, po którym można się czuć zarówno katolikiem jak i socjalistą, fiknąwszy koziołka ponad sprawą doktryny politycznej, związanej nierozdzielnie z materializmem filozoficznym. Paradoks działa więc nie tylko w obrębie warsztatu poetyckiego autora, ale również w strefie ideologii. Ta właśnie funkcja paradoksu w twórczości autora *Ballady rycerskiej* wydaje się znakiem rozpoznawczym nakazującym szukać genealogii intelektualnych Grochowiaka poza kręgiem ściśle krajowych antenatów, a wśród takich reprezentantów angielskiej powieści katolickiej, jak Chesterton, Waugh, Green, Marshall, może nawet Cronin. Słowem: wśród pisarzy, którym paradoks stwarza tak dogodne możliwości oscylowania na pograniczu racjonalizmu i irracjonalizmu, realizmu i bajkowej alegorii, lokalnej powagi starannie odważającego argumenty mędrca i demagogicznego żartu zręcznego felietonisty.

Na intelektualnej wygodzie, jaką zapewnia paradoks, sprawa się jednak nie wyczerpuje. Grochowiaka łączy z tymi pisarzami ambicja walki z konwencjonalnym, zdawkowym, raz na zawsze ustalonym widzeniem świata i z tej niechęci do konwenansu i banału wynikająca skłonność do posługiwania się udziwniającą deformacją, uczulenie na humorystykę rzeczy i faktów, umiłowanie konkretności oraz — jako jej naturalne następstwo — niechęć do ogólników i abstrakcyj. Łączy go więc z nimi upodobanie do swoistej romantyki wyrazu artystycznego. U Anglików jednak romantyka ta wzywana jest czasem na pomoc nawet w walce z romantycznymi poglądami *(Cud ojca Malachiasza* Marshalla), czasem znów (jak u Chestertona) staje się tylko zewnętrzną fasadą alegorycznego moralitetu powieściowego. Często bywa to więc jedynie romantyka pozoru, konwencja przedstawieniowa, czysto zewnętrzny kształt dzieła, wyznaczony przez merytoryczną rolę w tym dziele paradoksu jako zasadniczej metody działania intelektualnego.

Poetyka Grochowiaka również jest poetyką inicjowaną i określaną przez specyficzne potrzeby i wymagania paradoksu. Dlatego np. jego metafora zawiera zwykle elementy humorystyczne — i to nawet wtedy, gdy temat lub zgoła sam tytuł wiersza zdają się upominać niesfornego poetę, aby zachował nieodzowną w danym wypadku powagę:

Oto ostatni salut. Schodzi,
W głąb morza głębokiego schodzi
Ta trumna flagą okutana
Jak zbir — okryty po sam nos.
*(Wiersz metafizyczny)*

Dlatego rezygnuje Grochowiak z jakichś zakusów w zakresie wersyfikacji, rymu, strofiki. Ba! stylizuje w tym względzie swoje utwory nieco po staroświecku, poprzestając na bardzo pomysłowym i wynalazczym modyfikowaniu form tradycyjnych, stosując to swobodne przeplatanie wierszy rymowanych i nierymowanych, to niezbieżność powiązań rymowych z układem stroficznym, to różnego rodzaju anomalie w budowie metrycznej wiersza. I udaje mu się osiągnąć w ten sposób godne uwagi wyniki. Jakże mocny efekt daje np. zamykanie męskim spadkiem każdej strofy *Wiersza metafizycznego*, jak celowe i skuteczne artystycznie okazuje się deformowanie poszczególnych strof we *Wdowcu* czy też instrumentacja wolnego wiersza w *Siwym deszczu!*

Jest w tym stylizatorstwie i wymyślność, i humor, i troska o jak najwyrazistsze uwydatnienie znaczenia, i jakby przywdziewanie maski obojętności wobec własnego dzieła przez podkreślanie pewnych zaniedbań i niedopracowań zewnętrznego kształtu wiersza. Jest — słowem — typowo romantyczna gra poetycka z charakterystycznym dla niej epatowaniem czytelnika pozorną bezpośredniością wypowiedzi przy równoczesnym ubezpieczeniu się równie charakterystyczną i równie podówczas modną autoironią (Słowacki, Heine, Musset).

Wiele zdaje się wskazywać na to, że romantyka wyrazu ma u Grochowiaka uzasadnienia merytoryczne nieco odmienne niż u wymienionych poprzednio pisarzy angielskich, że jej związek z tradycjami romantyzmu jest bardziej istotny. Czyżby więc rodowód poetycki Grochowiaka sięgał aż tak daleko w przeszłość? Dwukrotnie, omawiając poszczególne wiersze autora *Ballady rycerskiej*, zestawiłem je z fragmentami utworów Leśmiana. Te analogie nie wydają mi się przypadkowe. Wystarczy też uważniejsze odczytanie *Pieśni o Marchołcie*, byśmy się zorientowali, że jest to Marchołt nie ze średniowiecznych opowiastek, ale z dramatu Kasprowicza. Patosem liryków Micińskiego brzmią wiersze takie, jak *Egzekucja* czy *Na śpiew Ymy Sumac*. Odnajdujemy zresztą w niektórych fragmentach wierszy Grochowiaka najautentyczniejszą młodopolszczyznę:

Cichym dmuchnięciem zgasiwszy świecę
Kładziesz wichurę swych płomiennych włosów
Na grzbiet mój czujny jak plecy psa.
Ciężko zapada czarne wieko nocy.
*(My i Bóg)*

A ty jak piorun walisz czoło,
A wszystko tracisz. Nawet łzy.
*(Zwątpienie)*

Wyraźne związki z tradycjami modernizmu odnajdziemy w najmocniejszych nawet wierszach tomu, takich, jak *Verlaine*, *Chmura*, *Król zabity*, *Siwy deszcz*. Przypomnijmy sobie choćby początek *Siwego deszczu:*

Na kamiennym brzegu ostrym,
Nad spienioną morza grzywą —
Pod północnym mroźnym niebem
Stoi Solveig jak iglica.

Zacząć rodowód poetycki Grochowiaka od Tuwima czy Gałczyńskiego — to zubożyć poważnie jego literacką genealogię. Sięga ona co najmniej w czasy moderny, w epokę neoromantyzmu. W bohaterską epokę inteligencji, próbującej podówczas ująć w swe ręce „rząd dusz". Ideowy imperializm inteligencji nie wahał się wtedy przemawiać mową patosu, zastrzegać dla siebie prawa badania „źródeł duszy polskiej", wyrokowania o tym, „ku czemu Polska szła". Czasy tego imperializmu przeminęły a razem z nimi czasy wieszczego patosu. I dlatego pisarz inteligencki sięga dziś po metody działania artystycznego przeciwstawne wieszczbiarstwu i patosowi: po drwinę, groteskę, karykaturę. Dlatego tak upodobał sobie nicujący wszelkie wartości i stawiający na głowie ich ustalone hierarchie paradoks. Ta posługująca się paradoksem dezintegracja i dewaluacja artystycznego obrazu współczesności — to zemsta inteligenckiego artysty na świecie, który zawiódł jego ambicje i nadzieje.

Wspólnictwo w imaginacyjnej zemście przez artystyczną deformację i

degradację sprzymierza inteligenckiego artystę z jego inteligenckim odbiorcą. W tym deformowaniu i degradowaniu bowiem odżywa — aczkolwiek postawiony na głowie — patos heroicznych czasów inteligencji, dumne poczucie nadawania wartości rzeczom tego świata. Poezja paradoksu, groteski i drwiny to jakby powracająca fala modernizmu. Utrzymująca się wciąż jeszcze moda na oficjalne pogardzanie Młodą Polską i psioczenie na jej twórczość spowodowała przeoczenie znamiennego faktu, że Tuwim i Gałczyński zawdzięczają swą popularność przede wszystkim temu, iż ich twórczość była w znacznej mierze kontynuacją (choć z odchyleniem w kierunku groteski) wątków zagadnieniowych i form wypowiedzi zainicjowanych już przez naszą modernę.

U Grochowiaka ten rozlubowany w paradoksie, deformacji i bajkowej scenerii neomodernizm zdaje się osiągać fazę wyraźniejszej krystalizacji, zbliżać się do samouświadomienia, a wobec tego — być może — również do jakiegoś zasadniczego przełomu. To już, oczywiście, są tylko przewidywania, które poprzeć można jedynie przeświadczeniem o dużych możliwościach talentu, osiągającego w pierwszym swym tomie wierszy to, czego wybitni nawet poeci dopracowywali się całymi latami: własną wizję świata i własny, oryginalny styl wypowiedzi.

*Stefan Lichański*

## „WERTEPY" LEOPOLDA BUCZKOWSKIEGO PO DWUDZIESTU LATACH

**Leopold Buczkowski**: *Wertepy*. Wyd. II. Warszawa 1957, Państwowy Instytut Wydawniczy; str. 234, 2 nlb.

I

Jest taka anegdota Chestertona o „Szkole Hamaków". Wszystkie artykuły członków tej szkoły zaczynały się od słów: „Czytałem tę książkę w hamaku i na wpół uśpiony w marzącym świetle..." Oczywiście ze strony krytyków był to tylko chwyt retoryczny, ale jakże wielu czytelników — leżąc wieczorem na tapczanie w kręgu nocnej lampki — marzy o książce pogodnej, spokojnej, stopie elementów pogodzonych na wieki spojrzeniem artysty. Czytelnicy, którzy odczuwają potrzebę przedsennej higieny, łaknąc urody życia i radości istnienia w pigułce dla potrzebujących, niechaj sięgną raz jeszcze po książkę pt. *Colas Breugnon*, ale niech nie ważą się brać do ręki *Wertepów* Leopolda Buczkowskiego...

My zaś z powieścią Leopolda Buczkowskiego udamy się w krainę prozy okrutnej, dojmującej jak ból, dławiącej jak przerażenie. Zaraz na wstępie napotykamy opis: „Zsunąwszy czapkę na oczy Huk chwycił ryj, przydusił łeb kolanami, po czym zatopił nóż pod przednią łopatkę i kułakiem po rękojeści dobił ostrze w głąb. Czarna krew strzyknęła, zbrudziła dyle i drobnymi kropelkami osiadła na szarej twarzy Huka. Matka Huka podbiegła z miską, krew lała się jak z odkorkowanej beczki; stara bełtając ręką w misce szeptała do świni: »Moja zazulo miła«. Pies, przedostawszy się z łańcuchem do chlewa, wylizywał z polan grudy stygnącej krwi. A trochę dalej czytamy: „Zatłukli Czaplija jak zdechłego kota, zatłukli batogami, kluczami od sieczkarń i obcasami. Uderzenia chrzęściły i padały nieprzerwanie, aż Czaplij wyciągnął się na płask i ucichł. Potem jeszcze raz się podniósł, popełzł trochę na kolanach, pogrzebał śnieg szeroko rozstawionymi palcami i upadł twarzą do przekrwionych własną krwią pecyn".

Ustalmy czas i miejsce akcji. Rok 1936. Trzy wsie: Dolinoszczęsna, Zaserecie i Hrynianka, leżące na progu dzielącym dolinę Seretu od mokrych, płaskich płuc Horynia. Dokładniej: podolski czarnoziem, granica ówczesnych województw — tarnopolskiego i wołyńskiego; do 1914 r. pogranicze monarchii austro-węgierskiej z carską Rosją. „Wsie

w jarach, chaty w jarach, nad jarami wzdłuż kredowych krawędzi dziewanna, nad chatami, wzdłuż żerdzi, nieraz wyżej strzech, malwy i żółtański bogatczyk. Rozrośnięte sady, sypiące się za płoty gałęzie tulą ptasie gniazda. Oto Seret, Siorła, Ikwa i Horyń przegryzają na łąkach głębokie rowy, w szatańskich bezdniach prąd tworzy wiry i niesie żabią nasiennicę do morza... Daleka, pachnąca dziką cykorią i piołunami przestrzeń."

Buczkowski świadomie zaciera związki z aktualnością. Długo trzeba jego powieść czytać, by się zorientować, który z jej dwóch księży, Żupan czy Samosaczyński, jest rzymsko-katolicki, a który grecko-katolicki. Sprawę wyjaśnia wreszcie żona Żupana i celibatowe kłopoty Samosaczyńskiego. Wsie są narodowościowo mieszane, polskie i ukraińskie, ale problemy z tym związane w powieści nie istnieją. Władza jest ta bezpośrednia, wyczuwalna w pobliskich Supiłkach: przewodnik Sakman, wójt Góntara i kilku posterunkowych policji. Jedyny związek z kulturą to książki przywiezione przez inspektora wydziału powiatowego, który potem, pijany, pyta: „Będzie co pomacać we wsi? Taka jakaś razóweczka — skrzywił się, dmuchnął smrodem spróchniałych zębów". Korzyści płynące z wypełnienia obowiązków obywatelskich wyświetla rozmowa Szeremety z Ćpindlem: „Te parobki, że z wojska wrócili, największe draństwa z dziwkami wyprawiają. — E! człowieku, to i prawda... ale tyla sia nauczyli, że bękarta dziewczynie nie zrobi. Coś takiego mają. Bondarczuka syn mi tłumaczył, jak to się robi, ale na co mi sia zdało to teraz". Sprawy szerokiego świata pojawiają się w *Wertepach* tylko jeden jedyny raz: „Do warsztatu Bartaczka ktoś czasem przyniósł samowar do zalutowania, zapalniczkę do naprawy, blat kuchni do wyprostowania, ale najwięcej przychodziło ludzi ot tak sobie, pogadać o wojnie w Hiszpanii, o tym, że nafty nie dowożą, o pacyfikacji i o końcu świata". Pewna pani miała kiedyś wielką pretensję do Buczkowskiego, że słowo pacyfikacja pojawia się w jego książce tylko raz (por. „*Kuźnica*", 1947, nr 34). Mój Boże, przecież to powinno być oczywiste, że w *Wertepach* nie o to chodzi, nie o to chodzi...

A o co? Postaramy się odczytać, ale wpierw wczytajmy się w kilka zdań, które najlepiej wprowadzają w atmosferę powieści: „Czarne są jesienne wieczory, głuche i straszne; wśród dzwoniącej ciszy na polach, w jarach i zagajnikach pachnie ziemia. Wsie zatapiają się w wieczną noc. Ludzie na nowo zaczynają się kumać z zapieckiem, wygrzewając katary, bąble i ropne bolączki. Chłopi zwożą chrust, budują pośpiesznie zahaty, a skoro zmierzch spać się kładą na jęczmiennych dziaduchach".

*Wertepy* powinny nosić podtytuł zaczerpnięty z tytułu cyklu powieściowego innego prozaika polskiego: *O bezsilności i bestialstwie człowieka*. Właśnie! *Wertepy czyli o bezsilności i bestialstwie człowieka*.

Oto Tomasz Huk. Koniokrad i morderca. „Jeszcze przed kilku laty rozprawiał się z przeciwnikiem gładko i krótko: — Chcesz, żeby ci łajna do gęby napchać? Ty bucu! — Chwytał najmocniejszego parobka za wargę, zwalał na ziemię i dźgał obcasem w zęby. Bez pardonu, bez serca, bił ile wlazło." Za tym człowiekiem jak cień snuje się śmierć: to on zabija starego Baryłkę, przez niego ginie i Czaplij, i Bokijczuk, i Wawaszyński, i Łomikowski, spalony przezeń po śmierci w stogu siana. Huk ginie wprawdzie zastrzelony na granicy, ale na ostatnich kartach książki odnosi pośmiertne zwycięstwo. Okazuje się, że to on był kochankiem Chrobowskiej, nauczycielki z Hrynianki, powiązanej duchową wspólnotą uczuć z księdzem Samosaczyńskim. Wyjaśnia to czytelnikowi cel nocnej wizyty znachora Grzybniaka u chorej nauczycielki i przyczynę jej śmierci w Zakopanem (zapewne na skutek komplikacji po skrobance). Na wiadomość o romansie Chrobowskiej z Hukiem załamuje się ostatecznie ksiądz Samosaczyński, który już przedtem znał ołowiany, dławiący smak bezsilności: „Ksiądz Samosaczyński kładł się po obiedzie spać; budził się o zakopconym zmierzchu i po tej drzemce ssący smutek niemal do bólu wżerał się w mózg; życie w tych jesiennych dniach stawało się bezlitosne, w pustce i zimnej obcości. — Boże, najsłodszy Boże, zmiłuj się nade mną i nad każdym smutnym w odległej wsi — szeptał ksiądz." Autor nie dopowiada ostatecznie, ale zakończenie książki sugeruje dosyć wyraźnie, że ksiądz Samosaczyński dowiedziawszy się od przodownika Sakmana prawdy o Chrobowskiej po-

wiesił się w tym samym ogródku, gdzie przeżywał ongiś najpiękniejsze — wedle jego dawnego odczucia — chwile z Chrobowską. Samosaczyńskiego zabija jego własna wrażliwość: nie wytrzymuje on oceanicznego ciśnienia okrucieństwa świata, gdzie trwać mogą tylko takie ryby głębinowe, jak Huk.

Okrucieństwo człowieka pokazuje Buczkowski nie tylko poprzez opisy morderstw, bijatyk, szlachtunków i rakarstw. Chwyta je również na przykładach drobnych, codziennych. Oto stary Bant, palacz-nałogowiec, który „dla tytoniu zgodziłby się na największe, najwstrętniejsze poniżenie". „Bywało nieraz, że parobcy, posiadawszy koło spółdzielni, palą wonną machorkę i nabijają się ze starego: — Pokaż, stary, swego korzonka. Nu, damy zapalić. — I stary pokazywał przymykając swoje szczurze oczy."

Okrucieństwo wyrasta na pożywce bezsilności. Oto Łukasz Szeremeta. Życie dało mu ciężkie cięgi, bezrolnemu i bezdomnemu włóczędze. Raz próbował się odegrać. Było to podczas służby u Masłowskiego. Pijaczyna Masłowski wydał się początkowo jeszcze słabszy od Szeremety, ale ostatecznie to on wygrał tę rozgrywkę. „Masłowski skoczył na Szeremetę, ciężarem swego ciała zwalił go na ziemię, kopnął dwa razy, rzucił się do głowy. Szeremeta zapiszczał nieludzko, krew zalała mu oczy, chowając głowę pod pachę wykręcił się spod Masłowskiego, podskoczył i chwycił go za przyrodzenie, ścisnął mocno, aż zaskwirczało w kułaku. Masłowski upadł. Szeremeta, ciągle plując krwią, poszedł do izby i popatrzył w lusterko: nos wisiał na nikłej skórce, z otwartej, pokracznej rany wystrzeliwały bańki krwi, brudząc lusterko fioletem." Szeremeta z odgryzionym nosem zostaje „Beznoskiem". Po latach, osiadłszy w Dolinoszczęsnej, próbuje rozegrać swoją drugą wielką rozgrywkę i wydzierżawia staw zasereteński. Oszukano go okrutnie. „Tak strasznie pragnął odwrócić się od tego świata, niezrozumiałego, wrzącego nienawiścią, fałszem i wyrachowaniem. Życie Szeremety było jak męka psa przykutego do węgła stodoły, wśród pomyj, głodu, niepokoju i tęsknoty bezbrzeżnej. Ogniwa rozdarły się, Szeremeta — pies z resztkami łańcucha, z zatraconym wyczuciem przestrzeni — uciekł do Dolinoszczęsnej. Tu odżył, podbudował szczęście dla syna. Po oświadczeniu Żarnowieckiego poczuł się znowu psem w głodnej, nędznej zagrodzie."

Przesuwa się przed naszymi oczyma zawiły acz nieskomplikowany układ stosunków międzyludzkich, gdzie silni znęcają się nad słabymi, a ci z kolei znęcają się nad słabszymi od siebie. Baryłka w okrutny sposób zabija łoszaczka, złodziejską zdobycz Huka. Huk wymierza mu za to sprawiedliwość wedle własnego rozumienia: „Huk jeszcze raz popatrzył na kopytka łoszęcia, jakby się chciał upewnić, i odstąpił krok w tył; uderzył starego między oczy. Baryłka hyknął brzydko i upadł z chrzęstem jak worek kapusty. Huk podbiegł i kopnął go podkutym obcasem w ucho. Z drugiego ucha wyciekła czerwona strużyna krwi". Wszystkie te sprawy bezsilności i okrucieństwa kulminują się w scenie, która zawiera w sobie sedno powieściowej sprawy. Była we wsi Dowhaniowa, wdowa z trojgiem drobnych dzieci: „Charciwski, pijak i łajdak, przychodził nocą do niej i zwalał się jak knur. Często się też zdarzało, że pijani przedpoborowcy wdarłszy się nocą do Dowhaniowej, pastwili się, zamęczali po kozacku, a na »dobranoc« odlewali się do skrzyni, wianowej skrzyni. Na biedną wdowę, jeszcze z jakim ciałem, leciał byle pastuch i wymuszał: — Czekaj, krowo, przyjdzie ci drzewa narąbać. Ot! w zęby. — Tak jak osikę, byle ją posypać grysem — zjedzą świnie. Tak samo z wdową na wsi, byle wymiona jeszcze miała — zmordują parobcy".

Bezsilność i bestialstwo kulminują się tu na kanwie sprawy u ludzi najdelikatniejszej i najbardziej plugawej zarazem: na kanwie życia erotycznego. A człowiekowi wtóruje przyroda. Tomku Szeremeta studiuje *Zasady racjonalnego hodowania ryb*. Czyta tam: „»Mysz wodna zjada ikrę«. »Mysz wodna zjada i wodny narybek«. »Mysz wodna atakuje większe ryby, nawet wyżera im oczy i mózg«. Tomku skrzywił się, jakby wnikając w rybią rozpacz". Krąg się zamyka: z okrucieństwem człowieka współbrzmi okrucieństwo przyrody. Do tego dochodzi nauka płynąca z doświadczenia historycznego, zawarta w złowieszczej opowieści Cpindla o magnacie Kaniowskim: „Przyjechał był raz Kaniowski do Majdanu z rajtarami setką. Zlecieli się zaraz ludzie biedni i głodni i dzieci bezszkolne... A Kaniowski, jak najjaśniejszy pan, mrużył oczy z rozkoszy, dumny, wiecie, z próśb ludzkich... Kazał Kaniowski wielgi

baniak ugotować, a gdy woda sia ugotowała, sześć kóp jaj kazał wrzucić do kipiączki. Jaja sia ugotowali, rajtary zeszli z koń i zjedli jaja ciepłe. A te wody kazał Kaniowski rozdać ubogim, zachwalając, jaka to, wiecie, zupa dobra!".

Świat u Buczkowskiego jest okrutny. Okrucieństwu świata pisarz stara się sprostać okrucieństwem relacji. Udało mu się to w pełni. Nie znam polskiego pisarza o bardziej okrutnej, sadystycznej wręcz wyobraźni, jak Leopold Buczkowski w *Wertepach*. „Wszystkiemu winna ta ludzka krew niespokojna." „Tak oto toczy się świat poprzez noc straszliwie groźną i milczącą."

II

W drugiej połowie ubiegłego wieku Oktawiusz Mirbeau straszył Europejczyków wizją sadyzmu chińskiego w *Ogrodzie udręczeń*. Conrad w *Tajfunie* dał pozostający długo w pamięci obraz kłębowiska kulisów chińskich pod pokładem „Nan-Shana": „Wśród poważniej okaleczonych był jeden z okiem zupełnie wybitym. Wystawało mu spod czoła wielkości połowy kurzego jaja. Takie kalectwo — dodaje Korzeniowski — powaliłoby człowieka białego co najmniej na miesiąc, a ten drab rozpychał się w tłumie łokciami, to tu, to tam, i rozmawiał, jakby mu nic nie dolegało". Conrad odnotował i straszliwą wizję ludożerstwa w *Falku:* zdarzyło się ono na statku, który utracił śrubę „gdzieś wpół drogi, pomiędzy Przylądkiem Dobrej Nadziei i Nową Zelandią". Ale te straszne rzeczy działy się daleko: w Azji, na dalekich oceanach, w innym świecie zgoła. Można było rozkoszować się lekturą leżąc w marzącym świetle.... Witold Gombrowicz wymyślił jeszcze lepszą zabawę. W opowiadaniu *Biesiada u hrabiny Kotłubaj*, z tomu *Pamiętnik z okresu dojrzewania*, goście raczą się rzekomym kalafiorem, który jest w rzeczywistości mięsem z ośmioletniego chłopca. W roku 1933 nikt przecież nie traktował groteskowego opowiadania serio...

Minęło kilka lat — i kronikarz warszawskiego getta zanotował: „Na ulicy Krochmalnej w domu Nr. 13 oszalała z głodu kobieta zjadła część ciałka zmarłego dziecka". Tadeusz Borowski potwierdza takie fakty w swoich opowiadaniach obozowych. U Wolfganga Otta w debiutanckiej książce *Rekiny i małe rybki* (Monachium 1956), opisującej losy załogi niemieckiej łodzi podwodnej w czasie drugiej wojny światowej, znajdujemy scenę, przy której bledną opisy z *Ogrodu udręczeń:* Na morzu, w gumowej łodzi, rozbitek z poszarpanymi rękami. Mewy bezkarnie rwą dziobem swój ulubiony przysmak — ludzkie oczy.

Leopold Buczkowski napisał *Wertepy* w roku 1937, dwadzieścia lat temu. Przed wojną książka — ze względów cenzuralnych podobno — nie mogła się ukazać drukiem. Wydano ją dopiero w 1947 r., w dziesięć lat po napisaniu. Wtedy pokwitowano ją paroma recenzyjeczkami, jedynym atakiem kogoś absolutnie głuchego na literaturę i rozsądną — zaiste, jak powiada Flaszen, obywatelską w tonie — recenzją Kazimierza Wyki, który wszelako istotnego sensu *Wertepów* nie odczytał (por. *Pogranicze powieści* 1948, str. 364—372). Teraz, gdy po dwudziestu latach, w roku 1957, *Wertepy* ukazują się w drugim wydaniu — sądzę, że można zaryzykować twierdzenie: Buczkowski okazał się w roku 1937 — w skali polskiej — pisarzem-prekursorem, prekursorem prozy czasów wojny i czasów pogardy.

*Wertepy* nie mają nic wspólnego z modnym w latach 30-tych katastrofizmem, katastrofizmem twórców o kawiarnianym kręgu doświadczeń. Buczkowski pisał pełnią doświadczeń życiowych, pisał jak człowiek, który zna uczucie głodu, który wie, że w człowieku, w każdym człowieku, drzemie bestia okrucieństwa i bestialstwa, który zrozumiał, że najpotworniejsze jest poczucie własnej niemocy i bezbronności. W *Wertepach* można trafić np. na zdanie: „I zrodziła się u obojga taka chwila, że spojrzeli w przeszłe życie; kiedyś się kochali; spojrzeli w krótką drogę, przeleciało nietoperzem kilka uśmiechów z młodości; ostro, aż do gorzkiego bólu w tchawicy dojrzała prawdę starości". Mogło ono wyjść spod pióra któregoś z naśladowców Nałkowskiej, np. Bogusława Kuczyńskiego w *Starych ludziach* (1938 r.). Zdanie typu: „Pan doktor miał czerwoną twarz, był łysy, na jego rzęsach Szeremeta zauważył gnidy, dyszał ciężko i smrodliwie" — pozostaje w kręgu literatury „małego realizmu" grupy Przedmieścia. Ale taka relacja, jak: „Tomku poprawił na sobie mokrą kurtkę i słomę nagarnął pod plecy. Od ziemi ciągnął zgniły, mokry chłód. Z początku było mu smutno i straszno, lecz

w miarę jak zanurzał się w smrodliwe ciepło, głodny i zmęczony, zaczął odczuwać coś w rodzaju szczęścia" — w latach trzydziestych jest w naszej prozie niespotykana. Pojawi się dopiero po r. 1945, pod piórem pisarzy, którzy przeszli przez konclagry (T. Borowski, K. Filipowicz).

Leopold Buczkowski pisał *Wertepy* jak człowiek, który patrzy na rzeczywistość przez lornetkę: widzi tuż przed oczyma i to tylko. Jak trafnie zaobserwował Kazimierz Wyka, „Buczkowski ufa jedynie temu, co mu podadzą oczy, węch, słuch i stopy; pisze tak, jak gdyby autor nie miał prawa posłużyć się najdrobniejszą szczyptą innej wiedzy o świecie prócz tej, którą dyktują mu oczy i uszy". Ale po dwudziestu latach wyszło na to, że ten całkowity brak perspektywy dał najgłębszą z możliwych perspektyw pisarskich. Antycypował prawdę o epoce Oświęcimia.

Zaiste wielce słuszne okazało się w przypadku *Wertepów* zdanie Jarosława Iwaszkiewicza, że „poeta przeczuwa więcej, niż wie mądry". Ale skoro poecie uda się już przeczuć, rzeczą krytyka jest bezbłędnie odczytać jego przeczucie i niejako zsyntetyzować je: przenieść z języka obrazów na konkretniejszy język pojęć. W ten sposób „krytyka problematyzuje literaturę; w każdym utworze wybija dno" (Ostap Ortwin: *Samoistność krytyki literackiej*, *„Sygnały"* 1934). Pisarz stwarza własną wizję świata, krytyk musi odczytać i skonkretyzować istotę tej wizji. Jego rzeczą — jak mawiał najlepszy w Polsce majster od tej roboty — jest „powtórzyć akt kompozycji przez dekompozycję lub swoistą rekompozycję". Krytyk sprawdza artyzm i drąży w głąb, to jedyne jego zadanie. I nic więcej? Nic więcej. Wszelkie sądy pozaestetyczne powinien pozostawić tym, którzy czują się powołani do ich wydawania. Chętnych nie brak nigdy i nigdzie. Tak czyniąc krytyk literacki wyodrębnia się od krzykaczy i uprawia pracę na tym piętrze, na które obrotni cwaniacy wspiąć się nie potrafią. Czytelnik, który z miejsca chciałby potępić książkę Buczkowskiego, winien wpierw zapytać samego siebie: A czy okrucieństwu pisarza nie odpowiada przypadkiem okrucieństwo świata?

I jeszcze jedno.. Ktoś może zapytać, czy teraźniejsza ocena *Wertepów* może rościć sobie prawo do trwałości, czy można pokusić się dziś — po dwudziestu latach — o stwierdzenie, że książka stała się bezwzględnie trwałą pozycją w dorobku naszej prozy. Nie. Karol Wiktor Zawodziński przekonał mnie niegdyś, że dopiero po upływie pół wieku można sformułować „obowiązujący na długi przeciąg lat, miarodajny sąd historyczno-literacki". Powyższy szkic zawiera więc rozważania krytyka, a nie sądy historyka literatury.

*Ludwik B. Grzeniewski*

## LIST Z HIROSZIMY

Niedawno otrzymałem list. Pisze do mnie moja przyjaciółka, pisarka amerykańska, pisze do mnie z Hiroszimy:

„Przed moimi oknami tutaj w Hiroszimie pada deszcz. Całe to miasto, piękne i smutne, pełne jest wody... i łez. Przed pomnikiem, postawionym dla uczczenia tysięcy ludzi zamordowanych przez bombę, siedmiu mężczyzn i dwie kobiety czuwają w dzień i w nocy na znak protestu przeciwko nowym doświadczeniom z bombą wodorową. Dla tych ludzi, którzy konają powoli od ran, wydaje się rzeczą niemożliwą i monstrualną, że istnieją na świecie ludzie, którzy j e s z c z e mówią o wojnie atomowej. Poznałam teraz tutaj wiele ofiar bomby A, ponieważ, jak wiesz zapewne, wynajęliśmy niewielki domek w Hiroszimie, gdzie mogą zatrzymywać się ludzie, którzy ucierpieli na skutek bomby, przyjeżdżając do Hiroszimy, aby się leczyć w tutejszych szpitalach... Nasz mały domek „Hiroshima Rest House" służy dwóm celom: pomaga trochę kilku cierpiącym ludziom, a jednocześnie jest symbolicznym gestem, protestującym przeciwko bombie. Drogi Jarosławie... gdybyś Ty mógł widzieć te okropnie poparzone twarze, a przede wszystkim te smutne, strasznie smutne oczy...

Zabawimy jeszcze przez parę tygodni w tym naszym domku w Hiroszimie. Rzeka przepływa pod naszymi oknami i jak prawdziwa Japonka piszę do Ciebie siedząc na podłodze (krzeseł tu nie ma). Gałąź kwitnącej wiśni pochyla się ku małemu papierowemu okienku; wszystko jest takie piękne — tylko powód istnienia naszego domku jest ohydny. Człowiek jest potworny; za każdym razem, gdy widzę męczenników, którzy mnie otaczają, nienawidzę człowieka — człowieka, który był zdolny zgotować podobny los swoim bliźnim..."

Te wzruszające słowa po ludzku czującej kobiety w przedziwny sposób uzupełniły mi patetyczne i groźne odezwy, jakie poczęły ostatnio rozlegać się ze wszystkich stron świata. Głosy przestrzegające ludzkość przed lekkomyślną nierozwagą i wskazujące na niebezpieczeństwo, które pociągają za sobą wciąż mnożące się doświadczenia z bronią termojądrową. A głosy to poważne i nie mogą być lekceważone.

Przemówił do świata jeden z najszlachetniejszych ludzi, jakich wydał nasz wiek, dr Albert Schweitzer, wielki humanista, muzykolog, organista, autor najlepszej książki o Bachu — a jednocześnie lekarz, dobroczyńca Murzynów, założyciel szpitala dla czarnych na afrykańskim wybrzeżu, w Lambarene, odznaczony — jakże słusznie — pokojową nagrodą Nobla. Głos tego człowieka przestrzegł nas śmiało przed niebezpieczeństwem tającym się w zbrojeniach atomowych. Wiedza doktora Schweitzera pozwoliła mu rozważyć dokładnie wszystkie skutki, jakie pociąga za sobą bezprzestanne pomnażanie radioaktywności na ziemi.

„Lekceważenie — mówi Albert Schweitzer — znaczenia (tych doświadczeń) i ich konsekwencji to szaleństwo, za które ludzkość zapłaci potworną cenę. Jesteśmy w trakcie popełniania tego szaleństwa z nieprawdopodobną bezmyślnością."

Schweitzer przestrzega specjalnie przed konsekwencjami genetycznymi doświadczeń. Pociągać one mogą za sobą degenerację w postaci raka krwi (białaczki) lub też całkiem nie dającego się przewidzieć wyradzania się przy-

szłych pokoleń, co zdaje się być najstraszliwszym koszmarem.

Dwunastu uczonych angielskich ogłosiło komunikat, w którym podkreśla się fakt, iż rozmiary owej degeneracji całkiem nie dadzą się przewidzieć. Nie mamy żadnego doświadczenia w tym względzie. Szwedzki uczony, R. M. Sievert, przestrzega jednakże:

„Jest nam dzisiaj nadzwyczaj trudno przewidzieć, jakie będzie w przyszłości najważniejsze źródło promieniowania wywołanego elementami sztucznej radioaktywności, rozmieszczonymi w przyrodzie. Należy przypuszczać, że sposób niszczenia radioaktywnych elementów będzie rozwiązany zadowalająco i że środki ostrożności przy kierowaniu substancjami radioaktywnymi i przy ich używaniu będą skuteczne. Ale wypadki nieprzewidziane i zdarzenia nieoczekiwane mogą pomału rozprzestrzeniać substancje radioaktywne o średnim lub długotrwałym czasie działania w sposób nie poddający się kontroli. Te substancje radioaktywne obiorą nieznane nam drogi i mogą działać na szkodę ludzkości najrozmaitszymi sposobami, które zdołamy poznać dopiero po długich latach doświadczeń."

Te same tony przestrogi odnajdujemy w odezwie Fryderyka Joliot-Curie.

Zdaje się, że tych głosów wystarczy, aby ludzkość pojęła, iż grozi jej śmiertelne niebezpieczeństwo. Wystarczy to, aby wszyscy zdrowo myślący ludzie zdołali się przeciwstawić zbrodniczym próbom i jeszcze straszniejszym groźbom wojny atomowej. Protest osiemnastu uczonych zachodnio-niemieckich, którzy, przestrzegając świat przed bronią atomową, zapowiedzieli, iż nie wezmą udziału w fabrykacji śmiercionośnej broni — dowodzi, że kwestia ta przesyciła się i nabrzmiała najwyższą powagą. Widzimy też, jak na nią zapatrują się p r a w d z i w i uczeni.

Zadziwia nas w tej całej sytuacji jedno zjawisko: pomimo straszliwej groźby, jaka zawisła nad ludzkością, nikt nie mówi o winowajcach tego niebezpieczeństwa, o fałszywych uczonych, których nauka i wiedza przyczynia się do postawienia znaku zapytania nad całym życiem na ziemi. Jeden z takich uczonych, dr W. F. Libby (pracuje on w komisji energii atomowej w Waszyngtonie), odezwał się w odpowiedzi na apel Schweitzera. Zwraca się on do wielkiego lekarza proponując mu porównanie „ryzyka radioaktywizacji z niebezpieczeństwem, jego zdaniem, daleko bardziej groźnym dla ludzi miłujących wolność: niemożliwością utrzymania jedności naszych sił przeciwko siłom totalitarnym, rozszalałym w całym świecie..."

Niepoczytalne wystąpienie doktora Libby świadczy jak najwymowniej o tym, że część nauki światowej znalazła się całkowicie na manowcach. A bezlitośni uczeni mogą stać się najgroźniejszym niebezpieczeństwem świata.

„Możność przerwania dalszych doświadczeń z bombą atomową staje się światłem podobnym do pierwszych promieni słońca nadziei, do którego tęskni cała cierpiąca ludzkość." Tymi słowami kończy swój Apel Albert Schweitzer. Musimy się zgodzić na ten końcowy akord optymizmu, do którego Schweitzera przyzwyczaiła muzyka Bacha. Albowiem walka o przeciwstawienie się straszliwej zbrodni nie może być przegrana. Zbyt wielkie siły toczą ją na każdym miejscu — i będą toczyły coraz większe masy wszystkich narodów. Powołane są do niej wszystkie organizacje, wszystkie stowarzyszenia, wszyscy zdrowo myślący ludzie.

A przede wszystkim za uczonymi i profesorami, którzy mają w i e d z ę, powinni zabrać w tej sprawie głos pisarze, którzy mają w y o b r a ź n i ę i widzą jej oczami to, do czego mogą doprowadzić nas szaleńcy. Głos pisarzy wiele znaczy w tej sprawie, w tym trudnym dziejowym momencie.

*Jarosław Iwaszkiewicz*

O wydarzeniach płynącego czasu i sytuacji naszej pośród wydarzeń — o tym, co się dzieje i co się nie dzieje — mówią zarówno mężowie stanu w publicznych wypowiedziach, jak i najzwyklejsi ludzie w codziennych rozmowach przy swych najrozmaitszych warsztatach pracy. Głos polityków stał się od niedawna bardziej naturalny i ludzki, a naturalny i ludzki głos milionów stał się słyszalny. Jeden głos tylko — dość szczególny w charakterze, bo jednocześnie i osobisty, i publiczny — ciągle jeszcze nie może doczekać się swego naturalnego miejsca. Jak gdyby nagle nie mieścił się w naszej nowej strukturze życia społecznego i politycznego. Jak gdyby zawadzał. Kłopotał.

Myślę tu o tym głosie, który w każdym normalnym społeczeństwie (a pomimo wszystko starajmy się być takim, bo inaczej już zupełnie zbzikujemy) ma swoje miejsce zupełnie jasno określone zainteresowaniem lub brakiem zainteresowania w szerokich masach słuchaczy. I nie może być określane niczym innym. Wszelkie próby spekulatywnego określania tego miejsca przez polityków czy ideologów mijają się po prostu z rzeczywistością społeczną i w ogóle do niczego nie prowadzą — o czym mieliśmy okazję przekonać się chyba w dostatecznej mierze.

Po tym wstępie wiadomo już, że myślę tu o głosie pisarzy i o jego miejscu w naszym życiu społecznym. Ileż ostatnio ataków ze strony polityków zarówno zawodowych, jak i amatorskich! Sypały się zarzuty na temat „warcholstwa", braku „poczucia odpowiedzialności", nierozumienia „racji stanu" itp. Mogłoby się wydawać, że wszyscy byliby nader szczęśliwi, gdyby pisarze w ogóle nie zabierali głosu w sprawach publicznych, gdyby w ogóle wyrzekli się wypowiadania swego sądu o tym, co się wokół nich dzieje. Platon ze swego „idealnego państwa" zalecał wygnać poetów. Ale zdaje się, że budujemy ustrój nie według platońskich koncepcji.

Tak czy inaczej faktem jest, że pisarze znaleźli się dziś w naszym kraju — po roku 1956, w którym właśnie „poczucie odpowiedzialności" nakazało im gwałtowny zwrot ku publicystyce i w poezji, i w prozie — pod obstrzałem baterii nienajlżejszego kalibru. Rozważmy, o co tu chodzi, ile w tym słusznych i niesłusznych zarzutów, gdzie miejsce pisarza i jaka jego rola w dzisiejszym, nowym, demokratyzującym się układzie stosunków społecznych. Bo to miejsce — w kraju stabilizującym się po zbawiennym wstrząsie — musi być przecież przedyskutowane i w rezultacie na nowo, w nowy sposób uznane, tak samo, jak w rezultacie uznane zostało — jako samodzielne — miejsce naukowych instytutów badawczych czy też rad robotniczych.

Myślę, że podskórny sens wielu zarzutów wywodzi się z niedobrych przyzwyczajeń minionego okresu, z żywych jeszcze poglądów na rolę drukowanego słowa, obowiązujących za dyktatury biurokracji. Według tych poglądów wszystko, co ogłasza się drukiem, jest dokumentem niemal oficjalnym. A więc np. opublikowanie w czasopiśmie osobistego sądu pisarza X. o jakimkolwiek dotkliwym i moralnie go angażującym wydarzeniu w kraju czy poza krajem stać się może aktem wysoce kłopotliwym dla czynników oficjalnych, i to nie dlatego, że jest sądem krytycznym, ale przede wszystkim dlatego, że przez sam fakt publikacji zakłada jak gdyby jakąś oczywistą (dla biurokratycznych mózgów) zgodność pomiędzy tym sądem a poglądem oficjalnym na poruszoną przez pisarza sprawę. Jest to sytuacja wręcz absurdalna, nienaturalna, w sposób najgroźniejszy hamująca proces demokratyzacji życia społecznego, ten proces — wiodący nas od form skostniałych i wstecznych do żywych i postępowych — w którym swobodny i głęboko odpowiedzialny moralnie głos pisarza ma do odegrania szczególnie ważną i konstruktywną rolę.

Ale czy ją zawsze odgrywa w sposób naturalny, to znaczy zgodny z tym, czego od pisarza dziś w Polsce oczekuje nie biurokrata albo jego własny krąg koleżeński, lecz szeroka i żywa czytelnicza masa? Przez naszą publicystykę literacką przewijają się tony, które — przyznaję — niecierpliwią i rażą. I mysię, że — całkowicie rozmijając się z tym, czym głos pisarza być dziś powinien — prowokują one tworzenie się

atmosfery, w której pewne zarzuty stają się niebezpodstawne. Te tony — to wynoszone na piedestał „ważnej sprawy publicznej" i rzekomo wszystkich w tym kraju obchodzące porachunki ideologiczne z samym sobą, ze swoją osobistą polityczną przeszłością, ze swoimi pomyłkami, rozterkami, rozczarowaniem. Czy taki generalny „rachunek sumienia" ze swego osobistego życia — często gęsto zaczopiający w dodatku o sprawy nie w naszym dziejące się kraju — musi koniecznie odbywać się na drukowanych szpaltach? Po co? Czy aby służyć — nie wiem czym — czytelnikowi polskiemu? Czy też aby z zamkniętymi oczyma na codzienne trudne dzieje naszego kraju — gromadzić sobie samemu dokumentację biograficzną? Wszelkie rozmyślania nad sobą to rzecz na pewno pożyteczna — ale warto by się od czasu do czasu zastanowić, ilu czytelników tym się interesuje. Stary obyczaj rycerski udawania się w tych celach na rok do pustelni — był jednak może nienajgorszym sposobem załatwiania „przebudowy wewnętrznej" ku zbawieniu swojej własnej duszy.

Miejsce pisarza jest w samym środku spraw, którymi rzeczywiście żyją — wśród których błądzą — o których mówią — które czują w sobie — miliony ludzi po miastach i po wsiach kraju. Jeżeli pisarz nie mówi bezpośrednio do nich i nie przemawia do świata za nich — jego głos nie ma doprawdy żadnej miary i wagi. W każdym razie w tych czasach, jakie przeżywamy. Po jednoznacznych doświadczeniach powinni to zrozumieć zarówno ci, którzy z biurokratycznego nałogu chcieliby miejsce i rolę pisarza w społeczeństwie „planować" i „ustawiać", jak też i ci, którym się zdaje, że wszystkie ich wewnętrzne porachunki ideologiczne są dla czytelników w tym kraju najbardziej pasjonującą lekturą.

Zarzuty wysuwane dziś przez polityków pod adresem pisarzy, jak i pretensje niektórych pisarzy do uznania ich za polityków — polegają w znacznej mierze na wielkim nieporozumieniu, które wywodzi się z okresu autorytatywnych rządów biurokracji. Aby nieporozumienie to wyjaśnić i raz na zawsze usunąć, należy po prostu zdać sobie nareszcie sprawę ze stanu rzeczy, który w każdym normalnym społeczeństwie jest stanem całkiem oczywistym (a w socjalistycznym społeczeństwie powinien być oczywisty tym bardziej): głos pisarza jest i powinien być w naturalny sposób głosem wychodzącym z mas narodu ku Olimpowi politycznemu, a nie z politycznego Olimpu ku masom narodu. Tak też powinien być traktowany i jako taki powinien być wysłuchiwany z uwagą. I wtedy, kiedy przeciw czemuś w niespokojnym swym sumieniu protestuje, i wtedy, kiedy coś z czystym sumieniem pochwala.

*Juliusz Żuławski*

## PRZEGLĄD PRASY

W 8 n-rze „*Polityki*" Stefan Żółkiewski ogłosił artykuł pt. *Dlaczego nie nowocześni*. Artykuł ten stwierdza, że dla prawidłowego rozwoju twórczości artystycznej i odbioru kulturalnego potrzebne jest zharmonizowanie trzech czynników: zainteresowań artystów, gustów krytyki i założeń polityki kulturalnej. W naszym kraju sytuacja pod tym względem jest — według Żółkiewskiego — wręcz paradoksalna.

„Wyobraźmy sobie — pisze autor artykułu — że artystę interesuje to, co jest obojętne wszystkim innym, wartość estetyczną przypisuje się utworom akademickim, a polityka społeczna dąży do upowszechnienia wszystkiego, tylko nie tego, co interesuje artystów, i tego, co jest pozytywnie oceniane przez koneserów. A przecież to jest obraz prawie naszej sytuacji. Artystów w rodzaju Mirona Białoszewskiego interesują niezwykłe skojarzenia słowne, krytycy nasi najwyżej cenią akademickość Paran-

dowskiego i zeszłowieczny wdzięk Szaniawskiego. A nasza polityka kulturalna mimo wszystko nie jest nastawiona na popularyzację ani abstrakcyjnej poezji, ani akademickiej i eleganckiej prozy."

Zanim zajmiemy się myślą przewodnią, tj. twierdzeniem, że należy doprowadzić rzeczywiście do harmonii zainteresowań artystów, gustów krytyki i założeń polityki kulturalnej," odpowiedzmy na pytanie, czy tak naprawdę wygląda sytuacja kulturalna u nas.

Po pierwsze — co naprawdę charakteryzuje zainteresowania naszych artystów, które Żółkiewski nazywa w dalszym ciągu swego artykułu „klimatem kulturalnym"? Otóż klimat ten — stwierdza Żółkiewski — polega na kontynuacji ekstremistycznych poczynań artystycznych lat międzywojennych (np. Witkacego), na przenoszeniu analogicznych czy również ekstremistycznych prób współczesnych z Zachodu (np. Becketta), ponadto na „wzbogacaniu naszego odczuwania, naszego stosunku do życia, zasobu myśli i ocen przez przyswajanie naszej kulturze dzieł, które dają wyraz myślom i uczuciom współczesnego człowieka w nam nie znanych sytuacjach..." (np. nowele Hemingwaya o afrykańskich polowaniach); i wreszcie w chęci przezwyciężenia myślowej jednostajności naszej kultury przyswaja się różnorodne treści światopoglądowe.

Ten obraz chciałoby się w wielu punktach prostować. Żółkiewski utożsamia „zainteresowania artystów" z planem repertuarowym teatrów, zamierzeniami wydawnictw i pewnymi publikacjami tygodników literackich. Z tego, że kilka scen wystawia sztukę Becketta, że wydawnictwa zadbały o to, aby z dziesięcioletnim opóźnieniem ukazało się parę książek, które zna cały świat i których nieznajomość kompromituje już nie artystę, ale po prostu każdego inteligenta, z tego, że tygodniki literackie chętnie — po dziesięcioletniej przerwie — informują o życiu artystycznym Zachodu, zamieszczają reprodukcje i przekłady, z tego wszystkiego nie można jeszcze wnioskować o klimacie kulturalnym. To jest po prostu normalizacja życia kulturalnego i zdrowa tendencja do zlikwidowania nieuctwa i ignorancji. Nieczytanie Hemingwaya nikomu nie przynosi zaszczytu, nawet jeśli wynika z programu estetycznego. O takim czy innym klimacie kulturalnym wnioskować można dopiero wtedy, gdy w praktyce artystycznej górę wezmą wymienione tendencje. Czy tak jest? Owszem, są pewne fakty, które wskazują, że istotnie „klimat" przemawia za „nowoczesnością".

Fakty te zanotować można przede wszystkim na terenie malarstwa. Malarstwo jest w ogóle najbardziej „bierną" sztuką. Najłatwiej ze wszystkich podlega wpływom zewnętrznym. Najłatwiej poddaje się importom. Najchętniej ulega nastrojom chwili. Jest to chyba także jedyna sztuka, której styl można stworzyć przez szkołę o określonym kierunku i przez propagandę określonych dzieł sztuki. Żaden artysta chyba nie może w tym stopniu decydować o wyborze środków wyrazu, metody artystycznej, jak właśnie malarz. Dlatego też może malarstwo jest najczulszym sejsmografem „klimatu kulturalnego". I jeśli po malarstwie naszym sądzić, to rzeczywiście Żółkiewski ma rację: „klimat przemawia za nowoczesnością". Ale też na terenie malarstwa owa nowoczesność znaczy najwięcej. Jeśli o tę nowoczesność malarstwa chodzi, myślę, że mówić należy nie tyle o jego nowoczesnym stylu, ile o jego nowoczesnym zastosowaniu. Fotografika odebrała malarstwu charakter przedstawieniowy. Malarstwo przestało opowiadać o świecie. Przestało być portretem, pejzażem, ilustracją historyczną czy obyczajową. To wszystko czyni fotografia. Malarstwo zaczyna natomiast służyć do ozdabiania świata. Stało się sztuką ornamentu, sztuką organizowania przestrzeni, weszło w krew architektury i urbanistyki, objęło teatr. Ale malarstwo nie rezygnuje ze sztuki przedstawiania — ma ambicję, aby zrewolucjonizować wzrok ludzki. To właśnie wydaje mi się epigońskie: w pojmowaniu zadań malarstwa, w wysiłkach stworzenia nowego portretu, nowego pejzażu etc., jest to epigońskie w stosunku do malarstwa z epoki „przedfotograficznej", malarstwa „przedstawieniowego", natomiast w sformułowaniach teoretycznych o zmianach w patrzeniu etc. wydaje mi się to epigońskie w stosunku do przedwojennych, wczesnych, naiwnych teorii awangardowych.

Zgadzam się więc z Żółkiewskim, że na terenie plastyki mamy do czynienia z epigonizmem, ale epigonizmem jest nie samo hasło nowoczesności — epigońska, kompromisowa jest ta nowoczesność. Walczyć z epigonizmem trzeba przez

dalsze unowocześnienie postulatów, nie przez likwidację zagadnień.

Istnieją także pewne fakty w literaturze, które potwierdzają teorię Żółkiewskiego. Można je zaobserwować na terenie poezji. Znowu nie chcę tu mówić o przedstawieniach teatralnych, które nie tyle — jak chce Żółkiewski — propagują utwory typu Becketta, co po prostu zapoznają z nimi publiczność. Nie sądzę, aby Żółkiewski tych dwóch rzeczy nie rozróżniał i żeby chciał utożsamiać politykę kulturalną z prohibicją kulturalną. Myślę, że Żółkiewski rozumie przez politykę kulturalną tylko oddziaływanie krytyki, założenia krytyki. W takim ujęciu polityka kulturalna odnosi się właściwie nie do tego, co się w sztuce robi, ale do tego, co się o sztuce mówi. Wystawia się i Becketta, i Adamova, i Ionesco, i Sofronowa, i Čapka, i Brechta, i Kanię, i Agatę Christie, i Rojewskiego — trzeba wszystko znać. Natomiast mówi się: to jest złe, to jest dobre — mówi się ostro, wyraźnie, konsekwentnie, bez schlebiania gustom, z jakąś myślą przewodnią, z jakimś założeniem. To jest sprawa prosta. Bardziej natomiast skomplikowane jest zagadnienie eksperymentu artystycznego, jakim jest np. Teatr na Tarczyńskiej i związana z nim poezja Białoszewskiego. Powiada Żółkiewski: „Trzeba zharmonizować zainteresowania twórców, gusty dominujące z potrzebami kulturalnymi mas". I stwierdzenie to, jeśli coś znaczy w odniesieniu do ogólnej sytuacji kulturalnej, nie da się zastosować ani do tego wypadku (Białoszewskiego), ani w ogóle do żadnego innego konkretnego wypadku. Część krytyki przyjęła teatr i poezję Białoszewskiego z zainteresowaniem, część krytyki w ogóle to zjawisko zlekceważyła. Co tu jest gustem dominującym? Z czym tu należy zharmonizować zainteresowanie twórcy? A jak należy zainteresowanie Białoszewskiego zharmonizować z „potrzebami mas"? I czy należy harmonizować to zainteresowanie z tymi potrzebami bezpośrednio, czy też najpierw należy zharmonizować ów gust dominujący z potrzebami mas z jednej strony, a zainteresowaniem twórców z drugiej strony?

Nie chcę wcale dowcipkować — tak naprawdę wyglądają ogólnikowe postulaty, gdy je zastosować do oceny konkretnego utworu artystycznego.

Wyglądają te postulaty Żółkiewskiego tym gorzej, że ta „nowoczesność" literacka na Białoszewskim się zaczyna i na Białoszewskim kończy. Więcej nawet: cała ta „nowoczesność" i jej polityczny problem polega, zdaje się, na niezrozumialstwie tej poezji i tego teatru. Nie chcę w tej chwili analizować tego zjawiska i brać na siebie ciężaru dowodzenia, że albo z tym niezrozumialstwem nie jest tak źle, albo... nie ma tam nic do zrozumienia. Chciałbym dotrzeć do istotnej intencji artykułu Żółkiewskiego i do problemu, który dla redaktora „*Polityki*" jest w tym wszystkim kluczowy.

Wydaje mi się, że nie chodzi mu o awangardowe poszukiwania artystyczne, o eksperymentatorstwo etc. Żółkiewskiemu chodzi o to, czego jeszcze u nas nie ma, ale co nadciąga razem z tymi wszystkimi Beckettami, Hemingwayami, Sartre'ami, o to, co się kryje w absurdalnych pomysłach studenckich teatrzyków, w tych wszystkich echach surrealizmu i postekspresjonizmu, które tam i sam tulają się po naszych scenach, klubach, wystawach. To nie jest klimat nowoczesności, to jest klimat pesymizmu. To jest klimat, w którym rodzi się sztuka skierowana przeciwko działaniu społecznemu, przeciwko historii, przeciwko wierze w postęp i rozum, sztuka trwogi, irracjonalnych tęsknot, sztuka drwiny i absurdu.

I na to nie ma odpowiedzi. Wiem, że człowiek, który widział *Godota*, źle się potem czuje na zebraniu produkcyjnym. Wiem, że *Ferdydurke* działa na młodzież nieco inaczej niż *Jak hartowała się stal*. I że znajomość z owym myśliwym Hemingwaya odmienia pogląd na życie. Widzę także, że młodzi pisarze chętnie dają posłuch ciemnym urokom tej smutnej i drwiącej sztuki.

Ale... to nie jest ani sprawa „klimatu" artystycznego, ani sprawa mody, ani sprawa błędów czy braków polityki kulturalnej. Stefan Żółkiewski wie o tym chyba bardzo dobrze. Wie, że *Dziady* nie powstały tylko pod wpływem lektury *Cierpień młodego Wertera* i *Fausta*. Wie chyba o tym, że sztuka i literatura nie są rezultatem rozsądnej polityki kulturalnej, ale rezultatem polityki w trochę szerszym sensie.

Oczywiście za wcześnie o tym wszystkim mówić. Za wyjątkiem eksperymentów malarskich, pewnej ilości teatrzyków i kabaretów, których ulubioną zabawą jest parodia literacka, i za wy-

jątkiem trochę niezrozumiałej poezji Białoszewskiego, cała reszta owego „klimatu nowoczesnego" jest jeszcze zupełną mgławicą, w której autentyczne przeżycia plączą się z reminiscencjami modnych utworów. Jaka będzie sztuka? I taka, jak moda, i taka, jak rzeczywistość. W każdym razie nigdy taka, jak polityka kulturalna. I nie od niej, nie od tej ostatniej, nie od mitów o harmonii gustów, zainteresowań i potrzeb należy zacząć owo „mówienie o sztuce", ale od uważnej analizy jej faktów poszczególnych.

*Andrzej Kijowski*

## NIEZNANY FINAŁ GŁOŚNEGO SPORU

Ukazanie się *Doktora Faustusa* Tomasza Manna (1947 r.) zapoczątkowało ostry spór między wybitnym kompozytorem austriackim i teoretykiem muzyki, Arnoldem Schoenbergiem, a autorem powieści.

Schoenberg, twórca dwunastotonowej muzyki i autor teoretycznych prac z zakresu harmonii, wyemigrował w roku 1933 do Stanów Zjednoczonych, gdzie wykładał na uniwersytecie w Los Angeles. Losy wojny zagnały do Kalifornii również Tomasza Manna. Pomiędzy pisarzem i kompozytorem ułożyły się przyjazne stosunki, które trwały kilkanaście lat, aż do wydania *Doktora Faustusa*, po czym raptownie wybuchł konflikt. Schoenberg czuł się urażony dwoma faktami: po pierwsze miał pretensje, że Mann w kilku miejscach powieści wyłożył teoretyczne zasady przejęte z jego, Schoenberga, teorii muzycznej — bez powołania się na ich źródło. Po drugie czuł się dotknięty niektórymi rysami portretu bohatera powieści, Adriana Leverkuehna, imitującymi sylwetkę kompozytora.

Niebawem doszło do wymiany listów. Schoenberg zażądał odpowiedniej deklaracji od Manna, który okazał w sporze wiele ustępliwości i starał się zadośćuczynić wszelkim żądaniom muzyka. W drugim i we wszystkich dalszych wydaniach *Doktora Faustusa* autor ogłosił wyjaśnienie następującej treści:

Nie wydaje się być rzeczą zbędną zawiadomienie czytelnika, że przedstawiony w XXII rozdziale sposób komponowania, zwany techniką dwunastotonową lub szeregową, jest w istocie duchową własnością współczesnego kompozytora i teoretyka, Arnolda Schoenberga, i że sposób ten został przeze mnie w określonym ideowym związku przeniesiony na swobodnie zmyśloną postać muzyka, tragicznego bohatera mojej powieści. W ogóle muzyczno-teoretyczne części książki są w niektórych szczegółach obciążone długiem wobec nauki harmonii Schoenberga.

To wyjaśnienie, wydrukowane na ostatniej stronie książki, nie zadowoliło Schoenberga. Jego niechęć do Tomasza Manna wzrastała z dnia na dzień, przybierając niekiedy agresywny charakter. Schoenberg zmarł w roku 1951, a Tomasz Mann w pięć lat później. Dotychczas wydawało się, że nie doszło pomiędzy nimi do pojednania i dopiero niedawno dowiedzieliśmy się o zakończeniu sporu od H. H. Stuckenschmidta, autora monografii *Arnold Schoenberg*. We francuskim wydaniu tej książki, która przed kilkoma laty ukazała się w języku niemieckim, autor po raz pierwszy opublikował list Tomasza Manna, wyjaśniający całą sprawę. Oto co pisze Stuckenschmidt:

Wielu wspólnych przyjaciół obu wielkich ludzi znalazło się w kłopotliwej sytuacji; trzeba było wypowiedzieć się po jednej lub drugiej stronie, a nikt nie chciał ściągnąć na siebie gniewu kompozytora. W 1949 roku pracowałem nad małą książką o Arnoldzie Schoenbergu (potem ukazała się ona w wydawnictwie „Atlantis") i w czasie mojej amerykańskiej podróży odwiedziłem obu. O pogodzeniu ich nie było mowy. O ile Tomasz Mann okazał się bardzo tolerancyjny wobec najostrzejszych ataków Schoenberga, o tyle urażony kompozytor nie chciał nawet o nim słyszeć. Kto znał drogę życiową Schoenber-

ga, jego bezkompromisowość w duchowych sprawach, jego defensywne niedowierzanie rzeczywistym i urojonym wrogom, ten chyba zrozumiał go w tym osobliwym sporze duchowym.

Zachowałem się neutralnie i Schoenberg uszanował moją postawę. W swej książce, która wyszła z druku w 1951 roku, na krótko przed śmiercią Schoenberga (egzemplarz z dedykacją, który mu posłałem, spóźnił się w Hollywood o jeden dzień!) zarejestrowałem stan wojny i stwierdziłem, że pojednanie jest niemożliwe.

Niebawem po śmierci Schoenberga posłałem książkę Tomaszowi Mannowi i prosiłem go o informację o godnym pożałowania sporze. Jego odpowiedź potwierdziła to, na co żywiłem nadzieję; była piękna i decydująca, toteż poprosiłem o zezwolenie poprzedzenia nią mojego *Schoenberga*.

Doszło natychmiast do zgody. Tak więc list, który teraz przekazuję publiczności w jego niemieckim brzmieniu, po raz pierwszy został ogłoszony we francuskim przekładzie właśnie w mojej książce (nieco uzupełnionej w porównaniu z zuryskim wydaniem)...

Tym pięknym dokumentem zamyka się jeden z najbardziej pożałowania godnych rozdziałów nowoczesnej historii niemieckiej umysłowości. Opisując pojednanie między sobą i Schoenbergiem, Tomasz Mann raz jeszcze przedstawił w lakonicznym podsumowaniu swój stosunek do muzyki, swoje usiłowania pojęcia nowej muzyki, którą zrozumiał teoretycznie, której jednak nie mógł pokochać.

List Tomasza Manna brzmi następująco:

*Pacific Palisades, Calif.*
*19. paźdz. 1951*

Szanowny Panie Stuckenschmidt,

dziękuję bardzo za Pańskie słowa i za podarowanie Pańskiej pięknej książki, która pomoże mi wielce uczynić zadość żądaniu Kreneka, bym z początkiem przyszłego roku przemówił w czasie uroczystości na cześć zmarłego. Ale chyba nie zdobędę się na odwagę.

Do spotkania osobistego z Schoenbergiem ponownie nie doszło, przecież z dawna już ciężko niedomagał. Dość, że w końcu przynajmniej odniosła zwycięstwo moja absolutna stanowczość, by nie sekundować mu w nieprzyjaźni i pozostawić ją bez odpowiedzi, by nigdy złego słowa o nim nie powiedzieć. Ta stanowczość wynikała już przecież dostatecznie jasno z mojej odpowiedzi na jego list, skierowany do „*Saturday Review of Literature*", poza tym umocniłem moją decyzję w prywatnym dopisku, który wystosowałem do niego, kiedy nieco później opublikował w jednym z angielskich czasopism osobliwy atak przeciwko mnie — artykuł, który redakcja pisma nazwała „*a character document*". Takim był też ów artykuł — jak wszystkie jego wypowiedzi, z których każdej należy się szacunek. Na mój list odpowiedział mi jednak, że pojednałem go z sobą (*ich habe ihn versoehnt*) i że powinniśmy „zagrzebać topór wojenny". Tylko że nie chciałby tego aktu publicznie ogłaszać, gdyż mógłby rozczarować tych, co w sprawie *Faustusa* stanęli po jego stronie. Nadarzy się przecież uroczysta okazja, na przykład osiemdziesięciolecie urodzin, kiedy będzie można ogłosić zawarcie pokoju.

Ach, nie dożył już tej okazji. Przed jego zgonem doszło jednak do jeszcze jednego przymierza, a mianowicie wtedy, gdy „*Saturday Review*" chciała włączyć do antologii ogłoszony w niej list. Napisałem mu natychmiast, że nie jest to po mojej myśli, a on, który odpowiedział pismu, że musi swoją zgodę uzależnić od mojej upoważnił mnie, bym zawiadomił redakcję, iż jesteśmy zgodni w odmowie.

Raz jeszcze. Pańska książka jest bardzo ciepła i piękna, i mądra. Na nowej muzyce rozumiem się tylko teoretycznie. Wiem coś z tego, ale rozkoszować się nią i kochać jej właściwie nie potrafię. Oświadczyłem przecież otwarcie, że trzytonowy świat *Pierścienia* jest w gruncie rzeczy moją muzyczną ojczyzną.

Oddany Panu Tomasz Mann

*Roman Karst*

# „LUCY CROWN" – POWIEŚĆ OBYCZAJOWA

Patos procesu tworzenia wynika poniekąd z faktu, że towarzyszy mu nieodłącznie dramat upadku; dotyczy to zwłaszcza przemian zachodzących we współczesnych społeczeństwach, które nie tworzą już nowych form na pustkowiu.

Wiek dwudziesty zrewolucjonizował oblicze naszej ziemi, toteż wiek dwudziesty jest najbardziej dramatyczny w dotychczasowych dziejach ludzkości. Dynamiczny rozwój techniki sprawił, że zmieniły się nasze miasta i domy, zbliżyły się kraje i kontynenty. Obserwujemy niezaspokojoną, wspaniałą zaborczość myśli ludzkiej, nieustający trud poszukiwania, bijemy pokłony przed Kolumbami naszych laboratoriów. Są to sprawy bezsporne i oczywiste, dają się one stosunkowo łatwo wyrazić w języku cyfr i procentów, napawają uzasadnionym w pełni optymizmem. Kiedy się burzy stary dom, by w miejsce jego wybudować nowy, to decyzja taka nie skłania do refleksji, nie budzi niepokoju. Kiedy jednak obowiązujące dotąd formy współżycia ludzi ulegają przemianom, to przebiegają one w atmosferze dyskusji o różnym nasileniu emocjonalnym — nie zawsze z łatwością doganiamy nowe, gubiąc w pośpiechu balast przeszłości. Niekiedy racjom uczuciowym przychodzi przeciwstawić racje rozumowe, musimy zwalczać konserwatyzm natury ludzkiej. Każda niemal sprawa ludzka ma dwa oblicza — dobre i złe; we wszystkim, co nowe, zawarta jest duża doza ryzyka, wszelkiemu poszukiwaniu towarzyszy błądzenie.

W tym szybko zmieniającym się świecie została wciągnięta w wir gwałtownych przemian również najstarsza i najbardziej elementarna forma współżycia ludzi, jaką jest rodzina. Proces ten narasta niejako spontanicznie, nie oglądając się na teoretycznych apologetów. Łatwiej go uzasadnić aniżeli obronić, przeciwstawiają mu się systemy państwowe i instytucje społeczne, biją na alarm socjologowie, a statystyki mówią o stale wzrastających liczbach rozbitych rodzin i o groźnych ich konsekwencjach. Jest to jeden z najbardziej charakterystycznych symptomatów współczesnej obyczajowości, w nim ogniskuje się w sensie wtórnym niejeden z problemów młodzieży, warunkują go w poważnej mierze zasadnicze przemiany, jakie zaszły w sytuacji i aspiracjach kobiety.

Temat ten podjął w swojej powieści Irwin Shaw; w sposób wyśmienity, głęboki i wstrząsający nadał współczesną oprawę odwiecznemu konfliktowi dwojga ludzi. Sięgnął dalej, wysunął na plan pierwszy tragedię dziecka, ukazał mękę i cierpienie młodego chłopca, którego zdruzgotała prawda o matce. Metodyczna analiza oddziaływania szoku na nieodporną psychikę dziecka przedstawiona została w oparciu o doświadczenia psychoanalizy i wzbogacona intuicyjną mądrością; zrozpaczony chłopak szuka początkowo oparcia w ojcu, ale człowiek złamany nikomu nie może służyć za oparcie. Zamknął się więc jak w skorupie we własnym bólu, odgrodził się od świata murem podejrzliwości i milczenia — w trzynastym roku życia utracił wiarę w człowieka i nigdy jej już nie odzyskał. Jeden dzień wycisnął piętno na całym jego życiu, znienawidził matkę nienawiścią, jaka rodzi się z miłości, nauczył się litościwie współczuć ojcu, opuścił dom i do końca życia pozostał samotny.

A wszystko zaczęło się właściwie zupełnie niespodziewanie, jak niespodziewanie nadciąga burza w pogodny letni dzień. Lucy i Oliver Crown stanowili zgodne małżeństwo, typowo mieszczańskie małżeństwo. On był silny, zaborczy, troskliwy, ona przywykła mu we wszystkim ustępować. Gdzieś na dnie jej serca pozostał lekki osad zawiedzionych ambicji — przez niego zrezygnowała z pracy naukowej. Czasem odzywał się w niej słaby, niemy protest; nauczyła się tłumić go. Obserwowała w sobie ten proces konsekwentnego wyzbywania się własnej osobowości i miała z tego powodu trochę żalu do męża i pretensji do siebie samej; z drugiej jednak strony życie jej układało się spokojnie i wygodnie, w swoim własnym przekonaniu była szczęśliwa.

Główną troską jej życia był syn — Tony; chłopak po ciężkiej chorobie spędzał okres rekonwalescencji z rodzicami na wsi. Zajęcia zawodowe zmusiły Olivera do przerwania urlopu i powrotu do miasta; Lucy wzbraniała się pozo-

stać sama na wsi, Oliver zadecydował inaczej.

Poważniejszy charakter miały rozbieżności na temat metod wychowawczych stosowanych przez Lucy; matczyna czułość, zdaniem Olivera, wywierała ujemny wpływ na chłopca, zabijała w nim cechy męskie, tłumiła inicjatywę. Przewlekła choroba i wynikająca stąd konieczność izolowania go od towarzystwa kolegów sprawiały, że wpływ matki, z braku przeciwwagi, utwierdzał się coraz mocniej. By zrealizować swoje zamiary wychowawcze, Oliver, bez porozumienia z żoną, zaangażował młodego studenta — z myślą, że ten spełniać będzie rolę zarówno nauczyciela, jak i kolegi syna. Decyzja Olivera wywołała ostry sprzeciw Lucy i pierwszą poważną sprzeczkę. Jeff, nauczyciel Tony'ego, ma dwadzieścia lat i kochał Lucy, kiedy ona jeszcze w ogóle nie wiedziała o jego istnieniu; posada była dla niego wybiegiem, żeby móc się z nią zetknąć. Lucy jest początkowo zaskoczona jego wyznaniami, później traktuje całą sprawę jako wakacyjną przygodę. Postać Jeffa potraktowana została przez Shawa epizodycznie, jego rola ogranicza się do tego, że wyzwolił w Lucy chęć przeciwstawienia się Oliverowi; za jego sprawą zwalczyła w sobie opory wychowania i tradycji.

Nie wiadomo, jaki dalszy obrót przybrałyby sprawy, gdyby nie przypadek, który sprawił, że wszyscy zainteresowani musieli sprecyzować wobec siebie samych i wobec innych swoje stanowisko w sytuacji, w której nie było to nikomu na rękę. Lucy wybrała kompromis, bo wynikał on ze stopnia jej zaangażowania uczuciowego i był jej w danej chwili najwygodniejszy. Oliver wybrał kompromis z pełną świadomością klęski, jaką poniósł. Reakcja Tony'ego była bezkompromisowa i spontaniczna, i dlatego chyba w konsekwencjach swoich najbardziej tragiczna. Jeffa nikt o zdanie nie pytał.

Oliver niepokoił się, że Tony był dotąd nieuświadomiony w sprawach płci, i rozmyślał nad sposobem uświadomienia go, a tymczasem Tony przejrzał tajemnicę płci podglądając matkę i Jeffa. Chłopak alarmuje ojca, następuje konfrontacja; w scenie tej Lucy jest cynicznie zakłamana, Oliver jej nie wierzy i nie wybacza, a jednocześnie uzmysławia sobie, że nie potrafi bez niej żyć. Rozumie również, że po to, aby Lucy z nim została, musi uwolnić się od Tony'ego. Tony instynktem przedwcześnie dojrzałego dziecka dostrzega ponury dylemat ojca i godzi się odejść. Dnia tego Oliver traci syna i nie odzyskuje żony; raz na zawsze zachwiała się równowaga rodziny Crownów, powstały głębokie szczerby, jątrzą się stare rany, proces destrukcji postępuje. Wszystko to dzieje się za sprawą i z winy Lucy; w ów pamiętny dzień, w trzydziestym piątym roku życia zrozumiała i odnalazła siebie, zawładnęło nią pragnienie niezależności i chęć zrzucenia z siebie wszelkich więzów. Swoją wielką szansę odnajduje dopiero w okresie trwania drugiej wojny światowej; do tego czasu jej protest ma charakter wyraźnie jednostronny i połowiczny. Na zewnętrznej skorupie życia wkrótce wszystko układa się na pozór znośnie; Tony zostaje oddany do internatu. Chłopak czuje się bardzo samotny i opuszczony wśród gromady wesołych i rozbawionych kolegów. Jego tajemnica nie daje mu spokoju, pogrąża się w niej, stroni od ludzi, zasklepia się w cierpieniu. W sprawach płci staje się przedwcześnie dojrzały, jego samoobroną jest cynizm.

Tymczasem Oliver, rozdarty pomiędzy matką a synem, oszukuje sam siebie, stara się wierzyć w szczęście, którego nie ma, broni się przed natarczywymi myślami, odgania podejrzenia. Od czasu do czasu odwiedza syna, spełnia kłopotliwy dla siebie obowiązek; chłopak odsunął się teraz i od ojca, jest coraz bardziej obcy. Ciążą sobie wzajemnie, gorączkowy niepokój ojca i chłód syna nie tworzą harmonii.

Wojna jest ratunkiem bankrutów, toteż kiedy wybucha wojna, Oliver zaciąga się do wojska. W przeddzień wyjazdu na front wstępuje do syna w Nowym Jorku, by się z nim pożegnać. Pije tego wieczora stanowczo za dużo, jest gadatliwy elokwencją pijaków, z dumą opowiada o Lucy, że wróciła do pracy naukowej, że pełni odpowiedzialną funkcję w szpitalu wojskowym. Pod koniec ryzykuje jeszcze jedną próbę pogodzenia syna z matką, nakłania Tony'ego, by razem zadzwonili do Lucy; mimo spóźnionej pory nikt się nie odzywa, telefon brzęczy w pustce opuszczonego mieszkania. Oliver ryzykuje niezapowiedziany powrót do domu, czeka na nią do trzeciej nad ranem, jest świadkiem jej intymnej rozmowy z młodym oficerem lotnictwa. Dochodzi między nimi do pierwszej od lat zasadniczej rozmowy. Oliver chce znać całą

prawdę, Lucy mu jej nie skąpi, smaga go nią niemiłosiernie. Jest to ich ostatnie spotkanie. Teraz Oliver wie, czego ma szukać na polach Francji: ginie śmiercią bohatera, która jest śmiercią samobójczą.

Proces emancypacji Lucy, początkowo powierzchowny i jednostronny, nabiera teraz rozmachu; by szukać własnej drogi, musiała się wpierw wyswobodzić spod władztwa Olivera. Sfera płciowa nie jest żadnym wykładnikiem jej aspiracji, jest zaledwie najbardziej konwencjonalnym przejawem protestu. Pełną emancypację osiąga Lucy dopiero z chwilą, kiedy po ostatniej scenie z Oliverem postanawia żyć w celibacie; i ona — matka, która pozbawiła się syna — poświęca swoje siły i energię sprawie osieroconych przez wojnę dzieci. W tej misji zjawia się w Paryżu i tam przez przypadek spotyka się z Tony'm, teraz już trzydziestoletnim mężczyzną; mówią z sobą jak dwoje obcych ludzi, którzy nie zadają sobie trudu, żeby coś przed sobą wzajemnie ukryć. Po raz pierwszy też Tony rozumie matkę; żeby tak się stać mogło, musiał zapłacić drogą cenę, wyzbyć się wszelkich złudzeń i aspiracji, stać się złym mężem i niedbającym ojcem, uzmysłowić sobie, już nawet bez próby buntu, że jego życie jest zmarnowane. Tak to triumf Lucy stał się jego klęską.

Siła książki tkwi w prawdzie, jaka jest w niej zawarta, w dramatycznych dialogach i mistrzowskiej charakteryzacji. Jest to dramat dnia codziennego i spraw powszednich, smutna powieść o zwykłych szarych ludziach. Obyczajowy sens książki został wydobyty w najbardziej bezpośredni — a artystycznie najtrudniejszy sposób — poprzez wymowę samych faktów. Shaw zupełnie wyeliminował abstrakcję, nie ulega pokusie moralizowania, nie naucza, nie bije na alarm, nikogo nie obwinia, nikomu nie wystawia cenzurki, jest do tego stopnia obiektywny, że można by się sprzeczać co do tego, czy w jego stanowisku jest więcej protestu, czy więcej fatalizmu; niezawiniona klęska ojca i syna przemawiałaby za pierwszym stanowiskiem, zwycięstwo matki skłania do sądów przeciwnych. Zresztą o zasadniczych procesach nurtujących społeczeństwo nie można rozprawiać kategoriami aprobaty bądź też sprzeciwu, można je najwyżej chcieć lub też nie chcieć dojrzeć. Shaw spogląda na nie od strony kobiety i mężczyzny, żony, męża i syna; mocnym reflektorem, pod którym widać najmniejszą nawet zadrę, oświetla trzy życia ludzkie, notuje każdą przemianę, sumuje urazy, daje trzy skończone portrety. Fakty nie mają dla Shawa żadnej wagi w oderwaniu, ich siła uwarunkowana jest naszą odpornością, stopniem, w jakim pozwalamy okolicznościom zewnętrznym żłobić naszą psychikę. Ponieważ nie naucza i nie moralizuje, nie wyciąga również wniosków, pozostawia kwestię otwartą, a my, bezradni, pytamy z niepokojem: co będzie dalej?

Książka ta prawdopodobnie ukaże się wkrótce w polskim przekładzie.

*Bronisław Wiśniowski*

## „PIEKŁO I NIEBO" BIBLIOTEK

Anatol France snuł w jednej ze swych uroczych „kronik literackich" rozważania na temat... groźby zalewu ludzi przez powódź wydawnictw. Co roku — rozumował autor *Zbrodni Sylwestra Bonnard* — ukazuje się w każdym kraju wiele setek tysięcy nowych książek; prócz nich istnieją jeszcze i dawne, ponieważ książka ma na ogół trwałe życie. Nadejdzie więc chwila, w której świat po prostu zatonie w morzu drukowanego słowa, a czytelnicy stracą orientację w tym pięknym, lecz groźnym labiryncie.

France pisał te słowa z końcem XIX stulecia, w epoce wyjątkowego w Europie, długotrwałego, choć „zbrojnego" pokoju; pisał w kraju bogatym i od wieków przywykłym do literackiej produkcji. Nie przewidywał zapewne rozmiłowany w przekornym paradoksie bibliofil i erudyta, że już za lat kilkanaście wybuchnie wojna, która ograniczy produkcję wydawniczą, pogorszy

papier, na którym się książki drukuje, a zatem wydatnie skróci żywot książek. Nie przewidział także France, iż za lat kilkadziesiąt prądy totalistyczne i nowa wojna zniweczą miliony książek, bezpośrednio czy pośrednio, celowo czy w ogólnym procesie destrukcji. My, Polacy, znajdujemy się w tej sytuacji, że co innego nam grozi. Począwszy od „potopu" XVII-wiecznego (gdy tyle książek zostało zniszczonych, a sporo wywieziono do szwedzkich bibliotek), poprzez nawałnice XVIII- i XIX-wieczne, prześladowanie książki w okresie zaborów, aż po straszliwe zniszczenie lat 1939—1945, niemal całkowite wstrzymanie wydawnictw w tym okresie (z wyjątkiem „białych kruków" konspiracyjnych oraz produkcji emigracyjnej) — doszliśmy do tego, że jedyny na przykład ocalały jeszcze egzemplarz podręcznika sztuki aktorskiej Bogusławskiego doszczętnie zaginął. Nie mówiąc już o całkowitym zaginięciu jednego z utworów Szaniawskiego!

Niedawno czytałem ciekawą statystykę biblioteczną. Największe biblioteki świata w Moskwie, Nowym Jorku, Leningradzie, Paryżu, Tokio i Rzymie posiadają po 6—15 milionów książek. Są to istne „miasta książek", labirynty czy nawet „państwa". Warto sobie uprzytomnić, że największa biblioteka świata ma tyle książek, ile mieszkańców liczy cała Czechosłowacja! Niestety nasze giganty biblioteczne — Jagiellonka czy Narodowa — nie mogą się mierzyć z księgozbiorami ZSRR, USA, Japonii, Francji czy Włoch. Także i na nich ujemnie odbiły się wojny! Nawet w Bibliotece Polskiej w Paryżu można stwierdzić luki, wywołane hitlerowską okupacją.

Biblioteki bardzo dziś interesują pisarzy, artystów, a nawet filmowców. Józef Steinbeck wyznał niedawno, w rozmowie ze współpracownikiem „*Les Nouvelles Littéraires*", Leo Sauvage, że cieszy się jak dziecko na studiowanie dokumentów z XIV i XV wieku w Bibliotece Watykańskiej. Alain Resnais, jeden z najznakomitszych współczesnych filmowców francuskich, pracuje obecnie nad filmem — o paryskiej Bibliothèque Nationale. Resnais, były aktor teatralny i entuzjasta poezji surrealistycznej od 14 roku życia, jest twórcą słynnego filmu *Nuit et brouillard*, poświęconego obozowi koncentracyjnemu w Buchenwaldzie, a nie dopuszczonego na festiwal w Cannes wskutek zastrzeżeń rządu bońskiego; pisaliśmy przed rokiem w „*Twórczości*" o tym wspaniałym filmie, wzruszającym i pełnym wymownego milczenia.

Obecnie Alain Resnais, stały „klient" i czytelnik Bibliothèque Nationale, postanowił nakręcić film o Bibliotece; praca ta zajmie około 3 tygodni; przy tym nie chodzi tu o normalny film „dokumentarny", tylko o — rodzaj filmowego „eseju" czy felietonu, formy najbliższej sercu znakomitego reżysera. Film nie zajmuje się wcale „zewnętrzną" stroną Biblioteki; zaczyna się od „sceny marzeń i rozmyślań", a pokazuje wędrówkę po tajemniczych korytarzach, starych salach i zakamarkach gmachu. Tematem „anegdotycznym" jest seria czynności, podejmowanych przez personel Biblioteki od chwili wypełnienia karty zamówienia aż do otrzymania tomu. Króciutki epizod został poświęcony słynnemu działowi książek nieprzyzwoitych i pornograficznych. I tu — niespodzianka! Okazuje się, że książki te mieszczą się w dwóch maleńkich piwniczkach! A zatem, tak osławiona, produkcja francuskich „obscoeniów" nie była wcale tak wielka, jak się to czasem głosi. „Piekło książek właściwie nie istnieje" — sformułował to spostrzeżenie Alain Resnais w rozmowie ze współpracownikiem „*Les Lettres Françaises*".

Twórca filmu o paryskiej Bibliotece Narodowej starał się także odtworzyć specyficzny klimat tej Biblioteki; klimat skupionego milczenia, charakterystycznej, zasłuchanej w swoją myśl, czytelni. Atmosfera życzliwości charakteryzującej cały personel, bibliotekarski i pomocniczy, jest drugim znamiennym rysem psychologicznym, tutaj podkreślonym. Wreszcie film stara się uwydatnić szacunek dla wysiłku ludzkiej myśli, zawartej w książkach, które skupiają wielkie biblioteki.

Ciekawe analogie snuć można między tym filmem a powstałym niedawno w Holywood dziełem Daniela Taradasha *Storm Center*. Taradash zadebiutował w roku 1938 (był laureatem w konkursie na sztukę teatralną), w roku 1939 zaadaptował do filmu komedię Odetsa *Golden Boy*, w roku 1953 otrzymał nagrodę filmową, od roku 1953 jest prezesem Związku Scenarzystów Amerykańskich. Obecnie filmem *Storm Center*

*(W samym środku burzy)* zadebiutował jako reżyser-realizator.

Akcja filmu rozgrywa się w małym mieście amerykańskim. Bibliotekarce miejskiej (granej przez słynną aktorkę Bette Davis), wdowie po żołnierzu poległym we Francji w roku 1918, proponują miejscowi politycy usunięcie z biblioteki — pewnej książki uznanej za niebezpieczną i wywrotową, filokomunistyczną. Po pewnym wahaniu bohaterka filmu odmawia. Usuwają ją więc z posady, staje się przedmiotem nagonki. W rezultacie, podburzony przez swego ojca — fanatyka, jeden z chłopców podkłada ogień pod nowy gmach biblioteczny. Płoną nie tylko książki „wywrotowe", ale i — Molier, Szekspir, Corneille, Voltaire, Dreiser, Tołstoj, Dostojewski, Mannowie, Proust, Huxley, Mauriac, Duhamel... Tendencja filmu jest wyraźna: zwraca on się, w myśl idei tolerancji i liberalizmu, przeciw „maccarthyzmowi", broni koegzystencji intelektualnej, swobodnej konfrontacji opinii. Georges Sadoul określa ukazanie się tego filmu jako objaw „odwilży" w Hollywood i przezwyciężenia fanatycznych tendencji lat 1952—1955. Ostatnie słowa bibliotekarki w tym filmie brzmią: „Pozostanę tutaj, by odbudować bibliotekę, a jeśli ktoś zechce usunąć z niej choćby jedną książkę — będzie musiał przejść po moim trupie!" „Byliśmy szaleńcami!" — przyznaje, nawrócona na ideę tolerancji, młoda bibliotekarka. Czyż nie warto wspomnieć w związku z tym, że, jak wynika z artykułu H. Karłowicza w *„Po prostu"* z 28.IV.1957 r., jeszcze w grudniu 1956 r. Dyrekcja Domu Książki rozesłała pismo okólne, nakazujące niszczenie „zdezaktualizowanych" książek, wśród których znajdują się *Dzieci Ojczyzny* Marii Dąbrowskiej, *Miasto i mieszczaństwo w dawnej Polsce* prof. Ptaśnika, *Sprawozdania z czynności i posiedzeń Polskiej Akademii Umiejętności*, *Wychowanie moralno-społeczne* prof. Bogdana Suchodolskiego, nie mówiąc już o niektórych pracach Bolesława Drobnera, Władysława Bieńkowskiego, Czesława Wycecha, Władysława Gomułki, Juliana Hochfelda i Oskara Langego!

Ale, jak wiadomo, sprawie książek można szkodzić nie tylko wandalizmem, fanatyzmem, zakazami i bezmyślnymi zarządzeniami. W związku z moim felietonem na temat polityki wydawniczej, zamieszczonym w *„Twórczości"* majowej, chciałbym przytoczyć ciekawy głos francuskiego krytyka, R. M. Albérès'a, zamieszczony w tygodniku *„Arts"* z 17—23 kwietnia. Stwierdza on, że we Francji ukazuje się corocznie ponad 800 powieści („rzeka literacka" — powiedziałby Karol Irzykowski, marzący o chwili, w której mógłby przeczytać to, co się ukazuje wartościowego we wszystkich wydawnictwach na kuli ziemskiej). Z tych 800 z górą powieści, wydawanych corocznie we Francji na dobrym papierze i sprzedawanych w cenie od 480 franków wzwyż (od 32 złotych), tylko 10% otrzymuje nagrody literackie, zostaje sfilmowane lub osiąga sukces pozwalający na sprzedanie większej ilości egzemplarzy (za normę graniczną przyjmuje tu Albérès: 1500). Reszta rozchodzi się w minimalnej ilości i powoduje w każdym wypadku dla wydawnictwa stratę 120.000—240.000 franków (koszty druku, papieru i reklamy). Tymczasem w wielkiej ilości egzemplarzy rozchodzi się szmira, sprzedawana w kioskach ulicznych w formie broszury po 80 franków (niecałe 6 złotych). Albérès proponuje zatem, by wydawnictwa puszczały w obieg niemal całą wartościową produkcję powieściową po cenach niskich (około 100 franków) i w skromnej szacie broszur, co by im zapewniło poczytność, skoro cena — i tylko cena — odgrywa tutaj rolę decydującą. Do każdego egzemplarza dołączanoby kupon, uprawniający do nabycia ze zniżką następnych dzieł danego autora, wydanych już w okazalszej szacie. W ten sposób czytelnicy uczestniczyliby w „wyborze" nowych pisarzy, zgodnie z rozwijającymi się kryteriami smaku i zamiłowań; wydawnictwa oszczędziłyby wiele milionów, wyrzucanych obecnie na koszty trochę mimowolnego „mecenatu"; za te pieniądze można by pomnożyć fundusze na amortyzację, reklamę czasopisma i Kasę Literacką. Niewątpliwą korzyść odniosłoby czytelnictwo. Projekt jest jednak trudny do realizacji ze względu na nawyki, ambicje i gry interesów. Autorzy — mówi Albérès — chcą być publikowani w taki sposób, by ich dzieła mogły przetrwać w bibliotekach, stąd żądanie dobrego papieru, starannej oprawy, pięknej szaty edytorskiej itd. Dodajmy, że chodzi tu także o potrzeby czytelnicze — skoro inaczej czyta się

książki lepiej wydane. Jednakże, zdaniem autora tego projektu, wątpliwe sprawy mogłaby rozstrzygać porozumiewawcza komisja międzywydawnicza. Artykuł ten może wzbudzić zainteresowanie. Stara się on połączyć potrzebę „upowszechniania" książki ambitnej literacko z wymaganiami rynku. Oczywiście realizacja jest łatwiejsza w krajach o tak wielkiej chłonności czytelniczej, jak Francja, niż gdzie indziej. Warto jednak podnieść, że i u nas taniość nie powinna być wyłącznie zarezerwowana dla przekładów Saganki.

*Wojciech Natanson*

## RADZIECKI PRZEGLĄD LITERACKI

Sprawa ideowości literatury, stosunek do realizmu socjalistycznego — to centralne ogniska dyskusji literackich w Związku Radzieckim.

Problem wzajemnej relacji między ideowością i sztuką w twórczości literackiej porusza również krytyk literacki, B. Mejłach, w artykule *Teoria zrodzona przez życie* („*Litieraturnaja Gazieta*" z 21/IV). Analizując niektóre aspekty znanego artykułu Lenina *Organizacja partyjna i literatura partyjna* (1905 r.), aspekty partyjności literatury w ogóle, Mejłach — mówiąc o partyjnym ideale literatury jako zespolenia „nauki" z „poezją" — pisze o trudnościach osiągnięcia takiego stopu pojęć w twórczości: „Wiemy, że obok licznych, stworzonych przez pisarzy radzieckich, znakomitych utworów jest wiele książek współczesnych, cierpiących na przewagę „idei" nad „obrazem", na schematyzm, albo też po prostu będących płytkim zbeletryzowaniem prawd oderwanych. Utwory takie nie mają naturalnie nic wspólnego z zasadą partyjności literatury jako zasadą estetyczną. Chwilowy, przemijający sukces podobnych utworów świadczy jedynie o tym, że popyt na książki o tematyce współczesnej przewyższa podaż. Nie ulega jednak wątpliwości, że w literaturze naszej rodzą się nowe proporcje między ideowością a sztuką, że w wybitniejszych utworach naszych pisarzy następuje owo zespolenie głębin ideowych i wnikliwie zrozumianego sensu historycznego z artystyczną świeżością i sugestywnością, o czym pisał Engels, przewidując cechy sztuki przyszłości".

Artykuł Mejłacha jest raczej spokojnym, okolicznościowym (Dni Leninowskie) omówieniem pewnych refleksji na marginesie zagadnienia partyjności literatury. Ostry, polemiczny ton cechuje artykuł Konstantego Simonowa *O realizmie socjalistycznym* („*Nowyj Mir*" Nr 3/57). Pisarz dochodzi do wniosku, że mimo wszystkich sporów na temat rozmaitych aspektów realizmu socjalistycznego, jedno pozostaje poza dyskusją — partyjność literatury, partyjność pisarza, pojęta nie w sensie przynależności partyjnej, ale jako przywiązanie do idei socjalizmu.

„Kamieniem węgielnym budowli, noszącej miano literatury radzieckiej — pisze Simonow — jest jasno określona pozycja: po jakiej stronie barykady stoisz, po tej czy po tamtej, jakiego z dwóch istniejących w świecie systemów jesteś zwolennikiem i obrońcą? I właśnie ów duch literatury radzieckiej, duch wcielony we wszystkie najlepsze jej dzieła, oparty na doświadczeniach, określony terminem »realizm socjalistyczny« — jest czymś takim, że wyrzeczenie się go lub wycofanie się z jego kręgu (nawet w jakimś minimalnym stopniu) — jest dla nas jednoznaczne z wyrzeczeniem się, wycofaniem poza siebie samych. My jednak tego uczynić nie zamierzaliśmy i nie zamierzamy."

Simonow omawia szczegółowo dyskutowane najistotniejsze zagadnienia realizmu socjalistycznego. Pierwsza sprawa to geneza, ujęta z punktu widzenia historyczno-literackiego. Simonow uważa, że należy na nowo przemyśleć, co w pojęciu realizmu socjalistycznego należałoby zmienić, poprawić, uzupełnić — w świetle badań utworów i zjawisk literackich, przez długie lata bądź pomijanych, przemilczanych, bądź też — lakierniczo przecenianych (*Chleb* A. Tołstoja). Słowem. Simonow pragnąłby spojrzeć na realizm socjalistyczny bardziej historycznie.

„Z tego niezawodnie wynika — pisze on — że również i samo pojęcie realizmu socjalistycznego, wzniesionego na podwalinach dziejów naszej literatury, mamy obecnie możność traktować szerzej, odrzucając na bok z jednej strony — dogmatyzm i metody bezprawnych amputacji naszego dorobku, z drugiej zaś — przesadne rozdmuchiwanie i zachwalanie."

Drugim poruszonym przez autora artykułu *O realizmie socjalistycznym* i jego zdaniem bardzo zagmatwanym zagadnieniem jest sprawa dwóch pierwiastków w realizmie socjalistycznym — afirmatywnego i krytycznego. Simonow jest przeświadczony, że zarówno lakiernictwo, fasadowość, jak i jednostronne krytykowanie (bez ukazania optymistycznych perspektyw rozwojowych) — świadczą nie tyle może o słabości artystycznej utworu, ile o odchyleniu od zasad realizmu socjalistycznego. W przekonaniu, iż błędne jest twierdzenie o występowaniu w literaturze radzieckiej dwóch sprzecznych tendencji — afirmatywnej i krytycznej, negującej — Simonow za jedną z głównych jej cech uważa „...nierozerwalną jedność patosu afirmacji z ostrą krytyką — w połączeniu z wiarą w zwycięstwo komunizmu". Właśnie w tym przejawia się partyjność pisarza.

Polemizując z zagranicznymi przeciwnikami socrealizmu Simonow przytacza szereg argumentów przeciw tezie, że realizm socjalistyczny powstał w okresie I Zjazdu Pisarzy Radzieckich (1934). Jego zdaniem, nawet ogólna tylko znajomość historii tego zagadnienia wystarcza, by stwierdzić, że realizm socjalistyczny, jako zjawisko nowatorskie, zaczął kształtować się jeszcze w Rosji przedrewolucyjnej, że po zwycięstwie rewolucji socjalistycznej w Rosji krystalizował się w wielu utworach pisarzy radzieckich, wciągając w swoją orbitę literatów najrozmaitszych kierunków, nie niszcząc ich indywidualności, ale kształtując pewne wspólne wszystkim cechy i zasady.

Stwierdziwszy, że rok 1934 był tylko rokiem zjednoczenia pisarzy pod znakiem realizmu socjalistycznego, Simonow (posługując się wieloma przykładami) odpiera twierdzenie przeciwników socrealizmu, że po r. 1934 rozpoczęła się regresja literatury radzieckiej. „W ostatnich czasach — pisze Simonow — w prasie zagranicznej pojawiło się wiele wypowiedzi, usiłujących bronić nas przed nami samymi, dowodzących nam, w jaki sposób od końca lat dwudziestych niepostrzeżenie własnymi rękami zaczęliśmy marnować własną literaturę. Potem następuje, niekiedy suponowane, a niekiedy nawet głośno i dobitnie wypowiadane, hasło: »Z powrotem — do lat dwudziestych!«."

Simonow zwalcza podnoszone przez przeciwników socrealizmu argumenty wyższości literatury lat dwudziestych nad całą literaturą późniejszą, występuje także przeciwko próbom zachęcania piszarzy do nawrotu ku realizmowi krytycznemu. Zdaniem Simonowa, dla socrealisty sprawą fundamentalną jest wiara, że człowiek budujący socjalizm zdolny jest do obalenia tego, co stare — i w świecie, i w nim. Ta wiara jest probierzem, stanowi — jak pisze Simonow — „dział wód" między zwolennikami a przeciwnikami realizmu socjalistycznego. Oczywiście, gdy mowa jest nie o poglądach, ale o ich artystycznym wcielaniu, to — cytuję Simonowa — „...artyście realizmu socjalistycznego nie wystarczy deklarowanie w słowach ogólnikowych, że wierzy w zwycięstwo ustroju socjalistycznego, idei socjalistycznych. W żywych, konkretnych ludziach winien widzieć, w jaki sposób i dzięki czemu zwycięża ten ustrój, te idee. I to jego widzenie musi znaleźć wyraz w twórczości".

Dyskusja o realizmie socjalistycznym zatacza coraz szersze kręgi, wnosi wiele nowych elementów. Ciekawa, aż 7 dni trwająca dyskusja o realizmie w literaturze światowej toczyła się w połowie kwietnia na naukowej sesji w Instytucie Literatury Światowej im. Gorkiego. Do chwili oddania tych słów do druku, materiały sesji nie zostały jeszcze opublikowane. Wspomnę więc tylko o ogłoszonym w dniach otwarcia sesji artykule jej uczestnika, B. Bursowa, *Rozwój realizmu* („*Litieraturnaja Gazieta*" z 11/IV).

Źródeł realizmu, pojętego jako metoda twórcza, Bursow szuka w realizmie Odrodzenia. Następnym etapem tego rozwoju był realizm Oświecenia. Zdaniem Bursowa, realizm Odrodzenia był bardziej „poetyczny", raczej malował, barwnie odtwarzał ludzi i świat, niż rozumował, natomiast realizm Oświecenia był „bardziej analityczny i socjalny". Syntezą tych obu kierunków realizmu był realizm XIX w. Przeanalizowawszy

historyczne fazy rozwojowe realizmu w literaturze zachodnio-europejskiej i rosyjskiej ub. stulecia, Bursow omówił rozwój realizmu na przełomie XIX i XX w., kiedy to w rosyjskiej literaturze pojawiły się nowe elementy — odtwarzanie narastającego ruchu rewolucyjnego, co wymagało nowych metod twórczych.

„Realizm — pisze Bursow — wszedł w nową fazę rozwojową, stał się realizmem socjalistycznym, skoro przyswoił sobie zdolność odtwarzania świadomego ruchu mas w kierunku rewolucji socjalistycznej, a potem w kierunku socjalizmu." Zdaniem Bursowa, realizm w swej dotychczasowej postaci nie był już w stanie dać odpowiedzi na istotne, nurtujące epokę problemy. Wówczas powstał realizm socjalistyczny, jako prawidłowy, przełomowy stopień rozwoju w dziejach światowej literatury realistycznej.

Wśród innych głosów, padających w dyskusjach literackich w Związku Radzieckim, przeważają wypowiedzi w sprawach ogólnych i teoretycznych, rzadziej natomiast spotyka się analizę sytuacji w poszczególnych rodzajach twórczości literackiej. W marcowym zeszycie miesięcznika *„Oktiabr"* ukazał się artykuł W. Diemientiewa *Żywa pasja poety*, omawiający poezję ostatniego pięciolecia.

Diemientiew wyraża przekonanie, że właściwemu rozwojowi pięknie zarysowującej się w poezji radzieckiej okresu popaździernikowego „liryki twórczego budownictwa" (wg wyrażenia Walerego Briusowa) wielce zaszkodził kult jednostki, redukując tę nowatorską dziedzinę twórczości poetyckiej do wątpliwej rangi wierszy „kołchozowych", „produkcyjnych", „budowlanych" itp. Mimo obfitości tych określeń tematycznych treść wierszydeł była i pozostała dość ubożuchna, gdyż — cytuję autora *Żywej pasji poety* — „...patos twórczy naszej epoki częstokroć znajdował wyraz w jednych i tych samych wciąż, gotowych obrazach, wątkach, barwach, słowach" — z braku żywej pasji poetyckiej.

„Przewlekłą chorobą" poezji okazało się zimne, wyrozumowane traktowanie przejawów rzeczywistości, dążenie do tego, by tylko „utrafić w sedno". Zamiast rozwijać w sobie niezbędną bezpośredniość przeżyć, samodzielność i śmiałość — poeci ulegali wygodnej sztampie, oklepanym schematom. Wiersze tzw. „plakatowe" poświęcano jakiemuś sloganowi, jakiemuś faktowi. „Dla nas — pisze Diemientiew — wagę posiada nie tylko fakt (o wydarzeniach donosiły już gazety), dla nas ważne jest to, jak artysta widzi świat, jak ogarnia go myśla. Koniecznie musimy zapłonąć owym żywym uczuciem, które owładnęło poetą i nieodparcie pobudziło go do chwycenia za pióro."

Na podstawie wierszy opiewających budownictwo ostatnich czasów Diemientiew doszedł do wniosku, że — z jednej strony — poeci patrzyli na wszystko przez „szkła powiększające" i gotowi byli opiewać byle wiejski klub jako wielką budowlę, z drugiej zaś „...należy z całą szczerością przyznać, iż z powodu tego hołdowania szablonom, fasadowości, pompatyczności, płytkiej ilustratywności — wielkie czyny narodu (stworzenie Kanału Wołżańsko-Dońskiego, Kujbyszewskiej i Stalingradzkiej Elektrowni Wodnej) w istocie nie znalazły prawdziwie poetyckiego odbicia.

Jedną z przyczyn tego zjawiska autor *Żywej pasji poety* widzi w dogmatycznym pojmowaniu ideowości poezji, doktrynerskim odizolowaniu jej od spraw sztuki. Stwierdziwszy, że poezja ideowa powołana jest do tego, by własnymi, specyficznymi środkami otwarcie zwalczać „...rozkładowe oddziaływanie przeróżnych modernistycznych teorii czystej sztuki", Diemientiew wysnuwa z tego jednak wniosek, że „walka ta rozgrywa się nie tylko w sferze czystych idei", ale nie mniej ostro występuje w sztuce. Jeżeli idei nie ukazuje się w żywych, prawdziwych postaciach, w pięknych obrazach poetyckich, w głęboko pojętej syntezie poetyckiej, to — cytuję — „...ideowość poezji pozostanie nagą, oschłą tezą, straci swoją moc bojową, przestanie spełniać cele zarówno wychowawcze, jak i estetyczne. Nie może stać się wysoce ideowym utworem wiersz pozbawiony uczucia, barwy, oblicza". Do przezwyciężenia monotonii i nudy w poezji walnie przyczynia się nowatorstwo, świeżość myśli i formy poetyckiej, jej sugestywność. Pod tym katem widzenia Diemientiew ocenia pozytywnie twórczość przez wiele lat nie drukowanego współczesnego poety, N. Zabołockiego.

*Józef Spinc*

## FANTASTYCZNE — ALE PRAWDZIWE

Stefan Żeromski miał pod koniec życia przykry a niezwykły wypadek. Popchnięty przez kogoś w tramwaju, wybił niechcący szybę. Konduktor, sporządzając protokół, zapytał twórcę *Przepióreczki* i *Przedwiośnia* o zawód. „Jestem pisarzem" — odpowiedział skromnie, choć zapewne nie bez zdziwienia Żeromski, „No, dobrze — usłyszał w odpowiedzi. — Ale z czego pan właściwie żyje?"

Przypomniała mi się ta historyjka, gdym czytał świetnie napisany artykuł pt. *Pisarz chce być pełnoprawnym obywatelem;* artykuł ten, pióra Edwarda Kozikowskiego, ukazał się w *„Nowej Kulturze"* z dnia 5 maja br. Posłuchajmy:

„W lutym 1956 roku polecono Związkowi Literatów ułożyć listę złożoną z 12 nazwisk najbardziej zasłużonych pisarzy, gdyż istnieje możliwość przyznania im stałej renty emerytalnej. Wiadomość ta napełniła radością nas wszystkich. Nareszcie uczyniono pierwszy wyłom w tym murze wieloletniej i nieprzejednanej obojętności w stosunku do starszych pisarzy. Brałem udział w dość dociekliwych debatach, kogo umieścić na tej liście. I wreszcie w dniu 8 marca ub. r. powędrowało do Ministertswa Kultury i Sztuki pismo Związku z 12 nazwiskami kolegów, których uznaliśmy za najbardziej godnych tej pomocy. (...) Mijały tygodnie i miesiące... W międzyczasie, nie doczekawszy się owego zapowiadanego zaopatrzenia, przeniósł się do wieczności znakomity krytyk i historyk literatury, Władysław Jabłonowski, w wieku 90 lat (...) Wreszcie, w dniu 8 marca 1957, czyli — jak obszył — w rok po przedstawieniu wspomnianej listy, wystosowano nieśmiałe zapytanie, jak została załatwiona sprawa rent dla pisarzy. Ministerstwo Kultury i Sztuki, zamiast odpowiedzi, nadesłało do Związku Literatów odpis pisma Ministerstwa Pracy i Opieki Społecznej z dnia 31.I.br., skierowanego do Ministra Kultury i Sztuki." Okazało się, że poczynając od 1.XI.1956 r. przyznano wyjątkowe zaopatrzenie w wysokości 1500 zł. jednemu pisarzowi, w wysokości 900 zł. — dwojgu, w wysokości 800 zł. — jednemu (Jakubowi Kani, weteranowi polskiego piśmiennictwa na Opolszczyźnie!). Dalsze szczegóły owej sprawy mają już charakter — wręcz fantastyczny. Na przykład: „Z powodu zmiany przez ob. Morstina Hieronima miejsca zamieszkania (obecnie Zakopane, ul....) przeprowadzenie postępowania wyjaśniającego uległo zwłoce. Ministerstwo ponagla równocześnie Prezydium Rady Narodowej w Krakowie o nadesłanie żądanych danych". Przy nazwisku Artura Górskiego, który liczy w tej chwili 87 lat, figuruje tu dla odmiany takie sformułowanie: „Po przeprowadzeniu postępowania wyjaśniającego wystąpiłem w dniu 28 grudnia 1956, Nr..., do Ministra Finansów o zajęcie stanowiska co do wyjednania dla ob. Górskiego Artura wyjątkowego zaopatrzenia w kwocie zł. 1500 miesięcznie..."

Dalsza sprawa to — Jerzy Szaniawski. Minister Pracy i Opieki Społecznej pisze do Ministra Kultury i Sztuki: „W piśmie do Ob. Ministra z dn. 3.I.1957... wyraziłem moje wątpliwości co do potrzeby wyjednania dla ob. Szaniawskiego Jerzego wyjątkowego zaopatrzenia z uwagi na jego dobre warunki materialne..."

Jak pisze Kozikowski, w latach minionych Szaniawski „...wędrował porą jesienną na pobliski targ z wyhodowanymi przez siebie jabłkami i sprzedawał je, byle nie zemrzeć z głodu i przetrzymać te haniebne czasy pogardy człowieka...“ Minister Pracy i Opieki Społecznej ma „wątpliwości co do potrzeby wyjednania zaopatrzenia“ dla liczącego 70 lat pisarza, który ma osobną i pięknie zapisaną kartę w dziejach piśmiennictwa polskiego.

„Gdybym był złośliwy — dodaje Kozikowski — zaproponowałbym zorganizowanie dla wszystkich wyższych urzędników państwowych wykładów popularnych z zakresu historii literatury i teatru polskiego, dotyczącej zwłaszcza okresu Młodej Polski i 20-lecia międzywojennego.“

Istotnie. Ignorancja walczy tu o lepsze z objawami choroby, którą przed 10 laty na łamach tygodnika *„Nowiny Literackie“* nazwałem obojętnością kulturalną. Nie szkoda pieniędzy na wielkie gmachy reprezentacyjne (np. przy ulicy Świętokrzyskiej w Warszawie — pół miliona metrów sześciennych powierzchni) ani na „kryminały“, ani na bokserów, ani na reklamę Totka, ani na niepotrzebne formalności biurokratyczne. Brak ich tylko na sztukę, kulturę, wartościowe książki.

*W. N.*

## MUSA DŻALIL

Po przeszło 20-letniej przerwie w Związku Radzieckim przywrócono Nagrody Leninowskie. Tegoroczne Nagrody, gdy chodzi o literaturę, wypadły bardzo skromnie (w porównaniu ze „szczodrobliwością“ rozdawców zniesionych przed czterema laty Nagród Stalinowskich), otrzymało je bowiem zaledwie dwóch pisarzy — wybitny rosyjski prozaik, Leonid Leonow (za ostatnią swą powieść *Rosyjski las*), i tatarski poeta, Musa Dżalil (za cykle wierszy *Zeszyty z Moabitu*). Leonowa, autora *Borsuków, Złodzieja, Rzeki Soć, Skutariewskiego* — dobrze zna polski czytelnik. Również i przekład *Rosyjskiego lasu* przed rokiem dotarł do rąk polskich miłośników pięknej, rozlewnej prozy Leonowa; powieść ta była już omawiana w prasie polskiej. Nie zatrzymuję się więc nad nią i przechodzę do prezentacji drugiego laureata.

Należy przypuszczać, że w stosunku do niego decyzją Komitetu Nagród Leninowskich kierowała nie wyłącznie chęć uznania i wyróżnienia jego talentu poetyckiego, ale i pragnienie pośmiertnego uczczenia jego zasług i zalet osobistych, jego bohaterstwa i patriotyzmu (Nb. Dżalilowi w r.ub. przyznano tytuł bohatera Związku Radzieckiego). Kim był Musa Dżalil?

Poeta urodził się w r. 1906 w chacie biednego chłopa, w głuchej nadwołżańskiej wsi tatarskiej. Pierwszy swój wiersz wydrukował w r. 1919 w gazecie frontowej — jako 13-letni uczestnik wojny domowej. W latach 20-tych i 30-tych wydał kilka tomików wierszy *(Idziemy!, Towarzyszu!*, ciekawsze poematy — *Dżigan, Listonosz*), pisał libretta operowe. Szybko zdobył w Tatarii uznanie i rozgłos jako uzdolniony poeta i publicysta oraz działacz społeczno-polityczny. Lirykę Dżalila cechowała bezpośredniość przeżyć osobistych i obywatelskich, znamionowała niezwykła żarliwość publicystyczna.

W dniach ostatniej wojny Dżalil walczył na froncie, a gdy, ciężko ranny, dostał się do niewoli, nawet w obozach jenieckich pisał, działał. W wędrówce po obozach Dżalil znalazł się na terenie Polski (m. in. w Dęblinie), wiele miesięcy przebywał w obozie radomskim. Z ramienia podziemnego ruchu oporu, czynnego w łonie stworzonego przez hitlerowców w Berlinie komitetu, werbującego jeńców narodowości nierosyjskiej do szeregów prohitlerowskiego legionu — Dżalil pod płaszczykiem pracy kulturalno-oświatowej organizował w obozach jenieckich ruch oporu.

W Radomiu był jednym z założycieli organizacji podziemnej, kilkakrotnie organizował masowe ucieczki z obozu, bunty odprawianych na front „legionistów“. Wyszło na jaw, że Dżalil skutecznie szukał kontaktów z polskim ruchem podziemnym w Radomiu, z partyzantami Radomszczyzny. W lipcu 1943 r. hitlerowcy wpadli na trop podziemnej organizacji obozowej; wraz z grupą przywódców konspiracji Dżalil został przewieziony do więzienia berlińskiego Moabit, w r. 1944 przeniesiono go do więzienia Toegel. Z wyroku sądu został stracony w połowie 1944 r.

Jak już wspomniałem, poeta przez cały czas pisywał wiersze — w małych notesikach, zszytych z papieru pakunkowego. Po tatarsku, alfabetem arabskim — wyśpiewał w tych pełnych li-

ryzmu i żaru serca strofach własne przeżycia frontowe, obozowe i więzienne, swoje marzenia i refleksje, tęsknotę za ukochanym krajem ojczystym, za żoną i dzieckiem, swą niezłomną wiarę w ludzi i w zwycięstwo, w świetlaną przyszłość narodów po jego osiągnięciu. Przecierpiał wiele. Jak pisze w jednym z wierszy — w „kamiennym worku" Moabitu przeżył „40 śmierci". Nie ugiął się jednak, do ostatniego tchnienia walczył o godność człowieka.

W Moabicie zaprzyjaźnił się ze współwięźniem, belgijskim partyzantem André Timmermansem; jemu zadedykował też kilka wierszy, m. in. piękne *Życzenia noworoczne* — na rok 1944. Belgowi powierzył swój największy skarb — notatki zawierające 115 wierszy „spod szubienicy". Po wojnie Timmermans przesłał je z Belgii do Moskwy. Jako tzw. *Zeszyty z Moabitu* ujrzały one światło zaledwie przed czterema laty, a już zyskały niezwykłą poczytność i popularność w Związku Radzieckim i poza jego granicami. Tłumaczy je Aragon, wyszły już w przekładzie niemieckim. U nas te płomienne wiersze, nie osiągające niekiedy co prawda szczytów artyzmu, ale zawsze wzruszające, najczęściej wstrząsające — są prawie zupełnie nieznane.

Jeszcze jedno. Biografię bohaterskiego poety-żołnierza odtwarzają badacze z przeżyć i zdarzeń, odbitych w jego wierszach, z opowiadań towarzyszy obozowych, z relacji odszukanego przez Simonowa w zeszłym roku w Belgii Timmermansa. Wielu ludzi w różnych krajach nadal uzupełnia brakujące szczegóły życia i czynów Dżalila, W Niemczech trwają też poszukiwania dalszych wierszy, które przypuszczalnie pisał w więzieniu Toegel.

J. S.

## PRZEŚLADOWANIE LITERATURY KATALOŃSKIEJ

Wszystkie ustroje totalistyczne i despotyczne stosują wobec swych obywateli wypróbowaną zasadę *„divide et impera!"* Chodzi o to, by jedną grupę ludności podburzać przeciw drugiej i w atmosferze narodowościowych czy wyznaniowych konfliktów odwracać niezadowolenie — od własnej polityki ucisku, indolencji i zbrodni.

Rządzący Hiszpanią od lat blisko dwudziestu dyktator, gen. Franco, również konsekwentnie stosuje tę zasadę. Przedmiotem prześladowań są tu etniczne mniejszości, a przede wszystkim Baskowie i Katalończycy. Niezmiernie ciekawe dane cyfrowe, ilustrujące politykę kulturalną stosowaną wobec Katalończyków, przytoczył profesor Instytutu Hispanologicznego w Cambridge, I. M. Batista y Roca, w odczycie zorganizowanym przez marsylijski Instytut Studiów Okcytańskich.

W roku 1935 wydano w Hiszpanii, według prof. Batista y Roca, 800 książek pisanych w języku katalońskim; stanowiło to 20% całej hiszpańskiej produkcji wydawniczej (przy czym nakłady były wyższe niż w Kastylii). Z chwilą dojścia falangistów do władzy ogłoszono absolutny zakaz publikowania książek w języku katalońskim; zakaz ten obowiązywał do roku 1947. Dopiero wtedy, pod naciskiem opinii publicznej i wskutek licznych artykułów publikowanych w prasie angielskiej, włoskiej i francuskiej (m. in. w katolickiej *„Aube"*), gen Franco poczynił pewne ustępstwa; zezwolono na wydawanie 40—50 dzieł katalońskich rocznie, którą to liczbę zwiększono w roku 1952 do 80 — 90. Stanowi to 2 — 3% hiszpańskiej produkcji wydawniczej. Ograniczenie i zakazy obejmują nawet książki treści religijnej. Na przykład wydawanie monumentalnej Biblii katalońskiej, rozpoczęte przez benedyktynów z Monserrat w roku 1926, zostało całkowicie przerwane wskutek formalngo zakazu rządu madryckigo; dzieło to zostało na nowo podjęte dopiero w roku 1950. Piękne wydawnictwo Bernata Metge, ogłaszające klasyków greckich i łacińskich w tekście oryginalnym i przekładzie katalońskim publikowało od roku 1923 — pięć do sześciu tomów rocznie (czasem nawet osiem). Podjęte dopiero w tym roku, wydawnictwo to ma prawo publikować tylko 3 — 4 tomów. Przed objęciem władzy przez falangistów wychodziło w języku katalońskim 9 dzienników w Barcelonie i 14 pism codziennych na prowincji; ukazywało się ponadto 400 innych periodyków — naukowych, literackich, zawodowych, sportowych itd. Ponadto tysiąc parafii katalońskich publikowało w ojczystym języku swe niedzielne biuletyny. Dziś nie ukazuje się ani jedno periodyczne pismo po katalońsku na terytorium pań-

stwa hiszpańskiego; sytuację ratuje miesięcznik katalońsko-okcytański *„Vida Nova"*, ukazujący się we francuskim mieście Montpellier, oraz kilka czasopism katalońskich w Ameryce Południowej! Prześladowanie dotyczy także i szkolnictwa. Teatr istniejący obecnie w Barcelonie gra w języku kastylijskim; w tym języku odbywały się też przedstawienia tego teatru na trzecim międzynarodowym festiwalu teatralnym w Paryżu (w roku 1956).

Wydaje się zatem, że stan kultury katalońskiej jest dziś analogiczny do sytuacji, w jakiej znajdowali się np. Litwini czy Ukraińcy po pierwszej rewolucji rosyjskiej 1905 r. czy Serbołużyczanie za czasów Hitlera. Toczy się ostra walka. Carat ogłosił zakaz wydawania książek litewskich alfabetem łacińskim — zmuszał bowiem do cyrylicy, co stanowiło w ówczesnych warunkach dotkliwe ograniczenie możliwości czytelniczych (chłopi litewscy nie znali cyrylicy). Hitler pozamykał drukarnie łużyckie oraz periodyki wydawane po łużycku.

Nie trudno się domyślić, że tę walkę Katalończycy wygrają. Jej przebieg musi budzić zainteresowanie każdego człowieka, który obserwuje skomplikowane procesy rozwoju kultury współczesnej.

*W. N.*

## PRASA NA CENZUROWANYM

„Aby spełniać swoje obowiązki z całą odpowiedzialnością — pisał londyński *„Times"* w 1852 roku — prasa nie może wchodzić w bliskie czy zależne związki z aktualnymi mężami stanu. Obowiązkiem dziennikarza, tak samo jak obowiązkiem historyka — jest przede wszystkim szukanie prawdy, przedstawianie czytelnikom nie tego, co kierownictwo chciałoby im podać do wiadomości, ale rzeczy możliwie najbliższych prawdy." Były to piękne zasady. Dziś, kiedy prasa anglosaska po obu stronach Atlantyku uzyskała zawrotne cyfry nakładów, panuje ogólne przekonanie, że bardziej zabiega ona o polityczne alianse, niż troszczy się o tropienie nieosiągalnej prawdy.

Ostatnio ukazały się dwie książki poświęcone zagadnieniom prasy: nowa historia prasy brytyjskiej, napisana przez starego weterana Fleet Street, Francisa Williamsa, pt. *Dangerous Estate* (Niebezpieczna dziedzina) oraz *What I Said About the Press* (Co powiedziałem o prasie) — mający charakter pamfletu zbiór wygłaszanych w poprzednich latach ataków Randolpha Churchilla (jedynego syna Winstona) na brytyjskich magnatów prasowych.

Williams uważa, że społeczeństwo w każdym stadium ewolucji ma taką prasę, na jaką zasługuje. „Prasa jest zwierciadłem swojego czasu, ponieważ stopień autorytetu i niezależności, jaki jej się przyznaje lub jaki sama potrafi sobie zdobyć, oraz istota jej wpływu na opinię społeczną rzucają światło na prawdziwy układ sił w społeczeństwie." W ciągu ostatnich 35 lat wysokie koszty produkcji i system trustów uśmierciły ponad 475 pism w Wielkiej Brytanii i Stanach Zjednoczonych. Mimo to Williams twierdzi, że „nie jednostronność monopolów prasowych stanowi obecnie największą groźbę dla lokalnych demokracji, ale ich podejrzana neutralność w sprawach, w których starcie opinii jest pożądane". Sumienie dziennikarskie jest stale rozdarte między obowiązkiem informowania a dyktowaną względami konkurencji koniecznością dostarczenia czytelnikowi rozrywki, gdyż na ogół czytelnik rzeczy poważnych nie lubi.

Sprawą degradacji prasy w szczególnie ostrej formie zajmuje się Randolph Churchill. Jest to jego konik od lat. Stwierdza, że nawet szanująca się prasa, nie mówiąc o brukowej, nurza się w „głębokim i plugawym nurcie pornografii i zbrodni". Williams nie podziela tej zaciekłości i uważa, że dawka tych rzeczy jest na ogół znormalizowana i nie jest większa niż w książkach, filmach czy widowiskach telewizyjnych. Przedmiotem jego rozważań jest zagadnienie, czym powinna być wolna prasa połowy dwudziestego wieku. Jego zdaniem ma być „nie sędzią, ale polem minowym, po którym władza, wielka czy mała i na każdym szczeblu politycznym i administracyjnym, musi stąpać ostrożnie, zdając sobie sprawę, że każdy fałszywy krok może wysadzić ją w powietrze. Dziennikarstwo jest niebezpieczną dziedziną. Istnieje w społeczeństwie jako siła, która przypomina rządzącym, że systemy zostały stworzone dla ludzi".

O ile zmieniają się poglądy na rolę prasy — „sprawa osobistego zaangażowania dziennikarza pozostaje zawsze ta sama. Jest identyczna dla wszystkich. Oznacza — uczciwie informować, nie-

ustraszenie komentować i strzec swojej niezależności... Odpowiedzialność za to spoczywa na każdym dziennikarzu z osobna. Jest on spadkobiercą wielkiej tradycji. Nie wolno mu abdykować".

Argumentujący z innych pozycji Randolph Churchill odpowiedzialnością obciąża właścicieli koncernów prasowych. „Rozporządzają oni nie tylko potęgą prasy, ale potęgą zgniatania" (kalambur słowny: press — SUB-press). Kalambur udał się znakomicie. Główny dystrybutor, wymieniony w książce po imieniu, odmówił jej rozprowadzenia pod pretekstem, że zawiera oszczerstwa. Notabene Randolph (pseudonim literacki Pharos) niedawno wygrał sprawę oraz 5 tys. funtów odszkodowania w procesie przeciw pismu „*People*", które nazwało go, płatnym pismakiem".

Kampania Churchilla-juniora przeciw prasie została przyjęta jako niesmaczny wyskok, wyłom w tradycji Fleet Street, która przestrzega zasad zawodowej kurtuazji. Większość pism nie chciała jego książki recenzować. Nawet najoględniej potraktowany „*Times*" zachował lodowatą rezerwę i z dużym opóźnieniem zamieścił w swoim literackim dodatku oschłą, ale pełną ukrytych szpileczek wzmiankę. Odczuto to raczej jako zamach na wolność.

„Jest rzeczą zdumiewającą — pisze R. Churchill — że bogaci ludzie, którzy są właścicielami dzienników, uważają się za powołanych do krytykowania każdej instytucji, ale sami stanowią instytucję immunizowaną od wszelkiej krytyki... Kruk krukowi oka nie wykole. Dlatego pewna część prasy jest taka zła."

*at*

## NIEZNANY LIST NIETZSCHEGO

W Carl Hauser Verlag, München, ukazała się pod redakcją prof. Karla Schlachta ostatnia część trzytomowego wydania Fryderyka Nietzschego — *Nietzsches Werke* (str. 1282, 1274, 1776). Punktem wyjścia badań prof. Schlachty był przede wszystkim tom *Wille zur Macht* (Wola mocy), który w roku 1901 zawierał 483 aforyzmy, w roku 1906 — 1067, czyli o 600 więcej. Wydawcami byli: E. Förster-Nietzsche i Peter Gast. Wszyscy inni, którzy powołani byli do współpracy przy krytycznym wydaniu, musieli przezwyciężać zdecydowany opór „posiadaczy" puścizny Nietzschego.

Prof. Schlachta występuje przeciwko kompilacji z 1906 r. Chodzi mu o „odmitologizowanie" tego tomu dzieł Nietzschego, który ujmowano jako podstawowy i najważniejszy; chodzi mu o ukazanie właściwego oblicza pisarza wbrew ciągnącemu się latami naciskowi ze strony rodziny, która jedno tylko miała na względzie: „aby książki ukazywały się jak najszybciej".

W tomie *Wille zur Macht* widzi często prof. Schlachta rękę nie Nietzschego, szereg sformułowań jest obcych jego stylowi, w wielu miejscach widać wyraźne luki, w innych zmiany — sprzeczne z tym, co mogło być dziełem autora. Chodzi więc Schlachtowi o obraz pisarza zgodny z prawdą, niezakłamany, o obraz, który nic nie ma wspólnego z tym, co mu imputowano. Portret zaś spreparowany przez siostrę Nietzschego wygląda w sposób następujący: Nietzsche wpatrzony w płonące od gwiazd niebo mówi: „Jak to dobrze, że Wotan tchnął wodzowi w piersi twarde serce". Dokładne zbadanie całej puścizny Nietzschego, zupełnie nieznanych listów, pozwoli odczytać w sposób właściwy całą jego twórczość — twierdzi prof. Schlachta.

Dowodem słuszności tych słów jest list Nietzschego do Strindberga — oto jego fragmenty:

„Kiedy wczoraj doszedł mnie Pański list — pierwszy w moim życiu, który mnie doszedł — ukończyłem właśnie ostatnie sprawdzenie mojego rękopisu *Ecce homo*. Wobec tego, że w moim życiu nie istnieją już przypadki, więc i Pan nie jest przypadkiem. Czemu pisze Pan listy, które nadchodzą w takiej właśnie chwili!

*Ecce homo* powinien ukazać się jednocześnie w języku niemieckim, francuskim i angielskim. Jeszcze wczoraj odesłałem rękopis do mojego drukarza; kiedy arkusz będzie gotowy, musi trafić do rąk tłumacza. Jacyż są ci tłumacze? Prawdę mówiąc, nie wiedziałem, że Pańską zasługą jest wspaniały język francuski Pańskiego *Ojca;* sądziłem, że to świetny przekład i gdyby Pan sam zechciał się podjąć francuskiego tłumaczenia, nie starczyłoby mi słów na wyrażenie uczucia szczęścia, jakim jest dla mnie ten cudowny przypadek, pełen treści. Albowiem, między nami mówiąc,

do tłumaczenia mojego *Ecce homo* potrzebny jest pierwszorzędny poeta: w środkach wyrazu, *raffinement* uczuć prześciga o tysiąc mil zwykłych „tłumaczy". Poza tym, książka nie jest gruba; przypuszczam, że w wydaniu francuskim (możliwe, że u Lemerre'a, wydawcy Paul Bourgeta) będzie to tom za trzy i pół franka. Wobec tego, że głosi rzeczy zupełnie niesłychane, a niekiedy z niewinną miną mówi językiem wielkorządcy świata, przekraczamy pod względem ilości nakładów nawet *Nanę*.

Z drugiej strony jest antyniemiecka aż do unicestwienia. Książka opowiada się konsekwentnie za kulturą francuską w rozwoju historycznym (filozofów niemieckich ujmuję wszystkich razem jako „nieświadomych fałszerzy").

Aby obwarować się przeciwko brutalności niemieckiej (konfiskacie), prześlę przed opublikowaniem pierwsze egzemplarze księciu Bismarckowi i młodemu cesarzowi, wraz z wypowiedzeniem wojny na piśmie: wojskowi nie mogą na to odpowiedzieć zastosowaniem metod policyjnych. — Jestem p s y c h o l o g i e m".

A więc: czciciel Wotana i książka antyniemiecka, *Wola mocy* i ironia na temat języka „wielkorządców" świata, niemieckość z ducha i opowiadanie się konsekwentnie za kulturą francuską, walka z brutalnością niemiecką wszelkimi możliwymi sposobami. Dokładne badania naukowe odsłonią właściwe oblicze Nietzschego.

*B. R.*

## NOWE PUSZKINIANA

W marcowym numerze miesięcznika *„Nowyj Mir"* ukazał się interesujący przyczynek puszkinologa G. Sztorma, który przewertował cały materiał archiwalny, dotyczący Katarzyny Uszakowej — przyjaciółki Puszkina, kobiety niezwykle pięknej, rozumnej, wielkiej miłośniczki poezji. W domu wyższego urzędnika carskiego, Mikołaja Uszakowa, miłośnika muzyki i literatury, gdzie zbierała się moskiewska młodzież artystyczna, Puszkin zaczął bywać w r. 1826 — po powrocie ze wsi Michajłowskoje, z zesłania.

Wiadomo, że poeta zakochał się w młodszej córce Uszakowów, Katarzynie (podobno ten sam los spotkał jego przyjaciela, poetę Wiaziemskiego), że do domu Uszakowów przychodził po kilka razy dziennie, a gdy przebywał poza Moskwą, wpadał do nich podczas każdej bytności w mieście. Puszkin czuł się tu jak w domu, przyjaźnił się z pannami (Katarzyną i jej starszą siostrą Elżbietą), często długie rozmowy prowadził ze staruszką, Zofią Uszakową, notował sobie śpiewane przez nią ludowe piosenki. Według relacji współczesnych dom Uszakowów przesiąknął Puszkinowską atmosferą. Do sztambuchów sióstr poeta wpisywał wiersze, ich karty pokrywał rysunkami i karykaturami. Ówczesnym zwyczajem panienki przepisywały te wiersze, wiele z nich Katarzyna znała na pamięć, bal parafrazowała je.

Wiele szczegółów z dziejów miłości Puszkina i Uszakowej Sztorm zaczerpnął głównie z nie opublikowanych, pełnych intymnych zwierzeń listów sióstr Uszakow do ich brata, Iwana. Np. z jednego listu Katarzyny dowiadujemy się, iż między nią a Puszkinem doszło do krótkotrwałej, ale poważnej sprzeczki. Być może wyjazd Puszkina z Moskwy do Petersburga w maju 1827 r. nastąpił właśnie w związku z tym miłosnym nieporozumieniem. Trzyletnia ich przyjaźń przechodziła różne koleje. 3 marca 1830 r. M. Pogodin pisał o Puszkinie do swych przyjaciół w Rzymie: „Mówią, iż żeni się ze starszą Uszakową". Ale — nieco wcześniej Puszkin zapytywał Wiaziemskiego listownie z Petersburga: „Czy to prawda, iż moja Gonczarowa wychodzi za archiwalnego dygnitarza, Mieszczerskiego? A moja Uszakowa, cóż porabia?".

Już w kwietniu 1830 r. Katarzyna miała widocznie jakieś ważkie powody do zazdrości o Puszkina. W liście do brata z subtelną ironią pisze o nowej, przybierającej na sile namiętności poety — o Natalii Gonczarowej, którą, jak wszyscy najbliżsi Puszkina, nazywa „Cars". Zresztą w okresie starań o względy Gonczarowej sam Puszkin w kręgu przyjaciół przyrównywał piękną, darzącą go... odkoszami Natalię do Cars, nieprzystępnej twierdzy tureckiej, zdobytej przez wojska rosyjskie w r. 1828 po długim jej obleganiu. W liście do brata Katarzyna powtarza opinię innych, że „Cars" jest głupiutka, i dodaje: „...Być może jest zarozumiała albo też odgrywa rolę niewiniątka".

Jest w tych słowach nie tylko za-

zdrość, ale i głęboka obawa o losy ukochanego. Dała jej wyraz w pełnym goryczy następnym liście: „...Powiem ci o naszym samowładnym poecie, iż jest on bez pamięci zakochany (zapewne z przyzwyczajenia udaje!) w młodszej Gonczarowej; mówią tu, iż nawet się ożeni, inni zaś — iż już się ożenił, ale dzisiaj był u nas na obiedzie i wydaje się, że onego szlachetnego zamiaru nie ma, *mais ón ne peut répondre de rien...*“ (ale za nic nie można ręczyć...). Już jeden z następnych listów jest krzykiem rozpaczy, pełno w nim gorzkich rozmyślań na temat grożącego jej staropanieństwa; pisała go Katarzyna w kilka tygodni po zaręczynach Puszkina z Gonczarową.

Dopiero z końcem lat 30-tych, już po śmierci Puszkina, wyszła Katarzyna za mąż za wdowca. Szczęścia z nim nie zaznała, pozostała wierna pamięci Puszkina. Przepisywała poświęcone sobie w młodości wiersze, podobno przed śmiercią spaliła wszystkie jego listy, zaś dwa jej sztambuchy zniszczył zazdrosny mąż. Ale w zachowanym do naszych czasów sztambuchu jej siostry, Elżbiety, znajduje się niezłośliwa karykatura „rywala“ poety — Wiaziemskiego, którą Sztorm kojarzy ze znanym żartobliwym wierszem Puszkina *Do Katarzyny Uszakowej* (1827). Nb. do naszych czasów nie dochował się żaden rękopis wierszy poświęconych Katarzynie. Wśród wierszy, przepisanych przez Katarzynę lub jej siostrę, znalazł się ośmiowiersz zaczynający się od słów: „Pod afrykańskim niebem urodzony...“ Wiersz ten w bardziej oszlifowanej postaci (było to *impromptu*, wręczone Katarzynie — zdaniem Sztorma — w r. 1827, na maskaradzie) pt. *Czarnoksiężnik*, podpisany łacińskim inicjałem P..., odnaleziono w *Newskim Almanachu* za r. 1830.

Z tymi dociekaniami puszkinologów wiąże się interesujący nas szczegół. Pod tytułem *Czarnoksiężnik* wydawca almanachu umieścił inicjały: M. Sz., co niektórym badaczom nasunęło przypuszczenie, iż wiersz ten autor zadedykował słynnej pianistce, Marii Szymanowskiej. Na podstawie opisu adresatki *impromptu* („...Świata skarby i wiedzę cudowną... Oddam za oczy twe błękitne, za pukle twe złociste“) Sztorm dochodzi do wniosku, że nie mogło to odnosić się do ciemnookiej brunetki Szymanowskiej. Zresztą — twierdzi ten puszkinolog — gruntownie wyjaśniony przez Igora Bełzę w wydanej w ub. r. monografii *Maria Szymanowska* charakter stosunku wielkiego poety do naszej wielkiej pianistki — wyklucza tę możliwość. Inna sprawa — dodaje Sztorm — Puszkinowi zdarzało się niekiedy, iż przeadresowywał swe dawniejsze, dla kogo innego przeznaczone wiersze.

*J. S.*

## POLSKA KSIĄŻKA W TULUZIE

Okazały, interesujący i żywy „polski“ numer miesięcznika *„Les Temps Modernes“* ma jeden, ale poważny brak: w minimalny tylko sposób przybliża cudzoziemcowi sprawy kultury polskiej. Jest poświęcony sprawom czysto politycznym. A przecież kultura stanowi dzisiaj niezmiernie ważki czynnik międzynarodowej wymiany, a stan naszej literatury, sztuki i nauki, szczególnie zaś bogate jej tradycje mogłyby zainteresować opinię światową. Dlatego trzeba uważać za doniosłe wydarzenie, że w kwietniu br. wystawiono w Tuluzie — po raz pierwszy na ziemi francuskiej — Moniuszkowską *Halkę* a równocześnie dużą uwagę skupiły na sobie dwie wystawy publiczne. Pierwsza z nich była poświęcona współczesnej książce polskiej (mieściła się w tuluzańskiej Bibliotece Miejskiej), a druga — w Musée Dupuy — ludowej ceramice i tkaninom polskim.

Nas interesuje tu przede wszystkim — sprawa polskiej książki. Jest rzeczą ciekawą, że z okazji tej wystawy konserwator Biblioteki w Tuluzie, Maurice Caillet, zgrupował najbardziej interesujące polskie eksponaty ze zbiorów tej Biblioteki. Znajdują się tutaj niezmiernie cenne „białe kruki“ bibliofilskie, jak np. wydany w Norymberdze w roku 1543 *Traktat astronomiczny* Kopernika, drzeworyty przedstawiające królów polskich, widok Krakowa z XVI wieku, plan miasta Jarosławia, z kolekcji królowej Marii Leszczyńskiej i z jej herbami, polska broszura protestująca przeciw Nocy Świętego Bartłomieja w imię zasad tolerancji religijnej, portret Henryka Walezjusza jako króla polskiego, wraz z jego doradcami, pochodzącymi z Tuluzy: Pibrac'iem i Montluc'iem itd. Już więc oglądając te zbiory można się dowiedzieć, że nasza

cywilizacja sięga głębokimi korzeniami w historię Europy.

Ponadto znalazły się w Tuluzie eksponaty sprowadzone z kraju, np. słynna poetycka polemika Jana Kochanowskiego z Desportem *(Gallo crocitante)* liczne edycje Mickiewicza oraz innych naszych poetów romantycznych. Dalsze sale zawierały ilustracje ze współczesnych polskich książek (głównie dla dzieci).

Wystawa zapoznawała Francuzów z faktem, że w okresie ostatnich 10 lat ukazało się w Polsce dwanaście milionów egzemplarzy tłumaczeń francuskich książek i że w roku obecnym pojawi się dalszych 1,5 miliona. *„Admirable nation!"* — pisze w związku z tym faktem dziennikarz francuski, Gaston Poulain. Jak się okazuje, Francuzi są bardzo czuli na zainteresowanie dla kultury ich kraju.

*W. N.*

## ENCYKLOPEDIA POLSKA NA EMIGRACJI

Ukazały się dwa pierwsze zeszyty wydawnictwa zakrojonego gigantycznie: *Polska i jej dorobek dziejowy w ciągu tysiąca lat istnienia. Zarys i encyklopedia spraw polskich.*

Według zapowiedzi wydawców — książka ukazuje się nakładem Księgarni Polskiej Orbis w Londynie — całość będzie liczyć 1 200 stron druku (2 tomy) i ukaże się w dwunastu zeszytach. „Pierwszy tom: *Zarys spraw polskich* — czytamy we wstępie — obejmuje 60 wzajemnie się uzupełniających artykułów o charakterze syntetycznym, popularno-naukowym; drugi — jest encyklopedią w ścisłym tego słowa znaczeniu. *Encyklopedia* stanowi szczegółowe, obfite w materiał faktyczny, rozwinięcie poruszonych ogólnie w tomie I zagadnień. Nadto zawiera ona dane, które z różnych względów w *Zarysie* nie występują. Oba tomy powiązane są odpowiednio sporządzonymi indeksami umożliwiającymi łatwo znalezienie odpowiedzi na postawione pytania. Polska i jej dorobek dziejowy daje obraz całości życia polskiego we wszystkich jego dziedzinach: politycznej, ustrojowej, kulturalnej i społeczno-gospodarczej; obejmuje okres od początku historii do roku 1939. Jedynie pewne zagadnienia — zwłaszcza natury politycznej i wojskowej — mogą być doprowadzone do roku 1945."

Przy encyklopedii współpracuje ponad pięćdziesięciu polskich uczonych i specjalistów, przebywających na emigracji, całość pozostaje pod redakcją historyka, prof. H. Paszkiewicza.

Trzeba przyznać, że wydawnictwo sprawia imponujące wrażenie. Świetny papier i druk, idealna czcionka, dużo map i wykresów w tekście, liczne ilustracje (jedno- i dwubarwne) oraz dodatki — wszystko to wykonane nienaganną techniką.

Zeszyt pierwszy nosi tytuł *Ziemia i człowiek*, zeszyt drugi poświęcony jest historii i obejmuje oprócz tematów ściśle historycznych takie prace, jak *Dzieje myśli politycznej w dawnej Polsce, Wojskowość dawnej Polski, Kościół katolicki w dawnej Polsce, Protestanci polscy* i *Żydzi polscy*. Następne części mają obejmować według tytułów: zeszyt trzeci — *Literatura*, zeszyt czwarty — *Sztuka, muzyka i teatr*, zeszyt piąty — *Emigracje polskie*, zeszyt szósty — *Polska niepodległa i druga wojna światowa*.

A swoją drogą to ciekawe — w którym roku Polski Ludowej można będzie zamieścić podobną notę informacyjną w naszej prasie, tyle że dotyczącą wydawnictwa u nas podjętego? Czy do tej pory jednak nie warto by sprowadzić pewnej ilości egzemplarzy tej pracy, zbyt poważnej, by można było przejść nad nią do porządku dziennego?

*D. C.*

## NA POWRÓT SOCJOLOGII

W powodzi czasopism grubych i cienkich, potrzebnych i nie bardzo potrzebnych przeoczono wznowienie *„Przeglądu Socjologicznego"* i pojawienie się nowego kwartalnika *„Kultura i Społeczeństwo"*. Ukazanie się obu czasopism stanowi, jak się zdaje, ostatni akt długiego procesu rehabilitacji socjologii.

*„Kultura i Społeczeństwo"* ma szerszy zakres i inny charakter niż ściśle naukowy i ściśle socjologiczny *„Przegląd"*. W nocie redakcyjnej powiedziano, że nowe pismo „poświęcone socjologii kultury i zagadnieniom kultury współczesnej, pragnie połączyć socjologiczne

dociekania teoretyczne i metodologiczne z systematyczną obserwacją przeobrażeń kultury dokonywujących się w naszym kraju".

Na treść numeru składają się: głośny polemiczny artykuł Józefa Chałasińskiego o drogach i bezdrożach socjalizmu w nauce polskiej, piękne wyznania Ludwika Hirszfelda o roli dydaktyki w życiu i twórczości uczonego; krytyczne uwagi Władysława Szafera o nie spełnionych zadaniach Polskiej Akademii Nauk; zasadniczy rzeczowy artykuł Mieczysława Choynowskiego o psychologii polskiej i jej zastoju; dalej rozważania Antoniny Kłosowskiej o osobowości i charakterze narodowym; w końcu praca Zygmunta Gostkowskiego na temat badania i kształtowania się opinii w Stanach Zjednoczonych.

Artykuły zasadnicze zapełniają połowę numeru, druga połowa poświęcona jest recenzjom, sprawozdaniom, kronice prasowej i kronice ważniejszych wydarzeń społeczno-kulturalnych. Jest to dział bogaty i różnorodny, redagowany z poczuciem aktualności, a zawiera między innymi omówienie głośnej na Zachodzie książki R. Arona *Koniec wieku ideologii*, uwagi o nowym literackim laureacie Nobla, Jimenezie, materiały na temat 2500-lecia Buddy.

Notatką naszą chcemy powitać z radością nie tylko ukazanie się interesujących i potrzebnych czasopism, ale bardziej jeszcze odrodzenie socjologii jako dyscypliny naukowej, czy raczej przywrócenie jej praw publicznych. Tym bardziej że jest to zwycięstwo wywalczone, a nie darowane. Pamiętamy doniosły głos uczonych tej dyscypliny w ogólnonarodowej dyskusji w latach 1955—56, że przypomnę tylko artykuł Stanisława Ossowskiego *Taktyka i kultura*. Pamiętamy także, że socjologowie Józef Chałasiński, Jan Szczepański i Tadeusz Szczurkiewicz występowali jako biegli w procesie poznańskim, co było faktem daleko bardziej istotnym niż wszystkie inne deklarowane, a nie realizowane próby wiązania nauki z życiem.

Mamy nadzieję, że wpływ socjologii na życie będzie się rozszerzał. Zbyt długo pozbawieni byliśmy wiedzy o aktualnych procesach społecznych, kształtowaniu się nowego oblicza wsi i miast, o dziejach „wielkiej migracji żyjącej dziko i wbrew kaznodziejom" — abyśmy mogli zrezygnować z głosu nauki.

Koniec wróżenia z mętów źle pojętej doktryny. Pora na ankiety, badania terenowe, statystykę i ostrożne wnioski. A jeśli teoria nie będzie zgadzała się z faktami — tym gorzej dla teorii.

*zh*

## POLSKI NADREALISTA

Od czasu do czasu w naszych środowiskach poetyckich wybucha spór o polski nadrealizm. Krótkotrwały jest zazwyczaj, ale gwałtowny, namiętny. Kto jest polskim nadrealistą? Raz chodzi o inwektywę, raz o tytuł do chwały. Raz objawia się złośliwość, a raz pochlebstwo. Gdy się Przybosia nazywa nadrealistą, wytykając mu rzekome filiacje z poezją francuską, to się popełnia po prostu złośliwe fałszerstwo. (Cóż ten poeta materii i konkretu ma wspólnego z pojęciowością, a cóż dopiero z podświadomością?) Kiedy się Czechowicza określa mianem nadrealisty, to tej uroczej modernistycznej sielance przyprawia się potężne skrzydła metafizyki, których cienia ona nawet udźwignąć nie może. Ktoś, słyszałem, wywodził, że nawet Ważyk jest nadrealistą. Ważyk, ten wizjoner rzeczy rzeczywistej, rzeczy pospolitej! Fakt faktem, że jest zapotrzebowanie na polskiego nadrealistę!

Otóż on jest. Zapomniany i nieobecny co prawda, ale od nas, chciwych nadrealistycznej tradycji, zależy tylko, aby go przypomnieć i przybliżyć: Jan Brzękowski.

Brzękowski, on jeden z polskich poetów programowo sięgał do podświadomości, wywodząc na jaw wizje niebywałe, urzekające niemożliwością. On jeden z wyobraźni poetyckiej uczynił rekwizytornię stanów sennych. On jeden miał wyobraźnię fantastyczną. Czego tam w niej nie było? Wędrujące góry, wędrujące drzewa, kobiety o niemożliwych, olbrzymich urokach, konstrukcje pejzażowe, przestrzenne, architekturalne, takie, jakie się tylko śnią. Brzękowski konstruował najbardziej naturalistyczne sny. Bo dziedziną nadrealizmu jest właśnie naturalistyczna wyobraźnia.

Piszę tę notatkę pod wrażeniem tomu *Les murs du silence* Jana Brzękowskiego, który właśnie otrzymałem. Brzękowski od wielu lat przebywa we Francji, a poezje wydaje po polsku i po

francusku. W tamtejszych środowiskach awangardowych, w środowisku dzisiaj starej już gwardii poetyckiej znany jest i ceniony. Mnie osobiście bliższe są — rzecz prosta — jego poezje polskie. Wydane po wojnie (także we Francji) *Odyseje* uważam za najmocniejszy, najciekawszy formalnie zbiór wierszy wydany na emigracji. Programowy wiersz *Odyseje*, męski, pozbawiony sentymentalnych westchnień, mówi — moim zdaniem — silniej o tragizmie oderwania od kraju niż poezja Balińskiego (Brzękowski nie jest zresztą emigrantem politycznym).

Brzękowski w *Odysejach* jest uproszczony w porównaniu z Brzękowskim dawnym. *Les murs du silence* są czystą, bezpośrednią kontynuacją twórczości przedwojennej.

Istnieje więc polski nadrealista. Nadrealista pierwszej próby. Czy nie warto by go przypomnieć jakimś skromnym bodaj wyborem? Tylu poetów już dochrapało się dzisiaj swoich „wierszy wybranych"! A wydanie klasyka nadrealizmu to nawet honor dla domu (wydawniczego). Chociażby po to, by pisać, że Polacy nie gęsi, swojego nadrealistę mają.

*zb*

## SZATY SZKODA

Ukraiński krytyk Leonid Nowiczenko w artykule *Literatura i współczesność* („*Drużba Narodow*", nr 3/57) pisze:

„...*A propos*. W jednym w zeszłorocznych numerów polskiego czasopisma „*Twórczość*" zamieszczono przekład opowiadania F. Kafki *Kolonia karna*. A może to obraz obmierzłych zbrodni niemieckiego faszyzmu? Nie. W opowiadaniu tym czytelnik nie znajdzie nawet aluzji do tego, o kim mowa, w jakim kraju dzieją się opisane wydarzenia. Nie znajdzie zaś dlatego, że autora zajmuje coś zupełnie innego: ohydnie delektuje się wszystkim, szczegółowo opisuje wynalazek obozowy, piekielną maszynę, w której kłuje się ludzi mnóstwem stalowych igieł. Nie dość na tym. Głównego oprawcę nieszczęśników, oficera kierującego maszyną, autor zapragnął wyposażyć w jakieś »szlachetne« rysy. Dowiedziawszy się, że nowy komendant obozu zamierza zaprzestać stosowania maszyny tortur, kładzie się sam pod ciosy straszliwych igieł i ginie wraz ze swoim »dziecięciem«... Pisarz jakby się zwracał do czytelników mówiąc: — Spójrzcie, ci strażnicy faszystowskich więzień nie są bynajmniej zbrodniarzami. Są to po prostu fanatycy swojej »idei«, jacyś, jeśli można się tak wyrazić, »romantycy« eksterminacji człowieka... Trudno zrozumieć, dla kogo drukuje się tak obrzydliwą pisaninę w Polsce, która tyle przecierpiała pod hitlerowską okupacją".

Jakże nam przykro! Jaka szkoda! Oczywiście tych szat rozdartych z naszego powodu przez krytyka Leonida Nowiczenko. Nie było w tym naszej złej woli, po prostu przez nieuwagę wyleciała notatka, którą mieliśmy dać w odnośniku do *Kolonii karnej*. Starannie przepisaliśmy ją z podręcznej encyklopedii, posłaliśmy do składu. Wyleciała. Nasza wina. Może jednak krytyk Leonid Nowiczenko, chociaż surowy — jak przystało na krytyka literackiego — udobrucha się, gdy ją zobaczy. Jest. Specjalnie dla niego przepisujemy ją raz jeszcze: „Jeden z największych współczesnych pisarzy świata, Franz Kafka, umarł w 1924 roku. *Kolonię karną* napisał w roku 1921. Pozostaje tajemnicą jego geniuszu, że tak precyzyjnie przewidział konsekwencje rodzącego się faszyzmu".

Już wszystko jest jasne: Kafka, nasze zainteresowanie jego wielkim dziełem. Tym bardziej nam szkoda tych rozdartych szat krytyka Leonida Nowiczenki.

**6**

## OD AKROBACJI DO REDAKCJI

Kilka miesięcy temu, nie tyle może na fali październikowej odnowy, co w wyniku kolejnej pyskówki na gumnie u Piaseckiego, grupka dysydentów z ulicy Mokotowskiej przeniosła się na Nowogrodzką, zaczęła z dnia na dzień ujmować (czego przedtem nie czyniła) słowa „ruch społeczno-postępowy katolików" w ironiczne cudzysłowy i wydawać pismo pt. „*Za i przeciw*". Ukazało sie już parę numerów tej publikacji, ale poza tym, że jest „żywo redagowana", trudno by było coś o niej więcej powiedzieć. Mimo porozlepianych na mieście afiszów nie bardzo można się

było zorientować „za" czym to oni są i „przeciwko" czemu. Wsławili się tylko dwa razy w dotychczasowej swej karierze, raz wzywając lud Warszawy do wyjścia na ulicę — bronić rewolucji przed sięgającym po władzę byłym ich chlebodawcą, Piaseckim, drugi raz znów w tym samym numerze dowodząc, iż Kiergegaard był myślicielem współczesnym Pascalowi (cf. artykuł Konrada Eberhardta o egzystencjalizmie). Na szczęście nie uwierzono im ani w jednym, ani w drugim wypadku i pana Piaseckiego spokojnie pozostawiono jego megalomanii, a pana Kiergegaarda wiekowi dziewiętnastemu, w którym mu żyć wypadło.

W numerze tego pisma oznaczonym datą 26 maja ukazała się dowcipna notka polemiczna pt. *Od redakcji do akrobacji*, podpisana literkami StG. Już sam tytuł tej notki w sposób dość przejrzysty wskazuje na *„Twórczość"* (tak samo, jak np. tytuł *Od akrobacji do redakcji* ewidentnie naszym zdaniem wskazywałby na zespół *„Za i przeciw"*). Recenzent *„Za i przeciw"* wziął na ostrze polemiczne swego pióra odredakcyjny wstęp do francuskiego numeru *„Twórczości"*. Gromi nas w ostrych słowach za treść merytoryczną tego wstępu, jego ton, „wszystkoizm", pretensjonalność, pryncypialność (taka przygana z takich łamów to prawie komplement) etc. etc. Może mu się ten wstęp nie podobać i może oczywista to sobie napisać. Nikt nie będzie miał o to do niego pretensji. *De gustibus*, jak wiadomo... Ale nie darmo ma się do czynienia z elewem pana Piaseckiego. Jakżeby się tu obeszło bez małego donosiku. Trudno bowiem inaczej odczytać następujące dwa zdania: „Numer poświęcony kulturze współczesnej Francji przedstawiono we wstępie nieomal jak biuletyn ze Wszechodłamowego Zjazdu Francuskich Socjalistów, na którym przewodniczył zdecydowany jakobin i propagator idei spółdzielczości... Camus. Trochę to dziwne dla nas, do których przecież tędy i tamtędy dotarły chociażby ostatnie wypowiedzi Camusa na temat naszego obozu". Sugerują one niedwuznacznie, że usiłowaliśmy przemycić Camusa jako rewolucjonistę, podczas gdy jest to zapluty reakcjonista, którego chociażby ostatnie enuncjacje na temat naszego obozu dotarły tędy i tamtędy do uszu ob. StG., nie mówiąc już o innych jego sprawkach. Nie znamy, w przeciwieństwie do ob. StG., ostatnich enuncjacji Camusa w tej sprawie, ale usiłowaliśmy właśnie powiedzieć w tej drętwej i wszystkoistycznej przedmowie, że drukujemy w numerze głosy ludzi, którzy, choć wielokrotnie wygłaszali bardzo krytyczne zdania na temat naszego obozu, nie przestają się uważać za ludzi lewicy. Tyle, jeśli chodzi o meritum naszej polemiki.

Złośliwi twierdzili swego czasu, że to lojalistyczne nawyki wyniesione z Mokotowskiej zdecydowały o winiecie tytułowej *„Za i przeciw"*. (Widnieje na niej bowiem olbrzymimi kulfonami wypisane „ZA" i malutkie, nieśmiałe, skromne, niedostrzegalne „przeciw".) I dodawali, że to nawet słusznie, bo niby skoro się jest ZA wszystkim, a PRZECIW tylko panu Piaseckiemu, to trzeba zachować odpowiednie proporcje w tytule. Okazało się jednak, że publicyści z *„Za i przeciw"* są także PRZECIW ścisłości historycznej, dobrym obyczajom publicystycznym, a często im się zdarza być także w zwadzie z gramatyką i ortografią. Dostateczny to dowód, iż mogą pisać w tytule równie wielkimi bykami PRZECIW, jak i ZA.

*jl*

LITERATURA PIĘKNA

Klasycy literatury polskiej

B a ł u c k i  M i c h a ł — *PISMA WYBRANE*. Wybór i redakcja: T. Drewnowski, J. Skórnicki, A. Żyga. Tom I. *Przebudzeni*. Tom II. *Błyszczące nędze*. Powieść współczesna. Tom III. *O kawał ziemi*. Powieść. Tom IV. *Byle wyżej*. Powieść. Tom V. *Pańskie dziady*. Powieść fotografowana z natury. Tom VI. *Karykatury. Pan burmistrz z Pipidówki*. Tom VII. *Tygodnik Krakowski. (Wybór kronik.)* Tom VIII. *Typy i obrazki krakowskie*. Tom IX. *Nowele i humoreski*. Tom X. *KOMEDIE I. Radcy pana radcy. Komedie z oświatą. Krewniaki*. Tom XI. *KOMEDIE II. Sąsiedzi. Grube ryby. Gęsi i gąski*. Tom XII. *KOMEDIE III. Dom otwarty. Ciężkie czasy*. Okładkę projektował Kazimierz Wojtanowicz. Kraków. Wydawnictwo Literackie, 1956; Tom I str. CLXIX, 1 nl, 281, 3 nl; tom II str. 284, 4 nl; tom III str. 282, 2 nl; tom IV str. 274, 2 nl; tom V str. 308, 2 nl; tom VI str. 237, 3 nl; tom VII str. 439, 1 nl; tom VIII str. 252, 2 nl; tom IX str. 427, 5 nl; tom X str. 314, 2 nl; tom XI str. 463, 3 nl; tom XII str. 385, 3 nl.

B j e n i a r z  J ó z e f — *Edukacja Józia Barącza*. Powieść dla młodzieży. Wydanie przejrzane i uzupełnione. Okładkę projektował Jerzy Napieracz. Kraków, Wydawnictwo Literackie, 1956; str. 405, 3 nl.

B r z o z o w s k i  S t a n i s ł a w — *Płomienie*. Z papierów po Michale Kaniowskim wydał i przedmową poprzedził... Tom I i II. Tekst i przypisy opracowała Teresa Podoska. Okładkę projektował Jerzy Napieracz. Kraków, Wydawnictwo Literackie, 1956; str. 557, 3 nl.

C z y ń s k i  J a n — *Cesarzewicz Konstanty i Joanna Grudzińska czyli jakobini polscy*. Wstęp: Kazimierz Bartoszyński. Przypisy: Kazimierz Bartoszyński, Władysław Rostocki. Tłumaczenie wstępu Worcella: Maria Klaus. Ilustracje: Antoni Uniechowski. Okładka i karta tytułowa: Andrzej Radziejowski. Warszawa, „Czytelnik", 1956; str. 454, 2 nl.

K r a s z e w s k i  J ó z e f  I g n a c y — *Złote jabłko*. Ilustracje Krzysztofa Henisza. Okładkę projektował Marian Stachurski. Warszawa, „Czytelnik" 1957; str. 441, 3 nl.

Ż e r o m s k i  S t e f a n — *DZIEŁA*. Pod redakcją Stanisława Pigonia. Wstęp Henryka Markiewicza. Powieści tom 13. *Walka z szatanem. Charitas*. Powieść. Ilustracje Krzysztofa Henisza. Opracowanie graficzne: Jan S. Miklaszewski. Warszawa, „Czytelnik", 1956; str. 362, 2 nl.

— *Sen o szpadzie. Pomyłki*. Opracowanie graficzne: Jan S. Miklaszewski. Warszawa, „Czytelnik", 1957; str. 284, 4 nl.

Klasycy literatury obcej

D u m a s  A l e k s a n d e r — *W dwadzieścia lat później*. Przełożyli: część I — Stefan Flukowski, część II — H. Szumańska-Grossowa. Ilustrował i obwolutę projektował Jerzy Skarżyński. Warszawa, „Iskry", 1956; str. 718, 2 nl.

F r a n c e  A n a t o l — *Gospoda pod Królową Gęsią Nóżką*. Przełożył Jan Sten. Okładkę i kartę tytułową projektował Jan S. Miklaszewski. Warszawa, „Czytelnik", 1957, wydanie I; str. 254, 2 nl.

— *Tais*. Przełożył Jan Sten. Okładkę i kartę tytułową projektował Jan S. Miklaszewski. Warszawa, „Czytelnik", 1957, wydanie I; str. 183, 5 nl.

Poezja, dramat

B a r n a ś  K a z i m i e r z — *Żelazne obrączki*. Dramat w 4 aktach. Okładkę projektowała Zofia Włodarczyk. Kraków, Wydawnictwo Literackie, 1957; str. 96, 4 nl.

B r z o s t o w s k a  J a n i n a — *Wiersze*. Okładkę projektował Piotr Zwoliński. Warszawa, „Czytelnik", 1957, wydanie I; str. 143, 1 nl.

B u c z k ó w n a  M i e c z y s ł a w a — *W podwójnym słońcu*. Okładkę projektował Marian Stachurski, Warszawa, „Czytelnik", 1957, wydanie I; str. 77, 3 nl.

C h r z a n o w s k i  T a d e u s z — *Powitanie lata*. Okładkę projektowała Barbara Szczerbińska. Kraków, Wydawnictwo Literackie, 1957; str. 121, 3 nl.

Gałczyński Konstanty Ildefons — *DZIEŁA*. W pięciu tomach. Komitet redakcyjny: Ziemowit Fedecki, Natalia Gałczyńska, Jerzy Putrament, Andrzej Stawar, Jan Śpiewak, Marian Toporowski. Tom I. *Poezje*. Weryfikacja tekstu: Natalia Gałczyńska. Przedmowa i przypisy: Andrzej Stawar. Obwolutę i tłoczenia projektował Marek Rudnicki. Warszawa, „Czytelnik", 1957, wydanie I; str. 595, 1 nl.

Kamieńska Anna — *Pod chmurami*. Okładkę projektował Wojciech Wenzel. Warszawa, „Czytelnik", 1957, wydanie I; str. 127, 1 nl.

Kołoniecki Roman — *Ramię do ramienia*. Poezje wybrane. 1925—1955. Okładkę projektował Andrzej Radziejowski. Warszawa, „Czytelnik", 1957; str. 254, 2 nl.

Kowalewski Stanisław — *Kiedy mija noc*. Dramat w 5 aktach. Warszawa, „Czytelnik", 1957, wydanie I; str. 131, 1 nl.

Stern Anatol — *Wiersze dawne i nowe*. Okładkę projektował Władysław Brykczyński. Warszawa, „Czytelnik", 1957, wydanie I; str. 250, 2 nl.

Strasburger Janusz — *Z hiszpańskiego*. Przekłady poezji. Drzeworyty Marii Hiszpańskiej-Neumann. Okładkę i kartę tytułową projektował Andrzej Radziejowski. Warszawa, „Czytelnik", 1956; str. 209, 3 nl.

## Proza

Amado Jorge — *Opowieść o Castro Alvesie*. Przełożyli: Małgorzata Hołyńska i Eugeniusz Gruda, Wiersze przełożyła Jadwiga Dackiewicz. Przypisy opracował Antoni Śliwiński. Okładę projektowała Danuta Staszewska. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1957, wydanie I; str. 201, 3 nl.

Andrzejewski Jerzy — *Ład serca*. Okładkę projektował Marek Rudnicki. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1957, wydanie I; str. 262, 2 nl.

Asanow Mikołaj — *Czarodziejski kamień*. Tłumaczył Tadeusz Żeromski. Projekt okładki: Marian Stachurski. Warszawa, „Czytelnik", 1957, wydanie I; str. 550, 2 nl.

Awdiejenko Aleksander — *Kocham*. Przełożyła Halina Pilichowska. Okładkę projektował Mirosław Pokora. Warszawa, „Iskry", 1957; str. 221, 3 nl.

Böll Heinrich — *I nie poskarżył się ani jednym słowem*. Przełożyła Wanda Kragen. Okładkę projektował Krzysztof Dębowski. Warszawa, „Pax", 1956, wydanie I; str. 175, 1 nl.

Breedveld Walter — *Na drodze miłości*. Tłumaczył z języka niemieckiego Aleksander Ledóchowski. Okładkę projektował Krzysztof Dębowski. Warszawa, „Pax", 1956, wydanie I; str. 398, 2 nl.

Caldwell Erskine — *Poletko Pana Boga*. Tłumaczył Bronisław Zieliński. Okładkę projektował Andrzej Radziejowski. Warasza, „Czytelnik", 1956, wydanie I; str. 217, 3 nl.

Curwood James Oliver — *Łowcy wilków*. Przełożył Jerzy Marlicz. Okładkę projektował Waldemar Świerzy. Warszawa, „Iskry", 1956; str. 149, 3 nl.

Ciosić Dobrica — *Korzenie*. Tłumaczył z serbochorwackiego Bronisław Cirlić. Opracowanie graficzne: Marian Stachurski. Warszawa, „Czytelnik", 1957, wydanie I; str. 369, 3 nl.

Dadié Bernard B. — *Legendy afrykańskie*. Tłumaczyła Maryla Rusinowa. Opracowanie graficzne: Jan S. Miklaszewski. Warszawa, „Czytelnik", 1957, wydanie I; str. 106, 2 nl.

Dąbrowska Maria — *PISMA WYBRANE*. Tom. I. *Opowiadania. Fragmenty. Dramaty. Utwory dla dzieci*. Tom II. *Noce i dnie*. Tom III. *Noce i dnie*. Opracowanie graficzne: Jan S. Miklaszewski. Warszawa, „Czytelnik", 1956, wydanie I; tom I str. 1079, 1 nl; tom II str. 862, 2 nl; tom III str. 738, 2 nl.

Dunin ówna Helena — *Niespodzianki warszawskie*. Ilustracje: Bożena Truchanowska. Warszawa, „Czytelnik", 1956, wydanie I; str. 337, 3 nl.

Erenburg Ilia — *DZIEŁA WYBRANE*. Tom. IV. *Powieści, Opowiadania. Wiersze*. Tłumaczyli: W. Boruński, J. Brzechwa, M. Buczkówna, M. Jastrun, A. Kamieńska. G. Karski. A. Międzyrzecki, T. Mongird, I. Piotrowska, S. Pollak. W. Słobodnik, A. Stawar, J. Waczków, A. Wat, I. Zabłudowska, E. Żytomirski. Okładka i opracowanie graficzne: Jerzy Jaworowski. Warszawa, „Czytelnik", 1957, wydanie I; str. 643, 1 nl.

Fast H. — *Ostatnia wieczerza i inne opowiadania*. Tłumaczył Tadeusz Evert. Okładkę projektował Jerzy Cherka. Warszawa, „Iskry", 1957; str. 193, 3 nl.

— *Gorąca wieś Ambinanitelo*. Okładkę projektował Mieczysław Kowalczyk. Warszawa, „Iskry", 1956, wydanie III, str. 223, 5 nl.

Fiedler Arkady — *Ryby śpiewają w Ukajali*. Okładkę projektował Janusz Grabiański. Warszawa, „Iskry", 1957; str. 234, 6 nl.

Geoffre François, de — *Człowiek z Bałtyku*. Przełożyła Zofia Woźnicka. Okładkę projektował Aleksander Stefanowski. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1956, wydanie I; str. 370, 2 nl.

Gill Josephine Eckert — Dehnel. Okładkę projektował Janusz Grabiański (Klub Srebrnego Klucza). Warszawa, „Iskry" 1957, wydanie I; str. 270, 2 nl.

Gojawiczyńska Pola — *Miłość Gertrudy*. Ilustrował Janusz Stanny. (Książka Nowego Czytelnika.) Warszawa, „Czytelnik", 1956; str. 169, 3 nl.

Goliński Leszek — *Rocznik szesnasty*. Okładkę projektował Władysław Brykczyński. Warszawa, „Iskry", 1957; str. 233, 3 nl.

Gombrowicz Witold — *Ferdydurke*. Okładkę projektował Marek Rudnicki. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1956, wydanie I; str. 285, 3 nl.

Gonczarow Iwan — *Wieczór literacki*. Tłumaczył Gabriel Karski. Okładkę projektowała Danuta Staszewska. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1957, wydanie I; str. 222, 2 nl.

Grabowska Marcelina —

*Żółty dom.* Okładkę projektował Marian Stachurski. Warszawa, „Czytelnik", 1957, wydanie II; str. 192, 4 nl.

Greene Graham — *Spokojny Amerykanin.* Tłumaczył Jacek Woźniakowski. Przedmowę napisał Wojciech Żukrowski. Okładkę projektował Tadeusz Ostrzeszewicz. Ilustracje w tekście wykonał Aleksander Kobzdej. Warszawa, „Pax", 1956, wydanie I: str. 265, 1 nl.

Hesse Hermann — *Peter Camenzind.* Przełożyła Edyta Sicińska. Okładkę projektował Aleksander Stefanowski. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1957, wydanie I; str. 208, 4 nl.

Ilf Ilja, Pietrow Eugeniusz — *12 krzeseł.* Przełożyli: J. Brzechwa i T. Żeromski. Okładkę i ilustracje projektował Ignacy Witz. Warszawa, „Iskry", 1957; str. 382, 6 nl.

Jacobson August — *Stowarzyszenie złotych serc.* Tłumaczyli Z. i St. Głowiakowie. Okładkę projektował Andrzej Radziejowski. Warszawa, „Czytelnik", 1957, wydanie I; str 322, 2 nl.

Jasieński Bruno — *Palę Paryż.* Opracowanie graficzne: Jan S. Miklaszewski. (Książki dwudziestolecia). Warszawa, „Czytelnik", 1957, wydanie I; str. 357, 3 nl.

Kapeniak Józef — *Ród Gąsieniców.* Okładkę i kartę tytułową projektowała Hanna Balicka. Na okładce (fragment) i w tekście reprodukcje drzeworytów Władysława Skoczylasa. Warszawa, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, 1956, wydanie II; str. 295 1 nl.

Kirilenko Iwan — *Rozbitkowie.* Przełożyła Zofia Głowiakowa. Okładkę projektował Jerzy Jaworowski. Warszawa, „Iskry" 1956; str. 109, 3 nl.

Kostecki Tadeusz (Krystyn T. Wand) — *Zaułek mroków.* Okładkę projektował Janusz Grabiański. Warszawa, „Iskry", 1956; str. 443, 3 nl.

Kożmiński Karol — *Obrońca Woli.* Opowieść o generale Sowińskim. Okładkę projektował Janusz Grabiański. Ilustrował Aleksander Winnicki. Warszawa, „Iskry" 1957; str. 381, 3 nl.

Lem Stanisław — *Dzienniki gwiazdowe.* Okładkę i stronę tytułową projektował Marian Stachurski. Warszawa, „Iskry", 1957; str. 257, 3 nl.

Łukasiewicz Stanisław — *Nauczyciele.* Powieść. Okładkę projektował Marian Stachurski. Warszawa, „Czytelnik", 1956, wydanie III; str. 333, 3 nl.

Mauriac François — *Losy* Przełożył Stefan Kołaczkowski. Okładkę i stronę tytułową projektował Tadeusz Niemirski. Warszawa, „Pax", 1957, wydanie I; str. 142, 2 nl.

Michniak Czesław — *Drewniane skrzydła.* Opowiadania. Okładkę projektował Andrzej Radziejowski. Warszawa, „Czytelnik", 1956, wydanie I, str. 170, 2 nl.

*Opowiadania pisarzy radzieckich.* Tom II i III. Okładkę projektował Jan S. Miklaszewski. Warszawa, „Czytelnik", 1956, 1957, wydanie I; tom II str. 679, 1 nl; tom III str. 644.

Pauksztа Eugeniusz — *Zatoka żarłocznego szczupaka.* Ilustrował Andrzej Jurkiewicz. Okładkę projektował Marian Stachurski, Warszawa, „Iskry", 1957; str. 413, 3 nl.

Pruszyński Ksawery — *Droga wiodła przez Narwik.* Okładkę projektował Marek Rudnicki. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1956; str. 225, 1 nl.

Putrament Jerzy — *Wakacje.* Ilustracje i okładka: Jerzy Srokowski. Warszawa, „Czytelnik", 1956, wydanie I; str. 688, 4 nl.

Rojewski Jan — *Człowiek i ludzie.* Okładkę projektował Jan Młodożeniec. Warszawa, „Czytelnik", 1956, wydanie I; str. 527, 1 nl.

Sagan Françoise — *Witaj smutku.* Tłumaczyły: Anna Gostyńska i Jadwiga Olędzka. Okładkę projektował Janusz Stanny. Warszawa, „Iskry", 1956, wydanie I; str. 115, 1 nl.

Schaldemose Peer — *Życie w mroku.* Tłumaczył Józef Wierzchowski Okładkę projektowała Ewa Lubelska-Fryszтak. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1956, wydanie I; str. 269, 1 nl.

Schulz Karol — *Pierścień królowej.* Przełożył i szkic o autorze napisał Andrzej Piotrowski. Okładkę projektował Tadeusz Niemirski. Warszawa, „Pax", 1956, wydanie I; str. 267, 5 nl.

Sejfulina Lidia — *Wiryneja i inne opowiadania.* Tłumaczyła Maria Popowska. Opracowanie graficzne: Jerzy Jaworowski. Warszawa, „Czytelnik", 1957, wydanie I; str. 587, 1 nl.

Sujkowski Bogusław — *Trzy czarne włócznie.* Powieść historyczna z czasów Stefana Batorego. Okładkę projektował Marian Stachurski. Warszawa, „Iskry", 1957; str. 348, 4 nl.

Worcell Henryk — *Wyspa starej Tekli.* Okładkę projektował Andrzej Możejko. Warszawa, „Pax", 1956, wydanie I; str. 257, 3 nl.

Zalewski Witold — *Ziemia bez nieba.* Okładkę projektował Jan Młodożeniec. Warszawa, „Czytelnik", 1957, wydanie I; str. 518, 2 nl.

## Wspomnienia

Wroczyński Kazimierz — *Z moją młodością przez Warszawę.* Okładkę i karty tytułowe projektował Andrzej Heidrich. Warszawa, „Czytelnik", 1957, wydanie I; str. 217, 3 nl.

## Satyra

Czernik Stanisław — *Humor i satyra ludu polskiego.* Okładkę projektował Andrzej Kowalewski. Warszawa, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, 1956, wydanie I; str. 262, 2 nl.

Gozdawa Zdzisław i Stępień Wacław — *Przez dziurkę w kurtynie.* Ilustrował Gwidon Miklaszewski. Warszawa, „Iskry", 1957; str. 372, 4 nl.

Jesensky Janko — *Demokraci.* Ze słowackiego tłumaczył Stefan Dębski. Okładkę projektował Marian Stachurski. Warszawa, „Czytelnik", 1956, wydanie I; str. 516. 4 nl.

Marianowicz Antoni — *PLAMY NA SŁONECZKU. Wiersze. Utwory estradowe. Szopki. Parodie. Fraszki. Humoreski. Przekłady. 1945—1956.* Okładkę projektował Marek Rudnicki. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1957, wydanie I; str. 362, 2 nl.

Osęka Janusz — *Cyrk pcheł.* Ilustrował Jerzy Zaruba. Warszawa, „Czytelnik", 1957, wydanie I; str. 157, 3 nl.

Swinarski Artur Marya — *Ararat.* Komedia w trzech aktach. Ilustrowała Maja Berezowska. Okładkę projektował Jan Młodożeniec. Warszawa, „Czytelnik", 1957, wydanie I; str. 108, 4 nl.

### Felietony

Kisiel (Stefan Kisielewski) — *Rzeczy małe.* Okładkę projektował Andrzej Możejko. Stronę tytułową i ilustracje wykonał Stanisław Töpfer. Warszawa, „Pax", 1956, wydanie I; str. 540.

### Reportaże

Azembski Mirosław — *Krzyże i Korona.* Reportaż znad ujścia Wisły. Okładkę projektował Mieczysław Kowalczyk. Warszawa, „Iskry", 1956, wydanie I; str. 140, 4 nl.

Czerwiński Marcin — *Kartki z różnych miast.* Okładkę projektowała Ewa Lubelska-Frysztak. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1957, wydanie I; str. 130, 2 nl.

Davidson Basil — *Afryka budzi się.* Tłumaczył Klemens Kęplicz. Okładkę projektował Marian Stachurski. Warszawa, „Czytelnik", 1957, wydanie I; str. 326, 2 nl.

### Publicystyka

Jasienica Paweł — *Ślady potyczek.* Okładkę projektował Andrzej Heidrich. Warszawa, „Czytelnik", 1957, wydanie I; str. 403, 5 nl.

Kałużyński Zygmunt — *Listy zza trzech granic.* Okładkę projektował Jan Młodożeniec. Warszawa, „Czytelnik", 1956, wydanie I; str. 431, 1 nl.

### JĘZYKOZNAWSTWO

Boleski Andrzej — *Słownictwo Juliusza Słowackiego (1825—1849).* Wrocław, Zakład im. Ossolińskich, 1957, wydanie I; str. 246, 2 nl.

*Słownik staropolski. (Dobrowolny — Doświadczyć.)* Tom II. Zeszyt 2 (8). Wrocław, Zakład im. Ossolińskich, 1957; str. od 81 do 160.

### SZTUKA

### Teatr

Montand Yves — *Moje życie.* Wspomnienia spisane przez Jean Denysa. Przełożyły: Anna Gostyńska, Jadwiga Olędzka. Okładkę projektował Aleksander Stefanowski. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1956, wydanie I; str. 220, 4 nl.

Rapoport I. — *Praca aktora.* Podręcznik dla instruktorów teatralnych. Przełożył Juliusz Saloni. Okładkę projektował Jerzy Jaworowski. Warszawa, „Czytelnik", 1956; str. 201, 3 nl.

Straus Stefan — *Stefan Jaracz.* Okładkę projektował Marek Rudnicki. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1956, wydanie I; str. 92, 2 nl.

### LITERTURA DLA DZIECI I MŁODZIEŻY

Asnyk Adam — *Wybór poezji.* Wybór: Izabela Korsak. Wstęp: Artur Międzyrzecki. Ilustrował Bohdan Butenko. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1956, wydanie I; str. 199, 1 nl.

*Baśnie kaukaskie.* Wybór i tłumaczenie: Michał Andruszkiewicz. Ilustrował Ignacy Witz. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1957, wydanie I; str. 116, 4 nl.

Boguszewska Helena — *Czerwone węże.* Ilustrował Tadeusz Gronowski. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1956, wydanie XV; str. 210, 2 nl.

Broniewska Janina — *Ciapek włóczęga.* Ilustracje Jana Marcina Szancera. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1956, wydanie II; str. 98, 6 nl.

Broniewski Władysław — *Wiersze.* Ilustrował Henryk Grunwald. Opracowanie wyboru: F. Lichodziejska. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1956, wydanie I; str. 166, 2 nl.

Colin Vladimir — *Mladen syn niedźwiedzia.* Przełożył z języka rumuńskiego Rajmund Florans. Ilustrował Gustaw Majewski. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1956, wydanie I; str. 210, 2 nl.

Cooper James Fenimore — *Preria.* Przełożyła z angielskiego Aldona Szpakowska. Ilustrował i okładkę projektował Stanisław Töpfer. Wiersze tłumaczył Włodzimierz Lewik. Warszawa, „Iskry", 1956; str. 367, 1 nl.

— *PIĘCIOKSIĄG PRZYGÓD SOKOLEGO OKA.* I. *Pogromca zwierząt czyli pierwsza ścieżka wojenna.* Przełożył z angielskiego Kazimierz Piotrowski. Opracowanie graficzne i projekt oprawy Andrzeja Heidricha. II. *Ostatni Mohikanin.* Przełożył z angielskiego Tadeusz Evert. Opracowanie graficzne Andrzeja Heidricha. Warszawa, „Iskry", 1956; I str. 629, 3 nl; II str. 457, 3 nl.

Curwood J. O. — *BARI. Syn szarej wilczycy.* Tłumaczył Jerzy Marlicz. Okładkę projektował Jan Młodożeniec. Warszawa, „Iskry", 1956, wydanie III; str. 160.

Czukowski K. — *Bajki.* Tłumaczył Władysław Broniewski. Ilustrowała Olga Siemaszkowa. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1957, wydanie III; str. 82, 2 nl.

Dąbrowska Maria — *Czyste serca.* Ilustrowała Leonia Janecka. Okładkę projektował Bohdan Butenko. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1956, wydanie I; str. 92, 4 nl.

Ejsmond J. — *Baśń o ziemnych ludkach.* Ilustrowała Teresa Tyszkiewiczowa. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1956, wydanie II; 20 knl.

Elsztein Paweł — *Duża książka o małych samolotach.* Rysunki autora. Zdjęcia: Bernard Koszewski. Okładkę i stronę tytułową projektowała Krystyna Witkowska. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1956, wydanie I; str. 81, 3 nl.

Gałkowski Jan — *Leśne strony.* Ilustrował Zdzisław Witwicki. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1956, wydanie I; str. 44, 2 nl.

Gitlin Jan — *Opowieści z dżungli, pustyni i pampasów.* Okładkę projektował Mieczysław Kowalczyk. Warszawa, „Iskry", 1957; str. 181, 3 nl.

Goździkiewicz Teodor — *W lesie i pod lasem.* Ilustrowała Katarzyna Latałło. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1957, wydanie II; str. 135, 1 nl.

Górecki Zbysław — *Przygody nad Rio Negro.* Ilustrował Romuald Klaybor. Okładkę i stronę tytułową projektowała Hanna Balicka. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1957, wydanie I; str. 206, 2 nl.

Grabowski Jan — *Opowiadania.* Ilustrowali: Ksawery Koźmiński, Ludwik Maciąg, Konstanty Sopoćko. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1957, wydanie III; str. 228, 4 nl.

Grimm Wilhelm i Jakub — *Baśnie.* Ilustrowali: Bożena Truchanowska i Wiesław Majchrzak. Przełożył z języka niemieckiego Marceli Tarnowski. Wybór i redakcja: Stefania Wortman. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1956, wydanie I; str. 116, 4 nl.

Hartman Seweryn — *Belgika.* Ilustrował Mieczysław Kościelniak. Okładkę projektowała Hanna Balicka. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1957, wydanie I; str. 188, 2nl.

Hollanek Adam — *Skarby z połyskiem.* Okładkę projektowała Krystyna Witkowska. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1956, wydanie I; str. 157, 3 nl.

Kann Maria — *Dujawica.* Ilustrował Stanisław Töpfer. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1956, wydanie I; str. 308, 4 nl.

Kästner Erich — *Mania czy Ania.* Tłumaczyły Leonia Gradstein i Janina Gillowa. Ilustrowała Irena Kuczborska. Okładkę projektowała Maria Mikiewicz-Porejko. Warszawa, „Iskry", 1956; str. 187, 1 nl.

Kern Ludwik Jerzy — *„Pierwszy" i kilka innych wierszy.* Ilustrował Henryk Tomaszewski. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1956, wydanie I; 32 knl.

Kostrzyco Edward — *Wyścig trwa.* Opowiadania. Ilustrował Juliusz Makowski. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1956, wydanie I; str. 165, 3 nl.

Kownacka Maria — *Przygody Plastusia.* Ilustrował Bogdan Zieleniec. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1957, wydanie I; str. 128, 4 nl.

Krzemieniecka Lucyna — *Bajże Baju po zwyczaju.* Ilustrował Jerzy Srokowski. Warszawa, „Czytelnik", 1956, wydanie I; 17 knl.

— *O tym jak się rzep do psiego ogona przyczepił.* Ilustrował Jerzy Karolak. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1957, wydanie IV; str. 14, 2 nl.

London Jack — *Wilk morski.* Tłumaczył Jerzy Bogdan Rychliński. Okładkę projektował Jerzy Kempkiewicz. Warszawa, „Iskry", 1956; str. 309, 3 nl.

Majewska Maria Janina — *Przygody Li Ta-hai.* Ilustrował A. Strumiłło. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1956, wydanie I; str. 306, 2 nl.

Makarczyk Janusz — *Człowiek z Białą Głową.* Ilustrowała Katarzyna Latałło. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1956, wydanie I; str. 291, 1 nl.

May Karol — *Winnetou.* Przekład polski na podstawie wydania z roku 1910 (Wyd. „Przez lądy i morza"). Ilustrował Stanisław Rozwadowski. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1956, wydanie I; tom I str. 506, 2 nl; tom II str. 474, 2 nl; tom III str. 500, 4 nl.

Michalska Marta — *Tajemnice górskiej groty.* Ilustrował Roman Owidzki. Okładkę projektowała Krystyna Witkowska. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1956, wydanie I; str. 202, 2 nl.

Morcinek Gustaw — *Ludzie są dobrzy.* Ilustrował Aleksander Kobzdej. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1956, wydanie II, poprawione; str. 145, 3 nl.

— *Roztomili ludkowie.* Ilustrował Bohdan Butenko. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1956, wydanie I, str. 164, 4 nl.

Mrówczyński Bolesław — *Góra Bogów.* Ilustrowała Katarzyna Latałło. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1956, wydanie I; str. 262, 2 nl.

Nemeth Imre — *W głębi dżungli.* Przekład Camilli Mondral. Ilustrował i projektował okładkę Wacław Siemiątkowski. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1956, wydanie I; str. 344, 4 nl.

Niklewiczowa M. — *Wróbel czarodziej.* Ilustrował Samuel Miklaszewski. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1956, wydanie I; str. 68, 4 nl.

Niziurski Edmund — *Lizus.* Ilustrował Aleksander Kobzdej. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1956, wydanie I; str. 173, 3 nl.

*Okręcik. Kapryśna kotka.* Według tekstów rosyjskich opracowała Maria Kann. Przedruk ilustracji z wydania radzieckiego. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1957, wydanie III; 8 knl.

Olecka Irena — *Kartki z dziejów polskiego „Pioniera".* Okładkę projektował Mirosław Pokora. Warszawa, „Iskry", 1956; str. 174, 2 nl.

*Opowiadania babuni.* Wybór Ireny Słońskiej. Ilustrował Jerzy Karolak. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1956; str. 117, 3 nl.

Panowa Wiera — *Sierioża.* Parę zdarzeń z życia malutkiego chłopczyka. Tłumaczyła Janina Dziarnowska. Okładkę projektował Marian Stachurski. Warszawa, „Czytelnik", 1956, wydanie I; str. 150, 2 nl.

*Polskie baśnie ludowe.* Wyboru dokonał i opracował Tomasz Jodełka. Ilustrowała Olga Siemaszkowa. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1956, wydanie I; str. 495, 1 nl.

Porazińska Janina — *Kichuś Majstra Lepigliny.* Ilustrowała Maria Orłowska. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1956, wydanie VI; str. 124, 4 nl.

— *Trzy gadułki.* Ilustrowała Eugenia Różańska. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1957, wydanie II; str. 33, 3 nl.

Porazińska Janina — *Kozucha Kłamczucha.* Ilustrowała Barbara Dutkowska. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1956, wydanie I; str. 20, 4 nl.

Rodari Gianni — *Wiersze.* Spolszczył Janusz Minkiewicz. Ilustrowała Ha-Ga. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1956, wydanie I; str. 45, 7 nl.

*Przez stulecia. Opowiadania z historii Polski.* Zebrali i opracowali: Stanisław Aleksandrzak, Marian Wadecki. Ilustrowali: Franciszek Barącz, Leopold Buczkowski, Adam Bunsch, Paweł Jabłoński, Leonia Janecka, Stanisław Kamiński, Romuald Klaybor, Mieczysław Kościelniak, Juliusz Krajewski, Ludwik Maciąg, Juliusz Makowski, Zbigniew Piotrowski, Stanisław Rozwadowski, Stanisław Töpfer, Witold Zacharewicz, Tadeusz Zarzycki. Okładkę projektował Zbigniew Rychlicki. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1956, wydanie I; str. 484, 4 nl.

Przemski Leon — *Chłopiec z przedmieścia St. Antoine.* Ilustrowali: Bożena Truchanowska i Wiesław Majchrzak. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1956, wydanie I; str. 82, 2 nl.

*Przygody Dyla Sowizdrzała.* Adaptacja A. Geelhaar. Tłumaczyli z języka niemieckiego Krzysztof Radziwiłł i Janina Zeltzer. Wstęp napisał Marceli Ranicki. Ilustrował Adam Perzyk. Okładkę, stronę tytułową i wyklejkę projektował Bohdan Butenko. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1956, wydanie I; str. 77, 5 nl.

Raud Eno — *Hipek i Filipek.* Przekład Marii Górskiej. Ilustrował Józef Wilkoń. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1957, wydanie I; 8 knl.

Schmidt Afonso — *Marsz.* Tłumaczyła Małgorzata Hołyńska. Ilustrował i okładkę projektował José Maria Lima de Freitas, Warszawa, „Czytelnik", 1956, wydanie I; str. 178, 2 nl.

Sieciechowiczowa L. — *Hultajskie ścieżki.* Ilustrował Leopold Buczkowski. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1957, wydanie I; str. 462, 2 nl.

Sładkow N. — *Niedźwiedzia górka.* Przełożył z języka rosyjskiego Antoni Koral. Ilustrował Ignacy Witz. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1957, wydanie I; str. 26, 2 nl.

Smolarski Mieczysław — *Poszukiwacz złota.* Powieść z dziejów polskiej alchemii. Ilustrowała Bożena Truchanowska. Okładkę projektował Wiesław Majchrzak. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1957, wydanie III; str. 227, 1 nl.

— *W złoconych pałacach wielkiego chana.* Ilustrował Jerzy Skarżyński. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1956, wydanie I; str. 497, 3 nl.

*Scena młodzieżowa Nr 1.* Okładkę i karty tytułowe projektował Mirosław Pokora. Rysunki w dziale teatralnym: Andrzej Sadowski. Rysunki w dziale tanecznym: Wojciech Sieciński. Warszawa, „Iskry", 1956; str. 380, 4 nl.

Szczepańska Nora — *Karibu i inne opowiadania.* Ilustrowała Krystyna Witkowska. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1957, wydanie I; str. 210, 2 nl.

Szelburg-Zarembina Ewa — *O Sobiepanku i Samolubku.* Ilustrowała H. Czajkowska. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1957, wydanie IV; 8 knl.

— *Dary czterech wróżek.* Ilustrowała Eugenia Różańska. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1956, wydanie I; 18 knl.

Traven B. — *La carreta.* Przełożyła Teresa Jętkiewicz. Okładkę projektował Jan Młodożeniec. Warszawa, „Iskry" 1956; str. 295, 1 nl.

Umiński Władysław — *Na drugą planetę.* Ilustrował Daniel Mróz. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1956, wydanie I; str. 194, 2 nl.

Unkiewicz Tadeusz — *Podróże mikrokosmiczne prof. Rembowskiego.* Okładkę projektował Zbigniew Rychlicki. Ilustrował Mateusz Gawryś, Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1956, wydanie I; str. 130, 2 nl.

Wacht Czesław — *Dźwięki niesłyszalne.* Okładkę projektowała Krystyna Witkowska. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1956, wydanie I; str. 111, 1 nl.

Wardęcki Marek — *Harcerskie gry terenowe.* Okładkę projektował Janusz Stanny. Ilustrował Władysław Czarnecki. Warszawa, „Iskry", 1956; str. 213, 5 nl.

Wełykanowicz Jadwiga — *Czerwony parasol.* Według tekstu francuskiego napisała... Ilustrowała Maria Orłowska. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1957, wydanie II; 8 knl.

Wilkowski Jan — *Podróż po mapie.* Ilustrował Zbigniew Kaja. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1956, wydanie I; str. 68, 4 nl.

*Woda żywa.* Baśnie pisarzy polskich. Zebrała Stefania Wortman. Ilustrował Adam Marczyński. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1956, wydanie I; str. 307, 1 nl.

Żitkow Borys — *Co widziałem.* Tłumaczyła z języka rosyjskiego Natalia Gałczyńska. Okładkę projektował Zbigniew Rychlicki. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1956, wydanie II; str. 214, 2 nl.

## DZIEŁA TREŚCI OGÓLNEJ

*Kalendarz „Iskier"* 1957. Okładkę projektował Janusz Grabiański. Opracowanie graficzne: Juliusz Puchalski. Warszawa, „Iskry", 1956, wydanie miejskie i wiejskie; str. 446, 2 nl.

Cena 10 zł

W NASTĘPNYCH NUMERACH UKAŻĄ SIĘ

Zbigniew Bieńkowski — Nieskończoność · Wielemir Chlebnikow — Wiersze · Franz Kafka — Miniatury · Jerzy Lisowski — Henry Miller · Lucjan Rudnicki — Brema · Bertrand Russell — Wspomnienie o Conradzie · Andrzej Stawar — O Bogu Żeleńskim · Dylan Thomas — Wiersze · Stanisław Zieliński — Histrio. Gibba